

JANUSZ PRZYMANOWSKI

**ZE 101
FRONTOWYCH
NOCY**

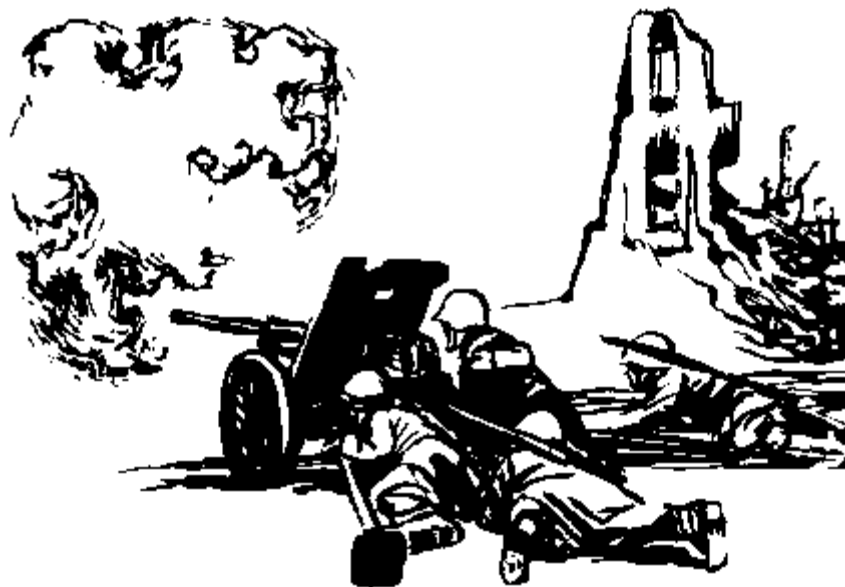


WYDANIE DZIEWIĄTE

KSIĄŻKA I WIEDZA

Ze 101 frontowych nocy

Janusz Przymanowski



Spis treści

1. Befszytk po polsku	7
2. Płaczliwy sierżant.....	9
3. Delikatność uczuć	11
4. Jeszcze Polska	12
5. „Pan wyglądasz?”	14
6. Scena i rzeczywistość.....	15
7. Brzydki fortel	17
8. Wołesław Rrus.....	19
9. Oficer przez zazdrość.....	20
10. Polityka i kuchnia.....	23
11. Herezja w bateryjnej trójcy	24
12. Noworoczny śledź.....	26
13. Lampa zaczarowana	27
14. Pegazy.....	29

15. Nalot	31
16. Żołnierska lingwistyka	33
17. Bańka	35
18. Kamyczek filozoficzny	37
19. Ciało zanurzone w gniewie	38
20. Śniegowy nocleg	39
21. Oskrzydlenie	40
22. Zielony banknot	42
23. Specjalna misja	45
24. Morderca bezbronnych koni	46
25. Znak	47
26. Nie wszystko, co się świeci	51
27. Sztuka cywilnego jedzenia	52
28. Obrońca z urzędu	54
29. Autorytet	56
30. Przerwana akademія	58
31. Prawie Koziętulski	60
32. Powrót	62
33. Dwa słowa	64
34. Audycja	66
35. Argument	67
36. Noblesse oblige	68
37. Ptaszek	70
38. Trafiony w zupę	72
39. Straty bojowe	75
40. Czynniki nadprzyrodzone	77
41. Artyleryjski sen	78
42. Polacy	79
43. Druk amoralny	82
44. Dobre wychowanie	84
45. Rycerski pas	85
46. Polska specyfika	87
47. Siderodromofobia	89
48. Spotkania po latach	90

49. Paganini drużyny zwiadu	92
50. Lizak	94
51. Pech	96
52. Intermedium o cudach	98
53. Autor nieznany	101
54. Czterdziestkapiątka wyborowa	103
55. Jeden strzela, a drugi order nosi	105
56. Zbrodnia i kara.....	108
57. Postrzelony gwizd.....	110
58. Żyrafa.....	112
59. Ulotki	114
60. My nie cywile.....	116
61. Chirurg z beczki.....	117
62. Virtus, virtutis, virtuti	118
63. Literacka bitwa	120
64. Kwalifikacje zemsty	123
65. Traktat o braniu języka	125
66. Poprawka do komunikatu	127
67. Działon czerwonoskórych.....	130
68. Machliny	131
69. Chorąży miłujący pokój.....	133
70. Kraciasty szalik.....	135
71. Zaślubiny bez panny młodej.....	137
72. Reprezentacja.....	139
73. Dowód męstwa.....	142
74. Hasła i kryptonimy.....	143
75. Niecudowne ocalenie	144
76. Artykuł pirotechniczny.....	146
77. Potęga prasy	148
78. Z miłości i na rozkaz.....	149
79. Dziewczyna z literą „R”	151
80. Cenniki	153
81. Pożyczki	155
82. Dobra wróżba	158

83. Krowy i żyrandol	160
84. Trzynastka.....	162
85. Wbrew schematom	163
86. Niemcy.....	167
87. Zdobycz wojenna.....	170
88. Utalentowany naród.....	172
89. Machniom.....	173
90. Upór.....	175
91. Berlin	178
92. Obie strony medalu	181
93. Gospodarze.....	183
94. O oszukiwaniu dowódców.....	185
95. Ogolony nie w porę	187
96. Jasne z pianką	189
97. Na czele	192
98. Odpowiednia kwatera	194
99. Generalski tort.....	195
100. Mogiły i sweter	197
101. Takich nie było.....	199
NAZAJUTRZ PO 101 NOCY	201



Szeherazada żołnierskich nocy 1 i 2. Armii nie jest smukłą córą wezyrową „o kształtach młodych, wielkiej piękności, wdzięku i urodzie”. Nie czytała ksiąg licznych i opowieści o królach i ludach dawnych. Nie miała czasu, a i dom zbyt szczupły, by zgromadzić „tysiące ksiąg ludów minionych, zaginionych królów i poetów”.

Znacznie skromniejsza i bardziej powszednia od swej wielkiej poprzedniczki, siedzi oto na wystanych sosnowymi gałązkami narach frontowej ziemianki, pod stropem w trzy rzędy z niekorowanych pni. Otacza ją zwarty żołnierski krąg nasiąknięty zapachem przepoconego drelichu i oliwionej broni. W mosiężnej łusce artyleryjskiego pocisku płonie knot z flanelowej onucy skrojonej nożem. Posolona benzyna parska i skwierczy, chwieje płomieniem.

W tym świetle twarze ludzi są ciepłe, ale rysy nieostre i zmienne. Snuje się gęsty dym z machorkowych skrętów i nie dojrzysz przezeń, kim jest opowiadający - raz zdaje się mieć na naramienniku gwiazdkę wyciętą z puszek od konserw, raz sierżancki galon pracowicie naszyty z tasienki od gaci.

Pod rzadki terkot nocnych kaemów, punktowana przyświstem zabłąkanej miny, snuje się niespiesznie gawęda. Wszystko musi być w niej prawdziwe - data, miejsce, imię i nazwisko - bo ludzie znają się nawzajem i znają żołnierskie życie. Ledwo czasem, gdy bucha śmiech aprobaty, można podbarwić zdarzenie kroplą fantazji, by było weselej i składniej.

Kiedy świt niebieskim okiem zagląda przez dziury w brezencie u wejścia i nie przynosi śmierci, Szeherazada urywa opowiadanie, by podjąć je następnego wieczoru, gdyż - „Baczcie oto: Z dawnych dziejów płyną wskazania dla dnia dzisiejszego, przeto człowiek winien poznać ku własnej przestrodze przypadki innych, rozważyć je, zgłębić historię ludów minionych i to, co im w udziale przypadło”.

Nie będziemy jednak przypominać w tej książce, że „sposzregła Szeherazada nadchodzący poranek i przerwała dozwoloną jej opowieść... a skoro zapadła noc druga... dziesiąta... setna, rzekła...”

Skryba skreślił te słowa pamiętając zarówno o tym, iż współczesny czytelnik mniej jest cierpliwy niżli król Szahrijara, jak i o oszczędności papieru.

1. Befszyk po polsku

Nim narodziła się kościuszkowska dywizja, kilka tysięcy Polaków, których losy rzuciły na teren Związku Radzieckiego, walczyły w szeregach Armii Czerwonej. Wielu zdobyło szlify oficerskie lub podoficerskie, ordery lub medale, przysparzając starym zwyczajem sławy dalekiej ojczyźnie. Bez trudu można odnaleźć polskie imiona na ulicach Wołgogradu czy Leningradu, na śnieżnych przedpolach Moskwy, w partyzanckich lasach Smoleńszczyzny. Odnaleźć i wpisać śmiało do tej rubryki narodowego bilansu, która nosi tytuł: „Za wolność Waszą i naszą”. Bo jak już Polak ma w garści choćby kosę na sztorc osadzoną, to się zaraz zasłuży dla potomności, a co dopiero, gdy mu dadzą karabin, armatę lub czołg.

Jeśli chodzi o mnie, to trafiłem do Armii Czerwonej późno, w styczniu 1943 roku. Próbowałem zgłaszać się wcześniej, ale nie brali ani warszawiaków, ani krótkowidzów. Dopiero kiedy wyganiano Niemców z Kubania, przyjęto mnie, bo przyjmowano już ochotników bez zbytecznej biurokracji, nie zaglądając w papiery i w zęby niczym darowanym koniom.

Zostawszy żołnierzem pułku zapasowego, począłem rozmyślać nad metodą przejścia do historii. Wahałem się między skokiem na koniu do wody (patrz książkę Józef) a wysadzeniem w powietrze możliwie dużego obiektu (vide Hektor kamieniecki, czyli pan Michał Wołodyjowski). Obie koncepcje wzięły w łeb zaraz na wstępie, bo otrzymałem przydział do jednostki nietypowej dla polskiej historii - do kompanii rusznic przeciwpancernych 3 batalionu 62 brygady piechoty morskiej. Brygady nie były jakiej, bo krasnoznamionnej, czyli odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru.

Nikt nie zaprzeczy, że w sposób zdecydowany zwróciłem na siebie uwagę zaraz na początku. To, czym się wyróżniłem, nie miało jednak nic wspólnego z bohaterskimi tradycjami przodków oraz postępowymi - rewolucyjnej klasy robotniczej.

Przed wszystkim nie nadążałem w marszu. Przy pomocy dowódcy drużyny, mata z floty Oceanu Spokojnego, Stiepana Wołkowa, pojąłem nie bez zdumienia, że towarzysz Majakowski genialnie przewidział moje przyszłe istnienie i specjalnie zaznaczył to w wierszu:

Kto tam znów rusza prawą

Lewa!

Lewa!

Lewa!

Potem już szło na zasadzie prawa serii: to ja, zasnąwszy podczas nocnego marszu, nabiłem rusznicą guza Timce Romaniukowi; to ja, gotując kartofle, podłożyłem przez omyłkę do ognia łódkę z nabojami, z czego wyniknął niespodziewany alarm; i ja wreszcie, podczas pierwszej w moim życiu obrony przed atakiem dwu czołgów niemieckich, genialnie rozebrałem zamek rusznicy na drobny mak w momencie, gdy chciałem odbezpieczyć broń...

Zrozumiałem w pewnej chwili, że po to, by się wyróżnić w przyszłości, muszę przestać wyróżniać się teraz, i z wolna poczęłem stawać się podobny do innych.

Nie było to łatwe. Żołnierzy z brygad piechoty morskiej Niemcy ochrzcili mianem „czarnych diabłów”. A jaki tam ze mnie czart?... Widzieliście kiedy diabła w okularach?

Wreszcie jednak dopasowałem się całkiem. Poszły na nas do ataku „tygrysy”, które właśnie wiosną tego roku wchodziły w modę. Strzeliłem do drania dwa razy, potem on przejechał po okopie, przysypał mnie ziemią i zaraz dostał z działka, zapalił się. Koledzy z drużyny wykopali mnie niczym jakie znalezisko archeologiczne, odebrali śmierci i uznali za swego.

Wtenczas znowu wróciły myśli, że powinienem się wyróżnić ku chwale ojczyzny. Nie wiedziałem tylko, jak, bo żaden z poprzednich pomysłów już mi nie odpowiadał. Los zlitował się jednak na mnie i postanowił dopomóc...

Walczyliśmy w bagnach nad Morzem Azowskim, wypierając hitlerowców ze stanic Czornojorkowskaja - wsi rozciągniętej dwadzieścia kilometrów wzdłuż grzędy twardego gruntu wśród moczarów. Od strony wroga był dojazd, a od naszej - ścieżyny wśród topieli, którymi ledwo nadążano donosić amunicję. O żarciu nawet mowy nie było. Gryźliśmy prażony jęczmień, wykopywany ze skrytek pod zgliszczami chałup, oszukując puste żołądki. Nocą kukuruźniki próbowały zrzucić suchary, ale było tego co kot napłakał.

Wobec przewagi wroga w ciężkiej broni (mieli ten dojazd!) wojowaliśmy raczej po ciemku lub o świcie, tkwiąc dniem w płytkich, błotnistych okopach. Szczerze mówiąc, nikt chyba nie marzył tak o orderach jak o tym, by nażreć się do syta.

Pewnej nocy, jak zwykle, ruszyliśmy do ataku. Marynarski fason, bezskutecznie tępiony przez oficerów, nakazywał iść w polnyj rost. Zresztą z głodu brakło już sił, by kłaść się, wstawać, wykonywać skoki.

Niemcy jazgotali z broni maszynowej. Zobaczyłem przed sobą błyski kaemu. Rąbnąłem dwa razy z rusznicy opierając lufę na ramieniu ładowniczego. Maszynka zakrzuszyła się i ścichła.

Dreptaliśmy dalej udając bieg i wrzeszcząc przeciągle:

- Urra! Urra!

Chwyciłem powietrze i nagle tak mi zapachniało, że poczułem się w raj. „Zabili? Nie, nie zabili...” - pomacałem piersi, poruszyłem głowę.

Nos znowu złożył bojowy meldunek: „Befsztyki!”

Wprowadziłem poprawkę do kursu i pokłusowałem tam, skąd dochodził zapach, gdzie dopalały się szczątki jakichś zabudowań.

„Tak, to tutaj. Przypalone befsztyki!” - stwierdziłem; nie pojmując jeszcze dokładnie, o co chodzi, przyjąłem pozycję obronną. Wsparłszy rusznicę na niskim murku wygarnąłem z pięć razy pod rząd w kierunku wiejących Niemców.

Gdyby wówczas rzucili do kontrataku kompanię „tygrysów”, zostałem bohaterem narodowym albo nieboszczykiem, albo zgodnie z odwieczną tradycją i jednym, i drugim naraz. Nie było bowiem siły na świecie, która mogłaby mnie zmusić do porzucenia tak mile pachnącej pozycji.

Kontratak nie wyszedł. Front przycichł. Kierując się powonieniem rozwaliłem gorącą glinę. Zdobycznym niemieckim bagnietem złapałem przepaloną, czarną warstwę węgla i tam, pod spodem, znalazłem mięso - pieczone, wspaniałe mięso.

Dałem ładowniczemu spory kęs i posłałem go po drużynę. Wywaliłem z plecaka wszystko i wypełniłem go mięsem po sam wierzch. Zrozumiałem, co zaszło: w glinianej obórce stała krowa; gdy buchnął pożar, ściany przywały zwierzę i ogień je upiekł w całości.

Nadciągnęli kumple. Stałem się bohaterem nocy, wkroczyłem do historii. Jedliśmy to mięso parę dni i przy każdym posiłku mat floty Oceanu Spokojnego, Stiopa Wołkow, mrugał do mnie i mówił tonem kelnera hotelu „Nacjonal” przy placu Czerwonym:

- Gospoda, siegodnia bifszteks po polski.

2. Płaczliwy sierżant



Pod sam koniec marca 62 brygada piechoty morskiej wyparła Niemców z ruin ostatnich domów stacji Czornojorkowskaja. Wyleźliśmy wreszcie z błot i moczarów na suchy grunt. Nie tyle może suchy, co twardy.

Po dziewiętnastu dniach walk po pas w bagnie i bez żarcia odpoczywaliśmy prawie dwie doby na drugiej linii.

Potem, 1 kwietnia, akurat na prima aprilis, rzucono batalion brygady do ataku na chutor Swistielnikow, u samej nasady Półwyspu Tamańskiego. Skacząc z rusznicą ppanc. przez zdobyty okop, dostałem z dna wystrzał prosto w twarz. Ogłuszyło, a kula przeszła przez lewe ramię. Nie naruszyła kości, ale nim przewiązali, rękaw płaszcza pełen był krwi. W ziemiance medsanbatu trzęsło mną jak na mrozie. Nocą ciężarówka zawiozła rannych do szpitala w rozwalonej pociskami wiosce.

Mogących chodzić sanitariusze poprowadzili na zmianę opatrunków i potem na kwatery. Trafiła mi się izba pobielona śpiesznie wapnem, z rozłożonymi pod ścianą wiązkami trzciny, spełniającymi funkcję materaców. Ramię nie bolało zbytnio, ale w ciepłe zaczęły dokuczać wszy. Wierciłem się, tarłem plecami o legowisko. Podeszła siostra - jasnowłosa, szerokolica, ze spokojnymi i wilgotnymi oczyma. Na naramiennikach miała naszywki sierżanta.

- Gryzą?

- Jak sto diabłów - mruknąłem. Zaprowadziła do ciemnej sionki, wprawnymi palcami rozebrała do naga, zaczęła nacierać jakimś płynem śmierdzącym naftą.

- Daj, ja sam - wyciągnąłem rękę.

- Stój spokojnie, bo urazisz się w ramię i będzie boleć - ostrzegła. - Stój, głupiutki, tu przecież ciemno. Nic nie widzę.

Wróciłem do izby w czystej koszuli i długich gatkach zawiązanych tasiemkami. Ułożyła mnie na trzcinie, przykryła płaszczem.

- Komu czego trzeba, chłopcy? - spytała. - Nikomu? To pójdę po obiad.

Ciepło mi było i błogo, nic nie gryzło. Szybko zasnąłem. Obudził mnie płacz.

Nasz jasnowłosy sierżant stał u wejścia pochylony nad wiadrem i ryczał jak dziecko. Ranni zaczęli się dopytywać o przyczynę. W krótkich, przerywanych łkaniem zdaniach opowiedziała, że pośliznęła się na błocie, pokrywa spadła i wylała połowę zupy.

Pocieszyliśmy ją, że tego, co zostało, wystarczy, że nie jesteśmy tak bardzo głodni. Niech tylko przestanie płakać.

Kiedy łyżką wyskrobałem resztki z dna menażki, pomyślałem sobie, że jednak szkoda tej wylanej zupy.

Obok leżał starszy człowiek, z pszenicznymi wąsami, któremu odłamek uciął dwa palce. Wojował widać nie pierwszy dzień, bo na spranej do białego gimnastiorce miał przykręcony Order Czerwonej Gwiazdy. Pochyliłem się w jego stronę i szepnąłem:

- Towaryszcz, ale ta nasza siostra to beksa. Jakby taką dali na pierwszą linię...

Tamtén uśmiechnął się i dobrodusznie stwierdził:

- Durak.

- Kto?

- Ty.

- Ja?

- Właśnie ty. Ja tę dziewczynę znam. W czterdziestym drugim ona przez front do partyzantów chodziła rannych wywozić. Fryce dwanaście razy atakowali transport, a ona automatem, granatami... Byłem w jej grupie. Mnie dali to - stuknął zdrową ręką w order - a ona...

Urwał nagle, zmieniając zamiar, i zawołał:

- Sierżant! Siestriczka Marusia!...

Podeszła szybko.

- Czego wam, Fiodor Iwanowicz?

- Nachyl się. Jeszcze trochę niżej.

Przyklękła obok niego, a wąsacz odgiął połę futrzanego serdaka, który nosiła na mundurze, i pokazał mi małą, złotą gwiazdkę z czerwoną baretką.

- Widzisz? - spytał. - Widziałeś kiedy?

Siostra zerwała się i zarumieniła.

- Co wy, Fiodor Iwanowicz! Dajcie spokój.

- Skąd mogłem wiedzieć? - burknąłem zawstydzony. - Ma „Bohatera”, a płacze.

3. Delikatność uczuć

7 maja z zakaźnego szpitala w stancyi Olgińskiej przetransportowano mnie furką do szpitala dla wyzdorawliwajuszcich w stancyi Nowo-Dżerelijewka. Nazwa długa, a wieś mała. Szpital mieścił się w budynku szkolnym, ranni spali w klasach i na korytarzach, sienniki leżały utkane gęsto jeden obok drugiego. Zmartwiłem się tym tłokiem, ale niepotrzebnie. Właśnie mnie, prostego żołnierza, zaprowadzono do małego domku przy szkole, w którym dawniej mieszkali nauczyciele. Na progu powitała „nowego” wygrzewająca się w słońcu załoga - paru oficerów, dwu sierżantów i jeden szeregowiec.

- Ty kto budiesz? - zapytał surowo szpakowaty kapitan.

Wyrecytowałem imię, nazwisko, stopień i przydział oraz skróconą historię choroby: postrzał lewego barku, potem tyfus, czerwonka i świerzb.

- A po nacionalnosti? - wyłowił obcy akcent.

- Polak.

- Twoi do Persji wyjechali ma banany. Wojaczki się złąkli. Po coś został?

Nie odpowiedziałem. Siostra wskazała mi siennik w kącie. Było nas, chorych na świerzb, zaledwie czterech w sporym pokoju. Reszta weneryczni. Domek spełniał funkcję izolatki.

Nie mogę powiedzieć, żeby dokuczali albo kłuli w oczy sprawą ucieczki armii Andersa. Traktowano mnie tak jak innych, ale i bez serdeczności. Tylko szpakowaty były kapitan (za chorobę weneryczną oficerów degradowano), który lubił pośpiewać wieczorami, a głos, bestia, miał śliczny, ze szczególnym zapachem wyciągał:

Pomniat psy atamany,
pomniat polskije pany,
Konarmiejskije naszzy klinki...

Dni wlokły się słoneczne i nudne. Łaziłem słaby po ranie i chorobach jak senna mucha, śmierdzałem przeciwświerzbową mazią, którą z braku tłuszczów roślinnych czy masła przyrządzano na towocie,

smarze traktorowym. Żeby nie wyjść z wprawy i nie różnić się od swych współtowarzyszy, próbowałem czasem namawiać do grzechu piersiastą siostrę Nataszę, ale ona tylko ręką machała:

- Otstań. Kuda leziesz s łapami!...

Ale pewnego wieczoru... Otóż pewnego wieczoru, kiedy poczęło już zmierzchać, a ja leżałem na sienniku myśląc o niebieskich migdałach i Warszawie, ptasim mleku i chlebie ze słoniną, przybiegła Natasza.

- Janusz Stiefanowicz, wy zdies'? - przysiadła obok, z sanitarnej torby wyciągnęła sporą puszkę i bochenek.

- Wot wam konsierwa, wot chleb... Eto komisar prikazal wam dat'. Jesztie, poprawlajcieś...

Zatkało mnie ze zdumienia, że słowa nie mogłem wymówić. A Natasza pochyliła się, pocałowała rzetelnie i pogłaskała po włosach.

- Tobie do domu daleko. Mnie ciebie żal. A z łapami nie leż, nie trzeba.

Zawinęła spódnicę i poszła. Pomacałem chleb, puszkę - nie śni mi się. Przyzwyczajony do zmienności losów, zjadłem od razu połowę - a nuż rozmyślą się i zabiorą. Potem wyszedłem na ganek, gdzie sierżant brzdąkał na gitarze, a kapitan podśpiewywał. Kiedy mnie zobaczyli, umilkli. Siadłem na stopniach zachodząc w głowę, co się stało.

- Znasz jaką polską piosenkę? - zapytał wreszcie oficer.

- Znam sporo. Wy też znacie - dodałem - o polskich panach.

- Nie nadaje się - odburknął.

- Dlaczego? Mnie nie przeszkadza. Ja do Persji na banany nie jadę.

- Nie nadaje się - powtórzył uparcie. - A ty się, pareń, nie dąsaj na mnie. Opowiedz lepiej, co wiesz o gienierale Kostiuszko. Ja tyle pamiętam ze szkoły, że on z carem wojował.

Zdębiałem - konserwy, chleb, Natasza, Kościuszko, o polskich panach się nie nadaje - nie mogłem uchwycić związku. Kapitan mimo mroku dostrzegł wyraz mojej twarzy, bo dodał:

- Ty widać radio nie słuchasz? To źle. Wot wasza polska dywizja teraz będzie gienierała Kostiuszko. Razem będziemy wojować. Ponimajesz?

4. Jeszcze Polska

Ze szpitala ozdrowieńców trafiłem wraz ze sporą grupą kolegów do Krasnodaru, do 180 pułku zapasowego. Koszary miał ów pułk bardzo estetyczne i przestronne - mieściły się po prostu w pobliskim lesie.

Piszę to bez cienia ironii, bo było właśnie lato, a Krasnodar leży mniej więcej na szerokości geograficznej Rawenny. Upalne dni spędzaliśmy więc w miłym cieniu, a noce były tak ciepłe, że spało się na kocu, okrywając tylko nogi brezentowym „płaszcz-namiotem”. Zresztą i pobyt nie zapowiadał się długi - najwyżej tydzień, do najbliższej komisji lekarskiej, a potem przydział do tzw. kompanii marszowej i na miejsce właściwe dla żołnierza podczas wojny - na front.

Słaby jeszcze byłem, więc trochę próbowałem gimnastyki, a poza tym wylegiwałem się i pałaszowałem podwójne porcje, bo jakoś przypadłem kucharzowi do gustu i repety dla mnie starczało. Może i dlatego, że poprzez skórę każdy mógł policzyć mi kości bez trudu. Kumple nawet nie chcieli brać mnie z sobą na wypadki po winogrona.

Winogrona kradliśmy w sąsiednim sowchozie. Był to szczególny rodzaj kradzieży. Stróż, widząc nadchodzących żołnierzy, odwracał się i odchodził nieco dalej. Czekał cierpliwie, póki bractwo się nie naje, i dopiero kiedy zaczynali zrywać na zapas, pokrzykiwał, machał kijem i gonił tak, żeby nie dogonić.

Żałowałem, że mnie nie chcieli zabierać. Ale pamiętali. Zawsze przynosili dobre dziesięć-piętnaście kilo w pelerynie. Jadłem do woli. Grona były wygrzane, pokryte siwym meszkiem i zlepiały palce słodczą niczym klej. Przy winogronach, skubiąc je leniwie i od niechcienia, toczyliśmy nie kończące się żołnierskie pogawarki. Słuchając o tym, co było i czego nie było, rechotaliśmy z dowcipów mocno zaprawionych pieprzem.

To była zasadnicza rozrywka, lecz poza tym troszczyli się o nas oficerowie polityczni, dostarczając gazet, organizując odczyty i seanse filmowe. Kino było co wieczór, naturalnie na powietrzu.

Pewnego dnia tak się objadłem winogronami, że kiedy o zmierzchu poczęto skrzykiwać na film, nie chciałem wstać z miejsca. Koledzy odeszli, a ja leżałem na wznak, patrząc przez czarną sieć gałęzi w granatowe niebo Południa, nabijane gwiazdami dwakroć lepiej wyczyszczonymi niż u nas, nad Wisłą. I myślałem, ile dałbym za to, by znów zobaczyć tamto - skromniejsze i mniej efektowne.

Obok, nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów, słychać było gwar gromadzących się widzów, czyjeś podśpiewywanie, wołania i wreszcie zaterkotał silniczek napędzający prądnicę. Błysnęło światło, więc odwróciłem się trochę, żeby nie raziło w oczy. Obojętnie wysłuchałem pierwszych taktów muzyki i nagle skoczyłem na równe nogi. Chwyciwszy ręką za pień, nie wierzyłem uszom. Ależ nie, nie myliłem się - grali „Jeszcze Polska”.

Szedłem czy biegłem - nie pamiętam. Nie wiem, jak przepchałem się przez ciżbę do pierwszego rzędu stojących. Na ekranie, a raczej na pełniących obowiązki ekranu czterech zszytych prześcieradłach, była Starówka. Nie najlepiej wymalował ją dekorator filmowego studia. „Warszawskiego rodaka” błędy były w oczy, ale to jednak było moje miasto.

Film kręcił się dalej: kogoś ścigali hitlerowcy, ktoś się ukrywał, konspirował, a potem - pożegnawszy czule dziewczynę - poszedł do partyzantki i wysadzał pociągi, pruć z pepeszy i bodaj czy nie zginął wołając: „Niech żyje wolna Polska!” Muzyka znów grała „Mazurka Dąbrowskiego”.

Bohater nazywał się chyba Jan Kłos. Tytułu filmu nie pamiętam. Gdyby go teraz u nas wyświetlano, krytycy skrzywiliby się kwaśno jak koty na puszczy, a młodzi ludzie powiedzieliby krótko i dosadnie: „Chała”.

Obraz rzeczywiście był robiony pośpiesznie, jako jedna z wielu agitek okresu wojny. I bez znajomości terenu akcji. Setki kilometrów dzieliły front nad Donem od Wisły.

Jednak właśnie film o Janie Kłosie stanowi jedno z moich najsilniejszych przeżyć. W ową noc potwierdziła się stara prawda: o skali przeżycia artystycznego decyduje nie tylko dzieło sztuki, lecz i stan duszy odbiorcy.

A duszę miałem stęsknioną.

5. „Pan wyglądasz?”



W poniedziałek wszystkich z naszej części lasu zaprowadzono do bani. Celowo używam rosyjskiej nazwy, bo to wspaniałe szaleństwo ukropu i pary nie ma nic wspólnego z naszą nieciekawą łaźnią.

A więc na początku tygodnia staliśmy się czyści na ciele, a we wtorek do 180 zapasowego pułku piechoty zjechała szanowna komisja lekarska na postrach dekownikom, na losów dalszych wyjaśnienie żołnierzom pocziwym.

Rozbieraliśmy się na dworze, oddając bieliznę do zmiany, a mundury do parnika, i w stroju Adama nasłuchiwałam basu starszego sierżanta, który wyczytywał z listy nazwiska.

Szło to szybko i sprawnie. Wywoływany otrzymywał kartę do ręki i wchodził do baraku, gdzie ubrane na białą siostrzyczki ważyły, mierzyły, liczyły puls, odczytywały ciśnienie.

Na końcu dużej sali siedziało za stołem paru lekarzy, którzy osłuchiwali i wypisywali przydział. Ja trafiłem na malutkiego, niespokojnego okularnika z błyszczącą łysinką wśród czarnych włosów.

Spojrzał, rzucił okiem na kartkę i postawił mnie dosłownie do kąta.

- Stojcie zdies'. Żditie.

Czekałem pięć minut, dziesięć, kwadrans. Z początku tylko zdziwiony, potem zacząłem się złościć. Głupio tak sterczeć pod ścianą na golasa. Nie wiadomo, co z rękami zrobić. Nawet kartę mi zabrał, a mogła służyć jako listek figowy... Siostry przechodząc spoglądały ciekawie, choć - klnę się na sztandar pułkowy - nie było na co.

Po godzinie bolały mnie nogi i plecy. W myślach kłamię konowała ostatnimi wyrazy, życząc mu świerzbę, biegunki i innych jeszcze niemiłych rzeczy. Od czasu do czasu spoglądał surowo, więc nie śmiałem słowa powiedzieć. Spod fartucha połyskiwała czasem duża gwiazdka majora. A cóż ja - szeregowiec...

Chyba dopiero po dwu godzinach zarządzono przerwę na obiad. Lekarze, pogadując, zdejmowali fartuchy, wychodzili. Mój nic, tylko pisał. A ja czekałem.

Wreszcie, kiedy zostaliśmy sami, wstał i podszedł blisko. Długą chwilę patrzył mi w oczy zza okularów, a potem spytał po polsku:

- Warszawiak?

Oniemiałem. Skinąłem głową.

- Warszawiak... - powtórzył. - To tak wygląda warszawiak? Pan myślisz, że pan wyglądasz? Pan w ogóle nie wyglądasz! Słowo daję, ja się cieszę, ja się ogromnie cieszę, że mamusia teraz pana nie widzi. Ona by zapłakała gorzkimi łzami - mówił coraz szybciej, nie czekając odpowiedzi na swe pytania. - Do piechoty pana pośle? Akurat! Pan myślisz, że pan z tymi sterczącymi żebrami będziesz straszył hitlerowców w charakterze głodnej śmierci?.. A może do czołgów? Taki czołg z panem w środku toby nie była groźna bojowa maszyna, ale grzechotka z kośćmi!.. A wiesz pan co? Ja mam jednostkę w sam raz dla pana: 69 Rota Obsługiwanija. Będziesz pan obsługiwał śledzie, konserwy, czekoladę, owoce. Zaoceański sojusznik sam się nie bije, to nam ze wstydu przysyła. Będziesz pan to wszystko wyładowywał z pociągów, tu, w Krasnodarze, to i coś niecoś pan spróbujesz. Zgoda?

Wypisał przydział i rąbnął u dołu czerwoną pieczęć z uśmiechniętą radośnie gwiazdą.

Wziąłem kartę do ręki i stając na baczność, zdołałem tylko wyszeptać:

- Dziękuję...

- Nie ma za co - wzruszył ramionami. - No, co pan tu robisz na goło? Paradę na placu Saskim? Odmaszerować!

Ale kiedy już wychodziłem, zatrzymał mnie jeszcze:

- Gdzie pan mieszkał?

- Na Pradze, Stalowa róg Konopackiej.

- A ja mieszkałem... Czy to ważne, gdzie ja mieszkałem? I tak mi pan nie powiesz, czy dom stoi, czy są w nim ludzie. Co pan może wiedzieć? - dokończył szeptem.

A potem zgarbił się i minąwszy mnie, wyszedł z baraku drobnym nerwowym krokiem. Patrzyłem w ślad za jego błyszczącą łysiną i nawet porwałem się do biegu, by podziękować, zamienić jeszcze parę słów. Ale jak miałem go gonić? Nago?

6. Scena i rzeczywistość

Jesienią 1943 roku, odpasiony i zdrowy, trafiłem znowu do 180 zapasowego pułku piechoty, na przedmieściach Krasnodaru. Markując ćwiczenia czekaliśmy w nim na przydział do tzw. kompanii

marszowej i skierowanie na front. Ćwiczyć zresztą nie bardzo było kogo - prawie wszyscy przyszli tu ze szpitali po wyleczeniu z ran i mieli już doświadczenie bojowe.



Marszowye roty odchodziły jedna po drugiej, a nas jakoś nie ruszano. Nas, to znaczy sporej grupki (około trzydziestu) Polaków. Nudno było, nie chciało się chodzić na służbę do kuchni i obierać kartofli, więc z Antkiem Rzeckim i Wiktorem Zelentem zorganizowaliśmy teatr.

Nie pamiętam już dziś ani autora, ani tytułu naszej pierwszej, a zarazem jedynej sztuki. Była to w każdym razie bardzo sensacyjna historia o morzu i lądzie. Kuter torpedowy podpłynął nocą do zajętego przez hitlerowców brzegu. Z jego pokładu skacze do wody dzielna kobieta-zwiadowca, aby rozpoznać siły wroga. W drugim akcie rozpoznaje, przekazuje dane do dowództwa piechoty morskiej, ale zostaje schwytana. W akcie trzecim badają ją gestapowcy, torturują, skazują na śmierć, ale w ostatniej chwili desant marynarzy ląduje na brzegu i wpada na salę śledztwa, ratując skazaną i tłukąc niemiłosiernie gestapowców.

Graliśmy tę sztukę z nie słabnącym powodzeniem. Publiczność - frontowi żołnierze, ludzie mający swe osobiste porachunki z hitlerowcami - reagowała żywo, nawet bardzo żywo. Podczas śledztwa parokrotnie leciały na scenę kamienie i zgniłe kartofle.

Jako człowiek wysoki, jasnowłosy, noszący okulary i znający troszkę niemiecki, grałem „naczelnego” gestapowca.

Pewnego październikowego wieczoru, przy wypełnionej po brzegi sali, szło jak zwykle przedstawienie. Jeszcze w drugim akcie, wydając rozkaz uwięzienia schwytanej przez mych „gestapowców” Lidy Krupickiej, zauważyłem czarnego na gębie sierżanta, który siedział na drabinie pod ścianą i piastował na kolanach coś dużego, ciężkiego. „Ani chybi, granat przeciwczołgowy!” - pomyślałem i mrówki mi przeszły po krzyżu.

Przerwa minęła szybko. Wiktor uderzył w gong i wypchnięto mnie na deski. Siadłem przy stole i długo zapalałem papierosa, zerkając w stronę niebezpiecznego sierżanta. W półmroku wydawało mi się, że drwiąco krzywi usta w półuśmiechu. Bałem się go.

Wreszcie nieproszony wszedł na scenę „gestapowiec IV” i zapytał:

- Herr Oberst, czy mam wprowadzić kobietę-szpiega?

- Jeszcze nie! - zawołałem wbrew tekstowi sztuki. - Zaczekajcie. Sam wydam rozkaz.

W tej samej chwili zdębiałem. Z bocznych kulis wypadła roześmiana Lidka, jak zwykle ubrana w kostium kąpielowy, w narzuconym na ramiona płaszczu, i rzuciła mi się na szyję. Wołała coś, czego nie mogłem pojąć.

- Podła kobieto-szpiegu! - krzyknąłem, usiłując ratować przedstawienie. - Na nic nie zdadzą się twe nieczne zaloty! Zostaniesz skazana na śmierć! Zdradź mi w tej chwili, ile Rosjanie mają okrętów?

Dziewczyna cofnęła się nieco, potrząsnęła mnie za ramiona.

- Janusz! Nie wygłupiaj się. Przynieśli w tej chwili rozkaz od dowódcy - jutro wyjeżdżamy do kościuszkowskiej dywizji!

W ten sposób cudowny zbieg okoliczności uratował mi życie, gdyż sierżant z drabiny nie miał okazji cisnąć owego ciężkiego przedmiotu, którym się bawił.

A Lidka nie żyje. W Sielcach dostała przydział do 1 samodzielnej dywizji artylerii przeciwlotniczej i spłonęła podczas nalotu pięćdziesięciu Junkersów-88 na Darnicę, węzłową stację pod Kijowem, w dniu 8 kwietnia 1944 roku.

7. Brzydki fortel



Do polskiej dywizji wyjechaliśmy nie od razu. Rozkaz dowódcy dotyczył tylko stawienia się na komisję. Uprzejmy porucznik wypytał nas o daty urodzenia, imiona rodziców i rodziców naszych rodziców, o zdobyty poziom wiedzy i rodzaj zajęć, którym oddawaliśmy się przed Wielką Rewolucją Październikową, a potem wyjechał, pozostawiając polską grupkę na miejscu.

Za tydzień powtórzyła się identyczna pogawędka z kapitanem, potem z majorem i wreszcie z siwym pułkownikiem.

- Następny będzie generał - stwierdził Antek Rzecki. - Zobaczysz, że przydzielą nas do Sztabu Generalnego.

Szczerze mówiąc, byliśmy już trochę zdenerwowani. No bo albo - albo. Jak nie do polskiej dywizji, to do jakiejś radzieckiej, i na front. Nie było w tym zresztą żadnego bohaterstwa. Nikt się specjalnie pod kule nie palił, ale tu, mimo zabawy w teatr, zżerała nas nuda i wstyd było przed innymi, bo pokpiwali, że się dekuje.

Pewnego dnia szef kompanii przyniósł gazetę i pokazał palcem tytuł.

- Wot, riebiata. Polska dywizja na froncie. Bije się pod Lenino, front przerwała. Jakoś bez was dają sobie radę...

Czuliśmy się teraz jeszcze bardziej głupio, choć bez winy.

Pod koniec października nastały deszcze i chłody. Wróciły ataki malarii. Nie doczekawszy generalskiej komisji przeniosłem się do pułkowej izby chorych i utonąłem w lekturze tomu Stanisławskiego „Moja żyźń w iskusstwie”, który akurat znalazłem pod ręką.

Czyściutko tu było, cicho i jasno, a piegowata siostra Nadia dbała bardzo o swych paru pacjentów. W wolnych chwilach siadywała na taborecie przy moim łóżku i przeszkadzała w czytaniu długimi rozmowami o braterstwie dusz i prawdziwej miłości. Niestety, jako ewentualny obiekt bardziej ziemskich uczuć miała zbyt pełną figurę, przykrótkie nogi i nieładną buzię. Kiedy opowiadała o kwiatkach na oknie swego pokoiku, w którym kwaterowała samotnie po drugiej stronie ulicy, udawałem, że nie rozumiem zaproszenia.

Przykro mi dziś o tym pisać, ale to prawda - miłość bywa okrutna i egoistyczna. Najbardziej przykre wyznanie mam jednak jeszcze przed sobą.

Tak jakoś w środku tygodnia, we wtorek czy środę, przyszedł mnie odwiedzić Antek. Był wyraźnie podniecony i zmieniony na twarzy. Wyczekawszy odpowiedniego momentu, kiedy chory z sąsiedniego łóżka poszedł grać w warcaby do drugiego kąta pokoju, nachylił się i zaczął pośpiesznie szeptać:

- Żadnej nowej komisji nie było, ale dziś szef przyniósł listę piętnastu, którzy mają jechać. Ty też na niej jesteś. Uprosilimy, żeby cię nie skreślał. Wyfasowaliśmy wszystko nowe: mundury, buty, uszanki, płaszcze... I konserwy na dziesięć dni. Na ciebie też... Oficera nam dali jako dowódcę grupy. On nic nie wie, że jesteś chory... Wszystko klawo, a twoja w tym głowa, jak się stąd urwać. Pociąg odchodzi o dziewiątej wieczór. Jasne?

Powiedziałem, że jasne, i on się zaraz zmył. A mnie opadły wątpliwości: lekarz nie wypisze za żadne skarby, bo wczoraj znowu miałem atak, a na to, żeby w bieliźnie dotrzeć do swoich, nie ma żadnych szans. Złapaliby po stu metrach i posadzili jako wariata albo dezertera. Mój mundur leżał w szpitalnym magazynie, klucz od tego magazynu w kieszeni u siostry Nadi...

Oczekiwałem niespokojnie wieczoru. Temperatura zapewne podskoczyła, bo paliły policzki, nie mogłem czytać i przy każdym opuszczeniu powiek zwidywała mi się Marszałkowska, Złota, Ogród Saski.

Z dalekiego pogwizdywania parowozów usiłowałem wróżyć: przyjdzie, nie przyjdzie...

Przyszła jak zwykle o zmierzchu. Cichym głosem poczęła coś mówić. Odpowiadałem nie bardzo do rzeczy, myśląc tylko o jednym. Wreszcie wykrztusiłem:

- Chciałbym, Nadia, zobaczyć twój pokój, ale mundur...

- Nie wolno! - oburzyła się nieszczerze.

- A ty po cichutku... Przynieś, wsuń pod koc. Nikt nie zobaczy.

- Może nie dziś, masz chyba większą gorączkę. Jutro, dobrze? - oponowała słabo.

- Dziś. Kiedy sąsiedzi zasną, przyjdę.

Skinęła głową, dotknęła mojej ręki i odeszła.

Za kwadrans miałem mundur pod stopami, a kiedy na dworze zrobiło się ciemno, powędrowałem do ubikacji i zwałem.

Pociąg, który odszedł o dziewiątej dziesiąt z Krasnodaru do Moskwy, był dla piętnastu pasażerów, a w ich liczbie i dla mnie, pociągiem do Polski. Stałem przy uchylonych wrotach towarowej ciepłuszki, patrzyłem z radością, jak odlatują w mrok cienie drzew i słupy telegraficzne. A jednocześnie trapiły mnie wyrzuty sumienia - Nadia czekała w swoim pokoju, patrzyła coraz niespokojniej na zegar.

- Przejdzie jej wkrótce - powiedziałem do siebie. - Nie bądź frajer.

Ale mnie nie przeszło nawet do dziś. Ilekroć wspomnę tamten dzień, robi mi się niewyraźnie na duszy. Bo Nadia przecież nie wiedziała i nie wie, dlaczego musiałem tak postąpić.

8. Wołesław Rrus

Z Krasnodaru do Moskwy jechaliśmy około tygodnia. Zielone światło miały tylko pociągi idące ze wschodu na zachód, spieszące do bitwy. Nasz korzystał z normalnych praw tyłowego transportu wojskowego. Nikomu nie zbywało zresztą ani na jedzeniu, ani na możliwych do osiągnięcia wygodach. Korzystaliśmy z praw oficerskich, choć tylko dwu było sierżantami, a reszta co najwyżej nosiła jeden pasek oznaczający jefrejtora - starszego strzelca. Taki był pierwszy prezent dla żołnierzy-Polaków.

Droga wiodła przez Stalingrad. Widzieliśmy z okien miejsce, w którym kiedyś było miasto, a potem cały dzień pociąg jechał wzdłuż ogromnego składu złomu metali czarnych i kolorowych. Ściągnięte z okolicy żelastwo pokrywało step prawie po horyzont na przestrzeni wielu dziesiątków kilometrów. Dopiero wówczas pojąłem skalę tej bitwy. Przedtem nie umiałbym nawet wyobrazić sobie takiej masy rozdartych, pogiętych i zwęglonych czołgów, samolotów, dział, szkieletów samochodowych...

W Moskwie opuściliśmy pociąg z pewnym żalem - zaczęliśmy go traktować jako dom wędrujący po szynach. Nasz soprowożdajuszczij, młodszy lejtnant, dowiedział się, że dopiero nocą odjedzie pociąg w kierunku Riazania (nie znaliśmy wówczas nazwy stacji Diwowo ani obozu w Sielcach - tajemnica wojskowa).

Mieliśmy sporo czasu, ale do miasta nie wolno było wychodzić. Lejtnant pokazał nam stację metro tuż przy dworcu, nakarmił gorącym obiadem w oficerskim punkcie żywnościowym i potem już na własną rękę błędziliśmy po dużym i nad podziw czystym dworcu. Godziny się wlokły, ale stopniowo wskazówki dużego zegara szły ku wieczorowi.

Część naszych zasnęła na siedząco na ławkach, a ja podszedłem do kiosku i po raz chyba dziesiąty odczytywałem tytuły gazet, czasopism i broszur: „Krasnaja Zwiezda”, „Izwestia”, „Ogoniok”, Twardowskiego „Wasylj Tiorkin”, Leonida Lencza „Sol żyrnych kistot” i wreszcie - Wołesław Rrus... Oczy popęzły już dalej, ale zaniepokoiło mnie to dziwne nazwisko, więc wróciłem. Zaraz, zaraz... Coś tu nie w porządku z tymi literami, jakieś dziwne znaki...

I nagle pojąłem, że to po polsku: Bolesław Prus - „Nowele”.

- Skolko stoit eta kniżka?

- Cztery rubla.

Wysupłałem z kieszeni dwa przymięte papierki i siadłem na najbliższej ławce. Okładka była szara, kartonowa. Pod nazwiskiem autora żółte tło. I na żółtym pasku u dołu: „Biblioteczka Związku Patriotów Polskich w ZSRR”.

Otworzyłem na chybił trafił.

„Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórze garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głógiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie z rana wstaje czerwone słońce... Ale było to tylko złudzenie”.

Czytałem coraz wolniej, bo na kartkę padał mrok i litery drżały. Ktoś podszedł, wziął mnie za ramię.

- Co ty tu robisz? - To był Antek Rzecki. - Jak pragnę szczęścia, facet bawi się w „latarnika”! Otrzyj oczy, bo wstyd. Patrz na nas... I chodź. Spotkaliśmy dwu lotników, co w Moskwie byli po Złote Gwiazdy za „Gieroja”. Jak się dowiedzieli, że my Polacy i że do polskiej dywizji, chcą wszystkim kolację stawiać. No, chodź...

9. Oficer przez zazdrość

Ze stacji Diwowo przywędrowaliśmy pod wieczór do Sielc. Na punkcie rozdzielczym zdążono dać nam tylko kolację i zapadł zmierzch. Ułożyliśmy się w dużym namiocie na pryzkach i nasłuchując trzaskania polan w żelaznym piecyku - bo to był już listopad - gadaliśmy leniwie i cicho. Pierwsze wrażenia były silne: biało-czerwone flagi, orły na klombach z szyszek i mchu, „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród” i tłusta kasza, której kucharz nie skąpił.

A jednak jutro było niewiadome. Mało wiedzieliśmy o tym wojsku. Czerwonogęby cywil w łataniej marynarce informował szeptem, że z 1 dywizji, która poszła się bić pod Lenino, zostały tylko „różki i nóżki” - reszta poległa. Nie bardzo mu wierzyliśmy, wiedząc z doświadczenia, ile są warte tego rodzaju sensacje.

Nie byłem jednak spokojny. Na stacji w Diwowie widziałem sierżanta, który przemawiał do wyciągniętych na baczność żołnierzy językiem mego szefa gimnazjalnego PW, chorążego Motyki. A Motyka umiał nas mieszać z błotem i dosłownie, i w przenośni. Więc gdyby tutaj miało być to samo...

Z poszumem drzew na jesiennym wietrze przyszedł sen, a nazajutrz komisja przydzieliła mnie jako topografa do baterii dowodzenia samodzielnego dyonu artylerii dalekonośnej (nim ukończono formowanie, dyon przekształcił się w 1 pułk artylerii ciężkiej).

Pracę na tym stanowisku rozpocząłem od piłowania i rąbania drzewa do kuchni. Robiliśmy to w parze z Mietkiem Sawickim, dziś pracownikiem radia. Szło nam sprawnie i wesoło, bo śpieszyć się nie było dokąd, a on znał sporo kawałów i wiadomości z gazet. Pozazdrościłem nawet, że taki czytany, i to przesądziło o dalszym moim losie, o niespodziewanym awansie i zmianie jednostki.

Następnego dnia była niedziela. Po obiedzie poprosiłem o przepustkę i poszedłem szukać gazet i książek, żeby się podksztalić do poziomu Mietka. Rozpytując ludzi trafiłem do jakiejś chałupy, gdzie piersiasty plutonowy o blond włosach użyczył mi paru numerów „Wolnej Polski” i „Widnokręgów”. Wziąłem ten dar pod pachę i szybkim krokiem powędrowałem z powrotem do ziemianki.

Ułożyłem się na pryczy, zacząłem czytać, ale nim przebrnąłem do połowy artykułu Sigalina o przyszłej Warszawie, wpadł goniec ze sztabu i kazał mi zameldować się w wydziale politycznym artylerii.

- A gdzie to jest?

- Nie udawaj głupiego. Tam, gdzie byłeś.

Pomyślałem, że dziewczyna w stopniu plutonowego bezprawnie dała mi pisma i trzeba je zwrócić. Jeden numer schowałem do plecaka („przecież nie liczone”), zabrałem resztę i poszedłem.

Czekał na mnie podporucznik. Wysłuchał niecierpliwie meldunku, prosił siadać i zaczął egzaminować: kto, skąd, którędy, jak i dlaczego. Odpowiadałem zwięźle, przeczuwając, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Godzinę chyba trwało, nim pozwolił odejść.

Wracałem rad, że nie zabrał gazet. Zerkałem za pazuchę, ale w drodze czytać nie mogłem, bo i mróz zaczynał brać pod wieczór, i salutować trzeba było prawie wszystkim przechodniom.

Do ziemianki nie dotarłem. Na skraju naszego obozowiska czekał już sierżant.

- Szeregowiec w okularach!

- Tak jest.

- Jak się nazywasz?

Odpowiedziałem, a on sprawdził z kartką, którą trzymał w ręku. Potem obejrzał mnie od stóp do głów, kazał zrobić w tył zwrot, wygładził jakąś fałdę na plecach i rozkazał:

- Pójdziecie zaraz i zameldujecie się u majora. Tu macie wypisany adres. Czytać umiesz?

- Umiem.

- No to wal.

Maszerowałem znowu w stronę wsi i z każdym krokiem robiło mi się goręcej. W owych czasach w Sielcach stopień majora odpowiadał co najmniej generałowi dywizji. A może nawet dziś mamy w armii więcej generałów niż wówczas majorów. Nawet na pewno. Szedłem i kłąłem sam siebie: „Gazet ci się zachciało! Inteligent, psiakrew. A wszystko przez zazdrość, że Sawicki taki czytany. Tfu, do czarta!” Ale drogi odwrotu były zamknięte, a rozkaz wyraźny.

Odnalazłem właściwą ulicę, a na niej dom. Przed domem stał wartownik i kiedy mu się przyjrzałem, złość wzięła mnie jeszcze większa - to była dziewczyna. Dziewczyna z pepeszą. Meldować się jej, salutować czy jak? A może przejść po prostu obok i do furtki?

- Stój! Wy dokąd?

- Do majora. Mam rozkaz się zameldować.

- Nazwisko.

Powiedziałem nazwisko.

- Przechodźcie. Z sieni na piętro.

Ostukałem starannie buty z błota i śniegu, wytarłem o szmatę pod progiem. Wlazłem ostrożnie po schodach i przystanąłem, żeby płaszcz obciągnąć i serce uspokoić, bo waliło w piersiach jak dzwon.

Nim zdążyłem zapukać, drzwi się uchyliły.

- Obywatelu majorze - wrzasnąłem co sił - szeregowiec...

- Tss - wysoki mężczyzna w swetrze położył palec na ustach. - Nie róbcie hałasu. Proszę do środka.

Wydało mi się, że oficer, którego szukałem, musi być gdzieś w drugim pokoju.

- Miałem się zameldować u majora... - zacząłem, ale ten w swetrze mi przerwał:

- To właśnie u mnie. Zdejmijcie płaszcz i siadajcie. Napijcie się kawy?

Zatkało mnie. Wiedziałem tylko ze słyszenia, że to dobre, ale major już nalewał ciemny, aromatyczny płyn do filiżanek i długimi, nerwowymi palcami skręcał cygarkę ze złocistego tytoniu.

- Palcie - podsunął metalowe pudełko.

Podziękowałem, skręciłem machorkę w gazecie.

- Ja ze swojego, żeby nie kaszleć - wyjaśniłem.

- Warszawiak?

- Tak.

- A gdzie mieszkaliście?

- Konopacka 8.

- Na Pradze?

- Tak, róg Stalowej.

- A do jakiej budy chodziliście?

- Do Żeromskiego. Tam gdzie Herse na parterze.

- Wiem. Dyrektorem był Teofil Wojeński.

Skinąłem głową, pociągając łyk kawy. Musiałem uważać, żeby twardymi łapami nie zgnieść filiżanki, żeby jej nie wypuścić z palców. Major uśmiechnął się ciepło i bardzo po domowemu.

Wkrótce przestał pytać, bo ja już sam opowiadałem - o starej, kochanej budzie, o Wrześniu, o swych dalszych losach. A potem na przemian ja i on, ale więcej on, mówiliśmy o Polsce - jak do niej dojść i co będzie trzeba zmienić po wojnie, żeby było lepiej. Zapominając o wojsku i stopniach, dyskutowałem, jak dawniej, zwłaszcza podczas kolonii zimowych, dyskutowaliśmy z kolegami i profesorami od Żeromskiego.

Kiedy się pożegnałem z majorem Wiktorem Groszem i wyszedłem na ulicę, była już noc.

W trzy dni później dostałem nominację na oficera bez stopnia, sukienny mundur, pas z poprzeczką i granatowe spodnie. Zostałem zastępcą dowódcy baterii do spraw polityczno-oświatowych. Trochę to cieszyło, trochę martwiłem się, czy podołam, czy za tydzień nie wrócę do szeregu. Ale jakoś przeszło.

Tylko kiedy mnie ludzie czasem pytają, jak zostałem oficerem, a ja wyjaśniam, że przez zazdrość, to mało kto wierzy. Myślą, że dowcipkuję. A to przecież prawda.

10. Polityka i kuchnia

Istnieje dość powszechne mniemanie, że w jednostkach 1 i 2 Armii stanowiska oficerów politycznych (w sieleckich czasach nazywano ich najpierw oświatowymi, potem polityczno-oświatowymi) obsadzone były wyłącznie - albo przynajmniej przeważnie - przez członków partii, przez komunistów. Mniemanie, jak wiele innych, błędne. Ani wyłącznie, ani przeważnie.

Odsetek komunistów, nieco większy w 1 dywizji, u „kościuszkowców”, zmalał znacznie, gdy formowano dywizje „dąbrowszczaków”, „traugutowców”, „kilińszczaków” i dziesiątki innych jednostek artyleryjskich, pancernych, lotniczych, saperskich, łączności itd. Kapepowcy zajmowali tylko wyższe stanowiska w aparacie politycznym, ale nie to było źródłem ich znaczenia. Ci ludzie umieli po prostu pracować, nadawać niepostrzeżenie ton i formować nowe obyczaje, umieli przekonywać zielonych młokosów (do których i ja należałem) powoływanych na zastępców dowódców kompanii i batalionów, baterii i dywizjonów. Szczerze trzeba stwierdzić, że - łagodnie mówiąc - byli „niezbyt wojskowi”, ale dysponowali dużym doświadczeniem życiowym i praktyczną mądrością konspiracyjnych działaczy.

W parę dni po przybyciu do Sielc, gdy przez zazdrość, jak już wyjaśniłem, zostałem oficerem politycznym, kazano mi objąć stanowisko zastępcy dowódcy 4 baterii w 5 pułku artylerii ciężkiej armat-haubic kalibru 152 mm.

Z ciężkim sercem wędrowałem przez pontonowy most na Oce do owego ciężkiego pułku. Dowodziłem w swym dotychczasowym życiu tylko zastępem harcerskim, a potem zmianą warty w 69 kompanii obsługi w Armii Czerwonej. Ani o armatach, ani o pracy politycznej nie miałem zielonego

pojęcia. W skołatanej głowie tłukła się w rytm kroków jedna ponura myśl: „Wyrzuć! Ani chybi, po paru dniach wyrzuć”.

Zbierając wszystkie siły, zameldowałem się jednak u zastępcy dowódcy pułku głosem, który mógłby zbudzić umarłego, i w postawie na bacność, którą można by demonstrować jako przykład starania i sumiennosci.

Na powitanie wstał szczupły, wysoki porucznik Z., który po wojnie wyrósł na wiceministra.

- Widzę, że mam do czynienia nie z cywilem, ale z prawdziwym żołnierzem - pochwalił. - To dobrze. Siadajcie. Ustalimy plan roboty na pierwsze tygodnie.

Najpierw jednak musiałem mu opowiedzieć o sobie, a potem wyznałem, że nie mam pojęcia, od czego w ogóle zacząć.

- Od pieca, czyli od początku - uśmiechnął się. - Zapamiętaj sobie dwie rzeczy. Po pierwsze: jesteś od spraw ideowych, to znaczy musisz żołnierzom pokazać cel walki. Wyjaśnić, dlaczego i o co będą się bić. Tłumacz nie w ogóle, ale konkretnie i tak długo, póki nie pojmą, że każda drobna rzecz, a więc dobrze wyczyszczona broń czy dobrze pełniona warta, to o krok bliżej do Polski.

Odsapnął, zrobił surową minę i ciągnął dalej:

- Po drugie: jesteś od spraw ideowych, więc zaraz, od dzisiejszej nocy, będziesz dyżurował w kuchni i pilnował, żeby nikt nie kradł, żeby wszystko co do grama szło do kotła. Żołnierze muszą zobaczyć, przekonać się, że oficer polityczny to nie tylko gadanie o tym, co będzie jutro, ale również sprawiedliwość, porządek i tłusta kasza na dziś.

Zastrzelił mnie tą rozpiętością roboty od Polski Ludowej do słoniny w kotle. Kląłem go przez pierwszy tydzień, waląc się z nóg na nocnych dyżurach i walcząc zarówno ze snem, jak i z pokusą zeżarcia pajdy chleba ze słoniną, którą podsuwał kucharz. Potem dobrałem sobie pomocników z żołnierzy, mianowałem podoficerów politycznych w plutonach.

Kiedym się już trochę otrząsał, Zadra (tak nazywaliśmy surowego zastępcę dowódcy pułku) kazał mi natychmiast uruchomić łaźnię, a nocami wkuwać mat-czast', czyli budowę armat, i instrukcję strzelań. Znowu było za co go kląć.

Ale miał rację. Tę pierwszą rozmowę o Polsce i kaszy zapamiętałem na całe życie. Ma zastosowanie w przeróżnych okolicznościach.

11. Herezja w bateryjnej trójcy

Każda armia jest stopem bardzo różnorodnych surowców, rozmaitych klas i warstw społecznych, ludzi najprzeróżniejszych zawodów. Bez obawy popełnienia większego błędu można jednak zaryzykować twierdzenie, że właśnie 1 Armia stanowiła twór mimo wszystko wyjątkowy, zarówno pod względem bogactwa komponentów owego stopu, jak i oryginalności jego poszczególnych składników.

Ilustracją może być choćby fragment celnego wiersza „Warszawskoje szosse” o wymarszu 1 dywizji na front:

U nas wszyscy koledzy. Idzie więzień z Berezy,
były glina i hrabia chorąży,
idzie cieśla spod Omska, idzie ślusarz z Radomska,
hełm bojowy jednak im ciąży.
Wraca syn odzyskany, traktorzysta z Fergany,
góral z Tater i wnuk sybiraka,
zakurzona i szara, różna u nas jest wiara,
ale wiara to nie byle jaka.

Można by dodać jeszcze, że taki skład osobowy jednostek to „gratka nie byle jaka dla Leona Pasternaka”, który wiersz napisał, ale jednocześnie i kłopot ogromny dla dowództwa.



Trzeba było przetopić tę mieszaninę w wojskowym tyglu na metal szlachetny i twardy, wykuć zeń broń przydatną do boju.

Historia świadczy, że wytop się udał. Sprzyjała mu wysoka temperatura walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, a komuniści okazali się sprawnymi hutnikami. Inna sprawa, że dziś, gdy znamy rezultat ostateczny, gdy patrzymy na tamte dni z perspektywy historycznej, skłonni jesteśmy zapominać o szczegółach i kłopotach, a zwłaszcza o bardzo charakterystycznych przypadkach, typowych dla okresu ścierania się, nakładania, mieszania najrozmaitszych starych i nowych form.

W początkowych okresach - sieleckim, smoleńskim, żytomierskim czy kiwerczeńskim, a nawet jeszcze w pierwszych miesiącach frontu - dość często kierowało kompanią trzech ludzi. Ci trzej to: dowódca - oficer z praktyką bojową i techniką wyniesioną z szeregów Armii Czerwonej; zastępca do spraw politycznych - w gruncie rzeczy cywil, nadrabiający wykształceniem ogólnym, odczytaniem i elokwencją, oraz szef - przedwojenny podoficer znający musztrę, koszarowe porządki i metody utrzymywania dyscypliny - może nie najelegantsze, ale doraźnie skuteczne.

Trójca, taka właśnie albo podobna, uzupełniała się nawzajem, stopniowo przejmowała doświadczenia i na koniec rozpadała się, dając najczęściej trzech samodzielnych oficerów ludowej armii. Nie zawsze jednak od razu przejmowano doświadczenia właściwe. Zdarzały się i przypadki herezji.

Drugą baterią 3 pułku artylerii ciężkiej dowodził w Sielcach porucznik Kamiński wraz ze swym zastępcą, oficerem bez stopnia, Fryderykiem M., i szefem, kapralem Głowackim. Pierwszy znał działa i umiał z nich strzelać, drugi był biegły w polityce, matematyce i kartografii, a trzeci w prowadzeniu musztry, układaniu kostek i wpajaniu kanonierom elementów wojskowej karności. Żadnemu z nich, póki działał w zakresie swych kompetencji, nie można było nic zarzucić, a wszyscy trzej stanowili, jak później nauczyliśmy się mówić, zgrany kolektyw.

Los chciał jednak, że pewnej nocy zastępca wybrał się na kontrolę. Bateria mieszkała w dużych, głębokich ziemiankach. Po obu stronach stały piętrowe nary do spania, rozdzielone wąskim

przejściem, a na końcu przejścia piecyk. Przy owym piecyku czuwał całą noc dyżurny, którego zadaniem było utrzymywanie ognia i sprawowanie pieczy nad spokojnym snem kolegów.

Dochodziło wpół do dwunastej, gdy Fryderyk wszedł do jednej z ziemianek i zastał dyżurnego w głębokim śnie. Obudził kanoniera i szeptem wyjaśnił mu zarówno niewłaściwość tego rodzaju postępków w obecnej sytuacji międzynarodowej, jak i jego ujemny walor etyczny. Żołnierz - dwumetrowe chłopisko z Polesia, o łapach jak bochny i sile niedźwiedzia, wystuchał uważnie, serdecznie przeprosił i obiecał, że więcej już nie będzie.

Godzinę później, sprawdzwszy wszystkie warty, zastępca dowódcy baterii wracał do siebie, by odpocząć. Gdy mijał ziemiankę plutonów, postanowił jednak wejść i zamienić dwa słowa z Poleszukiem, nacieszyć oczy skutecznością metod wychowawczych opartych na rozbudzaniu w ludziach zrozumienia dla sprawy, o którą walczą.

Kanonier siedział pod piecem z głową zwieszoną na piersi i chrapał potężnie. Obudzony, westchnął ze smutkiem i stojąc na baczność wystuchał najpierw bury, a potem wzruszającego przemówienia, z którego wynikało niezbitie, że wyrządził krzywdę nie tylko kolegom z baterii, wojsku i Polsce, lecz także siwemu ojcu i matce staruszce. Żołnierz wzruszył się, otarł dłonią łzę na policzku i po raz wtóry obiecał, że nie zaśnie.

Zastępca dowódcy wrócił sprawdzić po trzydziestu minutach, zbudził go po raz trzeci i zdjął ze służby, oświadczając, że ma się zameldować rankiem u szefa baterii.

Kapral Głowacki przyszedł przed śniadaniem do zastępcy i spytał, jak ma ukarać śpiocha. Ten chwilę przypominał sobie wszelkie czytane kiedyś książki o wojsku i, jako że nic innego nie przyszło mu na myśl, zdecydował się na to, o czym słyszał kiedyś od szefa baterii:

- Stójka pod karabinem.

Głowackiemu zaśmiały się oczy, stuknął służbiście obcasami i odmaszerował.

Nie minęła godzina, jak po zastępcę przybiegł z wezwaniem goniec. Koło ogromnego kanoniera, tkwiącego pod sosną z plecakiem i karabinem na ramieniu, stał krąg żołnierzy, a wśród nich dowódca 13 PAC, podpułkownik Włodzimierz Pewiszki. Zaciskając ręce w pięści, by się opanować, odprowadził zastępcę na bok i spytał:

- To wy wymyśliliście? Carsko-sanacyjnych porządków wam się zachciewa! Zwolnić go natychmiast... Ja was... - urwał i machnąwszy ręką, odszedł szybko po śniegu.

Niefortunnego zastępcę dowódcy baterii wezwano wkrótce do wydziału politycznego pułku na poważną rozmowę. Tam dopiero zrozumiał, że przejście niewłaściwego doświadczenia od starych kadr wojskowych z baterijnej trójcy może prowadzić w ludowej armii do paskudnej herezji politycznej.

12. Noworoczny śledź

Narady trwały długo - oba święta miały poważny i uroczysty charakter, oba miały swych gorących zwolenników. Ostateczna decyzja dowódcy była może nie bardziej sprawiedliwa, ale lepsza niż wyrok króla Salomona: ku ogólnemu zadowoleniu gwiazdkę spędziliśmy w bateriach, wraz z żołnierzami, a na Nowy Rok dowództwo 5 pułku artylerii ciężkiej zapowiedziało bankiet oficerski w największym lokalu wsi Wakino, to znaczy w sali gimnastycznej miejscowej szkoły.

Od rana przygotowywaliśmy się do sylwestra. Szczególnie starannie czyszczono buty i kłamy pasów; kłując palce stwardniałe na mrozie, podszywano białe kołnierzyki do mundurów; , golono policzki „na milimetr pod skórą”. Z kapitanem Polakiem, dowódcą czwartej baterii, umówiłem się nawet, że przed samym wyjściem pozwoli mi skorzystać ze swej wody kolońskiej „Czajka”. Własnej nie miałem, gdyż dopiero dzień Nowego Roku miał mi przynieść pierwszą w życiu pensję oficerską.

Trzy minuty przed godziną dziesiątą spacerowaliśmy przed szkołą, by wejść do budynku nie za wcześnie i nie za późno. Śnieg skrzypiał pod butami, a gwiazdy odbijały się w wypolerowanych, kierzowych¹ cholewach.

Wreszcie nadszedł czas i znaleźliśmy się w podłużnej, ciepłej sali. Wąskie stoły z desek nakryte były prześcieradłami pożyczonymi od pułkowego lekarza, a na talerzach piętrzyły się na przemian kromki ciemnego chleba i śledzie. W regularnych odstępach, jak kierunkowi na placu defilad, stały fajansowe kubki z równo odmierzonymi porcjami wódki (po dwieście gramów na twarz).

Nie potrafię już dziś odtworzyć rozmów i wznoszonych toastów. Wiem tylko, że hamowaliśmy się nawzajem, żeby zbyt wcześnie nie zjeść śledzi, bo nie byłoby czym zakąsić, i żeby zbyt wcześnie nie wypić alkoholu, bo nie byłoby czym się trącić o północy. W życzeniach również byliśmy skromni i szczerze mówiąc, nikt nie zgadywał, gdzie skończymy rok, który nadchodził.

W rezultacie, kiedy przed pierwszą w nocy padł sygnał do powrotu na kwatery, jeszcze nie wszystkie śledzie były zjedzone.

Chorąży Jan Makowiec, po wojnie srogi inspektor Zakładów Gastronomicznych na Wybrzeżu, a wówczas dowódca plutonu ogniowego, namówił mnie i wróciwszy w płaszczach do pustej sali zabraliśmy resztę śledzi w trosce o pierwszy dzień Nowego Roku.

I pomyśleć tylko, że to był rok, który miał przynieść przekroczenie Bugu, Lublin i Manifest PKWN, forsowanie Wisły i reformę rolną, powstanie warszawskie i wyzwolenie Pragi. Ze był to rok, od którego mieliśmy liczyć lata ludowej Polski. „A imię jego czterdzieści i cztery” - jak pisał poeta.

Gdybym wiedział, nie wypchałbym może śledziami kieszeni płaszcza, który, jako płaszcz żołnierza 1 Armii, nabrał wkrótce wartości muzealnej i stał się narodową pamiątką.

13. Lampa zaczarowana

¹ Kierza - materiał zastępujący skórę w owych trudnych czasach; należy czytać oddzielnie, tak jak w słowie „zmarznąć”. (Przyp. autora).

Stoczywszy w październiku bitwę pod Lenino, 1 dywizja zakwaterowała się w wioskach Smoleńszczyzny, w chatach na zręb złożonych z grubych belek jak nasze podhalańskie, tylko szerszych dołem, obszerniejszych, wyposażonych w słynne ruskie piece do spania, z białym kominem. Na zmianę jesiennym szarugom przyszły mrozy i śniegi, biała pierzyna otuliła ziemię po okna i okryła dachy po szczyty wiązań. Żołnierze urządzili się na kwaterach, a niektórzy i pod pierzynami - jednym słowem, żyło się kościuszkowcom jak na Smoleńszczyźnie za piecem.

W redakcji „Żołnierza Wolności”, dywizyjnej wówczas gazety, zadbano nawet o światło elektryczne dla co ostrzejszych piór. Po zapadnięciu zmroku poczynął terkotać silnik stojącego na podwórzu gazika. Napędzał prądnicę, która z kolei nie tylko uruchamiała drukarską maszynę zamontowaną we wnętrzu zisa, ale i zapalała żarówkę w lampie na redaktorskim stole.

Obsiadał go dokoła kwiat ówczesnej prasy wojskowej: z szerszego boku naczelny, porucznik Henryk Werner, z węższych - sekretarz odpowiedzialny, chorąży Eugeniusz Kroniewicz, i główny publicysta, podporucznik Dorian Płoński. Czwarty bok stołu był do wynajęcia dla reporterów.

Lampa jak lampa - pozornie nie wyróżniała się własnościami nadprzyrodzonymi i była pomalowana na zielono. Z ciężkiej, prostokątnej podstawy wyrastała lekko zagięta nóżka z podwójnej taśmy metalowej i górą podtrzymywała blaszaną osłonę. Kąt pochylenia nóżki i osłony można było regulować, co chętnie czynili piszący w momentach odpływu natchnienia. A sznur był brązowy z czarną wtyczką na końcu. I to wszystko: lampa jak lampa.

Pewnego zimowego wieczoru, gdy za oknami sypał śnieg i wiatr poświstywał w kominie, gdy naczelny raczył grać się pod piecem, a Płoński kurzył machorkowego skręta i pisał artykuł, lampa bez żadnego widocznego powodu podskoczyła i obróciła się tyłem do okna.

Obaj dziennikarze drgnęli i niechybnie zawołaliby: „Wszelki duch Pana Boga chwali!”, gdyby nie to, że z dziada pradziada byli marksistami.

Lampa sekundę stała spokojnie, potem ruszyła wolno i sunąc coraz szybciej poczęła jechać ku krawędzi stołu.

- Łapać! - skomenderował Henryk.

Dorian, niczym bramkarz Zamorra, wykonał robinsonadę ponad redakcyjnymi papierami, chwycił lampę oburącz. Sznur napiął się, wyszarpnął wtyczkę i w nagłej ciemności znowu zabrzmiał głos naczelnego:

- Nie lampę przecież! Do broni!

Wypadli do sieni, zwalili wiadro, skoczyli na dwór. Samochodu z redakcyjną elektrownią naturalnie nie było. Pozostał po nim tylko ślad opon biegnących przez otwartą furtkę ku szosie. Śnieg miękko i obojętnie układał białe płatki w koleinach.

Miał kląć siły nieczyste naczelny wezwał kaprała Michała Woźniszczuka, odpowiedzialnego za tabor samochodowy, i z tym właśnie Michałem postąpił jak święty Michał z diabłem. Przemówienie swe zakończył zwrotem lubianym we wszystkich armiach świata:

- A w ogóle to wszystko g... mnie obchodzi. Samochód ma być.

Osobiście żałuję, że nie dodał: „Niechaj stanie się światło”, bo scena wypadłaby bardziej biblijnie. Woźniczczuk, krępy i czarnowłosy, wysłuchał tego wszystkiego na baczność i bynajmniej nie miał ochoty, by Werner cokolwiek dodawał. Ze swej strony zakończył dyskusję krótkim:

- Tak jest, obywatelu poruczniku. - Spytał: - Czy mogę odejść?

Dobrawszy sobie pomocników odszedł tej samej nocy w ciemną dal po przysypanych śniegiem śladach samochodowych opon.

Wrócił po trzech dniach samochodem-elektrownią marki „gaz” i tryumfalnie ustawił tzw. agregat na tym samym miejscu, z którego zniknął.

Załoga redakcji radowała się tego wieczoru światłem, a w rozmowach po wielokroć powtarzano zdanie:

- Jak to dobrze, że mamy znowu swój samochód.

I rzeczywiście - po przemalowaniu numeru rejestracyjnego, który dziwnym zbiegiem okoliczności był nieco inny, samochód stał się taki sam jak utracony.

A lampa pozostała naprawdę ta sama i mimo zmiennych losu kolei pełniła służbę nad Wisłą, Odrą i Łabą, aż do zwycięskiego końca wojny, służąc kolejnym naczelnym redaktorom gazety 1 dywizji, korpusu i armii. Jako epigon tego ciągu sławnych ludzi zabrałem ją po rozformowaniu 1 Armii do redakcji „Skrzydlatej Polski”, a następnie, łamiąc prawa broniące własności wojskowej, postawiłem na własnym biurku.

Ponieważ jednak świeciła mi w oczy wyrzutami sumienia, oddałem ją wreszcie do Muzeum Wojska Polskiego, gdzie jest do obejrzenia.

Powiedzcie teraz sami - czy to nie zaczarowana lampa?

14. Pegazy



Po Nowym Roku do 1 dywizji piechoty i 1 pułku czołgów, rozlokowanych w rejonie Łaptiewa, przyjechali goście - 2 dywizja piechoty, 1 brygada artylerii, 5 pułk artylerii ciężkiej, 4 pułk artylerii przeciwpancernej, brygada pancerna, parę samodzielnych baonów i kompanii, szefostwa służb korpusu - razem około piętnastu tysięcy chłopów. Zaczęły się przeprowadzki, zmiany organizacyjne, kłopoty z transportem.

Redakcja dywizyjnego „Żołnierza Wolności”, połączona z gazetą korpusu „Zwycięzimy”, zamieszkała wraz z oddziałem propagandy i sądem wojskowym we wsi Mogotowo. Do sztabu było stąd niby niedaleko - pięć czy sześć kilometrów - ale śniegi spadły głębokie, kopne i ani dojść, ani dojechać.

Zresztą osobowe samochody znano wówczas raczej z widzenia, a gonić wielką ciężarówką z paroma ludźmi na odprawę czy po rozkazy - grzech i benzyny szkoda.

Redaktor naczelny molestował zwierzchników przy każdej okazji:

- Ruszyć się nigdzie nie mogę, a gazeta musi mieć środki transportowe.

Wiadomo - prasa to potęga, więc wreszcie prośby zostały wysłuchane i redakcja otrzymała dwa konie i sanie. Sanie były niskie, na szerokich płozach, model tzw. razwaliny, o konstrukcji wypróbowanej od wieków. Konie niewielkie wprawdzie, kudłate, ale o miłym wyrazie twarzy i, co najważniejsze, z papierami. Nie żeby przyszły opakowane, ale z oficjalnymi dokumentami zawierającymi przebieg ich dotychczasowej służby w wojsku oraz imiona wionące szybkością i potęgą. Jeden zwał się „Wicher”, a drugi „Lampart”.

Zaraz na początku wynikły pewne trudności - okazało się, że wierzchowce muszą jeść, a kwatermistrzostwo korpusu ani myślało zaopatrywać redakcję w siano, sieczkę i owies. Rozwiązano ten problem zlecając opiekę nad nimi bohaterowi przygody z lampą zaczarowaną, kapralowi Michałowi Woźniszczukowi - dostał rozkaz karmienia koni i karmił, z czego niezadowoleni byli tylko miejscowi kołchoźnicy, twierdzący uparcie i bezpodstawnie, że ktoś im paszę ze stogów podkrada.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak dopiero wówczas, gdy spróbowano jeździć saniami, wykorzystując jako siłę pociągową wymienione wyżej rumaki. Wyszło na jaw, że „Wicher” chodzi tylko i wyłącznie stępa, z szybkością trzech kilometrów na godzinę, a „Lampart”, gdy poczuje wiatr, kładzie się i nie wstaje.

Mądry ustępuje głupiemu - twierdzi przysłowie. Ponieważ konie nie respektowały wymagań redakcji, redakcja przystosowała się do koni: „Lamparta” zaprzęgano wyłącznie w bezwietrzną pogodę, zasięgnąwszy wzorem lotników informacji co do warunków meteorologicznych na trasie. „Wicher” zaś, jak wykazały studia naukowe, zdolny był przejść w kłus wówczas, gdy słyszał, że woźnica go ściga.

Odbywało się to w ten sposób, że kapral Woźniszczuk biegł, wywijał batem oraz wydawał dzikie okrzyki. „Wicher” zaczynał kłusować. Kapral skakał na sanie, które z rozpędu jechały jeszcze ze sto metrów. Potem koń orientował się, że go nie gonią, zwalniał, Michał zeskakiwał, tupał itd. itd. Po każdym wyjeździe musiał zjadać podwójną porcję i długo wypoczywać. Naturalnie nie koń, j lecz kapral.

Pozazdrościł dziennikarzom zaprzęgu szef propagandy korpusu, kapitan Mieczysław Wągrowski.

- Konie są nie tylko do waszej, ale i do mojej dyspozycji.

Nie oponowali. Nawet pomogli założyć parę do sań.

W rezultacie powyższego kapitan Wągrowski spóźnił się na odprawę o półtorej godziny, a wrócił dopiero przed wieczorem, bo powiało trochę i „Lampart” musiał swoje odleżeć w śniegu.

Dodajmy do tego, że ostatni odcinek drogi, u wjazdu do Mogotowa, przezwanego z polską Mokotowem, wiódł z góry, a potem przez wąski mostek na rzeczce. „Wichrowi”, słyszącemu stukot sunących po pochyłości płóz, wydało się, że ktoś za nim biegnie - oba konie niespodzianie przeszły na finiszu w galop.

Potem już nikt więcej nie pożyczał zaprzęgu od redakcji. Nie tylko nie pożyczał, ale wziąć nie chciał. Gdy przyszły odwilże, nastroje antyhipiczne w sferach dziennikarskich wzmożyły się. I wówczas właśnie mało brakowało, a „Lampart” byłby utonął. Sam, bez niczyjej pomocy.

Michał poprowadził go nad rzeczkę, do wodopoju. Powiał wiatr. „Lampart” legł na miejscu i wsadził łeb pod wodę. Woźniszczuk, stojąc prawie po pas w strumieniu, wyszarpnął mu wodzami chrapy nad powierzchnię i narobił wrzasku. Zbiegli się kołchoźnicy i podpierając samobójcę drągami wytaszczyli na brzeg.

Następnego dnia kapral dostał pochwałę w rozkazie dziennym za uratowanego konia, który bądź co bądź był częścią składową Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Po odczytaniu rozkazu porucznik Werner wezwał Woźniszczuka do chaty i w cztery oczy oświadczył mu, że za karę cofa wszelkie przepustki na najbliższe dwa tygodnie, a jeśli w przyszłości coś podobnego się powtórzy, to w ogóle wyrzuci z redakcji.

- Czemuś mu przeszkadzał? Chce się topić, to niech się, drań, topi.

Drań jednak więcej nie chciał i kiedy nadszedł czas marcowego przegrupowania na Ukrainę, redakcja „Zwycięzimy” otrzymała rozkaz przygotowania wagonu dla koni oraz zaopatrzenia go w żywność na drogę. Naczelnym redaktorem znowu telefonował, jeździł, chodził, prosił, ale nic nie pomagało: nikt nie chciał „Wichra” i „Lamparta”.

Zapadła ciemna noc, poprzedzająca odjazd eszelonu, w którego składzie znajdowały się wagony redakcji. Do chaty mieszczącej sztab kwatermistrzostwa armii wszedł czarnowłosy kapral ściśnięty pasem, w płaszczu bez zmarszczki, w wyczyszczonych na lustro butach. Zameldował swoje przybycie, doręczył jednemu z oficerów pismo, wziął na kopii pokwitowanie i równie regulaminowo zameldowawszy odejście, zniknął za drzwiami.

Oficer rzucił okiem na tekst pisma i spieszenie wcisnąwszy czapkę na głowę skoczył do sieni i na dwór. Było już za późno - po kapralu ani śladu, a na podwórzu, przywiązane lejcamy do klamki drzwi, stały zaprzężone do sań „Wicher” i „Lampart”.

Po przybyciu na Ukrainę kwatermistrz straszył redaktora „Zwycięzimy” sądem polowym, ale nic z tego nie wyszło, bo odbiór pisma przekazującego rumaki był pokwitowany na kopii. Rad jestem, że podstęp się udał, gdyż inaczej zapewne do dziś „Wicher” i „Lampart” stałyby przy żłobie w garażu „Żołnierza Wolności”, naszej centralnej gazety wojskowej.

A tak, to zostały tylko pegazy...

15. Nalot

Pewnego mroźnego dnia, w początkach stycznia, 5 PAC przybył na stację Poczynok, położoną sześćdziesiąt kilometrów na południe od Smoleńska. Parowóz sapał jak zmęczony koń, buchał parą, a wąsaty maszynista, wychylony przez okienko, spoglądał co chwila w sine niebo.

Z wielkich, zaniesionych śniegiem platform spętały jeden po drugim gąsienicowe ciągniki, ostrożnie wlokąc działa. Traktorzyści i działonowi zerkali z obawą w górę.

Miasteczko z obu stron torów, zakutane w biały kożuch po czubki dachów, wytrzeszczało ciemne ślepie okien na nas - zielonych, z orłami na uszankach, i na niebo - puste, chłodne, niebezpieczne.

Dla wszystkich było jasne: „Jeśli fryce zwęszą, co się tu dzieje, to przylecą i zbombardują”. Po rosyjsku to brzmi dosadniej: raz-bom-biat. Jedynymi ludźmi, którzy pragnęli pojawienia się samolotów, byli młodzi, spragnieni żołnierskiej sławy kanonierzy 1 samodzielnego dywizjonu artylerii przeciwlotniczej, dyżurujący wytrwale u swych zenitek. Ja tam, powiem szczerze, marzyłem, by jak najprędzej uciec z tej pułapki torów i domów, znaleźć się w wiosce, w której mieliśmy stanąć na kwaterach. Ale mam pecha...

Dowódca dyonu, kapitan Bronisław Rakowski, wezwał chorążego Makowca i rozkazał mu przewozić pociski ze stacji do składu artyleryjskiego za miastem...

Zastępca dowódcy dyonu wezwał mnie i rozkazał „zabezpieczyć” tę imprezę pod względem politycznym.



Dostaliśmy traktor, ogromne sanie zbite z belek i dwunastu kanonierów. Przez minut piętnaście uświadomiłem kanonierom wagę (naturalnie polityczną) przewożenia pocisków w obecnej sytuacji międzynarodowej, a potem wzięliśmy się do roboty.

Makowiec, jeszcze cięższy niż zwykle, w białym, oficerskim kożuszku, pokrzykiwał gromko; ja dawałem przykład niczym sam generał Bem; kanonierzy ocierali spocone czoła, traktorzysta kłął i jakoś to szło, mimo że sanie co dwa-trzy rejsy zdradzały tendencje rozkładowe. Nawet o niebezpieczeństwie nalotu zapomnieliśmy przy pracy.

Dopiero wieczorem, kiedy zabłyśły pierwsze gwiazdy i ciężkim krokiem szliśmy na kwaterę, chorąży powiedział:

- Jutro do obiadu byśmy skończyli, ale jak ja ich znam, to oni nocą zbombardują stację. Szkoda gadać - łakomy kąsek...

Kwaterna przypadła nam miła i oryginalna - w dużej sali, gdzie odbywały się kursy traktorzystów, a raczej traktorzystek, bo mężczyźni dawno odeszli na front. Ławy szkolne zsunięte pod ścianę, na podłodze słoma do spania, a w kącie piec - bielony, potężny, buchający ciepłem. Na piecu zaś... cztery niedosze traktorzystki, ciekawie spoglądające na żołnierzy w dziwnych mundurach i chichoczące między sobą.

Naszyc kanonierów jakby kto odmienił. Marsowe miny, dziarski krok, ogniste spojrzenia - ani śladu, że cały dzień harowali jak woły. A wśród nich Makowiec już bez kożuszka, cały w pasach i rzemieniach, z piersią wypiętą niczym po orderzy, z okrągłą głową, rozpromienioną i szczęśliwą.

Błyskawicznie minęła kolacja i czyszczenie broni, i a potem zaczęło się oblężenie pieca. Coraz cięższe pociski dowcipu padały z dołu do góry i z góry na dół, coraz bliższa była perspektywa starcia wręcz...

Jako człowiek odpowiedzialny za stan moralno-polityczny oddziału wydzielonego, podciągnąłem do pieca stół, ułożyłem się na nim niczym Rejtan (ma się te tradycje historyczne!) i zarządziłem capstrzyk.

Po zgaszeniu światła Makowiec szepnął mi do ucha:

- Świnia...

Za chwilę dostałem w łeb spadającą z pieca walonką - dziewczęta też były widać niezadowolone, że ich twierdzy nie zdobyto.

- W razie nalotu - wydałem rozkaz bojowy - otworzymy ogień z rusznic i erkaemów!

Chwilę jeszcze słuchałem coraz głębszych i spokojniejszych oddechów, a potem sam zasnąłem.

Obudził mnie bliski grzmot wybuchu i smród dymu. Gwałtownym szarpnięciem wyrwałem się spod spadających cegieł i skoczyłem do drzwi. Ktoś zwałił mnie z nóg, krzyząc: - Alarm! Do broni!

Nic nie widziałem w ciemności wypełnionej kłębam dymu i wapiennego kurzu. Po omacku rzuciłem się znowu ku wyjściu. W twarz uderzyła fala mroźnego powietrza i w tej samej chwili ostro szczęknęła rusznica.

Wpadłem wreszcie na dwór. Na śniegu grupkami stali kanonierzy, dwa erkaemy i dwie lufy pepanców kłuły powietrze.

- Gdzie samoloty?

Niebo było gwiazdziste i puste. Cisza.

Tknięty nagłym przecuciem, zawróciłem do domu, zapaliłem latarkę i czym prędzej zgasilem ją znowu. Chwilę jeszcze zatrzymałem kanonierów na śniegu, a potem kazałem im kłaść się po ciemku.

Po ciemku też odnalazłem chorążego Makowca i spytałem go szeptem:

- Czegoś tam, draniu, szukał? Po coś laźł na piec?

- Ciepło lubię - odburknął. - Skąd miałem wiedzieć, że się zawali? Wyglądał całkiem solidnie...

16. Żołnierska lingwistyka

Spośród tysiąca problemów, które trzeba było rozwiązać, by mogły powstać pierwsze dywizje ludowej armii, kłopoty językowe były chyba jednym z poważniejszych. W wierszu, który już raz cytowałem, pisze optymista - Leon Pasternak:

Cóż, że rodak porucznik od saperów czy rusznic

mowę ojców gdzieś w tajgach zatracił?
Na biwaku gwiazdzistym polonista-asystent
leczy mowę jak rany swych braci.

Życie bywało twardsze niż poetycka strofa. Prócz synów zesłanych ongiś na Sybir Polaków pełniło służbę w naszych szeregach wielu najautentyczniejszych Rosjan i uczyło nas sztuki wojowania nowoczesną bronią. By uczyć, musieli sami opanować nie znany przedtem język, a rezultaty nie od razu były olśniewające. Czasem właśnie bratnia bliskość i podobieństwo słów prowadziły na kłopotliwe manowce.

Jeszcze w Sielcach jeden z poważnych oficerów radzieckich, rozpoczynając służbową odprawę sztabu, oświadczył:

- Odmykam zebranie.

Podczas przerwy ktoś zwrócił mu uwagę, że należało powiedzieć „otwieram”, i w związku z tym na zakończenie pułkownik gromko stwierdził:

- Zatwiermam zebranie.

Dowiedziawszy się, że należało powiedzieć „zamykam” - westchnął i otarł pot z czoła.

Innym razem wynikła grubsza rozróbka, gdy wykładowca taktyki w batalionie kobiecym zaproponował:

- Z początku trzeba się rozebrać, a potem dokazywać.

Dziewczęta pokraśniały, zachichotały i wreszcie obraziły się.

A przecież zdanie było tylko wolnym przekładem słusznego skądinąd twierdzenia, że „naprzód trzeba się zorientować (razobrat'sia), a potem udowadniać (dokazywat')”.

Drugim działem kłopotów językowych, uciążliwych zwłaszcza w początkowym okresie, kiedy jeszcze nie wydano regulaminów i słowniczków dla poszczególnych typów uzbrojenia, była sprawa polskiej terminologii wojskowej. Niewielu mieliśmy oficerów i podoficerów, którzy pamiętaliby dokładnie, jak się jaka część broni nazywa. A poza tym dostawaliśmy uzbrojenie, którego we Wrześniu jeszcze nie było.

Niektóre, bardziej ogólne problemy rozwiązano na szczeblu dowódczo-literackim. W ten sposób na wniosek Janiny Broniewskiej ochrzczono awtomatczyków fizylierami, a minomiot - moździerzem. I po staropolsku, i dźwięcznie, i poręcznie jakoś.

W innych przypadkach rosyjskie słowa ulegały adaptacji i stawały się równie bliskie jak własne. Tak narodziła się „płaszczpałatka”, „pepesza”, „koptuszka” albo „koptiłka” i wreszcie „samogon”, który po przybyciu do kraju uzyskał równe prawa obywatelskie z miejscowym „bimbrem”.

Bywało jednak i tak, że jakaś nazwa, choć właśnie i przedwojenna, i regulaminowa, nie chciała się przyjąć w żaden sposób. Choćby na przykład: ogony łoża u armaty, które żołnierze uparcie zwali z rosyjska staninami.

Zdarzało się i tak, że twórcami nowych, oryginalnych nazw byli prości szeregowcy. Pamiętam, ile kłopotu mieliśmy z wbijaniem kanonierom do głowy, że rosyjska stereotruba zwie się po naszymu lornetą nożycową.

- Lorneta to lorneta. A z nożyczkami nic przecież nie ma wspólnego. To trzeba by, obywatelu poruczniku, jakoś inaczej...

I wymyślili to „jakoś inaczej”. Właśnie po przybyciu na stację Poczynok, podczas rozładunku, usłyszałem, jak jeden zwiadowca wołał do drugiego:

- Janek, dawaj tu prędzej ścierwotrąbę!

Nazwa się przyjęła. Po samą łabę nikt w dyonie i w całej artylerii armii inaczej nie mówił, tylko ścierwotrąba. A teraz już nigdzie nie słyszę, żeby młodzież używała tego pięknego określenia. Szkoda. Ginie tradycja w narodzie.

17. Bańka

Na Smoleńszczyźnie 2 dyon 5 pułku artylerii ciężkiej stanął na kwaterach we wsi Ostaszkowo. W odróżnieniu od poprzedniego miejsca postoju teren tu był falisty, a domy budowano nie wzdłuż ulic, lecz rozrzucone. I jeszcze jedna nowość - prócz zwykłych zabudowań gospodarczych opodal każdej chaty stał malutki domek bez okien, choć z kominem, złożony z grubych, pociemniałych bierwion. Były to bańki, czyli łaźnie.

Nie zdążyliśmy ich nawet dobrze obejrzeć od wewnątrz, gdy nadeszła pierwsza sobota i gospodyni naszej kwatery zakomenderowała:

- Bierzcie, chłopcy, czystą bieliznę. Idziemy się kąpać. Ja wam bańku natopila...

Ostatnie słowa przytoczone w oryginalnym brzmieniu nie mają nic wspólnego z utopieniem bańki np. od mleka, lecz znaczą: „Napaliłam dla was w łaźni”.

Ton propozycji był tak stanowczy, że bez zwłoki ruszyliśmy wszyscy trzej za przewodniczką.

Śnieg skrzypiał pod butami, gwiazdy świeciły ostro na czystym niebie, tęgi mróz zapierał oddech. Jasny dym z komina łaźni szedł prosto w górę.

Chyląc głowy w niskim przejściu pozbawionym drzwi, weszliśmy do mrocznego przedsionka, gdzie grubo była nasłana słoma, i stanęliśmy niezdecydowani. Gospodyni szeleściła obok, pstrykała zatraskami. Nic nie było widać. Wreszcie skrzyknęły zawiasy, w czerwonym blasku wnętrza łaźni na moment dojrzelśmy kształtną sylwetkę kobiecą i już z tamtej strony dobiegł nas roześmiany głos:

- Czego stoicie? Pod ścianą ławka na ubranie.

Cisnęło nam się do głowy mnóstwo pytań: „Rozbierać się tu na mrozie? A gdzie się potem ubierać? Mamy się kąpać razem z gospodynią?”

- Żeby choć jeden, ale we trzech - zwątpiłem półgłosem.

- Głupi - burknął porucznik. - Zapalenie płuc masz jak w banku. Co za obyczaje w tym kraju!

Rozdzialiśmy się jednak pośpiesznie i jeden za drugim nieśmiało weszliśmy do środka.

Niewielką izdebkę wypełniała para. W prawym rogu buzował ogień, na palenisku z kamieni stał wielki gar z wodą. Pod ścianą szerokie półki.

Obeznani nieco z podobnymi instytucjami w innych okolicach, wleźliśmy na ciepłe deski, wyciągnęliśmy się potniejąc szybko.

Gospodyni wyszła z ciemnego kąta, zaczerpnęła wrzątku, trysnęła nim na rozpalone kamienie. Z sykiem buchnęły czerwone kłęby pary.

- Nu kok, riebiata, choroszo?

- Choroszo. Dobrze - odpowiedzieliśmy niezgodnym chórem.

Krągła, silna sylwetka kobieca, obrzeżona blaskiem, przyodziana mgłą, była piękna w tym śmiałym, władczym ruchu. Patrzyliśmy jak zaczarowani. Ciężkie krople opadały jej z ramion i piersi, migocząc rubinowymi iskrami.

Zamoczyła brzozową miotełkę i giętkimi prętami trzepała nas po plecach, dopytując:

- Nu kak, riebiata, choroszo?

Parzyły te lekkie uderzenia jak ogień. Od gorąca szumiało w skroniach. Pot zalewał nam oczy.

Gospodyni wyszła pierwsza. My daremnie próbowaliśmy się wycierać ręcznikami, a potem nadzy i mokrzy skoczyliśmy na mróz do przedsionka, by się przyodziać.

- Zapalenie jak w banku... A może nawet coś gorszego. Niech to diabli...

Już w parę minut potem czuliśmy się jednak niczym młode bogi. Krew wesoło krążyła pod skórą, ciepło i krzepa wypełniały mięśnie, a rześkość całe ciało. Mowy nie było nawet o katarze czy kichaniu. Podziękowaliśmy gospodyni z całego serca.

Ale kiedy po kolacji szykowaliśmy się do snu, porucznik nie wytrzymał:

- Chozajka, u was do łaźni mężczyźni i kobiety razem?

- A dlaczego? - zdziwiła się. - Taki zwyczaj, że w sobotę cała rodzina.

- No, dobrze. Ja rozumiem, że rodzina. Ale z obcymi, z żołnierzami?

- A wy jak? Dzicy czy co? - wzruszyła ramionami i zgasiwszy lampę dodała: -. Wojna na świecie. Ludzi przemieszało. Ot, to i u mnie teraz taka polska rodzina...

18. Kamyczek filozoficzny

Najrozmaitsze rzeczy zabierali ze sobą ludzie na wojenną tułaczkę, a potem kładli na dno żołnierskiego plecaka - szczyryk albo złoty zegarek, brzytwę albo ciepły sweter, carską pięciorublówkę albo talię kart. Żeby mieć czym chleb krajać, żeby mieć się czym golić, żeby było ciepło, żeby w ciężkiej chwili wymienić złoto na coś do zjedzenia albo zagrać w „oczko”. Sądzę, że niejeden się trapił i szukał w myśli czegoś, co byłoby łatwe do noszenia, a jednocześnie pomocne w możliwie różnorodnych sytuacjach. Ach, gdyby tak istniał baśniowy przyrząd zwany „stoliczku, nakryj się” albo czarodziejska, zawsze pełna butelka! Taki jakiś krewniak kamienia filozoficznego, który by zapewniał posiadaczowi stałe ciepło i wieczną sytość. Taki choćby kamyczek filozoficzny.

Nie sądzicie, że to tylko czcze marzenia. Był człowiek, który pozytywnie rozstrzygnął problem pokrewny naczelnemu i nie rozwiązanemu tematowi prac średniowiecznych alchemików. Zwał się Beniamin Chodos i nosił zaszczytny stopień kanoniera, a potem bombardiera.

Jako że rzecz działa się w ludowej armii, z przyczyn zasadniczych nie posiadającej etatów ordynansów, Chodos piastował stanowisko adiutanta zastępcy dowódcy 2 dyonu.

Był to człowiek słusznej postawy, przystojny, w złożonych okularach i piekielnie leniwy. Drugiego takiego łazika próżno by szukać w całym 1 korpusie. Pocięchy z niego było niewiele - tyle tylko, że Chodos będąc ordynansem nie psuł armat. Gubił natomiast wszystko, co dostał do ręki, zamiast kolacji przynosił puste menażki, twierdząc, że wylało mu się wszystko po drodze.

Kiedyś w podobnej sytuacji nie wytrzymał nerwowo i zbesztali go strasznie. Beniamin obraził się i za pół godziny postawił na stole kolację na cztery osoby: jajecznicę na słoninie, mleko, masło, boczek... Jak królewskie to było przyjęcie, potrafi zrozumieć tylko ten, kto zna tereny wyniszczone hitlerowską okupacją.

Kolację zjedliśmy z apetytem, a potem wspólnie rozpoczęliśmy śledztwo.

- Skąd wy, Chodos, macie tyle pieniędzy?

Wykręcał się chytrze, kluczył, łgał, ale po godzinie, załamany psychicznie w ogniu argumentów, wyznał prawdę.

- Mam kamienie...

- Drogie kamienie? Klejnoty z carskiej korony?

- Nie. Kamyczki do zapalniczek. We wrześniu nabyłem dużą partię towaru - osiemdziesiąt tysięcy sztuk. Miałem wyrzucić?... Zabrałem z sobą i tak do tej pory żyję...

Okazuje się, że trzeba wiedzieć, co brać z sobą na wojnę, że istnieją kamyczki, co prawda nie filozoficzne, ale zapewniające wieczną sytość.

Nie chcąc krzywdzić wielkiego odkrywcy jednostronnością tego wspomnienia dodam, że później, na froncie, Beniamin Chodos dostał medal brązowy „Zasłużonym na polu chwały”. I to już nie za kamyczek. Za odwagę.

19. Ciało zanurzone w gniewie

Dzięki zamiłowaniu Archimedesowi do kąpieli wiemy, że każde ciało zanurzone w cieczy tyle pozornie traci na wadze, ile waży ciecz, którą to ciało wypiera.

Nie pretendując do sławy wielkiego uczonego, pragnę jednak ogłosić, że według moich obserwacji ciało zanurzone w gniewie przybiera na wadze. Ile? Nie wiem, ale w każdym razie zupełnie zdecydowanie przybiera.

Na trop tego epokowego odkrycia wpadłem w lutym 1944 roku i choć potem wielokrotnie obserwowałem, jak pod rozżłoszczonymi ludźmi łamią się krzesła, - jęczą sprężyny foteli, a także rwą się hamaki, to jednak pierwszy przypadek do dziś pozostał najbardziej pouczający.

A było to tak...

Po przybyciu 2 dyonu do wsi Ostaszkowo parę dni mieszkałem z zastępcą dowódcy, a potem przeprowadziłem się na inną kwaterę. Wraz z moim druhem, Alfredem, uszczęśliwialiśmy swymi osobami miejscową nauczycielkę, osobę miłą i łagodną, która miała dwudziestoletnią córkę, Ludmiłę. Córka była jeszcze miłsza niż mama, wysoka, zgrabna i ładna, ale bynajmniej nie łagodna.

Żołnierskim zwyczajem zakochałem się w przyspieszonym tempie, lecz środki bojowe stosowałem zdecydowanie przestarzałe i powolnego działania: wzdychanie, patrzenie w oczy, deklamowanie polskich wierszy (których wybrana na dodatek nie rozumiała). Oprócz tego dzieliłem się tym, co miałem własnego - dodatkową porcją oficerską, otrzymywaną co dziesięć dni (paczka masła, herbatniki, konserwy rybne).

Dziś już wiem, że nie powinienem był się dziwić sukcesom pewnego kapitana ze sztabu, który, postępował bardziej zdecydowanie i miał znacznie większe możliwości ekonomiczne.

Pewnego dnia, gdy wieczorem wróciliśmy na kwaterę, kapitan siedział już z mamą i córką przy kolacji, na stole drżał alkohol w szklaneczkach z zielonkawego szkła. Nie zaproszono nas do towarzystwa, a kapitan poradził, abyśmy się nie krępowali i szli spać.

Nie umiałem mu nic dowcipnego odpowiedzieć, więc tylko szepnąłem Fredowi:

- Obrzydzaj im życie.

- Jak? - spytał po cichu.

- Nogami.

Fred wdrapał się do legowiska na piecu, a ja począłem słać swoje w drugim kącie pokoju. Nie była to sztuka łatwa, bo w trzech czwartych spoczywałem na skrzyni o wypukłym, półokrągłym wieku, a nogi kładłem na dostawianym krześle. Trzeba było tak ułożyć kożuszek, by wyrównywał nierówności kufra. Inaczej bym się stoczył.

Ległem bez słowa na dobranoc i spod płaszcza, który służył mi za kołdrę, zerknąłem w stronę stołu pod piecem. A tam bawiono się wesoło i z ożywieniem. Kapitan przysunął swe krzesło do taboretu Ludmiły i opowiadał coś dowcipnego, bo obie kobiety śmiały się głośno. Czułem wzbierającą w piersi falę gniewu.

W tym momencie Fred zaczął działać: chrapnął najpierw demonstracyjnie, by zadokumentować, że śpi i za swoje czyny nie odpowiada, a potem z wolna wysunął z pieca włochatą i długą nogę ponad głowę kapitana. Biesiadnicy, spostrzegwszy to, przycichli nieco. Ulżyło mi. Ale wypili jeszcze trochę wódki, znowu się roześmieli i kapitan w sposób niewidoczny dla mamy, ale doskonale widoczny z mego stanowiska, objął lewą ręką Ludmiłę. A ona nie sprzeciwiała się, co mnie bardzo rozzłościło.

Fred wytknął drugą nogę. Nie pomogło. Byli już uodpornieni psychicznie na ten widok. Zmiana ilościowa nie zrobiła wrażenia.

Ze wzrastającym gniewem zauważyłem, że Ludmiła musnęła włosami policzek kapitana.

Jeszcze chwila i widzę, jak matka wstaje, wychodzi do kuchni. Kapitan nie tracąc czasu obejmuje dziewczynę drugą ręką, przytula, szuka ustami jej ust.

W tym momencie jak suchy wystrzał trzasnęły deski wieka i wpadłem do kufra.

Przysięgam, że nie tylko nie podskoczyłem, ale nawet nie drgnąłem. Czułem jedynie, jak ogarnia mnie ołowiana wściekłość na niewierną ukochaną, jak staję się coraz cięższy i nagle znalazłem się we wnętrzu pudła, wśród starych ubrań i naftaliny.

Drzazgi podrapały mi boki i stłukłem rękę. Z dużym trudem wydostano mnie z powrotem. Spać musiałem na podłodze. Było mi niewygodnie, zimno, ale radośnie.

Po pierwsze - do pocałunku nie doszło i kapitan zaraz się wyniósł z naszej kwatery.

Po drugie - wpadłem wówczas na pomysł, że ciało zanurzone w gniewie przybiera na wadze.

Kufer jako tako naprawiliśmy następnego dnia, a wieczorem Ludmiła musnęła mnie wargami w policzek - widać miała po wczorajszym nieczyste sumienie.

20. Śniegowy nocleg

W dawnych czasach, gdy podstawowy rodzaj wojsk stanowiła kawaleria, bitwy odbywały się latem. Trochę zapewne ze względu na rycerzy - zmarzliby na kość w ówczesnych żelaznych mundurach i zawiasy w nich zbyt szybko by im zardzewiały. Ale głównie w ramach troski o konie.

Dziś naturalnie i w tej dziedzinie dokonano ogromnego postępu - wojna, gdy wybuchnie, trwa bez przerwy dzień i noc, świątek i piątek, przez wszystkie cztery pory roku. Żołnierz musi umieć nie tylko walczyć. Jedną z niezwykle ważnych umiejętności jest unikanie kataru podczas słońc jesiennych i odmrożeń zimą. Nie tylko to - musisz umieć mieszkać i urządzać się wygodnie w każdych warunkach

- jeść, myć się, golić, smacznie spać - przez wiele miesięcy zachowywać zdrowie, humor, zdolność do działań.

Owych umiejętności nikt z podręcznika czy po wysłuchaniu wykładu nie nabędzie. Decyduje praktyka. Dla ćwiczeń praktycznych, w lutym, gdy śnieg zasypał wsie po dachy i przyszły mrozy ponad 30 stopni Celsjusza, urządzono w dyonie alarm.

Dzień cały harowaliśmy tego, by wyciągnąć działa na pozycję, okopać je i zamaskować. Wieczorem jednak, zamiast rozkazu powrotu, nadeszły kuchnie z gorącą kolacją. Łudziliśmy się jeszcze przez pół godziny, że chyba wycofają nas do wsi, ale czas mijał, zapadała noc i im ostrzej świeciły gwiazdy w mroźnej czerni nieba, tym bardziej bladło marzenie o ciepłej izbie.

Wreszcie telefon od dowódcy potwierdził najgorsze przypuszczenia. Kapitan Rakowski pytał, jak rozstawiono posterunki i czy kanonierzy wolni od służby już śpią. Nie wytrzymałem:

- Ależ tu nie ma żadnej chaty. Gdzie mają spać? I ognia nie ma z czego rozpaścić...

- Uprzedzam, żebyście nie próbowali nawet zapałką błysnąć - głos dowódcy był jeszcze bardziej lodowaty niż powietrze, od którego marzły płuca. - Obowiązuje nocne maskowanie. A co do miejsca na spanie, dysponujecie terenem stanowisk ogniowych baterii.

Muszę szczerze przyznać, że nie najmiej wspominał tę noc. Pobudowaliśmy ze śniegu ścianki osłaniające od strony wiatru, usiłowaliśmy grzać się jeden od drugiego, ale za każde kilkanaście minut drzemki trzeba było płać biegiem i rozgrzewającą gimnastyką.

O pierwszym brzasku mieliśmy już dość wszystkiego i nie nadawaliśmy się do bojowego użycia. Gdyby to było naprawdę na froncie...

Niczego w życiu nie słuchałem z taką wielką uwagą jak praktycznego instruktazu budowy śniegowych schronów, który nastąpił koło południa. Nigdy chyba cała bateria nie pracowała tak szybko i zgodnie jak przy ich wznoszeniu.

Kiedy parę tygodni później znaleźliśmy się podczas ostrych strzelań na jednym z odcinków smoleńskiego frontu, mróz był nie mniejszy. Przespałem jednak wspaniale całą noc w ciepłym śnieżnym schronie. Nawet kożuszek zrzuciłem nad ranem. O żadnych odmrożeniach w baterii mowy nie było.

I dziś jeszcze, kiedy czasem kaloryfery w mieszkaniu nie grzeją z przyczyny obiektywnych trudności, żalem patrzę na resztki śniegu uprzątanego z ulic - gdyby go było pod dostatkiem, można byłoby przenieść sypialnię na świeże powietrze.

21. Oskrzydlenie

Minęły trzy miesiące od chwili, gdy pierwsi żołnierze przyszli do szeregów 5 pułku artylerii ciężkiej. Na czasy pokojowe - niewiele, na okres wojny - dużo. Co dzień od rana do zmroku, bez względu na śnieg

i mróz, odbywały się działoczyzny, musztra, przemarsze. Co dzień od zmierzchu do nocy działony zebrane po dwa, po trzy w chłopskich chatkach wkuwały konstrukcję armat, taktykę i regulaminy, drzemiąc ze zmęczenia w migocącym świetle benzynowych koptuszek. Czasem nawet, głównie podczas zajęć politycznych, gasiliśmy światło ze względu na oszczędność i tylko ciepły odbłask ognia z pieca wyławiał z mroku twarze najbliższej siedzących.

Byliśmy przekonani, że już potrafimy walczyć, że można nas posłać na front i brakowało tylko jednego - ostrego strzelania z dział. Nasza miłość do armat-haubic 152 mm podobna była do narzeczeństwa człowieka absolutnie głuchego - nie znaleźliśmy brzmienia ich głosu.

Wtenczas właśnie przyszedł rozkaz rozwiązujący jednocześnie, choć połowicznie, dwa problemy: z każdego dyonu jedna bateria odbędzie ostre strzelanie i żeby nie psuć pocisków na próżno, wyjedzie w tym celu na parę dni na front.

Baterię kompletowano w ten sposób, żeby z każdego działonu było w niej choć dwu żołnierzy. Przynosiło to nam sporo kłopotu i awantur, bo każdy chciał jechać. Zanotowano nawet próby przekupstwa za pomocą cukru i machorki.

15 lutego wybrańcy losu ruszyli wreszcie dumnie i odświętnie, ale już pierwszej nocy w marszu zaczęli przeklinać własną gorliwość. Trzymał piekielny mróz, wiatr gonił chmury ostrego śniegu przez puste pola. Mimo walonek i kożuszków trudno było wytrzymać na ciągnikach i pod brezentem ciężarówek. Zamieć ścierała ślady, równała rowy i raz po raz zsuwali się z szosy. Trzeba było wyłazić, chwycić za łopaty, przy pomocy jadących z tyłu wyciągać wóz z zasy. Z zazdrością myśleliśmy o tych, co pozostali w ciepłe przytulnych chałup.

Główną moją myślą w chwili wyjazdu, choć dziś może się to wydać śmieszne, była troska o to, by pamiętać o wszystkim, czego się nauczyłem, by teorię praktycznie zastosować na froncie, umacniając w ten sposób swój autorytet zastępcy do spraw politycznych. Już pierwszej nocy ze zgrozą zauważyłem, że coraz mniej pamiętam - świeżo nabyte wiadomości wojskowe marzyły jak wróble na mrozie. Uczępiłem się wreszcie jednej wskazówki taktycznej: w razie bezpośredniego ataku na baterię ze strony wroga wysunąć rusznice i erkaemy na skrzydła... Powtarzałem to sobie w myśli bez ustanku, czując, że jeśli i to zapomnę, zapomnę wszystko.

Drugiej nocy dotarliśmy na front. Samochody pozostały w jakiejś dolince między wzgórzami, kanonierzy odeszli pod komendą szefa do dział, które stały gdzieś w przodzie, a ja z jeszcze jednym oficerem politycznym zostaliśmy w zatłoczonej, zagrzebanej pod śniegiem chałupie, czekając na zastępcę dowódcy pułku. Tajałem z wolna, sen kleił oczy, powtarzałem szeptem: „Wysunąć na skrzydła... w razie ataku...”

Nim minęła godzina, dostaliśmy przez telefon rozkaz, żeby iść na baterię.

- Od chałupy po słupach, a przy trzecim zdwojonym - około dwustu metrów w prawo - wyjaśnił łącznościowiec.

Wyszliśmy na mróz i w noc, na biel i w zawieruchę. Ani drogi, ani śladów żadnych nie było. Od jednego słupa ledwo majaczył drugi, i to tylko wtenczas, gdy w górze tryskały oświetlające rakiety. Rakiety strzelały na przodzie, z lewej i z prawej. Trzask serii maszynowych wpleciony w świst wiatru

wydawał się dochodzić ze wszystkich stron. Kiedy przystanęliśmy na chwilę u słupa, by odsapnąć, krzyknąłem memu współtowarzyszowi do ucha:

- Jak w worku... Dokoła front... Można się nadziać na fryca.

Kiwnął głową i nagle chwycił mnie za ramię, pokazał przed siebie.

Spojrzałem w tę stronę - ciemno, nic nie widać. Zapłonęła nowa porcja rakiet - zamajaczył ludzki zgarbiony cień. Nie miałem wątpliwości, że Niemiec. Przyklęknąłem za słupem, wyszarpnąłem pistolet i niespodzianie rozkazałem:

- Wsuwaj mu się na skrzydło!

Ustuchał i pełznąc po głębokim śniegu zniknął mi zaraz z oczu. Zostałem sam ze swym strachem, a Niemiec powoli się zbliżał. Poczulem nagle chęć rozpięcia kożuszka i otarcia czoła z potu. Pistolet ciążył w dłoni.

Fryc laźł bez ustanku. Kiedy był o jakieś piętnaście metrów, wrzasnąłem:

- Hände hoch! Bo zastrzelę!

Z zasy po prawej mój kumpel krzyknął to samo.

Cień przed nami odskoczył i zawołał:

- Nie wygłupiać się!

Poznaliśmy od razu zastępcę dowódcy pułku. Chcąc uniknąć awantury, podbiegłem i nie dałem mu dojść do słowa:

- Aleśmy cię oskrzydłili, co? Według wszelkich zasad taktyki.

- Dobra, dobra - odpowiedział. - Ja bym was też oskrzydlił, tylko że samemu trudno wykonać ten manewr.

Nie można powiedzieć, by ta pierwsza akcja przyniosła nam sławę, choć należała do udanych. Nie wspominaliśmy o niej nikomu. Grunt, że strzelania z dział wypadły dobrze. Może dlatego, że następnego dnia pocieplało i wiedza wojskowa odmarzła nam w głowach.

22. Zielony banknot

Wszystkie kwatermistrzostwa na świecie mają tendencję do upraszczania sobie życia i w związku z tym armie czy nawet fronty przeżywają okresy pęczakowe albo makaronowe, jaglane lub kapuściane, kartoflowe czy też grochówkowe. Epoki te mają cechy trwałości i jednolitości, niczym ery geologiczne. Jak się zacznie pęczakowe mezozoikum, to nie ma żadnych szans na posiłek z makaronem czy jaglaną. A jak nadejdzie era jaglana, nie uświadczysz kartofla czy pęczaku.

Ten jeden czynnik wystarcza, by zrozumieć, dlaczego kuchnia polowa nie może być i nie jest jedynym źródłem wyżywienia dla żołnierza. Spróbujcie, choćby przez tydzień, jadać trzy razy dziennie stale to samo danie. Ręczę, że nie będziecie mogli wziąć do ust nawet bażanta w maladze i pieczarek, a coś dopiero, jeśli to nie bażant, lecz pęczak.

Istnieje tysiąc sposobów urozmaicenia frontowego jadłospisu i tysiąc oryginalnych potraw przyrządzanych przez samych żołnierzy - od pieczonych w popiele kartofli i jęczmienia prażonego na blasze poczynając, a kończąc na gęsi, którą po wypatroszeniu oblepia się, wraz z piórami, gliną i wypieka w ogniu. Gęś naturalnie powinna być dzika lub też w wieku poborowym, tzn. podlegająca wcieleniu do armii.

Cudów nie ma, jak to od dawna stwierdzają materialści, i w związku z powyższym muszą istnieć określone metody zdobywania produktów potrzebnych do owych wyczynów kulinarnych. Na terenie wrogiego kraju sprawa jest prosta i nie wymaga komentarzy, ale na terenie własnym lub zaprzyjaźnionym...

Choć nie pisze się o tym w gazetach ani w oficjalnych komunikatach, choć rozkazy dowództwa grożą surowymi karami, w rejonach rozmieszczenia jednostek i pasach przyfrontowych dziwnym zbiegiem okoliczności ludność cywilna oświetla izby benzyną, nosi wojskową bieliznę i buty, a żołnierze nie skarżą się na brak kartofli, mąki, kurczaków, a nawet, o zgrozo, samogonu. Jednym słowem, rozkwita handel wymienny, zarówno indywidualny, jak i uspołeczniiony w skali drużyn, plutonów, a nawet kompanii...



Naturalnie 1 Armia Ludowego Wojska Polskiego, mimo swego wyjątkowego znaczenia historycznego, nie zachowała pod tym względem czystości dziewiczej i podobna była wszystkim innym armiom na świecie. Nie warto byłoby o tym wspominać jako o rzeczy oczywistej, gdyby nie pewien dodatkowy czynnik, stanowiący naszą specyfikę i wart zanotowania dla pamięci potomnych. Ta specyfika to „zakup na zasadzie sojusznika”.

Jeszcze będąc w Armii Radzieckiej, w lutym 1943 roku dostałem wspaniały prezent w bardzo nieoczekiwany sposób.

Stanęliśmy w marszu na krótki biwak. Chowając się od wiatru wydeptaliśmy śnieg za stogiem słomy, zapaliliśmy.

Z drogi zeszło dwoje ludzi z tobołkami - on wąsaty, ona pomarszczona, w chustce na głowie.

- Ognia nie zaprószcie - upominał stary.

- Nie zaprószymy.

Zaczęła się rozmowa o tym, o owym... Kołchoźnik wyróżnił mnie łożąc obcy akcent i fałszywe wymawianie rosyjskiego „ł”.

- Dawno z domu? - spytał.

- Od początku wojny.

- Od czterdziestego pierwszego?

- Nie. Od trzydziestego dziewiątego. Ja z Polski.

- Z Polski?- zdziwił się. - I razem z naszymi na Niemca idziesz?...

Padła komenda. Wziąłem swoją rusznicę przeciwpancerną, stęknąwszy położyłem na ramię.

- Ciężka? - poinformował się stary.

- Równo pud - odpowiedziałem.

Kobieta uważnie patrzyła to wprost w oczy, to na moje czerwone, zgrabiałe od mrozu ręce.

- Ty czego bez rękawic? - rozłościł się niespodzianie jej mąż.

- Nie dali - odburknąłem.

Zaledwie dwa czy trzy tygodnie byłem żołnierzem, a składy zostały daleko w tyle, podczas gdy front gonił Niemców z Kaukazu.

I wtenczas stała się rzecz dziwna. Kobieta rozsuptała zawiniątko, wyjęła paczkę obszytą szmatą i nawet zaadresowaną. Stary przeciął szwy ostrym kozikiem.

- Na, bierz.

Dostałem grube, ciepłe wariężki, rękawice z nieczesanej wełny. Zgłupiawszy chciałem płacić, wyciągnąłem z kieszeni pomięty banknot trzyrublowy, jedyny, jaki miałem. Stary zwymyślał mnie soczyście i ze smakiem.

Padł rozkaz, kolumna ruszyła na północ, a oni w przeciwną stronę.

Wariężki, jak zwykle z rękawicami bywa, najpierw służyły dobrze, potem przetłuściły się smarem, przetały. Wiosną powędrowały na dno plecaka, a wreszcie gdzieś się zapodziały.

Trzyrubłówki natomiast używałem bardzo długo, usiłując nią płacić za kartofle, za chleb, za mleko, za scerowanie rozerwanego płaszcza... Zawsze musiałem chować ją z powrotem do kieszeni, bo okazywało się, że karmią mnie i poją „na zasadzie sojusznika”.

Wreszcie na stałe schowałem trzyrubłówkę do kieszeni na piersiach razem z legitymacją. Zielony, przymięty banknot z czerwoną cyfrą 775603 i znakiem serii XO przetrwał całą wojnę. Od lewej strony maszerują na nim dwaj piechurzy w hełmach, w pełnym rynsztunku bojowym, z ładownicami na pasie.

Wiem, że u żołnierzy 1 Armii było więcej takich banknotów o niewymiernej w złocie wartości. I one właśnie stanowiły - w ramach specyfiki „zakupów na zasadzie sojusznika” - dodatkowe źródło zaopatrzenia, warte zanotowania dla pamięci potomnych.

23. Specjalna misja

W niezapomnianym roku czterdziestym czwartym 1 maja wypadał w poniedziałek, a 3 - we środę. Razem z niedzielą i powszednim wtorkiem, który wlaź w to towarzystwo jak wół do karetowego zaprzęgu, cztery dni świąt. Postanowiliśmy obchodzić je uroczyście i zakończyć wielkim bankietem.

Od końca marca, wyrósłszy tymczasem z korpusu w armię, obozowaliśmy na Ukrainie, pod Żytomierzem. Wiosna przychodzi tu wcześnie, w kwietniu robi się całkiem ciepło, więc ze znalezieniem miejsca na ucztę kłopotu nie mieliśmy - pogodne niebo obiecało służyć jako strop pałacowej sali.

By było co jeść i pić, kwatermistrz wystarał się o dodatkowy przydział śledzi, słoniny i kartofli, a empeesiarz, czyli szef zaopatrzenia w materiały pędne i smary, wymienił zaoszczędzone paliwo na samogon. Orkiestra twórczo przećwiczyła wykonanie marsza generalskiego w rytmie tanga.

Brakowało jednak najważniejszego elementu, bez którego zabawa jest jak chleb bez soli, rzeka bez ryb i ogier bez tego, co mieć powinien. Brakowało kobiet.

Miejscowe nie wchodziły w rachubę - albo podlotki, albo dobrze po czterdziestce. Młode służyły w armii. Jedyna nadzieja w batalionie kobiecym, tylko jak je stamtąd wydostać?

Nie wiem, czemu to przypisać, ale ową specjalną misję mnie właśnie poruczono, dając do dyspozycji ciężarowy gazik w charakterze limuzyny oraz czystą ćwiartkę papieru podstemplowaną okrągłą pieczęcią z orłem, żebym nie musiał wracać, jakby trzeba było jakiegoś pokwitowania albo aktu zdawczo-odbiorczego. Awansowałem w tym czasie na stanowisko zastępcy dowódcy dyonu do spraw polityczno-wychowawczych i szef sztabu orzekł, że akt taki miałbym prawo podpisać.

Zbyt dużo miejsca zajęłoby opisywanie drogi do m.p. kobiecego batalionu, a zacytowanie treści przemówienia, w którym powoływałem się na starożytnych Rzymian, Sabinki i westalki oraz klasyków marksizmu, mogłoby być potraktowane jako przechwałka. Jest jednak faktem, już dziś historycznym, że przekonałem zastępcę dowódcy batalionu, kapitan Bibrowską, i dziesięć kobiet otrzymało przepustkę na nasze święto i zabawę. Przeliczyłem je, usadziłem w samochodzie i przysięgłem na wszystkie świętości, że do godziny drugiej w nocy odwożę z powrotem.

Gazik parskął, kichał oraz pędził w kierunku brygady i bankietu, a ja snułem smutne refleksje na temat parszywego losu. Wiozłem, niestety, samych oficerów w spódnicach, a zależało mi osobiście na pewnym kapralu o imieniu Jadwiga, a gorącym nazwisku Karmelita, który miał krucze włosy i oczy błyszczące jak gwiazdy w dyszlu Wielkiego Wozu.

Przybyliśmy na miejsce trąbiąc rozgłośnie. Nasi oficerowie wybiegli na spotkanie i po sekundzie zostałem sam obok pustego gazika. Dobrze chociaż, że nie wyżłopali mojej porcji wódki i nie zjedli śledzia z kartoflami okraszonymi suto słoniną. Mowy natomiast nie było, żeby się dopchać do obłązonych niewiast. Poprzez łyż (ostrzy był ten samogon jak bagnet) jeszcze piękniejsze zdały mi się we wspomnieniu oczy kaprała Wiśki.

Przed północą zacząłem zbierać moje podopieczne. Pięć nieco brzydszych odszukałem szybko i postawiłem wartę, żeby mi ich nie ukradli koledzy, żeby się same nie rozbiegły. Po półgodzinie

znalazłem szóstą. Siódma i ósma nadeszły o pierwszej. Dziewiątą przywiódł ów kumpel, który wódki dla mnie pilnował. A dziesiąta - jak kamień w wodę, jak raport do dowództwa - przepadła.

O pierwszej czterdzieści dałem rozkaz szoferowi:

- Wal, bracie, przed siebie. Jakoś to będzie.

Punkt druga rozpędzony gazik przyhamował u szlabanu.

Wyszły dwie wartowniczkę i oficer dyżurny - tęga blondyna w stopniu chorążego.

- Wszystkie pan przywiózł? Dziesięć powinno być.

- Wszystkie - powiadam.

Zaczynamy liczyć. Moje podopieczne co sekundę zmieniają, szyk, tak jak je nauczyłem. Zbyt dobrze się jednak starały - wypadło, psiakrew, jedenaście!

Przeliczyliśmy od początku - dziewięć. Dopiero za czwartym razem zgodził się rachunek.

Zasalutowałem, skoczyłem do gazika i... chodu.

Ale teraz, po wielu latach, mogę się przyznać. Dziesiąty nasz gość wrócił do swego m.p. dopiero nad ranem, zupełnie innym samochodem.

Niechaj mi pułkownik rezerwy Bibrowska wybaczy, jeżeli może, tamto rachunkowe oszustwo dokonane w mroku majowej, wiosennej nocy.

24. Morderca bezbronnych koni

Opisując na poprzednich stronach swą delikatną misję z okazji majowych świąt, opuściłem pewne szczegóły, by uzyskać tak cenioną od czasów starożytnych Greków jedność akcji. Nie powiedziałem mianowicie, co wypełniło mi czas od przywiezienia amazonek na ucztę do późnej nocy.

Otóż po spożyciu wyżej wymienionego śledzia z kartoflami i wypiciu przynależnej porcji alkoholu, widząc, że nie ma mowy o zawładnięciu nie tylko ręką, ale żadną inną częścią ciała obleganych niewiast, skłoniłem głową i łza perlista stoczyła się po moim marsowym obliczu w stopniu chorążego.

Jeden z oficerów, człowiek cichy, uczony i gołębiego serca, spytał ze współczuciem:

- Może w szachy chcesz zagrać?

- W szachy? Idiota...

- Może konserwy byś zjadł?

- Bez wódki? Nie.

Może pójdziemy się przejść?

- Nie.

Zajrzał uważnymi oczyma na samo dno mojej rozpacz i - westchnąwszy z żalem - rzucił na szalę naboje, jak. to w wojsku bywa, wydzielane nam niczym w aptece.

- Postrzelać pójdiesz?

- Tak.

Miał w baterii zdobyczny karabin mauzer i naboje skombinowane niezupełnie uczciwym sposobem.

Dróżka powiodła nas brzegiem rzeki, nad samą wodę, w stronę wzgórz za wsią noszącą dumną nazwę Wielki Szumsk. Dobry kilometr od ostatnich domów znaleźliśmy zaciszną dolinkę zamkniętą przeciwstokiem. Po sprawdzeniu, że nikogo nie ma na linii strzału, ustawiliśmy przyniesione butelki i otworzyliśmy ogień ze stu kroków. Należało najpierw utrać szyćkę, potem górną część, a wreszcie rozbić resztę. Trzeba przyznać, że nie żałował kumpel naboji, by mnie pocieszyć po stracie...

O zmierzchu wróciliśmy cisi, spokojni i zupełnie już trzeźwi, nie przeczuwając, jakie będą konsekwencje naszej godziwej i męskiej rozrywki.

Nazajutrz wieczorem dowódca pułku, major Wroński, zebrał oficerów na odprawę. Chmurny był i groźny, bo zapewne tak jak i innych bolała go głowa po wczorajszym. Krótco omówił zwykłe sprawy wojskowego życia powszedniego, a potem z lekka podniósł głos:

- Na wszystkich frontach wojska sojusznice toczą ciężkie walki. Ludność na tyłach wyczerpa siły w pracy na roli i w fabrykach. A my? - Zawiesił dramatycznie głos na kilka sekund i runął do szarży: - A my mordujemy bezbronne konie! Wczoraj, trafiony kulą karabinową, padł koń w jednej z zagród wsi, której gośćmi jesteśmy. Zastrzelił go w czasie niebezpiecznej zabawy oficer polityczny.

Zatkało nas z wrażenia tak dokumentnie, że nie pamiętam ani słowa z tego, co było dalej. Właściciel mauzera zrobił się bład jak ściana i zaraz po odprawie prosił zastępcę dowódcy brygady o przedstawienie go do raportu.

- Strzelaliśmy dobry kilometr od wsi. W przeciwnym kierunku. Żaden rykoszet nie mógł pokonać nawet dziesiątej części odległości, a cóż dopiero zabić konia. To wykluczone... Ja żądam.-..

Starszy od nas sporo kapitan wysłuchał spokojnie do końca.

- To wszystko? Mogę ci powiedzieć jeszcze, że koń jest tylko skaleczony, a nie zabity. Że kula pochodziła z pistoletu, a nie z karabinu. Ale mimo to do raportu stawać nie będziesz. Po co robić ruch wokół przegranej sprawy? A tak przyschnie. Wszyscy za tydzień zapomną...

I rzeczywiście - wszyscy zapomnieli.

25. Znak

Pragnąc odgadnąć przyszłość, wodzowie starożytnych Greków zwracali się do delfickiej Pytii, rzymskie legiony wróżyły z lotu ptaków, Słowianie na Rugii - ze stąpania świętego rumaka. Minęło od owych czasów wiele wieków, ale i dziś żołnierz pragnie wiedzieć, co będzie jutro, wróży z rozmaitych znaków, choć sama sztuka wieszczbiarstwa zmieniała się i udoskonalała pod wpływem rozwoju kultury i cywilizacji. W wojskowym systemie przewidywania dominują obecnie elementy racjonalistyczne, fundamentem jego jest wiedza empiryczna i bystra obserwacja życia.

Nie Pytii należy pytać, lecz telefonistów łowiących strzępy rozmów. Nie świętego rumaka, lecz szoferów, przy których często rozmawiają wyżsi oficerowie. Lot wróbla, bociana czy nawet orła nie świadczy o niczym, natomiast przybycie samolotu łącznikowego z dowództwa frontu może mieć wpływ na losy armii.

Raźne stąpanie koni dowodzi tylko uczciwości jezdnych, którzy nie kradną owsa. Natomiast wzmożony warkot silników samochodowych, sprawdzanych przez służbę techniczną, niechybnie wieści wymarsz do boju lub na ćwiczenia.



Wymieniam rzeczy elementarne i znane nawet nowicjuszom w żołnierskim rzemiośle, ale wiedza ta jest znacznie bardziej wyrafinowana i rozbudowana w oparciu o nauki pomocnicze. Na przykład fakt oddania do szycia nowych spodni przez szefa sztabu lub też oświadczyzny dowódcy pułku miejscowej nauczycielce mogą oznaczać zarówno długi pobyt w tym samym miejscu, jak i bliski wymarsz na front. Rozstrzygnięcie zależy od całokształtu badań psychologicznych nad osobami działającymi i oceny ich cech charakterologicznych, od stanu ekonomicznego szefa sztabu na odcinku spodni, a także od koloru oczu i temperamentu rzeczonyj powyżej dziewicy. Dopiero z dziesiątków obserwacji, studiów nad ich związkami przyczynowymi, przy pomocy rachunku prawdopodobieństwa i równań różniczkowych bywały szef baterii czy kompanii wyprowadzi nieomylny wniosek.

Nikt nie jest w stanie opanować tej wiedzy bez długoletnich studiów, tym bardziej że do tej pory nie wydrukowano żadnego podręcznika, co w złym świetle stawia nasze wydawnictwa i akademie wojskowe. Jednakże zorientować się co do wagi problemu można choćby na przykładzie dziejów salutowania w jednostkach Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Temat ten nie doczekał się do tej pory nie tylko monografii, ale nawet wzmianki, więc wypada zacząć od początku.

Zwyczaj pozdrawiania dowódców przez podwładnych jest równie stary jak samo wojsko. Postukiwano w tym celu mieczami lub włóczniami o tarcze, tupano, prezentowano broń aż do czasu wynalezienia czapek i daszków przytwierdzonych do wyżej wspomnianych nad częścią przednią żołnierskiego oblicza.

Nie chcę nużyć szkicem historycznym, powiem tylko, że w XX wieku we wszystkich armiach świata, jako echo gestu, którym ongiś rycerz odślaniał przyłbicę, przyjął się zwyczaj przykładania wyprostowanej prawej dłoni do daszka. We wszystkich, z wyjątkiem polskiej, która do swych

unikalnych rogatywek (mających rzekomo symbolizować rogaty charakter naszych dusz) przykładała uparcie (i po dziś dzień przykłada...) zaledwie dwa palce - wskazujący i średni - mające przypominać żołnierzowi o Honorze i Ojczyźnie. Który z nich jaką cnotę ucieleśnia, tego regulaminy nie podawały i nie podają.

Niewielu obywateli PRL wie, że gdy w Sielcach powstała 1 dywizja, salutowaliśmy całą dłonią, tak jak wszystkie armie sojusznicze, a nawet wrogie.

Nie sądzicie jednak, że salutowanie salutowaniu równe. Nawet w ramach ścisłych przepisów regulaminu może się zmieścić sto odcieni niedostrzegalnych dla cywila, lecz doskonale widocznych i - co więcej - znaczących dla oka żołnierza. Poderwanie ramienia, odrzut, rozwinięcie dłoni i jej kąt względem twarzy, sposób powrotu do postawy wyjściowej - wszystko to tworzy określony styl.

Istniał więc w Sielcach styl „przedwojenny” - ostry, napięty i służbisty, panujący głównie wśród podoficerów.

Istniał swoisty styl „berlingowski”, dostępny tylko od stopnia majora w górę.

Był także tzw. „sokorski”, nie pozbawiony nonszalanckiej elegancji i przypominający, że kiedyś w przyszłości znowu będziemy uchylać kapelusza, rzucając władcze spojrzenia w stronę napotykanym pięknych kobiet.

Kadrowi oficerowie radzieccy przynieśli z sobą trudną i pełną wdzięku modę „worożyłowską” (nie od nazwiska marszałka, lecz od nazwy Wyższej Szkoły Wojskowej). By ją opanować, trzeba było co najmniej miesiąca treningu, więc i opisać niełatwo. Mogę tylko zaznaczyć, że cechowało ją zdecydowane wybicie, lekko falisty ruch ku górze i szczególnie piękne rozwinięcie dłoni tuż przy czapce.

Ani tu miejsce na szersze studium, ani talent i wiedza autora nie pozwalają, by opisać choćby tylko style ważniejsze. Myślę, że w przyszłości temat ten jako praca doktorska da nam nowego, naukowca o nazwisku jaśniejącym sławą, które zabłądzi pod żołnierskie strzechy.

Wróćmy jednak do właściwszego tematu. Otóż jednolite - mimo wielu odmian - salutowanie całą dłonią przetrwało do wiosny 1944 roku. W końcu kwietnia pojawiły się kiełki nowego...

Staliśmy, jak zwykle, na porannej zbiórce, dowódcy dywizjonów poszli meldować do dowódcy brygady, gdy sąsiad w szeregu trącił mnie łokciem i nie poruszając wargami szepnął:

- Patrz, jak stary salutuje.

Wytrzeszczyłem oczy i dostrzegłem natychmiast: major Wroński, przykładając rękę do daszka połówki, niezupełnie wyprostował serdeczny i mały palec. Można by powiedzieć, że wskazujący i środkowy miały postawę „bacność”, jak u żołnierzy zawodowych, a tamte dwa zaledwie jak po przeszkoleniu rekruckim.

Fakt ten stał się podstawą ożywionej dyskusji i całodziennych sporów. Byli nawet tacy, co nie wierzyli. Następnego dnia sześćset par oczu patrzyło z napięciem na dłoń majora. A gdy zasalutował i w odróżnieniu od dnia poprzedniego dwa palce wyraźnie miały postawę „spocznij”, po szeregach przebiegło westchnienie jak poszum lekkiego wiatru.

Frontowe wygi, weterani wielu batalii, którzy niejedną kuchnię polową opróżnili w swym życiu, orzekli zgodnie:

- To jest znak. Ani chybi, już wkrótce pójdziemy do Polski.

Jeszcze głośniejsze poczęły się rozlegać okrzyki podczas ćwiczeń działonów i baterii, skróciliśmy o nowe sekundy czas odprzodkowywania dział, szkoliliśmy zamkowych i amunicyjnych na celowniczych, żeby jeden drugiego umiał w boju zastąpić. W oczach zieleniały pola, rozwijały się kwiaty, a nam coraz mocniej pachniało frontem. Może się to dziś wydać przechwałką, ale naprawdę wszyscy chcieli jak najszybciej pójść do boju. Nikt nie myślał, że każdy dzień na tyłach zwiększa szansę doczekania końca wojny z głową na karku.

Minął dzień, drugi i najzagorzalsi sceptycy poczęli nawet wyśmiewać wróżbitów widzących znak w salutowaniu dowódcy. Potem przyszły opisane wcześniej święta i uroczysty bankiet. Zapomniałem i ja o przepowiedni.

5 maja, kiedy wieczorem wróciłem na kwaterę, gospodyni poczęstowała mnie barszczem ukraińskim, pogłaskała po głowie:

- Szkoda, synku, że już jutro ruszacie. Przywykłam do ciebie, jak do swego. Smutno będzie we wsi bez waszych śpiewów i krzątania.

Zapewniłem ją, że co prawda w ogóle tak, ale jutro jeszcze nigdzie nie ruszamy. Uśmiechnęła się tylko:

- Oś, pobaczysz - powiedziała. - Daj portki, to ci wyczyszczę i na kolanach przyceruję.

„Czyżby i ona znała się na salutowaniu?” - pomyślałem.

Noc minęła spokojnie, a nazajutrz nabrałem całkowitej pewności, że z tym natychmiastowym wyjazdem „ciotce” się przywidziało. Nikt nic nie wiedział - ani szoferzy, ani telefoniści, ani fryzjer. Dowódca posłał adiutanta do Żytomierza na dwa dni urlopu.

Wieczorem zastałem na kwaterze ciepłe bułeczki nadziewane dynią, paczkę z polciem słoniny i ćwiartkę samogonu. Gospodyni zebrała starannie wszystkie moje rzeczy i ułożyła obok plecaka. Czekąca z kolacją.

- Zjemy, synku, razem na pożegnanie. Może i o moich tam się kto zatroszczy na froncie. Może twoja matka - lada dzień pewno nasi do Polski wejdą.

Przekornie zapewniłem ją, że dziś jeszcze nigdzie nie jedziemy, i na dowód porozkładałem swoje rzeczy po kątach.

Alarm był o jedenastej w nocy. W dwie godziny później kolumna samochodów, ciągników i dział opuszczała Wielki Szumsk. Przy drodze stała prawie cała ludność wsi - staruszki, starcy i dzieciaki, kobiety, parę dziewcząt. Machały chustkami zerwanymi z głów. Krzyczały:

- Pozdrówcie naszych na froncie!

Wróżba okazała się rychła i nieomylna. Rzeczywistość potwierdziła ją co do joty. Wkrótce po wymarszu przyszedł oficjalny rozkaz o zmianie sposobu salutowania, a w lipcu przekroczyliśmy Bug.

26. Nie wszystko, co się świeci

Spod Moskwy na Smoleńszczyznę i ze Smoleńszczyzny na Ukrainę przerzuciły nas transporty kolejowe. W maju 1944 roku spod Żytomierza w rejon Kiwerc po raz pierwszy ruszyła armia własnymi środkami lokomocji, czyli - jak mówiono wówczas z rosyjska - „na swoim chodzie”.

Na długo przed wymarszem odczytano nam wiele teoretycznych wykładów i przeprowadzono parę ćwiczeń na temat formowania kolumn, organizacji postojów, właściwych szybkości i odstępów, zachowania się podczas ataku lotniczego i naziemnego, sygnalizacji chorągiewkami i światłem, utrzymywania łączności radiowej itp. Nie było oficera, który zbudzony w nocy nie umiałby wszystkiego tego wyrecytować z pamięci. No tak, zbudzony w nocy...

Ruszyliśmy w ciemnościach: oddzielnie działa, oddzielnie kolumna samochodowa. Po paru godzinach marszu weszło słońko, blaskiem szyb w oknach poczęły się uśmiechać wsie, a dzieci i dorośli, cywile i czerwonoarmiści pozdrawiali nas machaniem czapkami i wznoszeniem dłoni. Czasem przez warkot silnika przebijał okrzyk:

- Polaki! Dajosz Warszawu...

Ze jednak na drodze do Warszawy był front, wchodząc w obszar działań niemieckiego lotnictwa zmieniliśmy przemarsze dzienne na jazdę nocną. Sprawdzono maskowanie latarń i działanie czerwonych stop-sygnarów, pobudzano wszystkich do zdwojonej uwagi, żeby czasem jeden na drugiego nie wjechał.

Gdy zapadł mrok, szef sztabu dyonu sformował kolumnę na skraju szosy i ruszyliśmy. Kilometry mijały wolniej niż w dzień, ale wszystko szło sprawnie jak na ćwiczeniach - jazda, odstępy, krótkie odpoczynki i dłuższe zatrzymania na skrzyżowaniach, gdy trzeba było przepuszczać inne jednostki - nasze lub radzieckie.

Po północy powieki zaczęły ciężać i na postojach, na zmianę z kierowcą ciężarówki, którą miałem pod opieką, ucinaliśmy drzemkę.

O wpół do drugiej spostrzegłem jakiś most, potem wieś rozległą i senną, wreszcie ciemny las po obu stronach szosy okrył kolumnę gęstym mrokiem. Czerwone światełko idącej przed nami maszyny zwolniło i znieruchomiło. Szofer zahamował, zgasił silnik.

Niechętnie wylazłem z ciepłej kabiny, żeby zobaczyć, o co chodzi. Przed nami aż do zakrętu świeciły spokojnie czerwone stop-sygnaly. Z tyłu nadjeżdżały i zatrzymywały się inne wozy. Kiedy wróciłem, kierowca spał. Nie wiem, jak to się stało, ale i ja chyba wkrótce zasnąłem.

Obudziła mnie potrzeba. Wysiadłem, poszedłem pod drzewko.

Chłód rażnego świtu przepędził resztki snu, orzeźwił. Nad szosą, nad cichym lasem i malowanymi zielono ciężarówkami snuł się szary brzask. Czerwone światła różowiły blado.

Nabrawszy nagle animuszu ruszyłem naprzód. We wszystkich szoferkach senne głowy pochylone śmiesznie na różne strony. Minąłem może piętnaście, może dwadzieścia wozów i za zakrętem natknąłem się na podziurawiony czołg niemiecki, z urwaną gąsienicą. Stał grzecznie po prawej stronie jezdni, spoza czerwonej szybki świecił ostrzegawczo naftową lampką. A dalej przed nim szosa była równa, gładka, szeroka i pusta.

Chwilę mrugałem oczami nie mogąc się połapać, o co chodzi, i wreszcie wybuchnąłem śmiechem.

Za szyby najbliższej, szoferki wyjrzała zdziwiona i rozczochrana głowa, a potem wyskoczył szofer i młodziutki chorąży.

Pokazałem im wrak. Oni też zaczęli się śmiać, choć nieco mniej szczerze. Od dalszych wozów nadbiegali inni, przez moment nie mogli pojąć, wreszcie dostrzegali czołg i przyłączali się do ogólnej wesołości. Z gałęzi ciężko padały krople rosy, migotały różowo w locie, bo słońko za lasem zaczynało już wschodzić.

Pierwszy zapuścił silnik główny winowajca i cisnąc gaz wyrwał do przodu. Szoferzy pędem pobiegli do maszyn.

Szczęśliwie czoło kolumny nie odeszło daleko i wszyscy dołączyliśmy jeszcze przed miejscem dziennego postoju. Wieść o przygodzie z czołgiem do dowództwa nie doszła. Albo dlatego, że czuliśmy się współwinowajcami, albo też z wrodzonej delikatności - dowódcy zapomnieli przecież nauczyć, że trzeba sprawdzić, co za pojazd stanął przed nami, i nie powiedzieli, kto ma budzić załogę szoferki, jeśli zasną obaj w niej jadący. Ale szeptano długo na -ten temat, chichotano po kątach i przestrzegano młodziutkiego chorążego:

- Nie wszystko samochód, co z tyłu czerwono świeci. Bądź, bracie, czujny i sprawdzaj, bo jak cię zmyli widok od tyłu, to się z księdzem ożenisz.

27. Sztuka cywilnego jedzenia

Gdy chłopak po miesiącu nieobecności wraca do ukochanej dziewczyny, drży mu serce, w niepewności: czy nie zmieniła się, czy tak samo czesze włosy i nosi zaręczynowy pierścionek, czy uśmiechnie się jak dawniej, słysząc pod oknem umówioną piosenkę? Czy on sam się nie zmienił i będzie jej tak miły jak przedtem?

Przez pierwsze dni maja czterdziestego czwartego roku jechaliśmy od Żytomierza w stronę Bugu. Prawie po pięciu latach nieobecności mieliśmy po raz pierwszy spotkać Polaków, którzy pozostali na terenach okupowanych przez Niemców, i drżały nam serca w niepewności. Dla nas zmiana granic, reforma rolna, unarodowienie przemysłu i nowe formy władzy były sprawami znanymi i przemyślanymi, przedyskutowanymi do końca podczas wielu długich wieczorów zimowych i nocy. Ale co na ten temat myśłą ci, którzy nie przeżywali wojny razem z nami?

O Polakach pod okupacją mieliśmy wiadomości raczej skąpe i jednostronne - większość dotyczyła terroru okupanta i walki podziemnej. Z okruchów audycji radiowych, wzmianek w gazetach, opowiadań przekazywanych z ust do ust usiłowaliśmy ułożyć mozaikowy portret narodu. Radząc wspólnie i dyskutując, usiłowaliśmy przygotować się do coraz bliższego powitania.



W swoim notesie na kartce zatytułowanej „Powrót” zapisywałem nazwy partii politycznych, podziemnych organizacji wojskowych oraz zadania dla samego siebie: „Przygotować dane geograficzne, historyczne i ekonomiczne o Polsce w nowych granicach”, „Nauczyć dyon paru lubelskich i mazowieckich piosenek ludowych”, „Zalety reformy rolnej bez wykupu gruntów”, „Zaznajomić oficerów radzieckich z polskimi obyczajami”, „Przygotować zespół artystyczny do występu dla cywilów...”

Życie miało jednak wkrótce wykazać, że o bardzo ważnej rzeczy zapomniałem.

Pierwsze większe skupisko Polaków napotkaliśmy w Równem. Na ulicach miasta powiewały tu i ówdzie polskie flagi, na balkonach wywieszono polskie transparenty, z chodników wznoszono polskie okrzyki. Przejechaliśmy centrum, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności na przedmieściu nawalił silnik i szofer orzekł, że przed upływem godziny nie ruszy.

Momentalnie podeszło do nas parę osób i po dwóch, po trzech żołnierze zostali zaproszeni do pobliskich domów. Także i nas - czterech oficerów - wprowadziły dwie młode i miłe panie do parterowej willi w ogrodzie, gdzie poznaliśmy jeszcze ich mamę i ciocię. Prezentacja wypadła na medal, a najbardziej elegancko całował damy w rękę jedyny wśród nas Rosjanin, Wasia, technik samochodowy, który to czynił po raz pierwszy w życiu.

Powtórzyłem sobie szybciotko w myśli argumenty przemawiające za natychmiastową reformą rolną, ale rozmowa toczyła się o kroju naszych mundurów. Odchrząknąwszy miałem zamiar wyjaśnić paniom wyższość jednoizbowego parlamentu i konieczność likwidacji zachowawczego senatu, lecz Wasia, przejąwszy inicjatywę, chwalił już piękność Polek, zyskując miłe uśmiechy damskiej części towarzystwa. W momencie gdy w celu nawiązania bliższego kontaktu z ludnością miejscową chciałem wyłożyć podstawowe zasady wolności sumienia w nowej, demokratycznej Polsce, zaproszono nas do stołu.

Podszedłem, spojrzałem i... zbladłem.

Każdy z nas przez ostatnich parę lat używał do jedzenia menażki, noża i łyżki, a do picia - onejże menażki lub co najwyżej kubka. Wspomnienia o nakryciach stołowych były równie odległe i wyblakłe co o kołysce i smoczku. A tu na wprost każdego krzesła stały trzy różne talerzyki, leżały dwie różne łyżki, dwa noże i trzy widelce. Uzupełniały ten komplet kielichy - duży i mały, oraz szklaneczka.

Rzut oka na twarze kolegów przekonał mnie, że nie ja jeden zadrzałem i zbladłem.

Obiad, którym nas poczęstowano, był skromny, dania niewielkie, ale z tym większym trudem trzeba je było dzielić na maleńkie porcje. Uratował nas zwyczaj, że damy biorą pierwsze i pierwsze jeść zaczynają. Patrzyliśmy bystro na swe sąsiadki, by we właściwej chwili właściwe narzędzie we

właściwą ująć rękę. Posiłek wymagał ogromnego wysiłku. Drobne sztucce chwiały się niepewnie w zgrubiałych artyleryjskich łapach, palce sztywniały z lęku, by nie stłuc kruchego szkła, nie splamić białego obrusa. Nawet gadatliwy Wasyl zamilkł, koncentrując całą uwagę na jedzeniu.

Damy mówiły, a my nasłuchiwaaliśmy w napięciu sygnału od strony szosy i na pierwsze buczenie klaksonu zerwaliśmy się, dziękując serdecznie i przepraszając, że „służba nie drużba”, „komu w drogę, temu czas” i „wojenka, cudna pani, żołnierzy swych nie pieści...”

Panie odprowadziły nas do furtki ogrodu.

Dopiero na szosie, ukryci za brezentową budą ciężarówki, mogliśmy odetchnąć, otrzeć kroplisty pot z czoła i powiedzieć słów parę żołnierskich dla ulżenia duszy.

Wasyl przetarł twarz, szyję i kark flanelową onucką pełniącą funkcję chustki do nosa i rzekł z powagą:

- Pod Stalingradem też czasem ciężko bywało.

On jeden był pod Stalingradem, ale wszyscy przyznaliśmy mu rację.

A ja wyciągnąłem notes i na stronie zatytułowanej „Powrót” zapisałem: „Szkolenie w sztuce cywilnego jedzenia. Opracować instrukcję. Przeprowadzić treningi z kadrą”. I podkreśliłem wszystkie słowa grubą, falistą linią, żeby nie zapomnieć, jakie to ważne.

28. Obrońca z urzędu

Na miejscu poprzedniego postoju, pod Żytomierzem, wszystkie jednostki kwaterowały we wsiach. Nie tylko oficerowie, lecz i żołnierze mieszkali po chałupach. W dziewięciu na dziesięć przypadków żyli nie tylko w zgodzie, ale i serdecznej przyjaźni z gospodarzami. Świadczone sobie wzajemnie przysługi w zakresie czynności męsko-gospodarskich z jednej, a prania, łątania i gotowania z drugiej strony. Czuliśmy się jak u siebie i sporo szczerych łez popłynęło na pożegnanie, gdy z początkiem maja ruszaliśmy dalej na zachód.

Po przybyciu do rejonu Kiwerc trafiliśmy w zupełnie inne warunki. Sztaby rozlokowały się wprawdzie w paru nie spalonych wioskach, ale jednostkom przydzielono na miejsca postoju lasy. Trzeba było kopać ziemianki, budować składy, uczyć się żyć prawie po frontowemu.

Ludzi mieszkało w okolicach niewiele, spotykaliśmy często zgłiszcza domów. W pojedynkę i bez broni niebezpiecznie było chodzić po lesie - spomiędzy pni padały strzały.

Na tej ziemi historia ostatnich kilkadziesiąt lat była historią krzywdy, krwi i nienawiści. Tu ongiś polska policja i wojsko przeprowadzały pacyfikacje wsi ukraińskich, tu banderowcy mordowali polskich osadników, a polskie oddziały, biorąc odwet, paliły wsie. Hitlerowcy chytrze dolewali oliwy do ognia szczując jednych na drugich.

Gdy przybyliśmy z armią, miejscowi Ukraińcy patrzyli spode łba na nas i nie chcieli gadać z żołnierzami. Napotkani Polacy nie wierzyli, gdy opowiadaliśmy im, jak serdeczne stosunki łączyły nas

z ludnością pod Żytomierzem. Oczy przestaniała im krwawa mgła. Twierdzili z uporem: „Ukrainiec to jeszcze gorszy wróg niż Niemiec” i opowiadali o zbrodniach i gwałtach, o łupieniu żywcem ze skóry i rozpruwaniu brzuchów ciężarnym kobietom.

Opowiadania działały na żołnierzy. Musieliśmy tłumaczyć, wyjaśniać, uspokajać.

Widać nie robiliśmy tego dość dobrze, gdyż w brygadzie zdarzył się ponury i haniebny wypadek: czterech żołnierzy zeszło w nocy z posterunków wartowniczych i napadło z bronią na samotną chatę w lesie. Sterroryzowali mieszkającą tam Ukrainkę z dziećmi, zrabowali jej krowę.

Wszystko wydało się w ciągu dwóch czy trzech dni. Przyjechał oficer śledczy, potem sąd wojskowy i nazajutrz wyznaczono rozprawę w trybie doraźnym.

Choć przestępcy nie należeli do mego dyonu, czy może właśnie dlatego, wyznaczono mnie rozkazem na obrońcę. Nie pomogły prośby i argumenty, że jak dotychczas nigdy nie miałem absolutnie nic z sądem wspólnego. Zabrałem się więc do roboty i całą noc rozmawiałem z oskarżonymi. Doprowadzano ich kolejno z ziemianki, w której siedzieli pod silną strażą.

Sprawa zaraz na początku stała się jasna. Jeden z nich był zawodowym przestępcą. Z cyniczną szczerością przyznał się, że przed wojną we Lwowie był parę razy sądzony, w tym trzykrotnie za zabójstwo i grabież. Czaszkę miał płaską, oczy zmrużone, złe. Powiedział wręcz, że wszystkiemu winni wspólnicy, bo on chciał, żeby Ukrainkę zgwałcić i zarząć. Wówczas nic by się nie wydało.

Pozostali trzej - zwykli, prości ludzie. Uderzył im do głowy opar nienawiści - ich rodziny zginęły właśnie tu, niedaleko, zamordowane przez banderowskich mołojców. Żałowali szczerze. Zeznali, że ten pierwszy nie tylko ich namawiał, ale i spoił wódką owej nocy.

Sąd odbył się na leśnej polanie, w obecności wielu żołnierzy. Przebieg rozprawy był prosty, a wina udowodniona. Kodeks mówił wyraźnie: za opuszczenie posterunku - rozstrzelanie; za napad z bronią w rękę - rozstrzelanie; za rabunek - rozstrzelanie.

Broniłem trzech swych podopiecznych, jak umiałem, wskazując kolejno na wszystkie okoliczności łagodzące, na demoralizujący wpływ wojny. O czwartym zgodnie z swym sumieniem powiedziałem, co myślę.

Sąd skazał prowodyra na śmierć, a pozostałych na kompanię karną. Przyjąłem wyrok z radością. Cieszyłem się, że dopomogłem trzem żołnierzom uniknąć pewnej śmierci, a w każdym razie hańby. Na froncie mieli prawo odkupić swój czyn krwią.

Ale gdy wszyscy się rozeszli, podszedł jeden z prawników i zwymyślał mnie straszliwie. Chodziło o to, że powinienem był bronić wszystkich, że nie wolno mi było uznać winy prowodyra, że miałem prawo i obowiązek zataić to, do czego sam się przyznał, wysuwać to, co mogłoby mu posłużyć jako obrona.

Skazanego rozstrzelano następnego dnia przed frontem brygady i zakopano w ziemi, nie znacząc niczym miejsca grobu.

Nieczęsto wspominam tę sprawę, ale dziękuję losowi, że do tej pory nie musiałem być ani oskarżonym, ani oskarżycielem, ani nawet obrońcą z urzędu.

29. Autorytet

O metodach zdobywania oficierskiego autorytetu napisano setki artykułów i dziesiątki grubych podręczników. Fachowcy od tego zagadnienia mogą na każde wezwanie sypać jak z rękawa przykładami historycznymi, poczynając od Aleksandra i Hannibala, a poza tym mają wiele niezawodnych recept i równie niezawodnie...”tracą autorytet w zetknięciu z tzw. brutalną rzeczywistością.

Dzieje się tak zapewne dlatego, że do wojska nie przychodzą same anioły. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że anioł w mundurze jest zjawiskiem wręcz wyjątkowym. Armia przyjmuje do swych szeregów najrozmaitszych ludzi, formuje z nich drużyny, plutony i kompanie wedle swych własnych potrzeb, nie grupując bynajmniej razem według zamiłowań lub charakterów - filatelistów czy miłośników muzyki symfonicznej, flegmatyków czy sangwiników. Dawniej dobierano pułki podług wzrostu i koloru włosów, ale i ten piękny zwyczaj zarzucono przed wielu laty.

W związku z powyższym ludzie bardzo różni, często stanowiący przeciwieństwo tak rażące jak Paweł i Gaweł, w jednym stoją pułku. Współżycie ich układa się naturalnie wbrew wszelkim schematom, a walka o autorytet dziwne przybiera formy.

Jednym z dywizjonów 1 brygady artylerii ciężkiej 1 Armii dowodzili właśnie Paweł i Gaweł. W rzeczywistości inne nosili imiona, a oprócz imion nazwiska, lecz te niechaj pozostaną tajemnicą historii.

Dowódca dyonu, kapitan Gaweł, zawodowy żołnierz, starał się żyć tzw. pełnią życia, co wyrażało się w skłonności do przygód erotycznych i samogonu oraz dość formalnym traktowaniu służby.

Jego zastępca do spraw politycznych, podporucznik Paweł, z zawodu student Politechniki Lwowskiej, traktował samogon jako zło konieczne i marzył o wielkiej miłości, która winna nań czekać gdzieś po tamtej stronie frontu, w wytęsknionym kraju.

Ordynansów dobrali sobie obaj, jeśli nie na własny obraz, to na pewno na podobieństwo. Młodym podporucznikiem opiekował się starszy poważny chłop z Podola, a kapitanem - rzeźnik z Katowic.

Surowe prawa wojska, nakazujące szacunek wzajemny i rozgraniczające zasięg kompetencji, powstrzymywały starcie tych dwu różnych „postaw życiowych” przez okres paru miesięcy. Paweł i Gaweł byli dla siebie obcy, ale uprzejmi. Omijali się nawzajem, schodzili sobie z drogi.

W maju, po przemarszu armii w rejon Kiwerc, dywizjon zamieszkał w ziemiankach na skraju lasu, a dla dwu najstarszych stanowiskiem oficerów, pobielono izbę w samotnej, pobliskiej chałupie. Czyli - Paweł i Gaweł w jednym domku stanęli, a nawet w jednym pokoju, przegrodzonym przez środek zasłoną z „płaszcz-namiotu”.

W tym samym pokoju uwiło sobie leża dwu ordynansów.

Domek przypominał bańkę z nitrogliceryną wystarczył lekki wstrząs...

Po nocy, podczas której kapitan przyjmował za swą kotarą odwiedziny poci słabej, a podporucznik leżąc w łóżku studiował przy świecy podręcznik strzelania artylerii naziemnej, nadszedł dzień wielkiej próby. Obaj mieli sobie za złe, obaj czekali na byle jaki pretekst.

Kości rzucił kapitan:

- Szkoda mi was. Nic z życia nie macie.
- Mnie was też szkoda - odparł podporucznik. - Niewiele w życiu widzicie.
- Chłopak przystojny, młody, a jak zakonnik - ani dziewczyny, ani szklaneczki. Nie umiecie czy brak wam czego?
- Lepiej umiem niż tacy, co dużo gadają - odciął się Paweł. - Wiadomo, że pies, co głośno szczeka...
- Możemy sprawdzić - przerwał mu Gaweł, czerwieniąc się ze złości. - Chcecie?
- Możemy - poczerwieniał i zastępca.

Ordynans kapitana poszedł po wódkę. Podporucznik nie bardzo wierząc w szanse zwycięstwa szepnął swemu opiekunowi, by go nie wypuszczał z chaty, dopóki nie wytrzeźwieje.

Po paru minutach na stole znalazła się litrowka z zielonego szkła pełna buraczanego bimbrowa i dwie blaszane kwarty, które w tym pojedynku miały zastąpić pistolety naładowane śmiertelnymi kulami. Obok na talerzyku leżała zakąska - kawałek czarnego chleba, pokrajany na równe cztery części.

Po pierwszej salwie obaj siedzieli na stołkach - kapitan spokojnie i z uśmiechem, podporucznik z pewnym wysiłkiem. Powąchali chleb, wymienili parę przycinków i w momencie, gdy oczy poczęły im mętnieć, wychylił kubki do dna po raz drugi, stawiając pustą butelkę pod stół.

Gaweł, pewny swego, wstał i wyszedł, mając zamiar wrócić za chwilę.

Pawłowi ledwo starczyło sił, by położyć się na łóżku. Zapadł w kamienny sen.

Ocknął się po godzinie. Przypomniał sobie, co zaszło. Widząc, że kapitana nie ma, wstał, przeszedł po desce, by sprawdzić równowagę.

- Wywietrzało - odetchnął i poszedł na baterię.

Gawła zgubiła zbyt pewność siebie. Zbyt wcześnie podniósł się od stołu. Bimber uderzył mu do głowy tak mocno, że kazał wypuścić kanonierów z aresztu, zrobił niepotrzebną awanturę kucharzowi i potem zabłądził w lesie.

Obaj, dowódca i zastępca, nigdy potem nie wspomnieli ani słowem o swym pojedynku na kwarty. Autorytet Pawła został nie tylko uratowany, ale ugruntowany na długo. Sposób wyda się na pewno dziwny tym wszystkim, którzy naukowo studiują problem. Ale przecież dziwny to nie znaczy, że nieskuteczny. Po prostu czasem człowiek znajduje się w sytuacji, z której jedyne wyjście prowadzi poprzez walkę na bimber.

30. Przerwana akademia

„Niezapomniany czterdziesty czwarty” wcześniej począł owocować wydarzeniami wielkiej wagi.

Nim dojrzały najwcześniejsze, koburskie czereśnie, przyjechali do armii przedstawiciele Krajowej Rady Narodowej. Nazwiska ich trzymano w tajemnicy ze względu na konspirację. Starsi oficerowie szeptali sobie coś na ucho, ale do nas, młodszych, doszło tylko, że ten czarny, przystojny, o wesołym uśmiechu, to pułkownik ze sztabu Armii Ludowej i że nosi pseudonim „Marek”.

W 5 brygadzie (tymczasem bowiem urosiliśmy z pułku do trzech ciężkich dywizjonów) przemawiał właśnie „Marek” - Marian Spychalski. Że „kraj czeka” i że „niedaleki dzień”.

Na początku czerwca zakwitły akacje i zboża, a alianci wreszcie wylądowali w Normandii. Na mapach wyrwanych ze szkolnych atlasów mierzyliśmy linijkami odległość do Berlina od zachodu i wschodu. Pesymiści twierdzili, że jankesi będą pierwsi, złapią Hitlera i skończą wojnę. Trafiali się nawet tacy, którzy z ponurymi minami przepowiadali, że wysadzą desant w Gdyni i Anders przed nami dotrze do Warszawy.

Tym ostatnim nikt nie wierzył, ale coraz niespokojniej nasłuchiwaaliśmy radiowych komunikatów i odprężenie przyszło dopiero z dojrzałymi wiśniami i poziomkami, gdy 23 czerwca ruszył front pod Witebskiem. 4 lipca Armia Czerwona zdobyła Mińsk, nazajutrz - Psków, jeszcze dzień później - Kowel, a 9 lipca - Lidę, Łuniniec i Słonim.

W nocy z 11 na 12 zaczęliśmy pakować manatki, a koło siódmej, po śniadaniu, ruszyły kolumny dywizjonowe.

Na ciągnikach było miejsca na dwu, trzech. Reszta kanonierów, niczym wróble wierzby, obsiadła działa. Oficerowie polityczni koczowali to na jednej armacie, to na drugiej i w kurzu, spiekocie zdzierali gardła, przekrzykując warkot silników:

- Polska nas czeka... Trzymać się mocno, bo pospadacie... Na front, do walki o wolność... Łopatki naostrzyć pilnikami...

W marszu ponieśliśmy pierwszą stratę: kapral Franek Ziembowicz, zmęczony parodniową pracą przy zwijaniu obozowiska, zasnął i spadł pod koła ośmiotonowego działa. Pochowaliśmy go w lesie podczas nocnego postoju.

Na zachodzie zupełnie już blisko porykiwały armaty, niebo nad drzewami wybłyskiwało rudo. Siedzieliśmy w ciepłym mroku przeżuwając gorycz śmierci. Nie upilnowaliśmy, psiakrew, chłopaka. Trzeba było kazać, by się przywiązywali pasami.

- A w razie nalotu będziesz ich odpinał - mruknął któryś ze złością.

W tym nastroju rodziły się i inne wątpliwości: „Jak zachowają się żołnierze w ogniu? Czy mnie samemu starczy odwagi, by się kulom nie kłaniać? Czy potrafię być dla nich oficerem? Jakie zadanie bojowe postawi dzień jutrzejszy?”

Zasnęliśmy późno z twarzami wilgotnymi od rosy.

14 lipca byliśmy już na stanowiskach ogniowych. Pierwsze zadanie, które tam otrzymałem, miało niestety charakter nie tylko nie frontowy, ale wręcz pokojowo-oficjalny.

Data nie była równa - 534 lata - ale zastępca dowódcy brygady uparł się, żeby obchodzić uroczystie i koniecznie zorganizować akademię z udziałem radzieckich żołnierzy.

Tłumaczyłem jak komu dobremu, że mamy jeszcze dużo roboty przy działach, bo lada godzina może się zacząć ofensywa, że w ogóle niebezpiecznie zbierać więcej ludzi na jednym miejscu w odległości dwu kilometrów od frontu, że nie mam żadnych materiałów do opracowania referatu, a z rycerzy pamiętam tylko Zawiszę Czarnego, Zyndrama z Maszkowic i Paskę Złodzieja z Biskupic.

Kapitan jednak uparł się:

- Organizuj i melduj o wykonaniu. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Az tym Paską Złodziejem daj spokój, bo goście mogą zrozumieć, że jakieś podejrzane elementy brały udział.

Na upór przełożonych nie ma rady, więc 15 lipca na froncie pod Dolskiem, w okopie pierwszego działu piątej baterii odległym o tysiąc osiemset metrów od niemieckich okopów, rozpoczęła się akademia poświęcona rocznicy Grunwaldu.

Armiję Radziecką reprezentowali przeciwlotnicy „mieszkający” pięćdziesiąt metrów za nami - młodzieutki lejtnant i ospowaty starszyna z czarnymi wąsami. Gości posadziliśmy na nakrytych kocami skrzynkach od pocisków, a nasi obsiedli działo.

Stałem pod drążkiem napinającym sieć maskującą i zacząłem zagajać o tym, jak to 534 lata temu król Jagiełło z Polakami, Witold z Litwinami i trzema pułkami Smoleńszczan...

Dowódca plutonu ogniowego na migi pokazał, że pije piwo, a potem zrobił sobie skośne oczy. Pojąłem, o co mu chodzi, i dodałem posiłki czeskie oraz ordę Tatarów.

- Na polach grunwaldzkich starta została w proch potęga krzyżacka. Połączonymi siłami Słowian zadaliśmy klęskę... I dziś, podobnie jak wówczas... - począłem mozolnie uaktualniać problem, pocąc się w lipcowym upale, lecz nagle przerwał mi niespodziewany okrzyk:

- Wo-ozduch! Po miastam!

Goście zerwali się w klusem popędzili przez pola w stronę unoszących się luf zenitek.

Kapral Pałys, działonowy, który wkuwał do tej pory swe „wystąpienie w dyskusji”, z westchnieniem ulgi wsunął kartkę do kieszeni, chwycił erkaem i zarepetował do strzału.

Stukasy gwałtownie wyskoczyły zza lasu i lekko znurkowały, celując głębiej na tyły. Było ich sześć. Wiodący skręcił nieco w lewo, pokazał niebieskawy brzuch z szeroko rozstawionymi kołami, podobnymi do podkurczonych szponów. Uderzyła przeciwlotnicza artyleria odcinka. Zagdakały pośpiesznie armaty naszych sąsiadów. Pałys pruł krótkimi seriami, łuski tryskały w piach.

Jedna z maszyn załamała tor lotu, skręciła pół beczki i w locie na plecach rąbnęła o ziemię. Buchnął wysoki płomień. Drugi samolot zadymił i powlókł burą kitę za niedaleki horyzont. Reszta zwała bomby na oślep i rozpierzchnęła się na boki.

Wybuchy zakotywały ziemię. Z wysoka opadały grudy darni i za lasem cichnął warkot odlatujących.

Akademia została przerwana i nie dokończona. Kiedy zameldowałem o tym zastępcy dowódcy brygady, zmarszczył brwi:

- Niech was diabli. Wy zawsze, poruczniku, znajdziecie sobie wykręt. I co ja mam napisać w raporcie do Wydziału Politycznego armii?

Rada w radę ustaliliśmy, żeby podać w meldunku pół akademii, a przyczyny jej niedokończenia określić jako „niezależne od aparatu politycznego brygady”.

31. Prawie Kozietułski



Nie wystarczy serce nieustraszone, by zostać bohaterem. Nie dość dokonać brawurowej szarży, by wejść na stronie podręczników i do piosenki niczym Kozietułski, co to „skoczył” i „w czwórki jazdę zwinął”, a poza tym „jak piorun się rzucił i jak błyskawica, a za nim jak burza ta polska konnica”.

W grę wchodzi wiele innych, niezależnych od kandydata na bohatera czynników, jak na przykład wąż Somosierra, ziejące kartaczami baterie i Hiszpanie na tyle odważni, że nie odstąpili dział, na tyle tchórzliwi, że po wycięciu kanonierów przez szwadron trzeci 1 polskiego pułku lekkokonnego, zwanego z francuska szwoleżerami, wycofali ze zboczy piechotę.

No i osobą nie najmniej ważną jest autor, który napisze słowa, kompozytor, który do nich ułoży melodię.

A czyjeż to imię okrywa się sławą,
kto walczy za Francję z Hiszpanami krwawo...

Nie walczyliśmy ani za Francję, ani z Hiszpanami i szarże za czasów 1 Armii były raczej rzadkie...

18 lipca 1944 roku o godzinie 4 minut 50 artyleria armii w składzie: 1 i 5 brygady artylerii ciężkiej, 1 samodzielny pułk moździerzy, 4 pułk artylerii przeciwpancernej, 8 pułk artylerii haubicznej oraz 1, 2 i 3 pułk artylerii lekkiej brała udział w przygotowaniu ofensywy 1 Frontu Białoruskiego, wspierając 69 armię generała Kołpakczy. Na sygnał, którym była salwa pułku katusz, uniosły się tysiące luf. Przez trzydzieści minut trwał ogień i huk, od którego kołysała się ziemia, głuchli kanonierzy, skrzynie po amunicji wędrowały wokół okopów jak żywe, a po stronie niemieckiej pozycje obronne zostały przemieszane z piaskiem i gliną niczym żółtko z cukrem w piekielnym koglu-moglu.

Podporucznik Franciszek M., zastępca do spraw politycznych dowódcy dyonu 1 brygady artylerii ciężkiej, przespał początek tego przedstawienia - odpoczywał po kilku zarwanych nocach, podczas których prowadził kolumnę dział.

W kwadrans po umilknięciu kanonady wezwano go do telefonu. Dzwonił dowódca. Nie, nie dzwonił, właściwsze byłoby raczej określenie - szarpał się na tamtym końcu przewodu niczym lew, który siadł w terpentynie. Drżący mikrofon po kilka razy odtwarzał najbrzydsze wyrazy. Pośród takich i innych synów Franek, zdumiony i wściekły, wyłowił treść - chodziło o to, że jakieś działo wysłano do strzelania bez amunicji, i „żeby amunicja natychmiast, bo jak nie, to ja was... ja wam...” itd.

Podporucznik cisnął słuchawkę. Pytając kanonierów, zorientował się, o co chodzi: dowódca rozkazał jednemu działu z 2 baterii wyjechać naprzód i ogniem na wprost zniszczyć broniący się niemiecki punkt oporu. Armatę zaprzodkowano, przyczepiono do ciągnika. Obsługa odjechała. Gdy mijają punkt obserwacyjny, dowódca stwierdził, że działonowy zapomniał o pociskach. W związku z powyższym zbeształ zastępcę, choć ten o niczym nie wiedział.

Franek M. wezwał natychmiast ciężarowego dodge'a, kazał załadować amunicję i blady z wściekłości skoczył na stopień.

- Ciśnij gaz do deski -rozkazał szoferowi.

Maszyna szarpnęła z miejsca i poprzez wyboje polnej dróżki rozjeżdżonej przez czołgi pomknęła w stronę frontu.

- Panie poruczniku, jak na pocisku zerwie kapsel, to wylecimy w powietrze.

- Nie zwalniać, do cholery!

Przeskoczyli stare okopy, na płaskim polu dostrzegli w przodzie ciągnik z armatą wplątany między tyraliery piechoty. Dalej niewielki wzgórek, błyskający seriami ze strzelnic. Przez wycie samochodowego silnika przebił się niski świst kul.

- Utluką nas albo wylecimy na minie.

- Pruj wprost do działa. Szybciej!

Mijani radzieccy piechurzy leżąc w lejach krzyczeli coś, pokazywali ręką w stronę bunkrów i stukali się wymownie w czoła, a dodge pędził samotny, wyładowany trotylem i prochem, po otwartym polu.

Podporucznik miał jednak pecha. W momencie gdy pułkownik Kozietulski wyjrzał spoza obłoków i z porozumiewawczym uśmiechem zasałutował do ułańskiego czaka, Niemcy przerwali ogień i wywiesili przybrudzony ręcznik na karabinie. Poddali się.

Pociski dostarczone do działa okazały się zbyt ciężkie. Ze strzelania na wprost, sztuki skutecznej, ale ryzykownej i trudnej dla armaty kalibru 122 mm, wyszły nici.

Podporucznik Franciszek M. zawrócił, podjechał dodge'em do punktu obserwacyjnego i nie ochłonawszy jeszcze z wściekłości nawymyślał z kolei dowódcy. Niektórzy świadkowie tego wydarzenia twierdzą, że nawet doszło do wymiany sierpowych, czego - znając regulaminy i wydawnictwa typu bohaterskiego - nie sposób sobie nawet wyobrazić.

Jednym słowem, był człowiek odważny, była szarża w sto koni (silnika samochodowego). Wszystko jak pod Somosierrą. Ale obrońcom wzgórza zabrakło odwagi i pozbawili nas bohatera narodowego.

32. Powrót



Na temat powrotu gadało się cały czas od jesiennych miesięcy trzydziestego dziewiątego roku. Przez cztery lata każdy na swoją rękę, w gronie najbliższych albo sam na sam z bezsenną nocą. W przeróżnych miejscach - na Ukrainie i Białorusi, na Kaukazie i w Komi, w stepach Kazachstanu i na Ziemi Franciszka Józefa - gdzie kto był. A ostatni rok, od przybycia do sieleckiego obozu, ugwarzaliśmy razem, jak to będzie.

Razem to nie znaczy zgodnie. Zgoda była na jedno: że zbrojnie i na karkach wiejących fryców. Co do reszty - tyle zdań, ilu biorących udział w rozmowie. Byli tacy,

co przysięgali, że uklękną, ziemię całować będą i łzami ją zraszać. Drudzy żądali, żeby w pieszym szyku zwartym, z rozwiniętymi sztandarami, przy dźwiękach hymnu narodowego. Inni jeszcze, rezygnując z całowania ziemi, mieli pewne plany co do pierwszych napotkanych dziewcząt. Wszystkich pomysłów wymienić nie sposób.

Gdy w połowie lipca brygada zajęła stanowiska ogniowe pod Dolskiem, gdy już dzieliło nas dosłownie parę kroków, nagle i niespodziewanie urwały się rozmowy na ten temat, bo zbrakło czasu - trzeba było przygotować działa, opracować ogień i wreszcie cisnąć na tamtą stronę frontu dwadzieścia ton stali nadziewanej trotylem.

Dopiero w dniu, kiedy dostałem do ręki mapę z trasą wytyczoną przez Czmykos, Sztuń, Zamłynie i Bereźce, z trasą przekreślającą pod Dorohuskim niebieski wężyk Bugu, zrozumiałem nagle, że to już, że właśnie dziś.

Prowadziłem kolumnę dyonu. Był tęgi upał. Wypolerowane o piach gąsienice ciągników odbijały słońce jak lustro. Piekły oczy.

Z kieszeni na piersi wyciągnąłem swoje stare notatki, usiłowałem obliczyć, który to dzień. Nie datę, lecz ilość dni dzielących dziś od tamtego dalekiego wczoraj, kiedy we Wrześniu przekroczyłem granicę. Wypadło 1766. Przypomniałem sobie, że czterdziesty i bieżący rok są przestępne, luty ma dwadzieścia dziewięć. Poprawiłem liczbę na 1768 dni. A każdy z nich miał dwadzieścia cztery godziny. Psiakrew!

Przez zarośla olszyn kolumna wyszła na łąki. Droga czarna, rozjeżdżona. Dwa mostki na rowach pełnych zielonej od rzęsy wody. Kolumienki radzieckich piechurów. Mokre leje po bombach i szkielety spalonych ciężarówek. Potem nieduża rzeczka z mostem, na którym saperzy mocowali jeszcze ostatnie belki jezdni. Znowu łąka z wysoką trawą, ospowata.

Pomyślałem, że to chyba już tu gdzieś niedaleko, ale zaraz przyszyły kartofle, nadpalone przy drodze żyto. I nagle szosa. Z mapy wyszło, że już, że tamta rzeczka to był Bug.

Kolumnę mijaly ciężarówki z naszą piechotą. Kurzyły niemiłosiernie. Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, po prawej były sady. Kurz opadając odsłonił szarą wieś pod słomianymi dachami. Sprowadziłem ciągnik pod wierzby, dałem sygnał wyłączenia silników, bo tu miał być postój.

Warkot opadał, gasł, a od wsi biegli ludzie: dwu wyrostków w krótkich łatanych portkach, chudy, wysoki chłop z siwą szczeciną dawno nie golonej brody, dziewczyna z naręczem kwiatów, kilka kobiet.

Zeskoczyłem z ciągnika i stałem oparty o gąsienicę, nie ważąc się zrobić kroku na niepewnych, zwiotczałych nagle nogach.

Potem ludzie dobiegli, krzyczeli coś. Dziewczyna upuściła kwiaty na szosę, przytuliła się niezręcznie, musnęła wargami. Ten wysoki tarł ręką zarost i płakał.

Podniosłem georginię z kurzu, drżącymi palcami przyczepiałem ją do sprzączki na koalicjyce. Zły byłem, że pieką mnie oczy i że wszelkie uroczystości diabli wzięli, bo zdawało się, że to już po wszystkim, że to właśnie powrót do Polski.

Wielu sądziło, że to zakończenie rozdziału. Życie nas przekonało, jak przekonuje setki razy, że każde zakończenie jest jednocześnie początkiem, że pokonanie jakiegoś etapu otwiera horyzonty dalszej drogi, nie zawsze łatwiejszej niż odcinek poprzedni.

Pijani radością powrotu, dziecinnie uśmiechnięci, gotowi uścisnąć w ramionach każdego napotkanego Polaka, nie chcieliśmy widzieć nic innego jak tylko szczęście i wolność.

Naiwnych trzeba karcić. I życie karciło nas surowo. Zmuszało do otwarcia oczu.

Parę dni później pojechaliśmy w kilku samochodem na pogrzeb zamordowanych w Zamku Lubelskim. W ogromnym, głębokim dole leżały trupy ludzi w przekrwawionych strzępach odzieży. Prażyło słońce i do stóp księdza odmawiającego modlitwy słał się straszny, słodkawy zapach.

Na samym wierzchu leżały zwłoki smukłej dziewczyny. Prawą rękę miała wsuniętą pod jasne włosy, jak do snu, a lewej nie było. Z ciemnego mięsa sterczała strzaskana kość. Z ulgą przyjąłem łoskot honorowej salwy i szelest piasku.

Wyszliśmy w miasto wstrząśnięci i mroczni. Ale że mieliśmy tylko po dwadzieścia lat, już na trzeciej ulicy żywi przesłonili nam zmarłych. Kobiety miały wargi jak dojrzałe wiśnie i nosiły letnie, przejrzyste suknie. Mężczyźni zatrzymywali, częstowali papierosami i piwem, zapraszali na bimber.

Wkrótce dobrze mieliśmy w czubie, nie tyle jednak, by nie zauważyć praw tej swoistej giełdy zaproszeń i gościnności. Nie wszystkich nas traktowano jednakowo - decydował akcent, stopień wojskowy, krój butów i munduru, to, czy oficer liniowy, czy polityczny. Miasto rozstrzygało problem Polski: jaka będzie - „czerwona” czy „londyńska”, i miało dla nas swoją miarę - jednych wiedziono „na pokoje”, innych do pokoiku z-kuchnią.

Do dziś mam w domu niewielką kartkę - 215 na 154 milimetry - zdjętą z muru w Lublinie. Datowana 15 lipca. Podpisany na niej anonimowo „Pełnomocnik na Kraj i Wicepremier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej” zwracał się z apelem do ludności miasta:

„Czeka nas nie tylko walka z okrutnym okupantem... Czeka nas nadto ujęcie steru odradzającego się państwa... Każdy... pamiętać musi... aby nie dał się zastraszyć ani oszukać hasłom, odznakom i słowom najbardziej patriotycznym, używanym podstępnie przez obce żywioły... Nikt też nie powinien dać się zwieść hasłom dzięki przebudowy naszego ustroju społeczno-gospodarczego”.

A więc pan „wicepremier” ostrzegał przed orłami na naszych połówkach, przed naszym hasłem: „Wolność ojczyźnie, prawa i władza ludowi”, gotował walkę nie tylko z okupantem.

Powrót okazał się znacznie bogatszy w treść, niż przypuszczaliśmy przed Bugiem i po postawieniu pierwszego kroku na ojczyźnie.

33. Dwa słowa

Batalion kobiecy imienia Emilii Plater był bez wątpienia jednostką bojową, jak i inne bataliony 1 Armii. Być może, pod pewnymi względami ustępował nieco tym, które składały się z mężczyzn, ale pod innymi przodował zdecydowanie - na przykład maszerował wspaniale, najładniej śpiewał i najsurowiej pełnił służbę wartowniczą.

O tym ostatnim przekonało się wielu oficerów, którzy zapomniawszy hasła usiłovali wałęsać się po nocy. Choćby na przykład kwatermistrz 1 dywizji piechoty, który w Sielcach został położony w błocie pośrodku ulicy. Czekał tam, klęcząc na czym świat stoi, aż do zmiany posterunku, a potem jeszcze w nagrodę wypadało mu podarować wartownicze nowiutką i elegancką zmianę bielizny.



Spójrzmy jednak odważniej prawdzie w oczy - miał batalion kobiecy, czyli „bab-bat”, jak go w skrócie nazywano, pewną specyfikę, której nie mogły zlikwidować ani najsroźsze rozkazy, ani najstaranniejsze wyszkolenie. Kobieta z karabinem w rękę, z moździerzem na plecach czy pistoletem maszynowym na piersi (no właśnie! przepraszam za dwuznacznik) nie przestaje być kobietą.

Ze wspomnianego wyżej względu dowództwo batalionu, a nawet dowództwo armii, miało wiele kłopotów, których domyślać się można, o których mówi się do dziś w kręgu starych żołnierzy i o których pisać nie uchodzi.

Na jednej z sieleckich odpraw Zygmunt Berling, jeszcze wówczas pułkownik, piorunował:

- Kiedy wreszcie ten batalion stanie się jednostką wojskową? Przychodzę na inspekcję o godzinie czwartej nad ranem, wychodzi mi naprzeciw oficer służbowy Halina B. i zamiast meldować mówi, poprawiając włosy: „Dzień dobry. A pan pułkownik do której z nas przyszedł z wizytą?”

Naturalnie było to w początkach szkolenia i potem oficerowie służbowi (czy może „oficerowe służbowe”?) nauczyli się (czy może „nauczyły się”?) meldować jak należy. Nie zawsze jednak

przychodzący był inspektorem. Czasem właśnie chciał złożyć wizytę, miał coś bardzo osobistego do powiedzenia.

Było to w lipcu 1944 roku. Batalion wraz z armią szedł szybkimi przemarszami w stronę Lublina, którego wyzwolenia spodziewano się lada chwila. Na nocleg jedna z kompanii stanęła w szopie za wsią. Fizylierki rozesały stonę na klepisku, zasnęły zmęczone dziennym upałem i drogą.

Koło północy krzyk wartowniczkii obudził sierżanta podchorążego Irene Kalinowską, zastępcę dowódcy do spraw politycznych. Nasłuchiwała chwilę.

- Stać! Ani kroku! - znowu krzyknęła wartowniczka.

Odpowiedział jej męski przyciszony głos. Słów nie można było zrozumieć. Kalinowska wstała, ściągnęła pas i wyszła przed wierzaje. Noc była jasna. W odległości piętnastu kroków stał człowiek z uniesionymi ku górze rękami. „Oficer” - poznała po pasie z koalicyjką.

- Opuścić ręce.

Podeszła do niego, odczytała stopień na naramienniku.

- Opuście ręce, obywatelu chorąży. O co chodzi? Macie jakiś rozkaz, meldunek?

- Nie - spieszył się wyraźnie. - Ja prywatnie. Muszę zobaczyć szeregowca... - wymienił imię i nazwisko.

- Wizyty po nocy? Przyjdźcie rankiem.

- Nie. Ja koniecznie teraz.

- Wykluczone. Jest rozkaz armii - nie wolno.

- Ja tylko dwa słowa.

- Znamy się na tym.

- Naprawdę. Dwa słowa - w głosie chorążego dźwięczał szczery żal i prośba.

- Nie wolno - odpowiedziała Kalinowska. I dodała łagodniej: - Może mnie powiecie, o co chodzi, a ja powtórzę.

Przestąpił z nogi na nogę, wahał się, czy może zaufać.

- No, walcie śmiało. Powtórzę na pewno.

- Dobrze - zdecydował. - Powiedzcie jej: „Wszystko skończone”. Zapamiętacie?

- Zapamiętam i powiem.

Zasalutował i odszedł zgarbiony lekko.

Tak, tak, batalion kobiecy im. Emilii Plater to jednak była szczególna jednostka.

34. Audycja

Wieczorem tego samego dnia, w którym przekroczyliśmy Bug, nocleg wypadł w niskim, gęstym sośniaku, na skraju przesieki dzielącej go od wysokiego lasu. Kiedy ostatni ciągnik ulokował swe działo i zamilkł, dobiegł od zachodu drobny werbel automatów i grubszy cekaemów. Od czasu do czasu polówki (armaty 76 mm) kuły szybkim ogniem jak dziecioty. Horyzont w stronę Lublina jarzył się przyćmionym żarem - nie zgadniesz, od pożarów czy od niskiego słońca.

Zwiadowcy przynieśli z wozu „polityczne radio” - niezgrabny, zielono malowany odbiornik, podobny do nocnej szafki z sypialni piotrkowskich emerytów. Jeden z żołnierzy przywiązał klucz do linki antenowej, cisnął go poprzez koronę sosny. Drut zawisł na konarach.

Rozesłałem sobie pelerynę, przysiadłem, począłem szukać Moskwy. Popiskiwiała najpierw jakaś depesza - może z dowództwa frontu, może z eskadry okrętów na dalekim morzu, może partyzancka. Nasza czy obca - nie wiadomo.

Gapiąc się w skalę słyszałem za plecami kroki i szepty. Jak zwykle wszyscy wolni od zajęć szli na swodkę. Przyjęła się ta rosyjska nazwa ostatnich wiadomości i nie spostrzegając już jej obcego brzmienia deklinowaliśmy we wszystkich przypadkach: swodka, swodki, swodce, swodką... Stała się zwykłą i nieodzowną częścią programu dnia, jak śniadanie i czyszczenie broni, fasowanie konserw i cukru.

Złapałem wreszcie stację. Nadawali koncert. Chór śpiewał mocno i gniewnie: .

Pust' jarost' blagorodnaja wskipajet kak wolna,
idiot wojna narodnaja, swiaszczennaja wojna...

I zaraz potem:

- Goworit Moskwa. Pieriedajem...

Było już mroczno. Jeden ze zwiadowców zapalił zawieszoną na guziku latarkę, szykował papier do notowania nazw zdobytych dziś miast. Światło wydobyło zarysy paru żołnierskich twarzy. Przybladły ogniki papierosów.

Uroczystym, urzędowym głosem spiker odczytywał zwykłą formułę wstępną i zawiesiwszy na moment głos, przeszedł do rozkazu Stalina o wyzwoleniu Chełma. Wiedzieliśmy już, ale wszyscy słuchali z uwagą - to, o czym mówiono w radio, było nasze własne, prawie widoczne poprzez pnie, było leśną, pokrytą igliwem ziemią, tą właśnie, którą mieliśmy pod nogami.

Rozkaz dobiegał końca. Padały słowa niezmiennie jak modlitwa:

- Wiecznaja sława gierojam pawszym w bojach za swobodu i niezawisimost' naszej rodiny... - to słowo zawsze było ostatnim przed podpisem, ale dziś stało się inaczej; nie przerywając zdania spiker ciągnął - ...i sojuznoj nam Polszy.

Spojrzeliliśmy po sobie. Paru zdjęło czapki.

To nie był koniec niespodzianki. Nie pamiętam, jak zapowiedziano audycję i jaka melodia była pierwsza. Znieruchomieliśmy jak zaczarowani, a z głośnika zielonego pudła, przez popiskiwanie innych radiostacji, płynęły krakowiaki, kujawiaki, oberki.

Przekręciłem gałkę na pełną moc. Przy działach ktoś krzyknął i ustało postukiwanie siekiery.

A w głośniku oberek się urwał i bez uprzedzenia, jak rakieta przez noc, huknął mazurek. „Mazurek Dąbrowskiego”. Że jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy.

Zerwałem się na baczność. Zwiadowcy zgasła latarka. Czując skurcz w gardle mocno wdychałem ustami leśne, rzeńskie powietrze. Było sone od łez.

35. Argument

Po dwudniowym postoju koło Lublina ruszyliśmy wreszcie naprzód na Wisłę. Paliło lipcowe słońce, gorąco buchało z rozgrzanych ciągników, ręce mdlały od ciągłego salutowania i chwytania w locie georginii. Spod kwiatów ledwo było widać lufy i głowy kanonierów. Zamaskowani byliśmy „na bukiet”. W żołądkach chlupało zimne mleko, którym częstowali chłopci podczas krótkich przystanków.

Za lata tułaczki po dalekich ziemiach, za trud żołnierski, za krew spod Lenino i ogień spod Dolska odbieraliśmy nagrodę - powitanie Polski. Wszystko we wnętrzu było jakieś rozedrgane, radosne i otwarte na oścież. Mimo paru gorzkich doświadczeń każdy napotkany widział się w dalszym ciągu bratem serdecznym...

Jakoś tak po południu kolumna dyonu stanęła na leśnej drodze pod sosnami. Opodał, między pniami, kręcili się ludzie w granatowych kombinezonach, rogatywkach z orłami i biało-czerwonych opaskach. Rękawy podwinięte, gęby marsowe, na pasach granaty, a w rękach mauzery, bergmany, pepesze... Jednym słowem - partyzanci. Ci, którzy na tyłach wroga, bohatercko, z przeważającymi siłami...

Bez namysłu zeskoczyłem z ciągnika i poszedłem ku nim. Zatrzymał mnie jeden z automatem na piersi.

- Dokąd?

Na opasce miał litery AK, ale to mnie nie peszyło. Miałem w dyonie paru chłopców z 27 dywizji Armii Krajowej, którzy jeszcze w maju przybyli jako uzupełnienie.

- Do was - odpowiedziałem.

- Po co?

- Jak to, po co? - zatkało mnie trochę. - Przywitać się, pogadać...

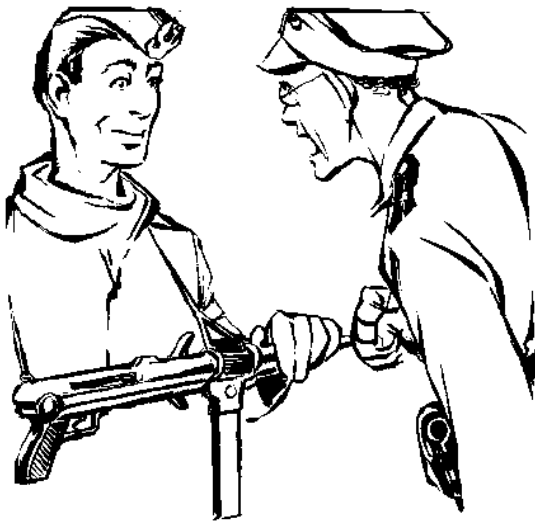
- Tu nie karczma. Oddział wojskowy Polski Podziemnej.

Tymczasem wokół nas zebrała się grupka: wąsaty porucznik, dwu kaprali, jakiś z lornetką i w niemieckiej panterce, trzech innych i dziewczyna ze skórzaną plecionką pistoletu na szyi.

Ładna była - usta jak jarzębina pod śniegiem.

- Nawet dobrze mówi - stwierdził jeden z kaprali. - Bez akcentu.

- Skąd jesteś? - spytał drugi.



- Z Warszawy.

- Az jakiej ulicy? - egzaminował dalej.

Nie podobał mi się ton ani to tykanie, powstrzymałem się jednak jeszcze.

- Róg Konopackiej i Stalowej. Mieszkania dziewięć. Pierwsze piętro, ze schodów na lewo. W goście się do mnie wybieracie, kapralu?

- Mówi jak wyuczoną lekcję - wycodził porucznik. - Dobrą szkołę im dali. Pewno i „Zdrowaś Mario” umie na pamięć.

Czułem, że krew uderza mi do głowy. I stać tu nie warto, i odejść nijako. Zrobiłem rzecz najgłupszą taktycznie - począłem tłumaczyć.

- Szedłem do was, żeby się przywitać... Po tylu latach... Nasza armia niesie wolność...

- Poczekaj - brutalnie przerwał mi ten drugi kapral. - „Zdrowaśkę” umiesz?

Nie wytrzymałem. Zaciskając pięści podszedłem krok do niego.

- Bęwał jesteście, a nie podoficer! Nogi do kupy, postawa zasadnicza! Ja cię stawiam rakiem do winkla i przez cynaderkę, przez ślepą kiszkę, każę cię za jedyne dziesięć groszy nocnemu stróżowi p..... bo mnie się nie chce.

Przez moment kapral stał błądliwy i na baczność. Potem nagle wszyscy ryknęli śmiechem, a dziewczyna chwyciła mnie za szyję i pocałowała.

Potem wypiliśmy po kubku wódki z manierki wąsatego porucznika.

Gdy kolumna ruszyła, partyzanci wyszli na drogę i długo machali nam w ślad czapkami. Dziewczyna powiewała chusteczką.

36. Noblesse oblige

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że ludzie wybitni często rekrutują się z uczniów, którzy w szkole obrywali dwóje i przysparzali masę kłopotów nauczycielom. Ibsen, Edison, Żeromski - przykładów, ile kto chce. I odwrotnie - zdarza się, że z prymusa od pierwszej do ostatniej klasy wyrasta osoba nieciekawa, przeciętna i szara. Nie zawsze, naturalnie, ale często. Wystarczająco często, by można z całą pewnością stwierdzić, że na podstawie szkolnych ocen niczego stwierdzić się nie da.

Podobnie i w wojsku. Często z tych, którzy dostawali dobre oceny podczas wykładów i ćwiczeń, nie ma na froncie żadnego pożytku, i odwrotnie - żołnierz, który w okresie formowania sprawia swym przełożonym wiele kłopotów i smartwień, okazuje się cenny w boju. Nie zawsze, naturalnie, ale często. Wystarczająco często, by można z całą pewnością stwierdzić, że decydujący egzamin następuje dopiero pod tzw. gradem kul. Pierwsze dni w ogniu rozstrzygają - zmienia się wówczas często opinię o żołnierzu, z papierowej na bojową i ta druga ma cechy dużej trwałości. Zła czy dobra, lgnie jak smoła. Tej drugiej opinii niełatwo się pozbyć, bez względu na to, czy jest zasłużona, czy nie...

W tym miejscu pora od teoretycznych wywodów przejść do konkretnego, czyli kanoniera Waldemara Wajszwilego, zwiadowcy, który w okresie szkolenia wprawiał w zadumę swych przełożonych nie tylko arystokratycznym imieniem i zdecydowanie gruzińskim nazwiskiem, lecz także dziesiątkiem zgoła uczniackich figłów i psot.

Zdawało się, że na froncie nie przysporzy wawrzynów swej rodzimej baterii, jako człowiek zgoła niepoważny. W pierwszym boju pod Dolskiem nie wyróżnił się niczym dobrym ani złym. Przynajmniej ja nie pamiętam. Dopiero pod Dęblinem...

Stanowiska ogniowe wypadły na skraju dużej polany. Przodem był las pusty aż do Wisły. Sprawa z piechotą wyglądała dość mętnie - nie bardzo było wiadomo, czy w ogóle ktokolwiek nas osłania. W każdym razie należało wyjaśnić, czy na wschodnim brzegu rzeki są oddziały osłonowe Niemców, czy ich nie ma.

Zadanie to przypadło naturalnie zwiadowcom, których szczuplutkie drużyny miała każda bateria w swym plutonie dowodzenia. Nie wiem, czy słusznie, drużyny te podzielono jeszcze na dwuosobowe patrole. W składzie jednego z nich pomaszerował szczupły, młodzieńki dowódca zwiadu, chorąży Edward Ostrycki, i smagły, czarnooki, ale za to po babce i mamie jasnowłosy, kanonier Waldemar Wajszwili.

Wykorzystując teoretyczne mądrości wiedzy wojskowej, wędrowali na azymut, zbaczając to w lewo, to w prawo, by minąć otwarte polanki i gąszcz podeschniętego dołem młodniaka, gdzie zdradliwie trzaskały gałązki. Dzień był słoneczny, upalny, w lesie ostro pachniało żywicą i niepokojem. Za każdą kępą drzew mogła się kryć zasadzka. W każdej sekundzie ciszę podszytą odległym buczeniem samolotów mogła rozpruć bliska seria schmeissera.

Spłoszyli sarnę -- poprzez zieleń przemknęła smuga czerwonej sierści i tupot galopujących raciczek. Stali długo z palcami na spustach odbezpieczonych pistoletów maszynowych. Obaj mieli wielką ochotę zawrócić. Dlatego właśnie, gdy ruszyli z miejsca, tym śpieszniej szli dalej, by wreszcie dotrzeć do skraju lasu.

Las nie kończył się długo. Stanowczo za długo. Ale wreszcie, gdy drelichy obu zupełnie pociemniały od potu, dostrzegli prześwit. Przystanęli, rozglądnęli się i na znak Ostryckiego poczęli przesuwac się

kolejno od pnia do pnia - jeden zmieniał stanowisko, drugi wypatrywał wroga z automatem gotowym do strzału.

Drzewa stały się grubsze, rzadsze, widać już było za nimi jakieś piaski, poletka, jakieś dachy, gdy nagle Wajszwili zawadził nogą o korzeń i rozciągnął się jak długi. Odbezpieczony pistolet maszynowy wyrząbał długą serię rwąc korę na sosnach. Ze wszystkich stron zadudniło echo po lesie.

Ostrycki przypadł do ziemi, odczekał chwilę i podpełznął do Waldka.

- Żyjesz?

- Żyję.

- Kto to strzelał? - spytał szeptem.

Wajszwili pomyślał, jaka czeka go awantura, wyobraził sobie rozchichotane twarze kolegów z drużyny, kpiących z jego przygody, i postanowił ratować reputację zwiadowcy.

- Niemcy - odszepnął. - Z sadu tego domku - pokazał ręką.

Edek, który w pokojowych czasach wkuwałby w tym wieku do matury, poczerwieniał z wrażeń. Z odległości metra patrzyły nań młodsze o dwa lata, ciemne oczy kanoniera Wajszwilego. Trzeba było powziąć decyzję.

- Nawiązaliśmy kontakt - zdecydował. - Wracamy do baterii.

- Ja przykryję odwrót - zaofiarował się Waldek i rąbnął serię w płot koło domku.

Odczołgali się w głąb lasu strzelając z automatów i szybko wrócili na stanowiska ogniowe, gdzie zresztą ich wiadomości okazały się już niepotrzebne, bo przyszedł rozkaz przemarszu pod Puławę.

Od dnia tego datuje się sława kanoniera Waldemara Wajszwilego jako wzorowego zwiadowcy, który nie tylko przytomnie wykrywa wroga, ale odważnie osłania swego dowódcę i poza tym nosi szczęście żołnierskie na lufie swego automatu. Oficerowie chętnie brali go ze sobą na trudniejsze wyprawy. Inna rzecz, że Waldek był, a może dopiero stał się, naprawdę dzielny. Noblesse oblige - pragnąc utrzymać zdobytą pod Dęblinem pozycję stał się duszą drużyny zwiadu - ochotnikiem do najtrudniejszych zadań.

37. Ptaszek

Nad Bugiem rozpoczęła artyleria armii. Nad Wisłą - piechurzy z 2, 4, 5 i 6 pułku piechoty, ostro atakując obronę Niemców pod Młynkowem, na dęblińskim moście, pod Łęką i Górą Puławską. A pierwszą dużą bitwę na zachód od Wisły stoczyli pod Studziankami czołgiści - 1 brygada pancerna.

Przeciwników dała im historia doborowych - potężną jednostkę czołgową, spadochronowo-pancerną dywizję „Hermann Göring”. I doborowych w tej walce partnerów - piechurów z 8 armii gwardii, tej samej, która nosząc cyfrę 62 walczyła w Stalingradzie - jednym słowem, armii generała Czujkowa.



Dziesięć dni trwała bitwa - od 8 do 17 sierpnia. Niemców osadzono na miejscu, okrążono i zlikwidowano. Historię walk napiszą kiedyś historycy - za pięć, za dziesięć czy za piętnaście lat... Naturalnie od dziś, nie od bitwy. Ponieważ jednak są to ludzie poważni i nie zajmujący się drobiazgami, warto dla pamięci potomnych zanotować nieporozumienie z ptaszkiem.

14 sierpnia został zdobyty folwark, broniony przez batalion spadochroniarzy. W oborze i na strychu magazynu zbożowego terkotały ostatnie serie dogasającego boju.

- Ja Klon, ja Klon. Folwark zdobyty - cieszyły się radiostacje.

Na prawym skrzydle prowadził czołg podporucznik Aleksander Marczuk, syn chłopa spod Krasnegostawu. Ogień ucichł, Marczuk chciał wyjść z wozu, ale gdy tylko uniósł klapę włazu, zastukała po pancerzu seria z automatu. Poznał dźwięk pepeszy, więc zdziwiony rozejrzał się przez peryskop - ukryty za węglem czaił się czerwonoarmista.

Szczęściem nadszedł lejtnant Mamedow i sklął tamtego od pięt do głowy. Śniady, sympatyczny Uzbek tłumaczył się żarliwie:

- Ja patrzeć: na maszynie ptaszek namalowany. Gwiazdy nie ma. Oj, oj, duża pomyłka.

Marczuk parsknął śmiechem, a za nim Mamedow.

- On przedtem nie widział waszych czołgów - wyjaśnił lejtnant. - Tuż przed atakiem przysłano mi sześciu ludzi uzupełnienia.

W każdym razie czołg Marczuka zyskał sobie w żołnierzu z Uzbekistanu dzielnego sojusznika i obrońcę - czerwonoarmista pilnował go przez cały dzień i noc, póki ich oddział nie został przerzucony na inny odcinek. Przepraszał Marczuka z dziesięć razy i wreszcie na odchodnym podarował mu skórzany kapciuch na tytoń, wyszywany paciorkami. - Taki ptaszek - dobry ptaszek. Zapamiętam - obiecywał solennie.

*

Studziankowski epizod nie jest jedynym przykładem polsko-uzbeckiego współdziałania podczas minionej wojny i nie jedyną przygodą z „ptaszkiem”. By wyczerpać temat, podejmiemy męską decyzję złamania zasady jedności czasu i wybiegniemy myślą na spotkanie wiosny 1945 roku.

1 korpus pancerny w szeregach 2 Armii walczył na zachód od Nysy. Flankowe uderzenie zgrupowania generała Schörnera, który rzucił do walki cztery dywizje pancerne i zmechanizowane oraz szereg związków taktycznych piechoty, przemieszało szyki polskie i radzieckie. I wówczas właśnie w rejonie walk jednej z naszych brygad znalazł się czołg z uzbecką załogą.

Wszyscy czterej mieli oliwkowe twarze i skośne, przymrużone od stepowego słońca oczy, wszyscy czterej słabo mówili po rosyjsku. Stali ze swą maszyną na skraju lasu, nie bardzo wiedząc, dokąd jechać.

- Pytam, gdzie droga - tłumaczył dowódca. - Odpowiada Polak. Nie rozumiem. Odpowiada Rosjanin - rozumiem.

- A jak Polak mówi po rosyjsku? - spytał żartem oficer z naszego korpusu.

- Też rozumiem.

- To będziecie walczyć razem z nami.

- Rozumiem. Dobrze.

Był rozkaz Frontu o wcielaniu zabłąkanych pododdziałów na miejscu do jednostek walczących. A poza tym czołg z załogą - łakomy kąsek. Każdy wóz liczył się w ciężkim boju.

Przydzielono więc znalezionych do najbliższej kompanii, przemalowano spieszenie gwiazdę na orła i już po godzinie Uzbegy łupili do nacierających Niemców na sławę polskiego imienia. Pod wieczór zaś pili wódkę pod granicę na Odrze i Nysie wołając: „Niech cię cholera” i „Niech żyje”.

Przetrzymaliśmy ich dłużej, niż zezwalał rozkaz. Kiedy przyjeżdżali radzieccy oficerowie łącznikowi, skośnooką załogę chowano na wszelki wypadek pod pancierz. A nuż nie uwierzyliby, że to chłopaki z Mazowsza czy Kujaw?

Szkoda było nie tylko czołgu, ale dobrych kumpli, wesołych towarzyszy, odważnych w boju. W końcu jednak odjechali do swoich i gdzieś się zapodziała kartka, na której wypisali swe egzotyczne imiona i nazwiska. A żal, bo warto byłoby ich do Warszawy zaprosić albo na jakie święto wojskowe. Zasób słów polskich na zasadnicze okoliczności, jeśli nie zapomnieli, posiadają.

38. Trafiony w zupę

Gdy na południu toczyła się bitwa pod Studziankami, piechota 1 Armii przejęła obronę północnej części przyczółka magnuszewskiego. Ciężka artyleria stanęła wówczas wobec problemów terenowych znacznie cięższych niż jej własny kaliber. Działa - na prawym brzegu Wisły; punkty obserwacyjne - na lewym brzegu Wisły i jednocześnie na prawym Pilicy; wróg - na lewych brzegach obu rzek. Bez pół litra lub mapy trudno się nawet połapać. Sytuacja niczym w piosence:

Ja za wodom, ty za wodom,
my za wodom, fryc za wodom,
jakże ja mu pocisk podom,
kiedy schował się za wodom...

W rzeczywistości nie chodziło zresztą o pociski. Im wszystko jedno. Wystrzelone, przelecą te swoje piętnaście czy dwadzieścia kilometrów i zrobią, co do nich należy. Ale żeby trafić, trzeba obserwować przeciwnika, a więc siedzieć możliwie blisko jego pozycji.

Organizację wysuniętego punktu obserwacyjnego polecono 4 baterii kapitana Polaka. Na rozpoznanie poszedł chorąży Edward Ostrycki, zabierając ze sobą telefonistów: kaprała Tadeusza Sadego i kanoniera Emila Drozdowskiego, oraz zwiadowców: Zbyszka Podgórskiego i naturalnie Waldemara Wajszwilego.

Ledwo łodzią przepłynęli Wisłę i stanęli na twardym łądzie przyczółka, Waldek się przydał - spotkał znajomego z Semipałatyńska. Miasto to leży na szerokości geograficznej Krakowa i na tym samym południku co Kolombo, stolica Cejlonu, w odległości zaledwie czterech tysięcy kilometrów od Magnuszewa. Można zaryzykować twierdzenie, że Waldek miał tzw. łut żołnierskiego szczęścia.

Znajomek o imieniu Sierioża okazał się dowódcą plutonu zwiadu z luzowanej jednostki rosyjskiej. Dowiedziawszy się o zadaniu grupy Ostryckiego, postanowił pomóc w ramach sympatii osobistej i przyjaźni sojusznicznych narodów. Zaprowadził ich nad samą Pilicę, do rozbitego pociskami domu, który wspianiale nadawał się na punkt obserwacyjny.

Co innego jednak znaleźć dobre miejsce, a co innego mieszkać tam przez wiele dni i nocy, obserwować, utrzymywać łączność, kierować ogniem, spać i jeść.

Dla podtrzymania łączności przeciągnięto początkowo kabel telefoniczny nad Wisłą. Urządzenie okazało się niepraktyczne - cięły je odłamki, rwało się pod własnym ciężarem. Po paru dniach ktoś, bodaj kapral Sady, krzepki, okrągłolicy chłopak i dobry żołnierz, wyszperał kilometr wodoszczelnego przewodu i linię położono pod Wisłą, na dnie rzeki.

Teraz sprawą najtrudniejszą, najbardziej żmudną okazało się dostarczenie jedzenia. Po kablu szły tylko rozkazy - ani zupa, ani gulasz nie chciały przepływać ze słuchawki do słuchawki. Tyle że telefoniści z PO w przerwach pomiędzy przekazywaniem komend pytali:

- Co tam u was na obiad?

Słuchali smakowitego opisu i klęli:

- Ażeby wam piasku w menażki nasypało...

Szef baterii ładował porcje przeznaczone dla załogi punktu obserwacyjnego do dwu dużych, dwudziestolitrowych termosów i dostarczał nad brzeg rzeki, organizował przerzut łodzią na drugą stronę.

Stamtąd zabierali je zwiadowcy, co dzień inna para. Ze względu na ogień przeciwnika dostawa nie była zbyt regularna. Gdy pewnego razu po termosy wysłano Wajszwilego i Drozdowskiego, świt zastał ich jeszcze w drodze.

Brnąc po kostki w sypkim piachu nadrzecznych wydm, gnali uciekający mrok. Termosy - metalowe, ciężkie pudła o owalnych brzegach - utrudniały marsz. Nieśli je przypięte pasami na plecach, rękami ocierali twarze z potu.

Słońce było szybsze - podmalowało wschód na różowo i wyjrzało poprzez topole na wiślanym wale.

- Przeczekamy czy jak? - Drozdowski zamrugnął niebieskimi oczami.

- Zgłupiałeś? - zdziwił się Waldek. - Dzień chcesz przeczekać?

- Rzeczywiście - kiwnął głową telefonista. - Na PO nie mają co żryć.

Szli jeszcze chwilę spokojnie, gdy nagle gwizdnęło krótko i kula wzbija szczupłą fontannę piasku o pół metra przed butem zwiadowcy.

Obaj bez słowa skoczyli naprzód, przypadli za niewielką wydumą. Z prawej, od strony Pilicy, dobiegł ich suchy, pojedynczy trzask wystrzału.

- Snajper, cholera.

- No właśnie. Wcześniej się budzi, skurczybyk.

Milczeli chwilą, nasłuchując. Po skórcie piasku, zwilgotniałej nocą, szedł ciężki żuk. Wylazł na słońce, uniósł chitynowe pancerze, suszył skrzydełka. Dalej nieco leżał na ziemi czarny kabel telefoniczny.

- Klną nas pewno, żeśmy zbłądzili.

- Może szef powie, że się spóźnił - Emil wierzył w ludzi.

- Akurat - burknął sceptycznie Waldek.

Zuk zahuczał, trącił brzuchem o suchą trawę na starcie i poleciał.

- Trzeba by chyba...

- Trzeba. Będziemy pełzać aż do krzaków. Inaczej nie da rady.

Ruszyli na łokciach i kolanach. Ryli brzuchami szeroki dziwny ślad niczym ogromne dżdżownice. Piach wciskał się pod mundurem, za pasek spodni, szorował po brzuchu.

Długo to trwało. Słońce zaczynało już przypiekać, a krzaki zbliżały się powoli. Na froncie panowała cisza. Tylko gdzieś dalej dudniły miny moździerzy.

Drozdowski został w tyle, chciał dogonić i spróbował na czworakach.

Wajszwili usłyszeli gwizd kuli, wystrzał i krzyk.

- O rany!

- Czego?

- Dostałem!

Zawrócił, podpełznął do telefonisty. Leżeli teraz jeden przy drugim na waleta.

- Gdzie?

- Z tamtej strony. Piecze, pali ogniem.

Waldek uniósł głowę, zająztał i parsknął śmiechem.

- Leż. Krupnik ci sika na plecy. Termos przebiło.

Urwał kawałek owijacza, zatkał dziurę.

- Ruszamy. Tylko trzymaj się nisko przy ziemi.

Kiedy przyszli na punkt obserwacyjny, powitano ich wymówkami, ale z radością. Ostrycki myślał, że stało się coś złego.

- Stało się, obywatelu chorąży. - Waldek odśrubował pokrywę i pokazał opróżniony do połowy termos.

- Czemu tak mało?

- Nie nasza wina, tylko Niemców. Snajpera. Trafił Drozdowskiego w zupę.

- Gdzie?

- No, przecież mówię: w zupę, w krupnik.

39. Straty bojowe

Jak wojna, to i straty. Niezależnie od tego, gdzie, przez kogo, jak i kiedy toczona.

Jak straty, to i problem tzw. spisania strat, czyli formalnego ich stwierdzenia oraz ewentualnych uzupełnień.

Z uzupełnieniami bywa różnie.

Dwie polskie jednostki pancerne - 1 brygada nad Wisłą i 1 dywizja na południe od Caen w jednym dniu, 8 sierpnia, wchodziły do bitwy.

2 pułk pancerny dywizji generała Maczka jeszcze na tyłach 51 dywizji szkockich highlanderów, jeszcze nie oddawszy strzału, stracił trzydzieści dwa czołgi spalone ogniem niemieckiej artylerii. Luki w szykach bojowych zostały uzupełnione w ciągu nocy.

1 brygada straciła bezpowrotnie podczas bitwy osiemnaście wozów, niszcząc dwukrotnie więcej czołgów i dział szturmowych wroga.

O uzupełnienie, trzeba było prosić Naczelne Dowództwo Armii Radzieckiej.

W związku z powyższym nasuwają się pewne wnioski na temat proporcji między wielkością wysiłku militarnego a możliwościami materialnymi obu stron. Nie tu jednak miejsce na ich formułowanie...

Przypuszczam, że na tamtym froncie mniej troski i zabiegów wymagało również uznanie rzeczy zniszczonych, straconych, zagubionych - za zniszczone, stracone i zagubione.

Na naszym froncie uznawano tylko straty bojowe, co znakomicie wpływało na rozbudzenie twórczej inicjatywy i pomysłowości szefów kompanii i baterii.

Wspomniana uprzednio łódź, którą przewożono przez Wisłę prowiant dla załogi punktów obserwacyjnych rozlokowanych nad Pilicą, była starą, wiosłową krypą. Prócz termosów, chleba, cukru i konserw ładowano do niej amunicję, a na kursie powrotnym, od czasu do czasu, rannych. Mosty i przeprawy promowe leżały w zasięgu dalekonośnej artylerii Niemców, a poza tym bezustannie były bombardowane przez lotnictwo. Na łodzi zdawało się bezpiecznie, mimo że trasa tych rzecznych rejsów wiodła tuż obok ujścia Pilicy, przed samym nosem hitlerowców. A może dlatego właśnie, nie spodziewając się takiej bezczelności, wróg przez tydzień nie zauważył naszego „krążownika”.

Nie należy jednak z elementów zaskoczenia czynić tradycji historycznej. Ósmej nocy, gdy łódź dotarła do środka rzeki, huknęły salwą przyczajone moździerze, poczęły prac cekaemy. Krypa poszła na dno, a jej załoga szczęśliwie wymigała się dwoma lekkimi postrzałami.

Byłem mocno zmartwiony - jako zastępca dowódcy dyonu musiałem na nowo rozwiązać problem komunikacji. Natomiast nasz szef, starszy ogniomistrz Józef F., zacierał ręce, podśpiewywał, a jego pełne, poczciwe i inteligentne oblicze promieniało ze szczęścia.

W pierwszej chwili nie pojmowałem, dlaczego, ale sprawa się wyjaśniła, gdy nazajutrz przyniósł mi do podpisu sporządzony na czterech stronach „Akt strat materiałowych poniesionych w wyniku zatopienia środka przeprawowego na wysokości ujścia Pilicy przez ogień przeciwnika”. Wynikało z niego niezbitie, iż na krypie znajdowały się m.in.: 3 mundury żołnierskie, 11 par butów kierzowych, skrzynka konserw mięsnych, 3 opony samochodowe, zapasowy silnik, 5 rakietnic, rusznica przeciwpancerna, lorneta nożycowa, 7,5 metra flaneli na zimowe onuce, kożuszek oficerski...

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma, zacisnąłem pięści i nie chcąc mieć życia szefa na sumieniu, porachowałem z wolna do dwudziestu.

Potem zaproponowałem mu, byśmy wspólnie przeliczyli ciężar owych przedmiotów.

- Ja już to sumowałem, obywatelu poruczniku - odrzekł z niewinnym uśmiechem. - Wypada około ośmiuset kilogramów.

- A więc to był krążownik czy łódka? - spytałem, czując, że krew mnie zalewa.

- Melduję, obywatelu poruczniku, że łódka. Może właśnie dlatego tak szybko zatonąła, że przeciążona.

Naiwnie i nierozsądnie odmówiłem podpisu mimo tłumaczenia szefa, że jest to jedyny sposób wyprowadzenia wszelkich rachunków materiałowych na czystą wodę.

Ogniomistrz jednak postawił na swoim. Dwa dni później pokazał mi kopię „Aktu” zatwierdzoną przez kwatermistrza. Zawierała ona o cztery pozycje więcej. Zapewne i tamci musieli wyprowadzić jakies rachunki pod wodę.

Nie myślcie jednak nic złego. Nasz szef był człowiekiem naprawdę sumiennym i uczciwym. Po prostu w długich przemarszach to i owo tam i ówdzie się zgubiło czy zapodziało, a surowe przepisy uznawały tylko „straty bojowe”.

40. Czynniki nadprzyrodzony

Pod koniec sierpnia czy na początku września weszliśmy w stadium „wojny pozycyjnej” nad Pilicą i Wisłą. Odgradzeni od wroga szerokimi rzekami, głęboko okopani, urządzili w ziemiankach o potrójnym stropie z sosnowych bali, wiedliśmy na stanowiskach ogniowych życie może nie komfortowe, ale w każdym razie osiadłe.

Przyszedł czas na strzyżenie i golenie, pranie i czyszczenie, na kąpiel w gorącej wodzie. Po doprowadzeniu grzesznych ciał do porządku - kolej na dusze. Jako oficer polityczny otrzymałem zadanie od przełożonego, aby w najbliższą niedzielę zorganizować dla wierzących katolików wymarsz na nabożeństwo. Ateiści, protestanci, prawosławni i mojżeszowi mieli pozostać przy działach.

Już w piątek poszedłem na plebanię do wsi celem przeprowadzenia rekonesansu. Gospodyni, babka przy kości i jeszcze na chodzie, wywołała księdza z ogrodu. Nadszedł wielkimi krokami, z twarzą czerwoną od wysiłku, spod sutanny migały oficerki.

- Czołem, czołem, poruczniku - uściśnięła mi mocno prawicę. - Chodźmy na werandę.

- Ja, proszę księdza...

- Chwileczkę - przerwał mi stanowczo. - Pani Ziuto! Szklaneczki, gąsiorek i cielęcinkę. O suchej gębie, panie poruczniku, to żadna rozmowa. Gość w dom, Bóg w dom.

Przysiedliśmy w starych trzciniowych fotelach. Gospodyni uwinęła się migiem. Ksiądz rozlał do angiełek wiśniak o barwie skrzepłej krwi.

- Za polskie wojsko, panie poruczniku.

- W ręce księdza kapelana - przypocholebilem.

Za Wisłą stęknęła bateria. Cztery pociski ze świstem przeleciały nad nami i rąbnęły w skrzyżowanie dróg za wsią. Księdzu nawet ręka nie drgnęła. Wychylił do dna i obojętnie stwierdził:

- Stopiątki. A pan, poruczniku, z tego dyonu armat-haubic, co na piaskach za szosą?

Skinąłem głową, z trudem łapiąc oddech - wiśniak na czystym spirytusie.

- Mięska kawałek. Chlebka.

Zakąsiłem i wyłuszczyłem, w jakiej sprawie przychodzę. Ksiądz zajrzał do brewiarza, zmarszczył czoło i studiował dłuższą chwilę.

- Ewangelia świętego Mateusza, rozdział XXIII... - burczał pod nosem. - Da się zrobić - stwierdził wreszcie. - A kto tam w dyonie u pana porucznika najlepiej strzela? Jaka dusza chrześcijańska opuszcza się w służbie?

„Ho, ho - pomyślałem - ciekawy ksiądz...”

Ale do drażliwych pytań nie doszło, choć rozstaliśmy się po czwartej angielskiej wieśniaku.

W niedzielę przywiodłem czterdziestu chłopów. Niemcy ostrzeliwali drogę, więc dopiero przed kościołem sformowałem kolumnę i weszliśmy w główną nawę przed ołtarz. Msza jak msza - minęła normalnie, ale kazanie...

- Aby przyszła na was wszystka krew sprawiedliwa, która rozlana jest na ziemi, ode krwi Abła sprawiedliwego aż do krwi Zachariasza, syna Barachiaszowego, któregoście zabili między kościołem i ołtarzem - grzmiał ksiądz wskazując ręką na niemieckie pozycje za Wisłą. - Zaprawdę powiadam wam: przyjdzie to wszystko na ten naród.

Nabrał tchu w płuca i w ciszy zalegającej kościół zwrócił się wprost do kanonierów:

- A więc nie gapcie się jeden z drugim, owieczki moje. Naprowadzajcie dokładnie na punkt ustalenia, starannie dobierajcie ładunki. I zaprawdę, kropcie w tych drani odłamkowym i kruszącym granatem, ogniem nękającym i salwą, snopem równoległym i zbieżnym. Słuchajcie, bracia w Chrystusie, komend, jako i mnie dziś słuchacie...

Serce mi rośło w piersi, a kanonierzy stali zapatrzeni w kazalnicę. A kiedy pod koniec najlepsi celowniczości, zamkowi i amunicyjni dostali szczególne błogosławieństwo, kiedy dwu ospałym amunicyjnym i chuliganowi-aktorzyście dostało się od „ślepych faryzeuszów” i „wszelakiego plugastwa”, żołnierze rozwarli usta ze zdumienia.

Chciałem po kazaniu uściskać księdza, podziękować, ale nim dotarłem do zakrystii, wyjechał na chłopskiej furcie z sakramentami.

W każdym razie fakt faktem - bardzo to kazanie pomogło. Dobre dwa miesiące chodzili moi kanonierzy jak szwajcarski zegarek, a dyon brał pochwały za szybki i celny ogień. Nikt chyba w dowództwie armii się nie domyślał, że w grę wszedł tym razem czynnik nadprzyrodzony.

41. Artyleryjski sen

Dzień był upalny i pracowity.

Od rana zaczęliśmy kopać w paru miejscach pojedyncze okopy dla koczującego dział, które przejeżdżając na coraz to nowe stanowiska miało nękać hitlerowców, niepokoić, wprowadzać w błąd co do ilości naszych baterii. A że działa mieliśmy niewąskie, najcięższe w całej armii, rozmiary owych okopów wymagały wyrzucenia wielu metrów sześciennych ziemi. Pot łał się ze mnie strumieniami, choć tylko doglądałem robót. .

Zaraz po obiedzie zaszumiało górą, jakby kto wagon towarowy przerzucał. Pół kilometra za stanowiskami dyonu trysnął w powietrze wulkan ognia, błota i dymu. Zachwiała się ziemia. To Niemcy podciągnęli dział kolejowe ogromnego kalibru i kropili, macając baterie.

Odpowiedzieliśmy im zaraz, ale trochę na ślepo, więc bez rezultatu. Tyle że obsługa miała znowu mokre mundury.

Potem kolumna samochodowa brygady przywiozła pociski. Trzeba było pomagać ciężarówkom grzęznącym w piachu i rozładowywać. Po robocie wszyscy wyżymaliśmy koszule i suszyli na krzakach jałowca, wbrew wszelkim zasadom maskowania.

A więc, jako się rzekło, dzień był upalny i pracowity.

Po zachodzie słońca wykąpałem się na łące w głębokiej jamie po torfie i poszedłem do chałupy pod las, gdzie mieszkała pewna rodzina z Warszawy. Mama piekła wspaniałe placki kartoflane, a córka nie musiała, bo natura obdarzyła ją wieloma innymi zaletami, które zapewniają powodzenie.

W mrocznej i pachnącej świeżą słomą stodole gwarzyliśmy długo.

Do dyonu powróciłem przed północą. Ostrożnie wyminąłem w ziemiance trzy pary butów i ułożyłem się na swym miejscu - w najdalszym kącie pod ścianą. Chwilę słuchałem, jak pochrapuje zastępca dowódcy baterii, jak wygwizdują przez zęby obaj dowódcy ogniowych plutonów, i zasnąłem naciągając na głowę pelerynę.

Obudziłem się z niemiłym uczuciem, że coś ciężkiego na mnie leży. Obiema rękami odepchnąłem brezent. Ustąpił niechętnie. Okazało się, że to tylko piasek. Po każdej nocy zsypywaliśmy go z pryczy, bo sączył się między belkowaniem potrójnego stropu, ale dziś było znacznie więcej.

Na dworze świeciło ostro słońce, więc wciągnąłem spodnie, buty i wyszedłem się umyć.

Opodal pod sosną siedział dowódca plutonu i liczył coś w zeszycie.

- Dobry dzionek - powiedziałem. - Słuchaj, Stefan, coś trzeba zrobić z tą ziemianką. Z każdym dniem więcej piachu się sypie.

- E, tam - machnął ręką - nieprawda. A że dziś nasypało, to nie dziw.

- Dlaczego?

Podniósł oczy, popatrzył badawczo i roześmiał się:

- Toś ty naprawdę nic nie słyszał? A ja myślałem, że udajesz. Przed świtem strzelaliśmy trzy razy salwami. Nasza i 1 brygada na jedną komendę. Siedemdziesiąt, dwa ciężkie działa waliły. Dwieście szesnaście wystrzałów. Ale masz melodię do spania! - dodał z zazdrością. - Prawdziwie artyleryjski sen.

Wspomniałem wówczas, że matka chodziła po domu na palcach bojąc się mnie obudzić. A przecież do kroków jej powinienem być być równie przyzwyczajony jak teraz do wystrzałów.

42. Polacy

Dowódcą 4 baterii 5 brygady artylerii ciężkiej, w której rozpoczynałem swoją oficerską karierę, był porucznik Polak. Jeśli o narodowość chodzi, to Białorusin. Na imię miał, nie wiem czemu, Samuel. Podczas noworocznego bankietu w Wakino - chleb, kartofle, po półtora śledzia i dwieście gramów wódki na głowę - uzał się nad swoim losem:

- Byłem w gwardyjskim pułku artyleryjskim. Chłop w chłopa jak lwy. Zahartowane bractwo pod Moskwą, nad Donem, pod Stalingradem. Okiem mrugniesz - i już kropią z armat, że drzazgi z fryców lecą... Raniło mnie, byłem w szpitalu. Wyzdrowiałem i staję przed komisją. „Wy kto!” - pyta przewodniczący. „Starszy lejtenant Polak” - odpowiadam. „Raz wy Polak, w polsku armii po idiotie”. Tłumaczyłem, jak mogłem: że to tylko taka moja familia, że proszę o przydział do swojego gwardyjskiego pułku... Nie pomogło. „Polakom - powiada przewodniczący - właśnie gwardyjcy potrzebni. Tak masz ich wyszkolić, żeby się bili jeszcze lepiej niż gwardia”.

Urwał, pociągnął większy tyk wódki, a potem machnął ręką i dodał patrząc mi w oczy:

- No, a teraz ty sam powiedz, do czego to wasze wojsko podobne? Jeden drugiemu mówi „proszu pana, proszu pana, proszu bardzo” i czapkami się kłaniają zamiast salutować. Ech, nie udaczna moja familia...

Z rozpaczki pomylił kubki i z mojego dołał do swoich dwustu co najmniej pięćdziesiąt gramów.



Mijały tygodnie i bateria nie tylko poczęła przepisowo salutować, ale na Smoleńszczyźnie ostre strzelanie do hitlerowskich pozycji (żeby nie marnować pocisków na poligonie...) wypadło na piątkę. W lipcu, w bitwie pod Dolskiem, nasze działa rozbiły dwie baterie moździerzy i pięć gniazd cekaemów. Porucznik Polak awansował do stopnia kapitana, dostał jeszcze jeden order - „Czerwonej Gwiazdy”.

Wieczorami szkolił młodych oficerów w rzemiośle artyleryjskim, a my uczyliśmy go języka. Najlepiej wymawiał: „Naprzód, do jasnej cholery!” i „Kocham panią, proszę pani”. Drugim spośród radzieckich oficerów naszej brygady, którego obraz utrwalił mi się mocno w pamięci, był pompotiech dywizjonu, czyli pomocznik po technicznej części, a po polsku pomocnik do spraw technicznych. Był Rosjaninem, nazywał się Kudriawcow, a na imię miał Wasyl. Nie umiał ani słowa po polsku i nawet nie chciał się nauczyć,

choć arkana języka Mickiewicza wykladała złotowłosa i piękna wilnianka, Irena W.

Swoją robotę przy traktorach, samochodach i działach Wasyl wykonywał starannie, ale bez zapału. W stosunkach z żołnierzami był twardy, opryskliwy, gderał od świtu do nocy, a do reszty oficerów odnosił się chłodno i obojętnie. Tęsknił do swych towarzyszy frontowych z Armii Radzieckiej, z którymi przeszedł trudne lata na początku wojny; pisywał do nich długie listy. Z przełożonymi miał stale na pieńku, bo więcej dbał o sprzęt i armaty niż o raporty i meldunki.

Może dlatego nie awansował i długie miesiące nosił stopień porucznika, co pogłębiało jeszcze jego rozgoryczenie.

- W Krasnoj Armii ja by był uże major - twierdził ponuro.

W połowie września, kiedy jednostki radzieckie i kościuszkowska dywizja zdobyły szturmem Pragę, na nasze stanowiska pod Wilgą przyszedł rozkaz natychmiastowego wymarszu. Wieść ta zelektryzowała wszystkich, od kanoniera do dowódcy brygady. Nocą zdjęliśmy się z pozycji i ruszyliśmy na Wołgę Rębkowską i Garwolin do szosy.

Ciemno było - ni księżycy, ni gwiazd. Czerwone latarki zawieszane na lufach chwiały się i podrygiwały niczym ślepiec jednonożnych czarownic skąpanych w smołę. Marsz odbywał się w ślamazarnym tempie, żołnierze klęli, a już szczególnie ostro my - warszawiacy.

Niedaleko Garwolina kolumna utknęła. Zeskoczyłem z ciągnika, pobiegłem na czoło. W świetle latarek, na środku szosy, grupka ludzi - nasi żołnierze i radzieccy. Jakaś awantura, wymyślanie. Podchodzę bliżej i słyszę głos kapitana Polaka.

- A ja wam ..powiadam, że wy zaczekacie. Moja kolumna pójdzie pierwsza.

- Postoj, kapitan - przerywa mu radziecki major, czołgista. - Nasza część gwardiejska. Na Warszawę idiom. Dawaj nam drogę.

- A ty myślisz, że my sroce spod ogona?! My, Polacy, wszyscy gwardiejcy. I Warszawa też nasza, a nie wasza. Zadierży, major, swoi utiugi². Naprzód, chłopcy, do jasnej cholery! - dał znak czołowemu ciągnikowi i jeszcze, żeby zgnębić majora gwardii, rzucił mu ostro w twarz: - A ja was kocham panią, proszę pani.

Wyrwaliśmy się pierwsi na szosę. Wkrótce pojaśniało i traktorzyści bez komendy przerzucili biegi. Zajazgotała stal po bruku, spod gąsienicowych ostróg sypnęły iskry. „Roztrzepimy maszyny” - przemknęło mi przez myśl, ale nic nie powiedziałem.

Koło leśniczówki, tuż pod Garwolinem, wjechaliśmy na szeroką i gładką magistralę lubelską. Ktoś zamigotał latarką od czoła i jeszcze raz traktorzyści zmienili przekładnię. Silniki zawyły na wysokich obrotach - kolumna szła czwartym biegiem.

O pierwszej szarówce wjechaliśmy w las przy szosie. Tu właśnie, w rejonie wzgórza 141, miały na nas czekać wysłane przodem kuchnie polowe. Od czoła gasty ciągniki. Zeskoczyłem na ziemię, idąc prostowałem zdrętwiałe nogi.

Między drzewami kołatał jeszcze warkot, ale już podchodziła cisza porannego lasu. Ciężkie krople, strącone z paproci, zamoczyły spodnie powyżej cholew, przyjemnie chłodziły ciało.

Za krzaków usłyszałem ostry głos Kudriawcowa, sztorcującego jakiegoś traktorzystę:

- Durak! Niczego ty nie rozumiesz, sukinsyn. Żeby tobie dać działa i ciągnik! To ludzie nie żrą, nie śpią, flaki z siebie wypruwają. A tobie to nic, gonisz na złamanie karku, że osie się grzeją. Weź ręką, weź, gorące jak cholera.

- Nie ja szybkość ustalę - odciął się tamten.

² Utiug – żelazko do prasowania; tak nazywano czołgi w gwarze żołnierskiej (Przyp. autora).

Po głosie poznałem, że to kapral Książę, fajny i odważny chłopak, dowódca drużyny mechaników. Po wojnie spotkałem go na partyjnym zjeździe, już jako działacza jednego z wojewódzkich komitetów.

- Nie ja, nie ja... - przedrzeźniał porucznik. - Ty za sprzęt w baterii odpowiadasz. Nie wolno tak jechać.

Od czoła przekazywano z ust do ust wezwanie oficerów na zbiórkę u wzgórza 141.

- Pompotiech! - zawołałem, żeby przerwać tamtą awanturę, i zabrałem go.

Na wzgórzu stało już kilku oficerów z dowódcą dyonu, kapitanem Rakowskim. Byli dziwnie milczący, nieruchomi, patrzyli gdzieś przed siebie.

Wbiegłem po zboczu na wierzchołek, spojrzałem tam, gdzie oni, i zobaczyłem objętą powstaniem Warszawę.

Nisko na horyzoncie leżała szeroka, brunatna chmura. Dołem jak maźnięcia pędzla petzły po niej rude, niespokojne odbłyски. Wiatr rozwlekał krańce dymów, rwał po brzegach strzępy. Co chwila z ziemi tryskał wysoki słup czerwieni i jak z wulkanu buchały w górę czarne, potężne kłęby. Doniosło odległy smród spalenizny - szmat, pierza, mięsa. Tak cuchnęły we Wrześniu zwęglone miasta.

Patrzyliśmy długo. Potem zawróciłem w dół, do dział. Kudriawcow szedł obok.

Zastąpił mu drogę Książę.

- Obywatelu poruczniku, osie przestygły. Będziemy teraz robić postoje w marszu i kazałem, żeby nie włączali czwórki.

- Durak! - cicho powiedział pompotiech. Niczego ty nie rozumiesz. Pakujcie nowy smar w łożyska. Pojedziemy na pełnym gazie.

- Ale przecież osie... Przecież wy sami... - stropił się kapral.

- Osie, osie! Czort z nimi, z osiami. Czwórką na pełnym gazie. Zrozumiałeś?!

43. Druk amoralny

Praga zdobyta. Po drugiej stronie Wisły, za szkieletami wysadzonych w powietrze mostów - Warszawa omotana kłębami dymów. Z Saskiej Kępy 3 dywizja im. Romualda Traugutta szturmuje desantami Czerniaków.

W domu przy ulicy Zwycięzców 3/5 tłoczno. Na poddaszu ulokowało się co najmniej ze sześć punktów obserwacyjnych, na piętrach batalionowe punkty dowodzenia, punkty opatrunkowe i śpiący pokotem żołnierze. W piwnicach centrale telefoniczne i radiostacje, podręczne magazyny amunicji. Co dwie-trzy godziny dom zaczynał się palić od pocisków z tamtego brzegu. Bieganina, przekleństwa, jęki rannych...

Uprzedzono mnie, że Niemcy odchodząc z Pragi zostawili ulotki i broszury o bardzo wrednej treści - miały tam być rady, jak symulować choroby, żeby uzyskać zwolnienie z frontu, miały być jakieś pseudopatriotyczne odezwy polskich faszystów, wzywające do walki przeciw Armii Radzieckiej. I to wszystko wydano podobno elegancko, na dobrym papierze, w formie książeczek z pikantnymi ilustracjami. Jednym słowem, trzeba uważać, żeby żołnierze tego draństwa nie czytali.

Wysłuchałem przestróg jednym uchem i natychmiast o nich zapomniałem. Siedzę w piwnicy przy Zwycięzców 3/5. Stworzyliśmy tu coś w rodzaju centrali artyleryjskiej na krążowniku: mamy, łączność radiową z wysuniętym punktem obserwacyjnym na Czerniakowskiej i z samolotem rozpoznawczym, a telefoniczną ze zwiadowcami na dachu. Do nas spływają wszystkie dane o ruchach wroga. Przetapiamy je błyskawicznie na komendy dla baterii i nie szczędząc pocisków łapiemy granatami w pozycje hitlerowskich dział na Okęciu, na Polu Mokotowskim, w Agrykoli i na zboczach Frascati, kładziemy zaporowe ognie na atakujące przyczółek czołgi. Jako warszawiak występuję w charakterze biegłego topografa i „miastoznawcy”, a oprócz tego logarytmuję, odczytuję w tablicach sinusy i cosinusy kątów.

Trwała ta robota bez przerwy dwie lub trzy doby - nie jestem dziś w stanie uzmysłowić sobie dokładnie, ile czasu. Nagle wybuchła niespodziana cisza. Umilkły hitlerowskie baterie. Nasze, mruknąwszy jeszcze parokrotnie, też zaprzestały ognia.

Momentalnie zapadłem w ciężki, głęboki sen.

Obudził mnie ból głowy i pleców. Leżałem na wznak, na grudach węgla. Ciężki smród potu i dymu wypełniał piwnicę. Na beczce skwierczała świeca. W jej świetle śpiący wydawali się zwałiskiem martwych, poskręcanych ciał. Upiorne wrażenie.

A za beczką ktoś cienko chichotał. Uniosłem się na łokciach i zobaczyłem dwie pochylone głowy nad książką. Radiotelegrafista i dyżurny przy telefonie. Od razu wytrzeźwiałem. Na pewno to ta niemiecka ulotka!

Wstałem cicho i wyrwałem im książkę z rąk.

- Panie poruczniku!

- Ani słowa! Miałem do was zaufanie, a wy... Nie wstyd wam takie świństwa czytać!

Stali obaj z opuszczonymi głowami.

- No więc?

- Rzeczywiście nieprzyzwoite, obywatelu poruczniku. Ale my przecież...

- Dość! - schowałem książkę do torby. - Będzie czas po bitwie, to jeszcze porozmawiamy.

Dwa czy trzy dni później, znalazłszy miejsce samotne i ciche, otworzyłem zarekwirowaną książkę i przeczytałem ze środka:

Szynkarz w piwnicy obłapia gosposię,
Dziarski ekonom na świeżym pokłosie,
Na piecu kucharz opastego lica,

Dragon na siodle, na dyszlu woźnica,
Każdy, jak może i jak mu wypadnie,
Jednak każdemu do twarzy i ładnie.

Przyznaję ze skrucą (niezbyt jednak szczerą), że nadużyłem swych praw dowódcy. „Sztuka obłapiania”, poemat w czterech pieśniach Aleksandra hr. Fredry, napisany w roku 1817, a wyszabrowany przez łącznościowców plutonu dowodzenia 2 dyonu 5 BAC-u na Saskiej Kępie, został skonfiskowany pod pozorem, iż stanowi druk amoralny.

A to wcale nie prawda.

44. Dobre wychowanie

Prócz dzielnego Waldemara Wajszwilego pamiętam dobrze z drużyny zwiadu 4 baterii Karola Śliwockiego, jego najbliższego druha. Z dalekiego Semipałatyńska razem przyjechali jako ochotnicy do Sielc i nabrali kapitana Polaka, twierdząc, że są cioteczными braćmi, by tylko dostać wspólny przydział. Karol był może o rok czy dwa starszy, wyższy wzrostem i nieco twardszy, co pozwoliło mu awansować na kaprała, dowódcę drużyny. Ale rysy miał równie łagodne jak Waldek, skórę gładką, jasne włosy, delikatne ręce. Tak jak i on wyglądał na ucznia gimnazjalnego, przebranego żartem w żołnierski mundur.

Nie przeszkadzało mu to jednak dowodzić drużyną, pełzać wśród jęku min, trwać spokojnie u lornety na punktach obserwacyjnych, okładanych ciężkimi pociskami, gdy trzaskały belki pokrycia, piach sypał się za kołnierze i trotylowy smród dławiał gardło. Pamiętam, jak kiedyś pod gęstym ogniem trącił mnie łokciem w ciasnocie ziemianki i coś powiedział. Ruchem ręki pokazałem mu, że nie słyszę. Pochylił się i poprzez huk granatów krzyknął mi w ucho:

- Przepraszam, ja niechcący...

W czasie wrześniowych walk o Warszawę kapral Śliwocki walczył na przyczółku czerniakowskim jako zwiadowca wysuniętego punktu obserwacyjnego dyonu. Na ten mały skrawek ziemi, ograniczony Wilanowską, Czerniakowską i Zagórną, broniony przez powstańców z AL, AK i piechurów 3 dywizji, hitlerowcy rzucili wielokrotnie przeważające siły czołgów i batalionów SS oraz ogień dziesiątków baterii.

Radiostacja punktu obserwacyjnego tak skracała ognie zaporowe, że biliśmy wreszcie prawie po swoich, i parę razy dziennie przerywała pracę, gdy trzeba było odpierać nacierających fryców granatem, kolbą i nożem. Śliwocki z innymi chodził do kontrataków, zapalił czołg niemiecki.

Z dnia na dzień sytuacja stawała się coraz cięższa i w końcu resztki obrońców, zepchnięte na sam brzeg, rozpoczęły nocą ewakuację.

Kapral Śliwocki siedział już w łodzi, gdy nadbiegła powstańcza łączniczka. Karol bez wahania wstał, wyskoczył przez burtę i pomógł jej usiąść na swym miejscu, jak czasem to czynią w tramwaju dobrze wychowani mężczyźni.

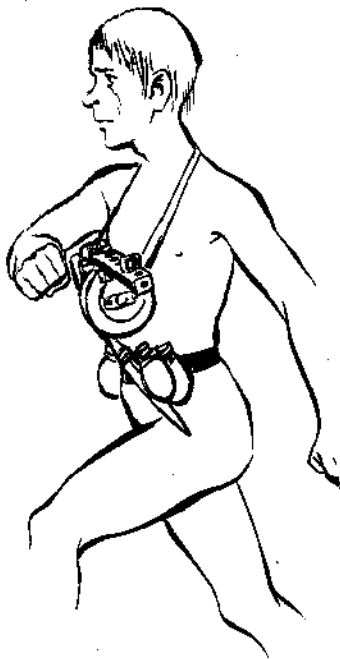
Łódź odbiła od brzegu, wioślarze odrzucili ją na nurt. W tym momencie trysnęło kilka niemieckich rakiet, oświetlając skarpę wiślaną jak salę balową. Kapral Śliwowski pomachał ręką w stronę łodzi. Gwizdnęła mina, pękła jak rozłupany garnek i dokładnie w miejscu, gdzie stał Karol, zapłonął na krótko kłębek ognia.

45. Rycerski pas

Osiem dni trwały walki na przyczółku czerniakowskim - niespełna dwieście godzin, podczas których armia straciła ponad dwa tysiące ludzi, dwa razy więcej niż II - Korpus pod Monte Cassino. Nocą z 20 na 21 września ostatni żywi przeprawili się w ogniu przez Wisłę.

Z dywizjonu, w którym byłem zastępcą dowódcy, pozostał na tamtym brzegu, a właściwie na pokładzie zatopionego przy brzegu stateczku „Bajka”, ciężko ranny dowódca 6 baterii, porucznik Wolski. Trzykrotnie wyprawiał się po niego plutonowy Jan Poluch, podoficer polityczny. Niemcy raz po raz zatapiali pod nim łodzie i wreszcie ranili ciężko - kula przebiła gardło.

Wieczorem 22 września dostałem rozkaz zmontowania jeszcze jednej wyprawy. Na ochotnika zgłosili się kapral Rudolf Przewdzing, bombardier Antoni Smusz i niepozorny, nie umiejący pływać kanonier Brodzik, którego imienia nie pamiętam.



Dwaj pierwsi - zdrowe, piecyste chłopaki - pochodzili ze Śląska, a Brodzik nie wiem, skąd, ale malutki był, niepozorny, na oko trzech groszy byś nie dał.

Zabierałem go jednak chętnie, bo przed paroma dniami pokazał wszystkim, co umie. Działa nasze zajmowały stanowiska pod Rembertowem, koło dawnej fabryki „Pocisk”. Okopaliśmy się tam spieszenie, by uzyskać gotowość do otwarcia ognia, a tymczasem szoferzy kolumny amunicyjnej zwozili pociski. Skrzynie leżały na wierzchu, niczym nie osłonięte.

W pewnej chwili artyleria niemiecka na ślepo poczęła macać koło nas. Wybuchy kładły się o sto metrów przed nami, ale jakiś odłamek zapalił rozsypany proch. Od prochu zajęła się drewniana skrzynka.

Zdrętwiliśmy - lada moment zacznie eksplodować amunicja i ani jeden człowiek nie ocaleje w promieniu pół kilometra.

Pierwszy opamiętał się nie kto inny, tylko Brodzik. Wyskoczył z okopu, chwycił skrzynię, odbiegł z nią i wyrzucił pocisk na ziemię. Byliśmy uratowani.

Dziesiątek rąk naraz wyciągnął się, by go uściskać. A on stał, trząśnięty i w oczach miał łzy.

- Chłopie, co z tobą?

- O rany! - chlapał kanonier. - Cały płaszcz popalony. Jak szef zobaczy, to mnie tak podreguluje, że się nie pozbieram...

Ponieważ jednak nie spodziewaliśmy się spotkać szefa na zachodnim brzegu Wisły, Brodzik bez lęku stanął na ochotnika do przeprawy.

Dokumenty osobiste zabrano nam do sztabu. Na gołe ciało wdzialiśmy drelichowe spodnie i kurtki. Uzbrojenie stanowiły pistolety maszynowe, noże i po dwa granaty u pasa.

Przeprawa odbywała się nocą na smołowanej puchówce. W tamtą stronę spokojnie. Z nadbrzeża dochodziły głosy niemieckich placówek. Cicho, jak duchy, stąpaliśmy po pokładzie bosymi nogami. Na „Bajce” nie było Wolskiego. W drodze powrotnej ledwo odbiliśmy ze czterdzieści metrów od brzegu, trysnęły rakiety oświetlające, a z wieżyczki wiaduktu Poniatowskiego i z Siekierok zaterkotały jednocześnie cekaemy.

Pierwsze serie sięgnęły Antka Smusza. Krzyknął: „Mamo!” i zwałił się na dno łodzi.

Przewdzin płaskim łukiem skoczył za burtę.

Ja szarpałem się jeszcze sekundę z kurtką. Zrzuciłem ją rwąc guziki i głową na dół zwałem się do wody na drugą stronę łodzi. Płynąc pchaliśmy ją z Przewdziną ku praskiemu brzegowi.

Kaemy pruły bez przerwy. Barwne smugowe kule rykoszetowały od powierzchni rzeki, dziurawiły burty, zapalając na nich gwiazdki przestrzelin. Raz po raz ze strachu pakowałem łeb pod wodę. Przemknęło mi przez myśl, że Brodzika zabili, bo ani go widać, ani słychać.

Nie wiem, jakim cudem dotarliśmy wreszcie do brzegu. Leżąc w wodzie zmacałem gardło Smusza - dyszał jeszcze., Brodzik, choć nieco sztywny i chłodny, poruszył się.

- Żyjesz? -Ranny?

- Zimno, obywatelu poruczniku.

Dźwignęliśmy We trzech Smusza za ręce i nogi. Pod ogniem moździerzy, raniąc stopy o druty kolczaste i rozbite szkło, przykuśtykaliśmy za Wał Miedzeszyński, do najbliższego domu, który palił się od strychu.

- Sanitariusze!

Przybiegli, ale Antek już nie żył.

We trójkę weszliśmy do przestronnej, oświetlonej dwiema lampami piwnicy. Poznałem oficerów ze sztabu 4 brygady przeciwpancernej i siadłem nagle, bo podwinęły się nogi - doganiał zostawiony za plecami strach.

Patrzyli na nas - półnagich, wymazanych smołą i krwią Smusza, rozczochranych i mokrych - i śmieli się. Nie rozumiałem, dlaczego. Spojrzałem na Przewdziną, na Brodzika...

Brodzik stał z pepeszą na szyi, w pasie z nożem i granatami, ale poza tym nie miał na sobie nic. Był goły jak przy urodzeniu.

- Gdzie twoje spodnie?" - spytałem, szcękając zębami z chłodu i ze śmiechu.

- Zdjąłem, jak-jak za-zaczęli kropić do nas - jąkał się. - Nie pływam, więc żeby łatwiej w wodzie. A potem, sami wiecie, nie było czasu, żeby założyć.

- A pas? - krztusiłem się nerwowym chichotem.

- Co pas? - Brodzik, zdumiony, otworzył szeroko oczy. - Na pasie granaty. Bo to raz mówiliście, że bez pasa żołnierzowi nie wolno?

Przeciwpancerniaczy pożyczili mu gacie. Siedział w nich, pókiśmy odpoczywali, jedli kartoflane placki i palili. Ale jak trzeba było ruszać do sztabu naszej brygady, to Brodzikowi zabrali bieliznę i nagi musiał wraz z nami biec wzdłuż wału, a potem ulicą Zwycięzców prawie do rogu Francuskiej. Noc była, pękały miny niemieckich moździerzy, śmierdziało trotylem. Nie spotkaliśmy nikogo.

W sztabie brygady natomiast było tłoczno. Meldowałem o przebiegu wyprawy mając za sobą z prawej kaprała Przewdzinga, a z lewej nagiego kanoniera Brodzika. Nagiego, ale w pasie z nożem i granatami. W pasie, który od wieków jest symbolem przynależności do stanu rycerskiego.

46. Polska specyfika

Przyszedł do nas na Wołyniu. Wysoki, smagły i czarnooki, zameldował się u dowódcy dyonu z takim szykiem, że od razu drgnęło mi serce: „kadrowy oficer”. Był jeszcze w mundurze radzieckim. Na spłowiełej, ale czyściutkiej i świeżo wyprasowanej gimnastorce potyskiwały orderzy: „Wojny Narodowej” i „Czerwonej Gwiazdy”. Obejmował u nas stanowisko szefa sztabu dyonu.

Zawarliśmy przyjaźń jeszcze tego samego wieczoru. Nazywał się Teodor Riaszczenko. Można z nim było równie dobrze dyskutować o stawianiu ogni zaporowych, co o literaturze, o strzelaniu metodą analityczną, co o psychologii. Życzliwy był ludziom, uczynny, koleżeński i bardzo zdyscyplinowany.

Mimo że miał za sobą tyle lat frontu, co ja miesięcy, mimo że nosił stopień kapitana, bez skrzywienia nawet zameldował mi nazajutrz dywizjon na zbiórce, ostrożnie wymawiając polską formułę, której nauczył się w nocy.

- Obywatelu chorąży, kapitan Riaszczenko melduje...

Po tygodniu, gdy się dowiedział, że nie jestem członkiem partii, podniósł bunt:

- Nie będę ja tobie, zastępca polityczny, meldował. Jaki ty zastępca polityczny, jeśli nie bolszewik. Ja komunista, kapitan, a ty dopiero chorąży. Nie będę przed tobą stawał na baczność. Nie uchodzi.

Ale następnego dnia rano, gdy .razem z nim siedłem na plac zbiórki, by zaoszczędzić kapitanowi przykrości, zatrzymał mnie:

- Poczekaj, ja pójde pierwszy, przyjmę raporty od dowódców baterii i tobie zamelduję.

- Daj spokój - zaproponowałem. - Mówiłeś przecież, że nie będziesz.

- Nu, mówiłem, ale mnie dowódca, kapitan Rakowski, wytłumaczył, że tu w waszej armii polska specyfika...

Wojowało się nam z kapitanem Riaszczenką bardzo dobrze: razem braliśmy udział w artyleryjskim przygotowaniu lipcowej ofensywy pod Dolskiem, w bojach pod Dęblinem i Puławami, w obronie przyczółka magnuszewskiego. Uczyłem się od niego wielu rzeczy potrzebnych oficerowi i artylerzyście, a także każdemu, bo to był człowiek prawy, wykształcony i kulturalny.

We wrześniu dywizjon zajął stanowisko koło fabryki „Pocisk”. Punkty obserwacyjne, jako się już rzekło, mieliśmy na Saskiej Kępie, a jeden za Wisłą, na rogu ulicy Czerniakowskiej i Zagórnej. Sztab dyonu natomiast, położony zwykle za pozycjami ogniowymi, w miejscu względnie bezpiecznym i cichym, które umożliwiałoby pracę, znalazł się niespodziewanie na wprost naszych armatnich luf, w jednym z niewielkich domków Grochowa.

Doszło z tego powodu do krótkiego spięcia między dowódcą i jego szefem sztabu. Spotkali się na parę minut w rowie obok szosy, bo dni były gorące, waliliśmy z dział we dnie i w nocy i kapitan Rakowski tkwił cały czas na punkcie obserwacyjnym. Porozumieli się co do planu ogni, a potem dowódca zapytał:

- Gdzie wy, Riaszczenko, wpakowaliście sztab?

- O tam, taki biały domek z ogródkiem.

- Czyście oszaleli? Własne pociski wam szyby z okien wygniotą.

- Nie wygniotą.

- Przy takim huku i świcie pracować spokojnie nie można.

- Można, kapitanie, gramofon nastawię i tylko muzykę słyszę.

- Nie kręćcie mi głowy - rozłościł się Rakowski. - Sprawdźcie, co na ten temat mówią regulaminy. Wy, doświadczony oficer...

- W regulaminie jest mowa o szczególnych okolicznościach, w których można odejść od schematu.

- Chcecie; to siedźcie. Żeby mi tylko łączność grała - dowódca machnął ręką i pojechał, by przez gęsto ostrzeliwaną aleję Waszyngtona przedrzeć się na Saską Kępę.

Teodor odsalutował ruszający samochód, uśmiechnął się i zrobił do mnie oko.

- Twórczo trzeba regulaminy stosować. A zresztą ty, zastępca, wiesz: polska specyfika. Przyjdź, to zobaczysz.

Odwiedziłem kapitana w jego sztabie tego samego dnia wieczorem. Tym razem „polska specyfika” miała jedwabiste blond włosy, oczy niebieskie pod długimi rzęsami i biust nie gorszy od osiągniętego w parę lat później na kapitalistycznym Zachodzie przez niejaką Brigitte Bardot.

Poza tym miałem możliwość sprawdzić, że wystrzały naszych dział nie wygniatają szyb, a gramofon rzeczywiście przekrzykuje ich huk.

Być może, niektórych razić będzie ta historia o nieregularnie umieszczonym sztabie, gramofonie i dziewczynie. Literatura dowodzi, że podczas bitwy żołnierz winien bez przerwy wznosić okrzyki, miotać granaty i krew czerwoną przelewać. Ale ja przecież nie powieść piszę. A żeby wszystko, co wiem o kapitanie Riaszczence, dopowiedzieć do końca, trzeba dodać, że zginął w ostatnim roku wojny, 12 lutego, podczas walk na Wale Pomorskim. Jeden z wielu Rosjan, którzy w naszych mundurach ginęli za Polskę. I to również była „polska specyfika” 1 i 2 Armii.

47. Siderodromofobia

Dwu pierwszych zastępców dowódców do spraw politycznych 5 brygada artylerii ciężkiej miała rozsądnych i mądrych. Jako trzeciego mianowano kapitana W. Nazwiska nie wymienię, a starym wiarusom przypomnę, że był to ten sam, który pod Kołobrzegiem został ranny odłamkiem miny z mózdzierza w bohaterski prawy pośladek.

Kapitan W. lubił wygłaszać dłuższe mowy, obiecywać nam, podwładnym sobie oficerom politycznym, że za dobrą służbę uczyni nas po wojnie wójtami albo nawet starostami, i na każdy przypadek miał jedną genialną radę:

- Porozmawiać z aktywem, przeprowadzić gawędę i wydać gazetkę.

W swych przemówieniach używał dużej ilości słów obcego pochodzenia, delikatnie mówiąc, nie bardzo zgodnie z ich znaczeniem. Między sobą nazywaliśmy te wystąpienia - przestąpieniami.

Tak się złożyło, że po zdobyciu Pragi w jednym z rozbitych domów na Saskiej Kępie znaleźliśmy encyklopedię Trzaski, Everta i Michalskiego. A w encyklopedii pod „S” było słowo siderodromofobia. Jeżeli dobrze pamiętam, oznacza ono jakiś specjalny rodzaj choroby lęku przed przestrzenią. Znaczenie zresztą nieważne - spodobało się nam brzmienie tego wyrazu.

Dwa dni później na odprawie u zastępcy dowódcy wstał jeden i zameldował:

- Obywatelu kapitanie. W mojej baterii szerzy się siderodromofobia. Szczególnie w trzecim działonie. Z dnia na dzień coraz gorzej. Co robić?

Kapitan W. spojrzął władczo po obecnych i uniósł z lekka brwi.

- To wy mnie pytacie, co robić? - splótł ręce na plecach i kiwał się na czubkach błyszczących oficerek. - Wy, oficer polityczny, dusza i sumienie, ojciec i matka baterii... Nie wiecie?... - Ironicznie skrzywił usta i nagle huknął: - Porozmawiać z aktywem, przeprowadzić gawędę, wydać gazetkę... Co wy robicie? Co to jest, do cholery! Bacność!

Wiliśmy się w trawie powaleni atakiem śmiechu. Dopiero po raz trzeci powtórzona komenda postawiła nas na nogi.

Na zakończenie pragnę tylko dodać, że w tydzień po opisanym powyżej wydarzeniu musiałem zebrać swój skromny żołnierski dobytek i meldowałem się w wydziale personalnym sztabu armii po nowy przydział służbowy.

48. Spotkania po latach

Doświadczony, dobrze wychowany mąż-gentleman wracając o dzień przed terminem z delegacji służbowej, a nawet o parę godzin wcześniej z zebrania, które miało się przeciągnąć do północy, powinien w pierwszym przypadku nadać telegram, a w drugim uprzedzić przez telefon. Na temat zbyt wczesnych i niespodziewanych powrotów kursuje przynajmniej setka najrozmaitszych dowcipów. Nigdzie jednak niestety nie znalazłem wskazań, co należy przedsięwziąć powracając w rodzinne strony po pięciu latach nieobecności.

Od chwili przybycia na Pragę, a było to 15 czy 16 września, znalazłem się prawie dosłownie o parę kroków od domu, który po raz ostatni widziałem 5 września 1939 roku. Ze stanowisk ogniowych pod Rembertowem wystarczyło pójść po przedmieściach na tory, wejść na Stalową i do rogu Konopackiej jak rękę podać. Albo też z Saskiej Kępy przez park Skaryszewski (Zieleniecką ostro przestreliwali, stadionu jeszcze nie było...) do Targowej, potem skręcić w Wileńską i znowu Konopacka. Konopacka 8, mieszkania 9, pierwsze piętro, ze schodów w lewo...

Tyle tylko, że przez początkowe dwa tygodnie mowy nie było, żeby się urwać - kursowałem na trasie: stanowisko ogniowe, Saska Kępa, przyczółek czerniakowski. Nawet mi trochę żal było siebie samego i po łbie tłukły się myśli, że gdybym tak dostał, to facet piszący nekrolog miałby używanie: „Młody oficer ludowej armii, u progu rodzinnego domu, wiernie spełniając obowiązki...” Co tam nekrolog - powieść by z tego wyszła.

Dopiero awantura z siderodromofobią sprawiła, że nagle wytworzyła się luka: zdałem już obowiązki, a papierka w sprawie przeniesienia nie było. Mogłem bez przeszkód iść do domu.

I wtenczas stała się rzecz dziwna - zląkłem się. Nie wiedziałem przecież, czy dom stoi, czy ojciec żyje, czy mieszka w tym samym miejscu.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego, ale ni stąd, ni zowąd, zamiast pójść na Konopacką, postanowiłem pojechać dobre czterdzieści kilometrów od Warszawy, na wieś, do dziadka. Waśka Kudriawcow wyszykował ciężarowy gazik i wieczorem urwaliśmy się razem na „polski urlop”. Wiedział o tym tylko kapitan Riaszczenko.

Nocą tłukliśmy się po bocznych drogach, żeby ominąć punkty kontrolne. Bez światła forsowaliśmy w bród jakieś strumyki obok zerwanych mostków. Rankiem wyjechaliśmy z lasu i z daleka zobaczyłem na polu wysoką, przygarbioną lekko postać dziadka - wąsatego i emerytowanego jeszcze przed wojną maszynisty.

Wlaziłem na stopień wozu, pokazałem kierunek Waśce:

- Różnij na przełaj.

Dziadek nas dostrzegł od razu, wyszedł na spotkanie i gdy zatrzymaliśmy wóz, zmarszczył brwi:

- Nie macie, panowie, którędy jeździć? Przecież widać, że zasiane.

Poznał mnie w chwilę później. Od strony domu biegła ciotka Janka, zwana popularnie Żabą (nie żeby niezgrabna, ale wręcz przeciwnie - lubiła podskakiwać). Potem była masa płaczu, śmiechu i jajecznicy na słoninie. I jeszcze półlitrowka bimbru, którą zapobiegliwy Wasyl miał w kieszeni.

Jeśli chodzi o wiadomości, to tylko tyle, że ojciec mieszkania nie zmienił, że dom stał, ale naturalnie do powstania. Co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwu miesięcy - nie wiadomo.

Nazajutrz o pierwszym zmierzchu przecięłem szosę na Radzymin tuż koło torów. Zza Wisły ryknęła "szafa", czyli sześciolufowy moździerz. Ledwo zdążyłem skoczyć na łeb do leja po bombie, jak salwa położyła się na przejazd. Przypudrowany piaskiem, na niezbyt pewnych nogach (strach czy wzruszenie - nie wiem) przebiegłem przez nasyp i tory na Stalową.

Ulica była prawie pusta. Nieliczni przechodnie szli jak ja pod murami i od bramy do bramy. Wszystko wydawało mi się jakieś szare, przybrudzone i mniejsze niż przed wojną. Dom na rogu Konopackiej ledwo poznałem. Dopiero drzwi do bramy, choć z dyktą zamiast szkła, były te same. I te same schody.

Zatrzymałem się na pierwszym stopniu, żeby odpocząć.

Z okienka wyrżał dozorca. Ten sam.

- Pan do kogo?

- Pod „dziewiąty” - zabobonnie unikałem wymieniania nazwiska.

Przyjrzał mi się i nagle krzyknął:

- Kurcze pieczone, niech mnie dunder świśnie! - Spowaźniał jednak natychmiast i dodał: - Tatuś zdrów, żywy, ale w powstanie wyjechał. Pani Barbara w domu.

Ta „pani Barbara” to była starsza ode mnie siostra stryjeczna. Pobiegłem na piętro i zadzwoniłem.

Cisza.

Dzwonię po raz drugi.

W przedpokoju niepewne kroki.

- Kto tam?

- Ja.

- Jaki ja?

- Do pana Stefana - wymieniłem imię ojca.

Uchyliły się drzwi. Pchnąłem je energicznie, wszedłem do środka. Światło karbidówki pada przez szybę w drzwiach od pokoju. Mroczno.

- Czy mogę wiedzieć, w jakiej sprawie? Pana Stefana nie ma.

Widzę, że jest speszona. Twarz taka sama, jak była, ale cała jakby jeszcze drobniejsza. Patrzy na mnie i widzi tylko oficera w połówce, w pasie, z pistoletem. „Berlingowca”, jak na Pradze mówiono.

Nie potrafiłem już dłużej grać.

- To ja jestem, Janusz. Nie poznajesz?

Dopiero wtenczas krzyknęła, zapłakała, zaczęliśmy się witać. Potem zaprowadziła do pokoju, gdzie siedziało przy stole pięciu czy sześciu nie znanych mi mężczyźn. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Janusz, mój brat... Sąsiedzi... - przedstawiła.

Pogadaliśmy troszkę o polityce, o armii. Sąsiedzi rozeszli się powoli. Barbara zaczęła mówić o ojcu.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że sąsiedzi reprezentowali dowództwo grupki AK, która dyskutowała właśnie nad problemem ujawniania się i stosunku do mobilizacji ogłoszonej przez PKWN. Nie dziwię się, że mogli być lekko speszeni mym nagłym przybyciem.

Różne i dość czasem dziwne spotkania przynosił rok czterdziesty i czwarty. Zasada uprzedzania o powrocie do własnego domu to chyba jednak dość rozsądna zasada, nawet dla ludzi, jak ja wówczas, jeszcze nie żonatych.

49. Paganini drużyny zwiadu



Po wielu latach od zakończenia wojny, w przededniu sylwestra 1960 roku, dostałem pocztówkę z życzeniami. Podpis brzmiał: „Jewdoszuk, były żołnierz drużyny zwiadu 4 baterii 5 brygady artylerii ciężkiej”. Poczułem ciepło w sercu. Obejrzałem kartkę dokładnie, ale adresu nadawcy nigdzie nie było. Uśmiechnąłem się - Jewdoszuk pozostał taki sam, jaki był: zbyt cichy i skromny, by w jakikolwiek sposób narzucać odnowienie znajomości swemu dawnemu zwierzchnikowi.

Takim samym pamiętam go z frontowych czasów: wplatał do zwięzłej żołnierskiej mowy „dziękuję” i „proszę”, nie przeklinał, nie kłócił się w kolejce do kotła. Twarz miał po dziecinnemu ładną, włosy po dziewczęcemu miękkie, sylwetkę drobną i kruchą. Trzeci muszkieter w kompanii Wajszwilego i Śliwockiego. Przez ogień wojny, przez ciężki huk artyleryjskiej kanonady, przez mróz i skwar taszczył prócz normalnego żołnierskiego rynsztunku, skrzypce w starym, przetartym na kantach futerale.

Żołnierze noszą ze sobą najrozmaitsze rzeczy - od fotografii w ramce z morskich muszelek, medalików i loków dziewczęcych, chronionych czule w pudełku po szuwaksie, do grubych tomów ulubionych książek. Sam byłem świadkiem, jak znaleziono w plecaku zabitego żołnierza, chłopca z

Hrubieszowskiego, cztery nowiutkie podkowy i łańcuch do przywiązywania krowy. Dźwigał to wszystko na zaczątek powojennej gospodarki.

A Jewdoszuk, jako się rzekło, nosił skrzypce. Grywał na nich wieczorami, zaniedbując czasem czyszczenie karabinka, za co zbierał bury od oficera uzbrojenia, porucznika Stanisława Lisowskiego. Grywał na nich w zaduchu natłoczonych chałup, w półmroku ziemianek, a gdy przysza wiosna, to i pod umyłym deszczami niebem. Słuchano go chętnie, naciągano, by grał jeszcze i jeszcze, ale to nie chroniło drobnego zwiadowcy od kpinek i przygaduszek.

Rzeczywiście - zbiórka baterii do wymarszu, chrzęst pasów, błysk słońca na lufach broni,, a tu nagle na lewym skrzydle plutonu dowodzenia - zwiadowca ze skrzypcami. Wojsko czy filharmonia?

- Jewdoszuk, stańcie na bacność jak człowiek - mawiał szef baterii. - Nie bądźcie no taki Paganini.

Kiedy z lasów pod Kiwercami wyjeżdżaliśmy na front, Jewdoszuk zostawił skrzypce w ziemiance. „Po kiego licha mam je taszczyć - przekonywał sam siebie. - Na froncie gra broń. Front to nie potańcówka i nie kawiarnia. Chłopaki znowu będą się śmiać...”

Nie wiem, czy temu pożegnaniu towarzyszyły łzy, ale myśmy ich nie zauważyli. Rozgorączkowany tym, że wreszcie ruszamy do boju, nie spostrzeżliśmy niczego. Dopiero gdy ścichła kanonada pod Dolskiem, kiedy wieczorem czekaliśmy z zaprzodkowanymi działami na rozkaz wymarszu, dowódca baterii, kapitan Polak, wezwał do swej ziemianki zwiadowcę.

- Przynieście, Jewdoszuk, skrzypce i zagrajcie.

Staszek poczerwieniał, począł tłumaczyć. Kapitan wysłuchał uważnie do końca i stwierdził:

- Ot i durak. Odmaszerować.

Dwa miesiące później, gdy Jewdoszuk dyżurował przy lornecie na strychu praskiej fabryki Wedla, zadyszany i roześmiany Wajszwili przyniósł zawiniątko w brezentowej pelerynie.

- Dla ciebie, Staszek.

- Co to?

- Rozwiń. Sam zobacz.

W czarnym, eleganckim futerale leżały skrzypce.

Znowu, jak dawniej, drużyna zwiadu słuchała wieczorami walczyków, mazurków, kujawiacyków. Jak dawniej, dowódca baterii wzywał szczupłego zwiadowcę i Staszek meldował swoje przybycie „celem odegrania koncertu”.

W Płudach Niemcy zapalili pociskami fabryczkę, na której dachu urzędował Jewdoszuk. Zwiadowca miał rozkaz wytrwać mimo pożaru, póki nie zaobserwuje, skąd strzela bateria wroga. Kiedy ją wykrył, schody były już w ogniu, dym dusił za gardło.

Ale zdarzenie to nie kończy się tragicznie. Koledzy staszczyli na dół i skrzypce, i Staszka. Usadzili go na dnie pobliskiego okopu, dali chwilę odetchnąć.

- Żyjesz? - spytał barczysty i śmiały kapral, Zbyszek Podgórski.

- Żyję - stwierdził Jewdoszuk.

- Inny musiałby postawić pół litra. Ale co wziąć od takiego Paganiniego jak ty? Zagraj nam, Staszek.

50. Lizak

Gdy czyta się przemówienia wielkich wodzów czasów starożytnych i nowszych, powstaje wrażenie, że żołnierz winien bronić z jednakim zapałem każdej piędzi ziemi ojczystej.

Lektura rozkazów bojowych, komunikatów i meldunków uczy jednak rozpoznawać części wyżej wspomnianej ziemi niejednakowo ważne ze względu na ich taktyczne, operacyjne lub strategiczne znaczenie.

Pamiętniki i wspomnienia dowódców, którzy zmuszeni bywali do odwrotu, wyróżniają poza tym „terytoria bez większego znaczenia” odstępowane wrogowi dla skrócenia własnego frontu lub też w innym, podobnie szczytnym celu.

Praktyka żołnierska zna jeszcze obiekty, może nie kluczowe, z punktu widzenia strategii, ale wyjątkowo miłe i cenne, godne zdobycia bardziej niż inne oraz bardziej niż inne warte utrzymania i obrony. Takim obiektem na szlaku 1 Armii był na pewno pałac Goebbelsa w podberlińskich lasach, ze spiżarnią pełną najbardziej wyszukanych specjałów i piwnicą bogatą w najwspanialsze trunki. Przedtem - na pozycji ryglowej Wału Pomorskiego - ferma kurza z tysiącami białych leghornów, o którą zwiady obu stron walczących toczyły przez wiele nocy zaciekle boje. I wreszcie najwcześniej - fabryka Wedla na Pradze, czyli obecne Zakłady im. 22 Lipca.

Gdzie jak gdzie, ale właśnie u Wedla mocno i bardzo prawdziwie brzmiały słowa łacińskiego wersetu: „Dulce et decorum est pro patria...” Może nie tak „mori”, ale „pugnare” na pewno.

Pierwsi dotarli do zbiegu Grochowskiej i Zielenieckiej żołnierze radzieccy, bodaj z 278 pułku piechoty. Od nich przejął obiekt 1 pułk kościuszkowskiej dywizji, potem dąbrowszczacy i wreszcie osłonę tego, co zostało ze słodkich skarbów, zlecono plutonowi fizylierek z batalionu kobiecego im. Emilii Plater.

Prawie przez cały ten czas, od końca września, nie bacząc na częste zmiany w rejonie parteru, trwali niezmiennie na strychu artylerzyści. Urządzili tam sobie punkt obserwacyjny, dobry, bo wysoko, i broniąc się względami wyższej strategii nie ustępowali.

Trzeba zresztą przyznać, że gdy Niemcy zapalili pociskami budynek, to właśnie zwiadowcy i telefoniści z narażeniem życia uratowali go od ognia. Było o co walczyć - czekoladki, cukierki, pomadki, różne aromatyczne alkohole.

W miarę jak zapasy wyczerpywały się, warty coraz ostrzej broniły dostępu, a kiedy na posterunkach stanęły fizylierki, artylerzystom zrobiło się gorzko w gębie. Odcięto im nawet dostęp do marmolady.

Na zaimprovizowanej naradzie w piwnicy, gdzie urzędował „sztab” plutonu, ktoś załamał się i zaproponował, żeby zmienić lokal. Większość jednak, składająca się z ludzi odważnych i przedsiębiorczych, postanowiła działać podstępem, czyli użyć fortelu.

Następnego dnia rozpoczęto starannie obmyśloną akcję.

Do wartowniczkę, pyzatej i wesolutkiej blondyny, podszedł wystrojony, wyglansowany topograf, bombardier Kazimierz Nowiński, najprzystojniejszy i najelegantszy chłopak w plutonie. Z początku dziewczyna straszyla go pepeszą, pokrzykiwała, potem dała się wziąć pod rękę i zaczęli oboje spacerować po pustym hallu. Słychać było, jak szkło z rozbitych szyb trzeszczy im pod butami. Długo to trwało, ale wreszcie rozbudzone zniechcenie zatriumfowało nad rozsądkiem i dyscypliną wojskową.

- Odeszli? - szepnął Obara, oblizując wargi.

- Odeszli - zameldował malutki Kościukiewicz.

- No to ciach!

Wypadli z ukrycia, urwali kłódkę i wleźli do magazynu.

Wszystko udałoby się zgodnie z planem, gdyby nie niespodziane znalezisko. Przy nabieraniu marmolady z ogromnych, drewnianych kadzi wiadro zgrzytnęło o szkło.

- Co to? Pomacaj ręką.

- O rany! Butelki!

- Ktoś musiał schować. A z czym

- Bez nalepek.

- Głupiś! Spróbuj ostrożnie.

- Wódka, ale śmierdząca.

- Daj tutaj... Bratkwie, toż to koniak! Szukaj jeszcze...

Dobrywali coraz to nowe i pospiesznie ocierając szmatami upychali po kieszeniach.

- Już pora. Wiejmy.

- Zaczekaj, jeszcze jedną widać, tylko trochę głębiej.

Sięgający przechylił się, zawisł na brzegu kadzi i nagle, tracąc równowagę, zjechał na łeb. Nie krzyknął nawet, tylko nogami zamachał, prosząc o ratunek, a łapami rozbryzgiwał marmoladę.

Wyciągnęli go i ślepego jeszcze wypchnęli z magazynu.

Zdążyli zamknąć drzwi, założyć przygotowaną zawczasu kłódkę, gdy pojawił się bombardier Nowiński z wartowniczką.

Ci z wiadrami zwiali co prawda na czas, ale został żołnierz oślepiiony marmoladą. Nikt już dziś nie pamięta, czy to był Kościukiewicz, Obara czy Ginczewski. Parskał, pluł, otrząsał się jak pies po kąpieli. Pomagał mu Wajszwili, odkrobuując patykiem płyty czerwonej, lepkiej mazi.

Blondyna wrzasnęła:

- Stać, bo strzelam! - Ale po chwili opuściła automat i tylko szeptem dodała: - Mężczyźni są podli.

Nowiński dał nura do piwnicy, a Wajszwili za rękę poprowadził „marmoladowca” przez podwórze w stronę łachy wiślanej, żeby się obmył.

Niestety, zoczyły ich fizylierki. Wybiegły na spotkanie, pokazywały palcami, płakały ze śmiechu.

- Ale się skąpał! Po same pięty... Nie ma co, słodki chłopak... Chodź tu do nas, będziemy cię oblizywać... Lizak, lizak, lizaczek!

Obaj artylerzyści kroczyli dumnie, bez słowa, udając, że nie słyszą. Dopiero kiedy minęli podwórze, Waldek nie wytrzymał i mruknął:

- Lizaczek... do lizania to my mamy coś lepszego.

Naturalnie miał na myśli ukryty w kieszeni koniak.

51. Pech



Hasło „śmierć frajerom” nie jest polskim wynalazkiem epoki piwnic i brodatych młodzieńców. Czasy, w których je stworzono, toną w milenijnej pomroce dziejowej. Owe złudzenia co do oryginalności i nowoczesności pomysłu są nadbudową powstającą na bazie okresowych zaników i rozkwitów popularności wyżej wymienionej postawy życiowej.

Sądzę, że ciekawym przyczynkiem do charakterystyki 1 Armii może być stwierdzenie, iż hasło „śmierć frajerom” nie miało wyznawców w jej szeregach. Gwoli zachowania naukowej ścisłości sprecyzujmy: prawie zupełnie nie miało wyznawców. W każdym razie dominującą tendencją były dążenia, do których, być może, wstydziłby się przyznać współcześni brodacze - ofiarność, szczere koleżeństwo, pragnienie dania z siebie wszystkiego dla przybliżenia chwili zwycięstwa i wyzwolenia ojczyzny. Ludzie harowali po nocach, rwali się do ciężkiej roboty, a na niebezpieczne wyprawy nie trzeba było długo szukać ochotników. Takie to dziwne były czasy. Dziwne i romantyczne.

W świetle tego, co napisałem, nie powinien się wydać niezwykłym fakt, że dwu młodych lwowiaków, Bolek Kaczor i Bronek Bednarz, wstąpiwszy na ochotnika do Wojska Polskiego, nie przyznawało się do posiadania średniego wykształcenia. Rok był bowiem czterdziesty i czwarty, koniec wojny nie za

górami i obaj mieli pietra, że jako maturzyści zostaną skierowani do podchorążówki i nie zdążą na front, nie będą mieli okazji walczyć o Polskę.

Zostali więc szeregowcami, szybko posiedli umiejętność prowadzenia ognia z karabinu mosina wzór 1891/30, kaliber 7,62 i z rejonu, formowania trafili wprost do walczących dywizji jako uzupełnienie. Bednarz znalazł się w 5 kompanii 6 pułku piechoty.

Był, koniec września, armia zajmowała Pragę i 2 dywizja imienia Henryka Dąbrowskiego umacniała swe pozycje. 5 kompanii wyznaczono odcinek na północ od Targówka. Żołnierze przez cały dzień kopali rowy strzeleckie na drugiej linii obrony. Niemcy z rzadka rzucali pociski, licząc raczej na efekt psychologiczny, nękający, więc robota szła składnie. Szeregowiec Bednarz z dumą i bólem w krzyżu mógł spojrzeć pod wieczór na swe dzieło - parę metrów pięknego okopu.

Wydano kolację, zapadła ciemność i wówczas okazało się, że to był tylko trening. Cały batalion ruszył w ciszy na pierwszą linię frontu, przekroczył ją i zaległ prawie tuż nad brzegiem kanału bródnowskiego. Po drugiej stronie byli Niemcy. Tu właśnie pod osłoną nocy należało wykopać nowe pozycje.

Zabrali się do pracy leżąc. Ostrożnie, by nie zdradzić stanowisk hałasem, narzucali przed głowami ochronne szanicy. Gdzieś raz i drugi zgrzytnęła łopata o kamień. Hitlerowcy wystrzelili rakietę, otworzyli ogień. Ktoś dostał kulę, zawył i ucichł. Reszta spieszenie wgrzyzała się w ziemię, przywierając policzkami do piasku i błota pod nisko lecącą śmiercią.

Huknęły moździerze, ale oni już mieli wnęki do leżenia, do przykłąku, osłonięci byli przedpiersiem od czoła. Raziły tylko bezpośrednie trafienia, strach jednak gnał ludzi. Kopali dysząc ciężko, szczerząc zęby, nie bacząc na coraz ostrzejszy ból w mięśniach.

Zluzowano ich przed świtem. Odpędzili do rowów łączących, pocłapali nimi na tyły, kolumnami kompanijnymi pomaszrowali gdzieś w rejon cmentarza i tam na skrzyżowaniu dróg zarządzono odpoczynek.

O tej godzinie noc gęstnieje. W ciemności słychać było tylko głosy, stąpania, podzwanianie broni i saperek. Macając mrok wyciągniętymi rękami, żołnierze odchodzili w bok parę kroków, siadali, walili się na ziemię, by odpocząć.

Szeregowiec Bednarz, z wrodzoną intelektualistom dozą indywidualizmu, przelażł przez rów, wyszedł w pole i dostrzegłszy na tle jaśniejącego od wschodu nieba zarys dwu drzew, siadł oparty o pień.

Poczuł się jak w fotelu - pod plecami gładka kora, spodem miękkie i sprężyste pagórek.

„Trawa... siano...” - pomyślał leniwie i nagle przeraził się - „może trup jakiś?”

Ale to nie był trup, odezwał się bowiem głośno, choć bez złości:

- Miejsca masz mało? Musisz siadać akurat na dowódcy batalionu?

Bednarz zerwał się, przeprosił, ale było już za późno. Kapitan Szaciło, oficer o ryżych włosach i dobrym sercu, kazał mu siąść obok, zapytał o nazwisko. Pogadali o tym i owym. Jednym słowem - szeregowiec Bronisław Bednarz wyróżnił się wśród innych, a że armii brak było przede wszystkim

ludzi do robót bardziej skomplikowanych niż kopanie rowów strzeleckich, został wkrótce podoficerem i oficerem jako redaktor biuletynu w wydziale politycznym 2 dywizji piechoty.

Niedługo udało mu się wytrwać w randze szeregowca, mimo tego kłamstwa co do matury. Miał pecha.

52. Intermedium o cudach

W końcu października 1 i 2 dywizja piechoty przeszły do natarcia na północ od Pragi. 6 pułk zdobył dwudziestego czwartego Żerań, a kościuszkowcy podeszli do Kępy Tarchomińskiej. Następnego dnia rankiem wyjechałem z szefem sztabu 10 pułku artylerii haubicznej lekkiej na poszukiwanie nowego miejsca dla punktu obserwacyjnego. Nie wiem, co mnie tam poniosło, bo znajdowanie lokum dla PO nie wchodzi w zakres obowiązków lektora.

Willys wolno sunął piaszczystą drogą, gdy wtem zza Wisły huknęło naraz ze dwadzieścia dział i grzmot wybuchów zadudnił całkiem blisko nas, za płaskim pagórkiem.

Wyskoczyliśmy obaj z wozu i kłusem na szczyt, żeby zobaczyć, gdzie legły pociski, do kogo Niemcy strzelali. Okazało się, że nakryli szosę. Płonęła tam ciężarówka, czerniały głębokie leje.

Zawróciliśmy i w tym momencie obaj dostrzegliśmy u podnóża pagórka dużą tablicę z czarnym napisem: „Minen”, której widocznie Niemcy nie zdążyli zabrać w czasie odwrotu. Nagle znaleźliśmy się bliżej świata pozagrobowego niż samochodu.

Doznałem dziwnego uczucia, że mam ogromne, ołowiane stopy. Tkwiliśmy w bezruchu i bez słowa przez dobre pięć minut. A może pięć sekund? Potem szef sztabu ruszył przodem, a ja za nim. Stawialiśmy powolne, ostrożne kroki, starając się trafić nogami w stare ślady. W uszach miałem szum krwi, przed oczyma ciemną mgłę.

Nie wiem, ile trwał ten marsz, ale u stóp wzgórza siedliśmy obaj w piasku na drodze. Kierowca wyszedł z auta i podał nam papierosy. On też był cały mokry od potu - spostrzegł tablicę jednocześnie z nami.

Pierwsze słowo padło w dziesięć minut później, gdy już jechaliśmy dalej. Szef sztabu odwrócił się z przedniego siedzenia i powiedział:

- Okazuje się, że nie zawsze tam i z powrotem jest jednakowo daleko.

- Cud, żeśmy wyszli cało - odrzekłem i przypomniawszy sobie swoją funkcję polityczną spłonąłem rumieńcem.

Widocznie jednak rumieniec samokrytyki nie został przyjęty jako zadośćuczynienie przez prądkę mych losów, bo wkrótce znowu na pewien czas znalazłem się w kręgu spraw niesamowitych czy też zgoła cudownych.

Po zdobyciu Jabłony 10 PAHL dłuższy czas próżnował - na froncie cisza, pocisków nie dawano. Prawdę mówiąc, zrobiło się nudno. Szef sztabu wymyślał nam problemy do szkolenia w rodzaju „prowadzenia ognia w górach zimą” lub „strzelania do celów pływających”, ale prawie wszystkie wieczory mieliśmy wolne.

Dzień w dzień z Cześkiem, oficerem łączności dyonu, chodziliśmy z wizytą do pobliskich domków, do ciotki Agaty. Ciocia lubiła opowiadać, pamiętała wojnę rosyjsko-japońską, miała brodawkę na policzku i leczniczą nalewkę na dzięgielu. Nie dzięgielówka była jednak główną przyczyną tych wizyt. Rzecz w tym, że wieczorami przychodziła do ciotki Zosia, kobieta równie miła, ale młodsza o dobre czterdzieści wiosen. Co dzień, niezmiennie o tej samej porze, w chwili gdy zegar bił dziesiątą, ciocia przykręcała lampę, żegnała się, a my, zawsze obaj, odprowadzaliśmy Zosię do domu na drugą stronę torów. Klęliśmy w duchu, ale żaden nie chciał ustąpić.

Dopiero na początku listopada, zdaje się że to było czwartego czy piątego, Cześkowi kazano natychmiast wyjechać do składnicy po nowe radiostacje.

Nie mogłem się doczekać wieczoru, a gdy wreszcie nadszedł, z bijącym sercem zjawiłem się w pokoju ciotki Agaty. Naftowa lampa płonęła łagodnie pod kwiecistym abażurem, kot mruczał koło pieca, Zosia siedziała obok mnie na kanapie. Do głowy cisnęły mi się myśli rzewne i tkliwe, że niby my, żołnierze, potrzebujemy choćby jakiegoś okrucucha serca, a tu nagle ciotki strzeliło do głowy, żeby opowiadać o cudach.

- Bo wiecie, moi drodzy, są jednak rzeczy na świecie, których ludzki umysł nie pojmie. Na ten przykład przed wojną...

- Przed trojańską? - spytałem.

- Ty sobie, smarkaczu, nie żartuj. Przed japońską naturalnie... Więc mieszkałam wtenczas w Brześciu. Do szkoły chodziłam nad Muchawcem, rzeka taka tam płynie. I otóż w każdy piątek wieczorem koło parku straszyciło. Wychodziła biała postać...

Cierpliwie słuchałem o wyczynach białej postaci, o ognikach na rozstajnych drogach, rycerzu w czarnej zbroi, trzech wilkołakach i baranie, co krzyczał ludzkim głosem- Pragnąc, jak ten ostatni, dojść do głosu i zwrócić na siebie uwagę, opowiedziałem przygodę z cudownym ocaleniem na zaminowanym pagórku.

Obie panie uśmiechnęły się dość kwaśno, wyraźnie zawiedzione.

- Nic w tym nie ma nadprzyrodzonego. Szczęśliwy, ale zwykły przypadek - szczerze stwierdziła ciocia Agata. - Nigdy się panu nie przydarzyło nic naprawdę dziwnego?

- Dziwnego? - rzekłem pozagrobowym głosem. - Owszem, spotkanie z dwoma duchami.

- Proszę opowiedzieć, bardzo proszę -i ciocia poprawiła okulary i spojrzała z wyraźną sympatią. - Tylko jeszcze chwilkę: naleję wam po naparstku dzięgielówki, doskonale reguluje żołądek.

Wypiliśmy i zacząłem opowiadać:

- To było niedawno, w lipcu. Maszerowaliśmy ku Wiśle. Nocleg wypadł nam w parku otaczającym pałac. Właściciele uciekli, ogromny dom stał pusty. Rozlokowywałem żołnierzy i przyszedłem ostatni.

Wszystkie miejsca były zajęte. Stary chłop na moje prośby powiedział wreszcie niechętnie: „Chyba żeby w zbrojowni, ale tam straszy”. - „Co straszy?” - zapytałem. - „Duch nieboszczyka dziadka pana dziedzica, co to się powiesił”.

Spojrzałem na obie kobiety. Zosia patrzyła we mnie jak w tęczę, a staruszka przestała robić sweter na drutach.

- No więc, choć ten chłop mi tak powiedział, poszedłem do zbrojowni. Był to niewielki pokój, zastawiony pancerzami, dzidami i berdyszami. Na ścianach wisiały tarcze, topory i miecze. W kącie stało łóżko. Muszę przyznać, że w świetle latarki ta rupieciarnia robiła nieprzyjemne wrażenie. Położyłem się jednak, okryłem płaszczem i zasnąłem.

Zrobiłem efektowną pauzę. Ciocia zapytała niecierpliwie:

- I co dalej, synku, co dalej? Nie spałeś przecież do rana?

- Nie, nie spałem. Obudziłem się pośród nocy. Na dworze dął wiatr, poświstywał potępieńczo w kominie, gałęziami parkowych drzew tłukł o szyby. Księżyc wygrzał zza chmur, światło błysnęło w załamaniach zbroi, spłynęło krwawą smugą po zardzewiałym brzeszczocie miecza. Spojrzałem odruchowo na zegarek - była za minutę dwunasta...

- Dwunasta... - szepnęły obie.

- Leżałem chwilę bez ruchu. Gdzieś w drugim skrzydle pałacu ścienny zegar począł wydzwaniać północ. W tej samej chwili...

Urwałem, wyjąłem papierosa, poszukałem zapalek i zaciągnąłem się dymem. W ciszy słychać było mruczenie kota i daleki terkot kaemu nad Wisłą.

- W tej samej chwili w kącie pokoju, pod moim łóżkiem, usłyszałem cichy, ale wyraźny i rytmiczny stukot. Tak zupełnie, jakby ktoś lekko uderzał o podłogę: stuk - stuk, stuk - stuk, stuk - stuk... Zebrałem w sercu odwagę, chwyciłem pistolet w prawą, a latarkę w lewą rękę, obróciłem się gwałtownie i zaświeciłem w kąt. W kącie leżały dwie zapalniczki na krzyż, jedna na drugiej. Na końcach górnej siedziały dwie malutkie figurki, kołysały się i stukały o deski podłogi...

- A co to były te dwie figurki? - nie pojęła ciocia Agata.

- Pchły - odpowiedziałem. - Dwie pchły się huśtały.

Ciocia milczała chwilę, a potem wstała, nie patrząc na zegar kręciła lampę i powiedziała:

- Dobranoc.

Nie zmartwiłem się tym obrotem sprawy. Podałem Zosi palto, pomogłem jej zejść po ciemnych schodach. Serce mi biło jak oszalałe - nareszcie zostaliśmy sami i będę mógł jej posiedzieć wszystko, co myślę.

Jak złudne jednak bywają ludzkie nadzieje! Kiedy wyszliśmy z furtki na ulicę, Zosia podała mi rękę.

- Do widzenia, panie poruczniku.

- Ależ ja panią odprowadzę. Noc, ciemno, droga dość daleka...

- To głupstwo. Jeśli spotkam duchy, wystarczy zapalić latarkę, by stwierdzić, że to tylko... pchełki.
Dobranoc.

Stałem chwilę przy furtce, a potem wściekły na cały świat poszedłem na swoją kwaterę. Nie mogłem pojąć - obrażała się w imieniu duchów czy cioci?

Zrozumiałem to dopiero po wojnie, kiedy mnie Czesiek zaprosił na ślub. Dziś mają już czworo dzieci.

Nawet niedawno spotkałem Zosię - prosiła, żebym przyszedł w gości i opowiedział jej najmłodszymi tę historię o cudzie z pchełkami.

Sam nie wiem - iść, nie iść? Czy to opowiadanie dla dzieci...

53. Autor nieznany

Nie pisuję wierszy. Za ledwie parę miłych pań mogłoby zaprzeczyć. W każdym razie nie pisuję wierszy zawodowo. Słynny jako prozaik w kręgu znajomych i krewnych, jako poeta jestem nie znany.

Natomiast znany się staje jako nieznany poeta i, gdybym oddał sprawę do sądu, mógłbym zostać po śmierci pochowany na placu Zwycięstwa, obok Grobu Nieznanego Żołnierza.

A doszło do tego tak.

W końcu września za obrazę majestatu zastępcy dowódcy 5 brygady artylerii ciężkiej zostałem przeniesiony do innej jednostki. Mianowano mnie lektorem 10 pułku 3 brygady artylerii haubicznej lekkiej. Z zastępcy dowódcy dyonu o kalibrze 152 mm stałem się oficerem politycznym wśród haubic 122 mm - straciłem całe 30 milimetrów kalibru. Jak bardzo byłem nieszczęśliwy, potrafią pojąć tylko artylerzyści. Postanowiłem w związku z tym dołożyć wszelkich starań, by zmienić jednostkę.

Okazja nadarzyła się niebawem. Jeden z reporterów gazety armijnej „Zwycięzimy” zawitał po „materiały z pierwszej linii”. Opowiedziałem mu wszystko jak na spowiedzi, wytoczyłem na stół pół litra bimbru (staliśmy wówczas na Targówku, kłopotów z wódką nie było) i po paru kieliszkach zapytałem, czy nie można by do redakcji...

- A pisać umiesz?

- Umieję. W szkole uczyli.

- To wiem. Pytam, czy umiesz pisać epizody bojowe, felietony, wiersze?

Następnego dnia rozpoczęło się natarcie na północ od Pragi w kierunku na Jabłonnę. Roboty huk, ale mimo wszystko po trzech dniach i nocach byłem gotów, wykonałem zamówienie społeczne: epizod bojowy, felieton i wiersz.

Owe trzy utwory to początek mej kariery dziennikarza. W połowie listopada pracowałem już w redakcji jako podkomendny kapitana Doriana Płońskiego.

Ów „awans społeczny” zawdzięczam nie tyle swym zdolnościom, co gwałtownemu osłabieniu redakcji - połowa pracowników, z majorem Henrykiem Wernerem na czele, odjechała parę dni wcześniej do Lublina, by organizować „Polską Zbrojną”. Ani epizod, ani felieton nie przeszły do historii polskiej prasy, natomiast wiersz...

Wiersz w 1952 roku został włączony do zbioru poezji „O Polskę Ludową”. Przedrukowano go ze stronic frontowego „Zwyciężymy” i nie mogąc rozszyfrować pseudonimu, podpisano: autor nieznany. Poczuję się jak długodystansowiec, który niespodzianie zajmuje punktowane miejsce w sprinterskiej konkurencji.

W roku 1958, na kilka dni przed dwudziestopięcioleciem Wojska Polskiego, wpadła mi w ręce antologia poetycka „Nike znad Oki”. Otwieram książkę i na samym początku czytam:

KOMUNIKAT Z FRONTU

23 października 44 roku.

Pośród spalonych domów –

twarde żołnierskie kroki.

NA POŁNOCNY ZACHÓD OD PRAGI

Pogruchotane drzewa nagie...

W piachu szkielety maszyn

i trupy niemieckie.

...WOJSKA RADZIECKIE WSPÓLDZIAŁAJĄCE

Z ODDZIAŁAMI WOJSKA POLSKIEGO...

Artyleria ogień przenosi w głąb.

Już wyskoczyli z okopów.

- Wpieriod, riebiata!

- Naprzód, kolego!

- Koli sztykom!

- Bagnetem rąb!

...TOCZYŁY WALKI O CHARAKTERZE LOKALNYM...

Krok każdy potem i krwią okupując

i zdobywając każdy dom czy wzgórze,

idą wojska armii naszej podobne burzy.

...I ZAJĘŁY MIEJSCOWOŚCI:

DĄBRÓWKĘ,

HENRYKÓW,

PŁUDY.

Zachodzącego słońca promień rudy

oświetlił pobojuwisko

i łązy szczęścia na twarzach

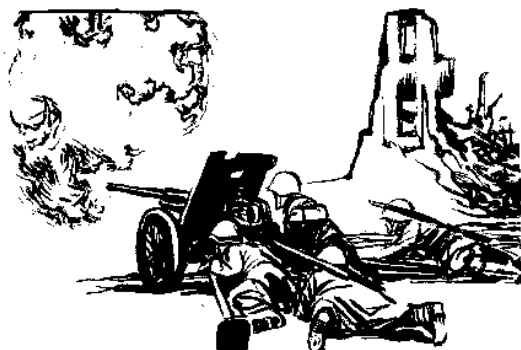
wyzwolonych ludzi.

Kiedy doczytałem do końca, miałem w oczach również „łzy szczęścia”. Jaką wspaniałą karierę może człek zrobić jako autor nieznan! A poza tym drukują go na początku, pod „A”, przed Bartelskim, Borowym, Braunem i Broniewskim.

Postanowiłem: zdekonspiruję się tylko wobec ZAKS-u, a dla tysięcy czytelników pozostanę Nieznany i jako taki zajmę miejsce wśród poetów XX wieku.

I jeszcze jedno: nie dam nigdy w mojej obecności złego słowa powiedzieć na temat „zamówienia społecznego”. Na tej właśnie glebie, użyźnionej pragnieniem ucieczki z pułku haubic 122 mm, wyrosło moje wiekopomne dzieło.

54. Czterdziestkapiątka wyborowa



Przed Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie stoją emerytowane działa. Od falkonetów, oktav i moździerzy regimentowych spod Obertyna, Byczyny i Kircholmu aż do najmłodszych, które nam, żołnierzom 1 i 2 Armii, towarzyszyły nad Bugiem i Wisłą, na Wale Pomorskim, w Kołobrzegu, nad Odrą i Nysą, pod Budziszynem i w Berlinie.

Oglądają je różni ludzie: tacy, którzy z szorstką pieśczołą poklepują lufy niczym szyję bojowego

konia, i tacy, którzy nie bardzo wiedzą, gdzie wylot, a gdzie zamek. Najwięcej jednak skupia się tu młodzieży.

Słyszałem kiedyś rozmowę dwu żołtodziobów w wieku „bardzo przedpoborowym”.

- Z tego jakbyś wygarnął, to byłby huk.

- No chyba...

- A to malutkie - bardziej wymowny pokazał palcem czterdziestkapiątkę - to pukawka dla krasnoludków. Chyba tylko na postrach.

- No chyba...

Oburzony profanacją, wtrąciłem się do rozmowy.

- Właśnie z tego malutkiego można ustrzelić czołg.

Roześmieli się obaj, jak z dobrego żartu.

Nie byłem w nastroju, by tłumaczyć chłopcom, czego można dokonać przy pomocy takiej jednej „pukawki”, jeśli znajdzie się w dobrych rękach, w rękach prawdziwego artylerzysty. A mogłem przecież opowiedzieć choćby o Piotrze.

Podporucznika Piotra Pinkowskiego poznałem w listopadzie 1944 roku. Miesiąc był leniwy. Po przesunięciu frontu na północ od Pragi, w ostatnich dniach października, nic się na odcinku armii nie działo. Staliśmy w obronie patrząc na ciężkie dymy idące od martwych ruin Warszawy. Do wykrwawionych pułków przychodziły uzupełnienia, ćwiczone je w musztrze i umiejętnościach bojowych. Na pierwszej linii z rzadka jazgotały dyżurne kaemy.

Ale Pinkowskiego zacisze nie dotyczyło. On był z tych, dzięki którym bateria nabiera mocy dywizjonu i trzyma w szachu artyleryjskie pułki przeciwnika, nie dając im zaznać spokoju. Kto wie, może wśród przodków miał takich, co pod panem Czarnieckim chodzili wojną szarpaną za Szwedem...

Podporucznik dowodził baterią czterdziestekpiątek. Gdy ustały intensywne walki, nie odpoczywał, do czego miał święte prawo, lecz wydzielił jedną armatkę, dobrał najlepszych do obsługi. Z pomocą ogniomistrza Jana Sienkiewicza, plutonowego Tadeusza Bruno, kanoniera Nasala dniem i nocą nie dawał Niemcom spokoju.

Pierwszy raz spotkaliśmy się na terenie parku praskiego. Obsługa ukryta za pniami bezlistnych drzew ćmiła papierosy a Pinkowski stał na deskach i spoza rozbitego muru obserwował tamten brzeg.

Dowiedziawszy się, że jestem ze „Zwycięzmy”, podał lornetkę i lakonicznie określił:

- Ciemny otwór w murze na wysokości parteru, 15 tysięcznych w prawo od złamanej latarni. Czekam, aż dadzą znać o sobie, bo może ich tam nie być.

Po paru minutach w strzelnicy kilkakrotnie błysnęło i usłyszeliśmy gderliwe gdakanie ciężkiego karabinu maszynowego.

- Wytaczać i załadować - rzucił Pinkowski.

Ospała na pozór obsługa skoczyła do działa i błyskawicznie wykonała rozkaz.

- Ognia!

W czerwonych ceglach ukazał się niewielki otwór.

- Półtora metra w prawo! - krzyknął Pinkowski. - Jeszcze raz ognia!

Po wystrzale przez chwilę panowała cisza. Ani odgłosu, ani błysku wybuchu. Wreszcie do naszych uszu dobiegł stłumiony głuchy huk - i z otworu, z którego strzelał cekaem, począł się wydobywać jasny dymek.

- Zaprzodkować!

Poszliśmy w ślad za działem, które zaprzężone w mongolskiego, włochatego konika podskakiwało już po wybojach Jagiellońskiej. W rejonie Starego Miasta rozległy się cztery szybko po sobie następujące dźwięki - jakby ktoś odkorkowywał butelki.

- Za późno - ironicznie rzucił Pinkowski.

Znad Wisły narósł świst lecących min. Tam, gdzie jeszcze parę minut temu stała armatka, rozerwały się z głuchym traskiem cztery „garnuszki”.

Nie wyprzegając konia, osłonięci domami, dotarliśmy prawie nad samą Wisłę. Pinkowski z drugiego piętra pustego szpitalnego budynku pokazał mi cel: w lewo od zburzonego mostu Kierbedzia i wielkiego budynku z reklamą mydła Schichta ciągnął się niski ceglany murek i w nim właśnie czerniały otwory strzelnic.

- Te trzy z prawej „żyją”, a tamte dalej w lewo wybili dla maskowania.

Zeszliśmy na dół.

Murku nie było widać z poziomu ulicy. Zastaniały go nierówności gruntu, a wyciągnięcie działka na brzeg równałoby się straceniu całej obsługi - hitlerowcy uważnie pilnowali Wisły.

W ruch poszły kilofy i łomy. Żołnierze „poszerzyli” wejście na klatkę schodową na wprost zburzonego domu, stojącego tuż przy szynach wąskotorówki. Zaczepili liny i po piętnastu minutach działko było ukryte za występnym murem na pierwszym piętrze. Z pięciu pocisków trzy trafiły wprost w strzelnicę, a jeden z nich zapalił amunicję. Wybuch rozrzucił kawał muru.

- Teraz odpowiedzą nam szybciej - Pinkowski sam skoczył do działka pomagając.

- Bieg! Bieg! - komenderował, gdy czterdziestkapiątka stała już na ulicy.

Gwizdnął ostro pierwszy pocisk. Przypadliśmy do bruku. Tuż obok węgła budynku zakurzyło tynkiem, trzepnęło rozbitymi cegłami.

- Bieg!

Gdy upadły następne, byliśmy już w bezpiecznej odległości. Parę dni później ukazał się rozkaz dowództwa jednostki:

„Za odwagę, za wysoką umiejętność bojową, za niszczenie techniki i żywej siły wroga rozkazuję: ppor. Pinkowskiego Piotra, ogniomistrza Sienkiewicza Jana, plut. Bruno Tadeusza i kan. Nasala Władysława przedstawić do odznaczenia. Pozostałej obsłudze wyrażam podziękowanie. Obsługę wymienionego działka nazwać wyborową i składając raport meldować od dnia dzisiejszego «obsługa działka wyborowego»”.

O tym wszystkim powinienem być wówczas przed muzeum opowiedzieć dwóm młodym ludziom, którzy nazwali czterdziestkapiątkę pukawką.

Dopiero teraz staram się naprawić skutki swego lenistwa, a czytelników, którzy zwiedzeni tytułem przypuszczali, że mowa będzie o czystej wyborowej 45%, przepraszam za wprowadzenie w błąd, krzywdę zaś moralną postaram się dalej naprawić.

55. Jeden strzela, a drugi order nosi

W październiku czy listopadzie Niemcy ściągnęli do Warszawy działko kolejowe. Parę razy na dzień strzelało ogromnymi pociskami o kalibrze 620 mm, terroryzując ludność Pragi i okolic. Naturalnie po

każdym odpaleniu następowała natychmiastowa zmiana stanowiska i długi okres czasu kolubryna grasowała bezkarnie.

Wreszcie pewnego dnia, przed świtem, dywizjon zwiadu dźwiękowego ustalił jej stanowisko i nieoficjalnie, po koleżeńsku, podał współrzędne dowódcy 2 dyonu 5 BAC-u kapitanowi Bronisławowi Rakowskiemu. Błyskawicznie przygotowano dane do strzelania, gruchnęła salwa dwunastu armat i... zabrzączał telefon.

Dzwonił dowódca brygady, generał Kierp, pytając, kto strzela.

- To nie nasz dyon - stwierdził stanowczo szef sztabu, bojąc się, że obudził generała i dostanie solidną burę.

Poza tym strzelano tzw. „partyzanckimi” pociskami, do których nie wolno było się przyznać. Rzecz w tym, iż w obronie obowiązuje ustalona norma - po pół lub po jednym pocisku dla działa na dzień. Chodzi o to, by zaopatrzenie zdolne było nagromadzić zapasy amunicji do artyleryjskiego przygotowania ofensywy. Każdy jednak dowódca baterii czy dyonu stara się zdobyć wszelkimi, nie zawsze legalnymi sposobami „swoje”, czyli „partyzanckie” pociski, by móc niszczyć ciekawsze cele bez pytania o zezwolenie „z góry”.

Godzinę później dzwoniło powtórnie ze sztabu artylerii armii. Powtórnie 2 dyon udzielił zapewnienia, że „to nie my”.

Wieczorem całą brygadę obiegra wieść, że pewien oficer artylerzysta innej jednostki (nazwiska ze zrozumiałych przyczyn nie wymienię) otrzymał wysokie odznaczenie za rozbicie salwą niemieckiego działa kolejowego. Obudzony z głębokiego snu, nic jeszcze nie pojmując, na zapytanie, czy to on strzelał, odpowiedział odruchowo:

- Tak jest, obywatelu generale.

W tym przypadku odznaczenie zostało mimo wszystko w rodzinie - wśród artylerzystów 1 Armii. Bardziej niesamowita przygoda przydarzyła się innemu oficerowi o tym samym imieniu co kapitan Rakowski, mającemu jednak inny stopień. Pułkownik Lubański wprowadził w błąd jeśli nie samego Hitlera, to Oberkommando der Wehrmacht na pewno. Początki tej historii są nieco wcześniejsze, ale za to epilog późniejszy.

Otóż po zdobyciu Pragi do generała Jerzego Bordziłowskiego, szefa wojsk inżynieryjnych 1 Armii, zameldował się dowódca brygady saperów z oryginalną prośbą:

- W imieniu zakonnic, dzieci oraz swym własnym proszę obywatela generała o zezwolenie wysadzenia w powietrze wieży wawerskiego kościoła.

Bordziłowski zerknął uważnie na pułkownika, czy czasem staremu i doświadczonemu żołnierzowi nie przydarzyła się złośliwa kontuzja, czy też może nadużył alkoholu, co ma czasem miejsce w najlepszych rodzinach. Ten jednak stał na baczność i nie mrugnawszy okiem patrzył całkiem przytomnie.

- Lubański, co wy sobie myślicie? - spytał generał podwładnego. - Reakcja pyskuje, żeśmy bolszewicy, bezbożnicy i zbereźniki, a wy kościół macie zamiar wysadzić? Jeszcze chcecie mi wmówić, że to

zakonnice was do tego namawiają? A może papieża widzieliście we śnie, może Baranka Bożego? - generał znowu na chwilę zwątpił w stan władz umysłowych pułkownika i aż poczerwieniał z wrażenia.

Sytuacja zmieniła się nieco, gdy dowódca brygady wytłumaczył sprawę dokładniej: przy kościele siostry prowadzą sierociniec, a w nim mają kupę dzieciaków. Kościół stoi oddzielnie, prawie w polu, wieżę ma wysoką i widać go jak na dłoni diabli wiedzą skąd. Niemcom się ubzdurało widocznie, że tam jest jakiś punkt obserwacyjny artylerii i co dzień rąbią z ciężkich dział po kilkadziesiąt pocisków. Starają się zniszczyć wieżę za wszelką cenę, a trafić nie mogą. Żeby trafili, byłby spokój, a tak jeszcze dzieci pokaleczą. Więc siostry zakonne przyszły do najbliższego sztabu, to znaczy do 1 brygady saperów, i proszą, czyby nie można zniszczyć wieży. Jeśli nie całej, to tego czuba, co tak wysoko sterczy...

Bordziłowski zastanowił się, ale sprawa nie była łatwa: niby proszą, a potem diabli wiedzą, jak wyjdzie.

- Nie wolno - burknął. - Chyba żeby na piśmie dali.

Lubański zasalutował, poszedł i już następnego dnia zgłosił się z pismem na pięknym kredowym papierze, opatrzonym wieloma podpisami i pieczęciami kościelnymi. Generał dopisał: „Przychylić się do prośby... wysadzić”.

Rzecz została zrobiona rozsądnie, z pomysłu, po sapersku. Wyborowano w murze otwory, starannie obliczono ładunki, choć obiekt był nietypowy, i założono kable. Wyczekali wieczorem do lekkiego zmierzchu, żeby zbyt dobrze nie było widać zza Wisły, i kiedy z furkotem nadleciały ciężkie granaty, poszła iskra na sponki. Jednocześnie z wybuchami szczyt wieży drgnął, uniósł się i tak jak umiał najbardziej delikatnie, rąbnął na ziemię.

Z drżeniem serca czekali dnia następnego - co będzie, jeśli Niemcy mimo wszystko nie przerwą ognia? Przerwali jednak. Siostry z dziećmi przyszły dziękować saperom...

Historia zdawała się być zakończona, ale przypadek rzucił na nią dodatkowe światło. W styczniu, kiedy wraz z całym frontem 1 Armia ruszyła za Wisłę na Warszawę, jej dowódca, Stanisław Popławski, dał rozkaz Jerzemu Bordziłowskiemu, żeby przyspieszył manewr 3 dywizji piechoty, która po szerokim zewnętrznym łuku szła spod Góry Kalwarii na stolicę.

Generał wyjechał, zrobił co do niego należało, i przy tej okazji przemarzał solidnie, bo 17 stycznia chłód był tęgi i na tyle bezczelny, że z szarżami poczynął sobie równie ostro jak z szeregowymi. Jadąc w stronę Warszawy, dwa kilometry za Piastowem zobaczyli miły domek na prawo od szosy i skręcili do niego, żeby się zagrzać nieco.

Właścicielka domku powitała ich serdecznie, zaprosiła do pokoju, usadziła pod kaflowym piecem i na kuchni rozgrzała wojskową konserwę. Gospodyni zapytana, jak tu się żyło za Niemców, poczęła opowiadać:

- Kiedy przyszlście na tamten brzeg, kiedy wyzwoliliście Pragę, to hitlerowcy ustawili niedaleko od nas takie duże działa i zaczęli strzelać. A wiecie, kochani, dokąd oni, antychrysty, strzelali? Ja wiem, bo mi sami mówili. Do kościoła, kochani, strzelali.

- A do jakiego? - spytał generał, jeszcze niczego nie podejrzewając.

- Ja prażanka jestem, z Grochowa rodem się wywodzę, to wiem. Oni, moi kochani, do wawerskiego kościoła strzelali. Modliłam się, żeby nie trafili, ale gdzie tam, nie wysłuchana została prośba moja grzeszna. Przylatują jednego dnia i krzyczą, że całą wieżę rozbili na kawałki. A jeszcze potem, to dla tego ich dowódca krzyż przyszedł od samego Hitlera. Powiadali, że rycerski i żelazny, ale może tylko tak mówili, może był złoty, bo pili potem dranie przez dwie doby z radości...

Generał skromnie spuścił oczy i pożegnawszy się, odjechał, nie udzielając bliższych wyjaśnień. Potem jednak nieraz podśmiewał się z pułkownika Bronisława Lubańskiego, że jego brygada swoją ciężką pracą powiększyła ilość kawalerów Ritterkreuz des Eisernen Kreuzes.

56. Zbrodnia i kara

Jedna i ta sama idea może mieć rozmaitych wyznawców. Tak na przykład wśród setek zakonów katolickich benedyktyni zasłynęły pracowitością, jezuita - obłudą i kaznodziejstwem, bernardyni - ratowaniem zabłąkanych w górach i hodowlą psów, kartuzi - produkcją likierów, a franciszkanie, przez krótki co prawda okres - ubóstwem.

Spśród dywizyjnych wydziałów politycznych 1 Armii wydział polityczny dąbrowszczaków wyróżniał się surowością obyczajów i całkowitą ascezą, jeśli chodzi o spożycie alkoholu.

Jego nowy szef, kapitan Borys Szubicz, choć wzrostu był niewielkiego i nosił okulary, umiał trzymać swych podwładnych w ryzach stalowej dyscypliny. Ogniste miał włosy, zadzierzwyty charakter i słowa płomienne, jak na rewolucjonistę przystało.

Od dnia swego przybycia, a było to jesienią czterdziestego czwartego roku, rzucił hasło walki z alkoholizmem i rozpalonym żelazem (w przenośni) wypalił resztki tego nałogu przede wszystkim w swym wydziale (rzeczywiście). Czy oficerowie polityczni nie zaglądali do kielicha podczas pobytu w pułkach, nie można stwierdzić na pewno. W każdym razie na terenie Rembertowa, gdzie stacjonował sztab, byli zawsze trzeźwi i niewinni jak w godzinie narodzin.

Przyszedł grudzień i wraz ze śniegiem przyniósł świąteczne paczki z Lubelszczyzny. Nie żyło się wówczas łatwo na wyzwolonych terenach Polski. Chleb i niewiele więcej poza chlebem przydzielano na kartki. Ale dla żołnierza na froncie ludzie nie żałowali niczego - paczki zawierały rękawice i ciasta, skarpety i kiełbasę, szaliki i słodczyce, swetry i suszone owoce, serdeczne listy i, naturalnie, bimber.

Ze względu na ten ostatni składnik szef wydziału podjął bohaterską decyzję przepakowania, skontrolowania i kastracji paczek z antyalkoholowego punktu widzenia. Zgromadzono je wszystkie w dużym, pustym pokoju, opieczętowano drzwi i okna, postawiono wartownika.

Długo namyślano się, komu powierzyć zadanie prohibicyjnego urzędu celnego, choć amatorów było wielu. Ostateczny wybór padł na chorążego Bronisława Bednarza, instruktora propagandy, i sekretarkę wydziału, kaprala Helenę Mocarską. Oboje byli młodzi i całkowicie niepijący. Bednarza niedawno odkryto wśród żołnierzy 6 pułku i awansowano społecznie, a Mocarska brała udział

w powstaniu warszawskim, przepłynęła Wisłę jako łączniczka od „Żywiciela” i zgłosiła się ochotniczo do armii, by pozostać na froncie.

Do pracy przystąpili natychmiast i z najwyższym pośpiechem - do Wigilii pozostawało zaledwie parę dni, a paczek było parę tysięcy. Rozsuptywali sznurki, odwijali papier i płótno, kontrolowali i - odstawivszy do kąta „szpaczka”, „małpkę” lub „ćwiartuchnę” pakowali na nowo. Butelek nie trzeba było odkorkowywać, by stwierdzić, co zawierają. Wystarczył rzut oka na mętnawą, oleistą ciecz, a poza tym przez najmocniejsze korki wysnuwał się bimbrowy, ostry zapach.

Co godzinę lub dwie ktoś uchylał drzwi, zaglądał do pokoju - najczęściej mały kapral z Wołynia, czarnowłosa mechanik aparatu kinowego. Wszyscy oferowali pomoc w zniszczeniu rosnących w kącie baterii i dywizjonów butelek. Wszyscy pałali wstrętem do paskudnego bimbru i obiecywali osobiście wyłąć go do ścieków.

Płochy cherubinek o okrągłej buzi i rozczochranej czuprynie oraz okrągłolicy i dobroduszny młodzieniec w okularach, czyli Helenka i Bronek, przeistoczyli się jednak w dwa cerbery i szczwane lisy. Nie wierzyli uroczystym deklaracjom i gnali pomocników, gdzie pieprz rośnie.

Gnali może dlatego, że byli zmęczeni pracą ponad siły. Może dlatego, że wygłodniali na skąnym wikcie z kotła byli rozdrażnieni tą obfitością smakotyków, które przewijały się przez ich ręce, a których nawet tknąć nie pozwalał im honor. A może po prostu bali się złamać rozkaz surowego szefa wydziału.

Niezależnie od pobudek fakt pozostaje faktem. Stała się rzecz straszna i przerastająca ludzką wyobraźnię. Dokonano ponurej zbrodni, wołającej o pomstę do losu: po skontrolowaniu wszystkich paczek chorąży Bronisław Bednarz wraz z kawalerem Krzyża Walecznych kapralem Heleną Mocarską zebrali butelki zawierające setki litrów wspaniałego samogonu-pierwacza, który lud pracujący Lubelszczyzny odjął sobie od ust, i... wyleli.

Tak właśnie: wyleli osobiście ciemną nocą do ścieków miasta Rembertowa, w tajemnicy przed żołnierzami bojowych batalionów.

Nie opadł strop niebieski, grzmoty i błyskawice nie trysnęły z zenitu, ale przekonany jestem, że szatan wówczas zachichotał, zataił ręce i począł knuć zemstę, a święty Jerzy, generalissimus zastępów niebieskich, z obrzydzeniem odwrócił oblicze w inną stronę i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia piekłu, że wydziału politycznego 2 dywizji bronić nie będzie.

Minął Nowy Rok, ruszyła ofensywa, armia w ciężkich bojach przełamywała różne wały, a podwładni kapitana Szubicza w dalszym ciągu byli stale i nieprzyzwoicie trzeźwi. Wigilijna zbrodnia powoli tonęła w niepamięci, lecz właśnie wówczas, gdy wydawało się już, że ujdzie bezkarnie, Lucyfer skinął dłonią, dając znak, że czas nadszedł.

Podczas lutowych walk na pozycji ryglowej Wału Pomorskiego brakło dogodnej dla kwaterunku wsi i sztab dywizji rozlokowano w pojedynczych chałupach rozrzuconych na tyłach. Wydziałowi politycznemu przypadła samotna leśniczówka. Duże odległości, brak transportu i błotniste drogi utrudniały kontakt z pułkami.

Pewnego dnia, gdy jedyny samochód, sfatygowany willys, odjechał, ugrzązł gdzieś i nie wracał, do leśniczówki zajrzała nuda i wykrzywiła głębę ziewając paskudnie. Wszystkim nagle zrobiło się smutno i bardzo samotnie. Za oknami siąpił deszcz ze śniegiem. Za sprawą diabła zapewne stanęły pod stołem trzy litry czystego spirytusu.

Nikt dziś nie pamięta, kto pierwszy wystąpił z projektem, ale ktoś na pewno wystąpił, stwierdzając, że żołnierz wkroczył zwycięsko na stary szlak piastowski, na ziemię odwiecznie polskie i żeby to jakoś uczcić. Wszyscy zgodzili się niespodzianie szybko, a kapitan Szubicz nawet wygłosił krótkie przemówienie na temat rocznicy powstania Armii Radzieckiej. Czy bliskiej, czy minionej rocznicy, tego już nikt nie pamięta.

Czasy były bogate w żywność, patelnia z wieprzowiną stała akurat na kuchni, więc nie zwlekając uderzyli w gaz, jak ongiś jazda polska w dym muszkietowych salw uderzyła. Spirytus zwarzył abstynentów niczym mróz lelije.

Pół godziny później zawarczał samochód i do leśniczówki wkroczyła inspekcja Zarządu Politycznego Armii.

O rozmowie z kimkolwiek nie było mowy, a przybysze śpiewać nie mieli ochoty. Sytuację ratowała, jak mogła, plutonowy Janka Saciłowska, karmiąc inspektorów wieprzowiną. Zjedli i odjechali.

Szatan wziął zemstę na abstynentach. Widząc ich jednak wstawionych na nowej drodze życia, nie dobił leżących - inspektorzy wstrzymali się od złożenia meldunku zastępcy dowódcy armii, podpułkownikowi Jaroszewiczowi.

Dziś sprawa uległa przedawnieniu i wiele ogłoszono amnestii. Pozostało wspomnienie, przyczynek historyczny i morał: „Nie bądź pan taki papież...”

57. Postrzelony gwizd

„...Odys bez trudu napiął wielki łuk. I prawą dłonią chwyciwszy spróbował cięciwy, a ona pięknie zaśpiewała głosem jaskółki... Wziął chyżą strzałę, która obok leżała na stole, sama jedna, inne były w głębi kołczanu... Strzałę położył na kabłąku i trzymając ją w karbach, naciągnął cięciwę. Nie wstał ze stołka, na którym siedział, ale z miejsca puścił strzałę mierząc prosto: ani jednego topora nie chybił, od pierwszego ucha do ostatniego na wskroś przeszła strzała ciężka od spizu”.

Od czasów Homera po dzień dzisiejszy idzie przez wieki żołnierska sława wielkich strzelców: Wilhelm Tell, trafiający bełtem kuszy w jabłko na głowie syna; Jan, zesłany na Sybir, który nauczony od Baszkirów, trafia strzałem „przez elewację” w wyżła Fantazego, co Juliusz Słowacki w dramacie uwiecznił; Jacek Soplica z „Pana Tadeusza”, który: „flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił; między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić! I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!”

Można byłoby mnożyć przykłady w nieskończoność, doprowadzając je do sybirskich myśliwych, którzy celują w oko wiewiórki, by nie psuć futra, do snajperów wstawionych podczas ostatniej wojny, a wreszcie do ogniomistrzów astronautyki, trafiających raketą w księżyc.

Zdawać by się mogło, że nic w tej dziedzinie nie można odkryć nowego, że wszystko już było: uszy dwunastu toporów, jabłko, wyżeł „przez elewacją”, zęby niedźwiedzia, oko wiewiórki i księżyc.

A jednak...

W grudniu punkt obserwacyjny 4 baterii 5 BAC-u rezydował naprzeciw Henrykowa nad samą Wisłą. Po drugiej stronie rzeki, u wroga, nie działo się nic, co mogłoby być godne półcietnarowego pocisku. Dni mijały mroźne, szare, wypačkane błotem zdeptanego śniegu na dnie okopów. Zwiadowcy, tkwiący godzinami przy lornetach nożycowych, ziewali na całego - w kręgu szkielec, za grządką podziałki stale ten sam brzeg, zarys okopów, bezlistne drzewa i parę domów Łomianek. A już nocne dyżury stały się męką - zimno, czarno i do celu daleko. Ledwo czasem słychać terkot serii, wystrzał działowy albo jakiś gwizd...

Właśnie ten gwizd zwrócił uwagę bombardiera Waldemara Wajszwilego, starszego zwiadowcy plutonu dowodzenia. Nie dlatego, żeby jakiś szczególnie melodyjny, ale że powtarzający się o podobnej porze.

Waldek na ochotnika wziął drugi z rzędu nocny dyżur, ryzykując, że go koledzy posądzą o pomieszenie zmysłów. Sprawdził według zegarka - co do minuty w tym samym kierunku.

Zameldował kapitanowi Polakowi:

- Pociąg jeździ. Według rozkładu. Jak to u Niemców.

Następnej nocy nasłuchiwali już nie tylko zwiadowcy - paru oficerów z dyonu przyszło do okopu. Lokomotywa gwizdnęła, jak na zamówienie. Maszynista ukryty za garbem wysokiego brzegu czuł się widać bezpieczny. Ciemną zimową nocą dym nie mógł go zdradzić.

Określono dokładnie kierunek. Topografowie dniem wykreślili kąt na planszecie, znaleźli punkt przecięcia z torem wiodącym od Dworca Gdańskiego na Palmiry.

23 grudnia, w wilię Wigilii, gdy zapadł zmrok, dwanaście luf uniosło się nad nasypami okopów. Kanonierzy załadowali pociski.

Na punkcie obserwacyjnym, obok Wajszwilego, przysiadł kapitan Rakowski, dowódca dyonu. Telefonista szeptem upewniał się w rozmowie ze słuchawką:

- Sosna, jak słychać? Ty, uważaj, cholero...

Waldek spoglądał na powolne wskazówki i zasychało mu w gardle. Kiedy przetykał ślinę, trzaskało coś w uszach i bał się, że nie usłyszy. „Przyjedź, przyjedź - namawiał bezgłośnie niewidzialny pociąg. - Przyjedź i zagwizdź. Przecież ci się, draniu, za Karola Śliwockiego należy... jak nie przyjedziesz, to wyśmieją mnie za nieudany pomysł. Może i nic nie powiedzą, ale głupio będzie...”

„Modlitwa” pomogła. Na cztery sekundy przed zwykłą godziną syrena mętnie zachrypięła, ścichła i wreszcie wyrzuciła ze siebie ostry, prowokujący gwizd.

- Dywizjon salwą... ognia!

Błysnęło w kierunku stanowisk ogniowych.

- Załadować, zameldować! - szły już dalsze rozkazy.

Górami, jak ławica ciężkich ryb, zaszumiały pociski.

- Gotowe! - odskrzyknął telefonista.

Te pierwsze zadudniły, ryknęły za Wisłą.

- Salwą ognia! - posłali następną.

Wajszwili przyklejony do lornety starał się znaleźć błyski lub dym na widnokręgu.

- Ognia!

Gdy trzecia salwa sięgnęła ziemi, niebo nagle zrudziało, poczerwieniało - trysnął ogień, rozlał się szeroko.

Rąbnęli jeszcze czwarty raz, na poprawkę.

Następnego dnia zwiadowczy samolot bez trudu odnalazł rozbity pociąg amunicyjny.

I to wszystko. Do szeregu sławnych strzelców zameldował się dywizjon kapitana Rakowskiego ze starszym zwiadowcą Waldemarem Wajszwilim na prawym skrzydle. Bo wszystko, co prawda, już było, ale żeby dźwięk trafić, żeby postrzelić gwizd, to chyba jeszcze nie.

Jest to ostatnia w tej książce opowieść o plutonie dowodzenia 4 baterii. 6 lutego na Wale Pomorskim ciężarówka, która wiozła zwiadowców, wpadła w zasadzkę. Dostali nagle ogień maszynowy z trzech stron. Żywi bronili się do ostatniego naboju. Zginął tam chorąży Edward Ostrycki, kapral Tadeusz Sady, Obara, Kościukiewicz, Ginczewski... Waldek Wajszwili i Staszek Jewdoszuk podziurawieni kulami trafili do niewoli. Przeszli więzienie w Szczecinie i Stalag X „B” Sandbostel.

Do Polski wrócili obaj tuż po wojnie, mierząc drogę z obozu opuchniętymi nogami.

Staszek Jewdoszuk, Paganini drużyny zwiadu, po ukończeniu Szkoły Głównej Służby Zagranicznej pracuje dziś w jednej z naszych ambasad. Skrzypce w dalszym ciągu traktuje jako zajęcie miłe, ale uboczne.

Waldek Wajszwili zrobił studia w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej. Jest kierownikiem pedagogicznym dużej szkoły w województwie wrocławskim i właścicielem piwniczki dobrych win własnego przemysłu.

Ale tak naprawdę, w głębi serca, obaj pozostali zwiadowcami.

58. Żyrafa

Sztab batalionu mieścił się w starej, obłupanej z tynku kamienicy na rogu Targowej i 11 Listopada - tam gdzie dziś ze zgrzytem i dzwonieniem skręca „czwórka”. Nie pamiętam dobrze - na drugim czy

trzecim piętrze. Przez nie zabudowane pustkowie widać było drzewa parku praskiego i ogrodu zoologicznego.

Na przewodnika dostałem młodziutkiego chorążego o prostych włosach koloru słomy i czerwonych z niewyspania oczach. Wracał akurat do swego plutonu cekaemów i miał mnie zaprowadzić.

- Troszku w lewo, troszku w prawo - dyrygował z wileńskim akcentem.



Gdy przebiegaliśmy Ratuszową, zgrabnie podstawił mi nogę, uprzedzając niską serię z ruin Starówki. Prześwistały kule. Stwierdził spokojnie:

- Troszku , trzeba na brzuchu.

Za ogrodzeniem zoo kryły nas drzewa. Wstaliśmy i otrzepali portki ze śniegu.

Z początku orientowałem się doskonale: od krokodyla skręcaliśmy ku słońcom, skośnie w stronę rzeki, ale na terenie zagrody wielbłądów salwa moździerzy znowu nas położyła. Sypnęła śniegiem i grudkami

przemarzniętej ziemi.

Pobiegliśmy klucząc między drzewami, skacząc w wąskie rowy dobiegowe, przylegając w płytkich lejach. Zadyszany dopadłem szarego budynku z kopułą i chorąży popchnął mnie do środka.

Na razie nic nie widziałem. Pachniało tylko ludźmi i mokrym sukniem, od czerwonego piecyka w kącie niosło ciepłem.

Na rozkaz chorążego żołnierze odciągnęli maksyma od strzelnicy. Podano mi lornetkę.

- Chcecie popatrzeć? Prawie już zamarzała.

Trzymałem szkła w ręku nie podnosząc do oczu i nie interesowałem się rzeką. Miasto było tuż przede mną. Widziałem je teraz w innym skrócie, od innej strony, niż przywykłem patrzeć z Saskiej Kępy, z portu.

Po ośnieżonej skarpie wspinała się Starówka i Nowe Miasto. Na tle martwego, styczniowego nieba - kikut katedry, połamany grzebień Rynku, wystrzępiona kolumna średniowiecznej dzwonnicy Panny Marii i ciężka, betonowa bryła Wytwórni Papierów Wartościowych. Po tym kamiennym i ceglany rumowisku snuł się gorzki dym.

- Pałą? - spytałem głupio.

- Pałą i wysadzają. Codziennie. Przez lornetkę odszukałem czteropiętrowy dom na Rybakach, a raczej ścianę, która po nim została. Ciotka i wujek mieszkali tam przed wojną. Patrząc teraz na okopcony, dziurawy od okien i pocisków mur, wspominałem, że mieli duże, trzyskrzydłowe lustro, takie, jakie bywają u krawców.

Oddałem lornetkę. Cekaem wrócił na swe miejsce w strzelnicy. W milczeniu wypaliliśmy machorkowe skręty.

- Jak tu notować?

Żołnierz zaświecił karbidówkę.

- U nas światło jak na balu.

Wygodnie byli urządzi - prycze z desek, stołki, stół. Na stole stały misternie przyciosane saneczki z podpórkami. Pod ścianą - deski. W kącie - sterta granatów posplatanych drutem w wiązki.

- Co to za skład saperski? Kazali wam?

- Nie - zmieszał się chorąży. - My sami. Każdy przecież rozumie, że lada dzień. Sanki pod cekaem, a deski na lód, żeby nie trzasnął, bo na nurcie jeszcze słaby.

Potem zapisywałem opowiadanie, jak wzięli jeńca na tamtym brzegu. Skończyłem o zmierzchu i zapiliśmy przyszły reportaż szklanką wódki.

Chorąży wyprowadził mnie przed schron cekaemistów.

- Traficie?

- Trafię. Ale powiedzcie mi, co to za buda?

- Nie poznajecie? - zachichotał. I ośmielony alkoholem dodał: - Wasza przedwojenna willa.

- Nie rozumiem.

- Klatka żyrafy, a wy przecież...

Rzeczywiście, pisywałem w „Zwyciężymy” felietony robione pod Wiecha, używając pseudonimu „rekrut Żyrafa”, bo tak mnie kiedyś przezywali w szkole.

Odszedłem parę kroków. Chorąży zniknął we wnętrzu. Stałem za drzewem i ukradkiem patrzyłem na szary, kopulasty kształt - dawną stajnię żyrafy, dzisiejsze mieszkanie i stanowisko ogniowe cekaemistów. Żał mi się zrobiło komicznego, łaciatego zwierzaka z ogromną, giętką szyją, z małutkimi różkami i łagodną ciekawą mordką. I jej wojna nie ominęła.

Od Warszawy wiatr przyniósł swąd spalenizny. Postawiłem kołnierz płaszcza i dużymi krokami ruszyłem między drzewa, rad, że nikt mnie nie widział.

59. Ulotki

Pierwsze, z którymi zetknął się żołnierz naszej armii, nie były dlań przeznaczone. Spadły pewnej pogodnej nocy na kiwerczeńskie lasy, dowodząc, że Niemcy nie mają pojęcia, kto w nich mieszka. Był to krótki podręcznik symulacji najrozmaitszych chorób, przeznaczony dla ewentualnych dekowników i dezertów. Można się było zeń nauczyć, jak gnoić rany, udawać gruźlicę i choroby weneryczne. Dobry wujek hitlerowski radził między innymi przebijanie kolana brudnym drutem i przewlekanie

przezeń grubej nici, gwarantując, że to spowoduje usztywnienie kończyny i gangrenę oraz spokojne życie na tyłach.



- Pozagrobowe także - stwierdzali żołnierze odcyfrowując ten dokument głupoty.

Jeden z kanonierów, lwowski cwaniak, oświadczył poważnie podczas zajęć politycznych:

- Obywatelu chorąży, też jakby ja miał prawdziwego syfa, nie udawanego, to ja bym i tak tłukł tych drani aż do śmierci.

Kiedy armia weszła do walki nad Wisłą, Propaganda-Abteilung sztabu generała Vormanna, a może nawet jakaś wyższa instancja Wehrmachtu, zaszczyliła nas

korespondencją w języku polskim. 13 sierpnia, w niedzielę, samoloty zrzuciły na stanowiska 1 brygady pancerniej pod Studziankami ulotki ubolewające nad losem „strzelców 1, 2 i 3 dywizji Wojska Polskiego”, którzy tudzą się, że walczą o „wolną, niepodległą Polskę demokratyczną”, a są tylko „mięsem armatnim, dobrym mięsem armatnim, tanim mięsem armatnim”. Sporo tam było wymyślań pod adresem żydokomuny i wreszcie zapewnienie: „Zgodnie z rozkazem Führera nr 13, każdy, kto przejdzie na niemiecką stronę, otrzyma tę samą ilość prowiantu, co i żołnierz niemiecki, i pracę według życzenia”.

Tekst budził ogólną wesołość, bo grenadierzy w Studziankach, pozbawieni regularnego dowozu żywności, tego akurat głodowali. A co do „pracy według życzenia”, to właśnie wszyscy ją już mieli - rąbali w Niemców od rana do nocy i nocą także, na drugą zmianę.

Powtarzali się hitlerowcy w swych ulotkach beznadziejnie i tępo. Ciekawsze sformułowania przyniosła dopiero spora kartka, formatu kancelaryjnego arkusza, wydana po kapitulacji powstania. Chwalili się w niej, że „wódz naczelny, gen. Bór-Komorowski, oraz towarzyszący mu wyżsi oficerowie napotkali pełne kurtuazji przyjęcie”, że Niemcy „ludność cywilną otoczyli najbardziej humanitarną opieką, na jaką pozwalały miejscowe warunki”.

Wśród nauk, „które możemy wysunąć (? - przyp. aut.) z opisanego przebiegu wypadków”, na pierwszym miejscu umieścili zdanie: „Wspaniałomyślna postawa armii niemieckiej wobec zbuntowanej Warszawy dowodzi jasno, iż między ludźmi dobrej woli nigdy nie jest za późno na polepszenie wzajemnych stosunków!... Nauki te zrozumiała polska Armia Krajowa, decydując się na wstrzymanie walki przeciwko Niemcom. Czas najwyższy, by za jej przykładem poszli inni Polacy, sprowadzeni na manowce przez angielską i bolszewicką propagandę”.

Jednym słowem, wynikało jasno, że jeśli nie zawrzemy sojuszu bratniego z hitlerowską Rzeszą, to sami sobie będziemy winni.

W tym samym czasie zdobyłem na Pradze piękny komplet „szpruchów”, czyli hasel niemieckich, wydanych jeszcze przed rokiem na dobrym kartonie i w eleganckich kolorach. Każde miało na odwrocie numerek, pieczętkę i zlecenie, kiedy je trzeba wywiesić, a kiedy zdjąć. Były to cytaty mężów stanu od arcybiskupa Agobarda z Lyonu, żyjącego w roku 820, poprzez Woltera, Dostojewskiego, ich

świętobliwości papieży Leona XIII i Piusa XI, do ks. dr Aleksandra Żychlińskiego i samego Adolfa Hitlera. Wszystkie głosiły konieczność likwidacji Żydów i bolszewizmu wraz ze Związkiem Radzieckim. Kwiatek w tej kolekcji stanowiło zdanie z pism Józefa Piłsudskiego, wydrukowane wielkimi wersalikami, na szarym profilu autora: „Na to nie ma ratunku, że ten, co w tyle idzie, musi ulegać temu, co naprzód kroczy”.

To dość oryginalne przywiązanie do postaci nieżyjącego marszałka potwierdziła po raz wtóry ulotka zrzucona na stanowiska armii już zimą.

Przeczytaliśmy w niej między innymi:

„Żołnierze polscy! Pamiętajcie, że Moskale to wasi wrogowie odwieczni... Pamiętajcie, że wasz sławny marszałek Piłsudski zawsze walczył z bolszewikami... Przechodźcie na naszą stronę”;

Wezwania tego usłuchaliśmy w styczniu, przechodząc całą armią na zachodni brzeg Wisły, a nieco później - Odry.

Trzeba stwierdzić, że był to jedyny wynik propagandowych ulotek hitlerowskiej armii.

Poza tym nie nadawały się absolutnie do niczego. Nawet machorki w nich nie palono, zgodnie z niepisany żołnierskim prawem. Gdy któryś z nowicjuszy próbował to robić, dostawał po uszach od sąsiada i otrzymywał niezmiennie to samo upomnienie:

- Nie uczyli cię, żłobie, żebyś byle g... do gęby nie kładł?

60. My nie cywile

Zdenerwowany i roztrzęsiony wróciłem z Pragi do Sulejówka, gdzie kwaterowała redakcja - wszystkie znaki na ziemi zapowiadały, że już lada chwila się zacznie. Mając pietra, żeby nie przegapić, skoczyłem od razu na kapitana Płońskiego:

- Kiedy jednostki ruszą, będzie za późno. Trzeba jechać do sztabu, tam muszą już coś wiedzieć.

Uśmiechnął się i podał mi wilgotną jeszcze odbitkę szpaltową. Tłuste litery wieściły: „Wielka ofensywa w Polsce... Front niemiecki przerwany na zachód od Sandomierza...”

- Kiedy jadę?

- Za godzinę. Do jakiej chcesz jednostki?

Wybrałem 1 dywizję, licząc, że oni pierwsi. Dogałem ją dopiero na przyczółku magnuszewskim - stąd właśnie wyszło do natarcia pięć armii radzieckich, stąd startowaliśmy na Warszawę.

Nocą, na ciężarówce wyładowanej moździerzystami, szerokim łukiem niczym po ostrzu ogromnego sierpa, płynęliśmy ku miastu w rzece stali, ryku silników i światła. Radzieckie lotnictwo panowało

w powietrzu i mogliśmy gwizdać na Luftwaffe. Tylko mróz był tęgi, stukałem butem o but, zębem na ząb nie mogłem trafić.

Rankiem dywizja poszła od razu na Włochy, a ja w szarym świcie ruszyłem samotnie od Okęcia w stronę placu Narutowicza.

Niezupełnie samotnie. Rowem ciągnęli linię zdyszani telefoniści. Szosą Krakowską przecwałował zaprzęg kudłatych koników ciągnących czterdziestkępiątkę. Działo podskakiwało na wybojach, jezdny wywijał zawadiacko batem.

Z Narutowicza skręciłem w Barską. Znalazłem dom, pod którym jako sztubak wystawałem ongiś godzinami, by dostrzec cień dziewczyny na firance. Nie było dziewczyny ani firanki. Sterczały ściany. Wypisałem swe nazwisko i numer poczty polowej na okopconej bramie.

Poszedłem w stronę Śródmieścia. Obraz Barskiej był ostatnim ostrym i wyraźnym, który utrwaliła fotograficzna klisza pamięci. Potem już tylko strzepy - Zygmunt zwalony na bruk, dziwnie ogromny pod stopami; rozkrzyżowany szkielet bombowca na Miodowej; ręka trupa stercząca spod śniegu i wskazująca niebo. Wszystko to jak rafy na dnie zastygłego morza gruzu i rozbitej cegły. Domy jednak spoglądały pustymi oczodołami wypalonych okien. Czułem mdłości podpywające do gardła i nie zwracałem uwagi na nerwowe, urywane serie tłukące się echem po wąwozach ulic.

Obudził mnie z zamyślenia jasny, ostry huk polówki. Stała na rogu Poznańskiej i Nowogrodzkiej, przed pocztą. Prowadziła ogień w stronę Chmielnej. Stamtąd uporczywie jazgotał karabin maszynowy. Serie gwizdały w powietrzu, tłukły o bruk.

Wąsaty wręczyciel jęknął i chwycił się za ramię. Na jego miejsce skoczył spod muru cywil w cyklistówce i kraciastej kurtce. Podał pocisk. Polówka odpaliła, działonowy oderwał lornetkę od oczu i podał rękę cywilowi.

- Dostał, sukinkot. Nakryty - stwierdził z ulgą.

- Można już iść Marszałkowską? - zapytał ten w cyklistówce.

Teraz dopiero spostrzegłem ze zdziwieniem paru mężczyzn i parę kobiet.

- Skąd tu tylu cywilów? - spytałem głupio.

- My nie cywile - odpowiedział najbliższy. - My warszawiacy.

61. Chirurg z beczki

W dwa lub trzy dni po wyzwoleniu Warszawy pojechałem półciężarówką do Pruszkowa. Cel wyprawy był trojaki. Przede wszystkim chodziło o zrobienie reportażu z terenu obozu, w którym hitlerowcy więzili ludzi po powstaniu (jak twierdziła cytowana uprzednio ulotka: „otoczyli najbardziej humanitarną opieką”). Po drugie, miałem zdobyć jakieś dodatkowe produkty z poniemieckich

składów dla redakcyjnej kuchni i wreszcie żywiłem cichą nadzieję, że spotkam wujka, który tam mieszkał przed wojną.

Materiał zebrałem szybko, bo ludzie witali bardzo serdecznie, chętnie opowiadali, a wygląd terenu dawnego obozu mówił sam za siebie. Kierowca dostał konserwy i dwie wielkie beczki z marmoladą. Wujek i ciocia byli cali i zdrowi w swym dawnym mieszkaniu. A oprócz nich spotkałem Jurka, brata stryjecznego, który bił się w powstaniu, był ranny, potem zwiął z transportu i tu się przechował.

- Co będziesz robił?

- Nie wiem jeszcze. Wojna się kończy. Chyba na studia pójdę, na medycynę.

- To jedź ze mną. Przewiozę cię na Pragę. Uniwerek lada dzień ma zacząć wykłady.

Siedliśmy do wozu i jedziemy. We Włochach dopiero przypomniałem sobie, że przecież na moście warty stoją i nie puszczają cywilów na prawy brzeg. Cholera! Wysadzić chłopaka i niech wraca?

Po naradzie z kierowcą stanęliśmy na bocznej ulicy Włoch. Na sygnał klaksonu zbiegło się kilka osób. Stoczyliśmy jedną beczkę, odbiliśmy denko i...

- Bierzcie, rodacy, po wiaderku!

Wyczyścili ją w ciągu kwadransa.

Ruszyliśmy dalej.

Na placu Trzech Krzyży wsadziłem Jurka do beczki, zaabiłem denko gwoździem i za parę minut, zmyliwszy strażę, był już na Pradze.

Studia zaczął dosłownie po paru dniach. Wydział medycyny pod kierownictwem rektora, profesora Tadeusza Butkiewicza, funkcjonował w nie opalanych salach Instytutu Weterynarii, na Grochowie. Bursa była na placu Szembeka - w ogromnej sali, rozdzielonej na dwie części kotarą, sypiali po lewej chłopcy, po prawej dziewczęta. Kości do nauki anatomii zbierali na przeoranych pociskami cementarzu.

Dziś Jerzy jest już od dawna chirurgiem, operuje podobno niezłe. Niedawno został nawet dyrektorem dużego szpitala na Dolnym Śląsku i ordynatorem jednego z oddziałów. Nie podaję tu jego nazwiska, bo chyba lepiej, żeby pacjenci nie wiedzieli, iż mają do czynienia z lekarzem wydobytym z beczki po marmoladzie.

62. Virtus, virtutis, virtuti

Po styczniu pełnym śnieżyc, warkotu ciężarówek i porykiwania czołgów luty wydawał się jasny i cichy. W Sochaczewskie coraz częściej zaglądało słońce, choć mróz nie zelżał i zasy na pół chłopca leżały po drogach. Przez krąg wychuchany na szybie widać było czubki sztachet szczerbatego płotu, fragment ulicy i domy Mścisk, leniwie dymiące z kominów.

W taki właśnie dzień, kiedy od patrzenia na śnieg skrzyło się w oczach, zobaczyli na drodze żołnierza w zielonym płaszczu i rogatywce. Szedł długimi krokami, kluczył, gdzie mniej nawiane. Głową sięgał strzech mijanych chałup. Poznali go z daleka i zaraz w izbie zrobił się krzyk:

- Pani Irenko, pani Irenko! Wit wrócił! W mundurze tu idzie.



A trzeba wiedzieć, że Wita Obidzińskiego nie było w wiosce już prawie rok. Jak wiosną wyjechał do rodziny w Lubelskie, to i został. Podobno z partyzantami na Niemca chodził.

Przedtem zresztą w Sochaczewskim też się partyzantki miał, tyle że niewielu wiedziało, co i jak, bo swoimi ścieżkami wędrował i o wojence mówił niewiele albo i nic.

Co innego o chmurach. Jak kto chciał i umiał słuchać, to mógł opowiadać godzinami. Z każdej potrafił czytać, gdzie się urodziła, jak rośla, co oznacza: pogodę czy deszcz, wiatr czy ciszę. Miał dla nich swoje nazwy, imiona. Znał je tak sam z siebie, nie z książek, choć książki czytać lubił i od wszystkich, co je mieli w okolicy, pożyczał. Pożyczał i oddawał czyste, w papier starannie obłożone.

Rysował też chmury. Miał tłuste, barwne pastele. Szkicował z natury, popatrując co chwila na modelkę zawieszoną pod niebem. Kredki sypały mu się spod palców w pośpiechu, ale obłoki były szybsze, bardziej zmienne. Więc uśmiechał się, ścierał, dorysowywał nowe kłęby kwitnącego kalafiora - cumulusa, podbarwiał go ze strony cienia odbłaskiem zielonej łąki, różowił od zachodu, przyciemniał dołem na burzę... Rysował - to źle powiedziane, to za mało. Jeśli można byłoby użyć takich słów jak w wierszach, to raczej śpiewał pastelami chmury.

I wiersze pisywał Wit Obidziński. Prawdziwe. O, choćby takie:

Modrzewie, brzótki i brzozy,
modrzewie - młódź wojenna czy zbójcka,
brzótki - coś z bajki i coś z dziecka.
Brzozę dziewczyna mi się objawia:
wpiękniała w tęsknocie dzieciństwa
czystej,
dziewczyna - moja dusza idąca poprzez
wiosnę.

A oni brzegiem lasu spieszenie idą
w jutrzejszy dzień, a dzień się kończy
sławą i grobem.

*

Znieruchomiały dzieci na leśnym brzegu.
Dziewczyna czeka królewicza maja
i pieśń jej ciała krwią tętni

pod wiatru dotknięciem;
tęsknotą w świat wykrada
postacią brzozy okryta.

*

Za nią las.

*

Ciemna zbójcka baśń.
Z groźnych ku sobie pochylonych
głów i spojrzeń.

*

To inny świat.

Wit Obidziński też był człowiek nie taki. Inny. I teraz, w lutym czterdziestego piątego roku, szedł przez kopny śnieg ulicą wioski Mściska.

Otworzyli mu drzwi, nim zastukał, powitali gwarem.

Zieloną rogatywkę położył na stole, zdjął pas z szablą i płaszcz. Dzieciaki zaraz za szablę i dalej się dopytywać, skąd ma taką, dlaczego pochwa opalona i dziurawa. Więc nim co jeszcze o sobie powiedział, musiał tłumaczyć, jak z armią wszedł do Warszawy i na gruzach znalazł właśnie taką inwalidkę - z przestrzeloną pochwą, oblizaną ogniem. Głownia przyrdzewiała była, ale doczyścił. No, a naszywki to mu dali jeszcze w partyzantce. W armii awansował do starszego sierżanta.

Siedział na stołku otoczony dokoła, przerastając stojących o głowę, czerwony na twarzy czy to z mrozu, czy też może ze skrępowania tym zainteresowaniem, bo z natury nie bardzo był śmiały.

Odstąpili go dopiero po obiedzie i to było już w samą porę, bo z panną Ireną mieli sobie dużo do powiedzenia ważnego i po cichu.

Przesiedział Wit do zmierzchu, ale potem zaczął się szybko zbierać, bo miał czasu tylko tak, żeby zajrzeć, odwiedzić i z powrotem. Pożegnał się, płaszcz założył, szablę przypasał i już wychodził, ale od drzwi zawrócić.

- Byłbym zapomniał - powiedział. - Ja przecież jak na Lubelszczyznę jechałem, to pożyczyłem, żeby się poduczyć.

Pochylił się, wyjął zza cholewy książkę obłożoną akuratanie w szary papier i położył na stole.

- Gramatyka łacińska - przypomniał. - Przepraszam, że może się trochę zbrudziła, ale różnie bywało i upilnować trudno.

Stuknęły za nim drzwi do sieni. Jeszcze chwilę widać było przez wychuchany w szronie krąg w szybie, jak szedł ulicą, klucząc, gdzie mniej nawiane. Zmierzch już padał i zacierał kontury chałup.

63. Literacka bitwa

Pewne bitwy mają szczęście do pisarzy, stają się tematem wierszy, poematów, utworów dramatycznych i powieści, a inne tego szczęścia nie mają. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale to fakt. Trudno dociec, czemu o Westerplatte pisało wielu, od Gałczyńskiego do Flisowskiego, a na przykład o bitwie pod Kutnem nikt poza historykami, choć przecież i większa, i ważniejsza dla wrześniowej kampanii.

Sprawa jest jasna: jeśli pisarz czy poeta bierze udział w walce, to potem ją sławi. W ten sposób powstały „Anabasis” Ksenofonta i „Opowiadania sewastopolskie” Lwa Tołstoja, „Droga wiodła przez Narwik” Pruszyńskiego i „Ballada o pierwszym batalionie” Szenwalda. Wydaje mi się, że szefowie wydziałów propagandy w zarządach politycznych armii winni dbać o to, by do każdej bitwy dodać przynajmniej 1 (słownie: jednego) literata, w charakterze drożdży do ciasta przyszłej sławy.

Proszę mi wybaczyć (ze względu na przedawnienie) krytykę Zarządu Politycznego 1 Armii, ale w roku 1944 postąpiono co najmniej nierozsądnie - kpt. Broniewska, mjr Putrament, kpt. Ważyk, por. Pasternak pozostali w lipcu na dalekich tyłach. Gdyby byli forsowali Wisłę i Odrę, przełamywali Wał Pomorski, szturmowali Kołobrzeg, Gdańsk i Berlin, wyszłoby to na korzyść nie batalionom co prawda, ale batalistycie na pewno.

Stało się inaczej i w walkach towarzyszyli armii młodzi zielonopiórzy. Bitwy toczyły dywizje bez literatów. Wszystkie bitwy z wyjątkiem jednej nie tylko nie najważniejszej, ale wręcz nikczemnego wymiaru i przy całym tragizmie sytuacji nawet komicznej. Myślę o oblężeniu Jastrowia, w którym dziwnym zbiegiem okoliczności znaleźli się naraz wybitni ludzie pióra - Leon Kruczkowski i Stanisław Ryszard Dobrowolski. Przed paroma dniami zostali wyzwoleni z oflagu, na parę dni zatrzymali się jako goście honorowi w redakcji „Zwycięzcy” w oczekiwaniu na samochodową okazję wprost do Warszawy. Zatrzymali się i nagle drogi zostały przecięte... Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

W połowie lutego, zaraz po zdobyciu Piły przez Armię Radziecką, wracałem dodge'em z linii Wału Pomorskiego, gdzie trwały ciężkie walki. Pod Wałczem spotkałem na szosie kolumnę dział z 5 brygady. Zatrzymałem się. Z ciągników zeskoczyli koledzy i przyjaciele.

- Serwus, stary! Z frontu?

- Tak. A wy?

- Na front. O świcie mamy dać wsparcie. Cukru chcesz?

- Chcę.

- Ile?

- Ja wiem? Z dziesięć kilo - zaryzykowałem.

Ryknęli zgodnym śmiechem.

- Głupi, on jest w stukilowych workach. Trzy wystarczą? Spirytus masz?

- Manierkę.

- Wypchaj się. My nie detaliści. Gdzie stoicie?

- W Jastrowiu.

- Miej oczy otwarte, bo po szosie jacyś fryce łążą. Cześć!

- Cześć!

Pojechałem dalej z trzema workami cukru i otwartymi oczyma, ale nikogo nie spotkałem. Szosa była pusta, jak wymiółt. Dopiero przy wjeździe do miasteczka zajrzałem śmierci w oczy, bo obskoczyli mnie przy szlabanie piechurzy polscy i radzieccy, z bagnetami na karabinach, i wypytywali, kto, skąd, dokąd i czy Niemców nie widziałem.

Powiedziałem, że w ogóle to tak, ale teraz nie i żeby się odczepili, bo jestem głodny, a w redakcji kolacja stygnie.

Puścili, ale kolacji nie zjadłem. W „Zwycięzmy” wszyscy byli już uzbrojeni, dzielili naboje niczym głodni chleb i w ciągu pięciu minut zostałem dowódcą grupy. Dowiedziałem się, że część garnizonu Piły przerwała pierścień okrążenia, że wszystkie drogi są przecięte i lada moment należy się spodziewać silnego ataku na Jastrowie. Szczęśliwy, kto przeżyje do świtu i doczeka odsieczy.

W tym momencie w ramach sprawdzania przydatności broni Stanisław Ryszard Dobrowolski wypalił z mauzera i na ten sygnał rozpętała się wokół dłuższa strzelanina. Niemcy przedzierający się okolicznymi lasami mieli prawo sądzić na podstawie odgłosów, że jest nas przynajmniej z pięć batalionów.

Batalionów nie było. Ani jednego. Gdy zająłem nakazany odcinek rozstawiając wzdłuż jakiegoś nasypu jednego zecera lub korespondenta co dwadzieścia metrów i nawiązałem kontakt z sąsiednimi „grupami bojowymi”, okazało się, że mam z prawej aktorów teatru 2 dywizji, a z lewej - staruszków z kwatermistrzostwa artylerii, uzbrojonych w dwa działa przeciwlotnicze, i to bez pocisków.

Mój adiutant i pomocnik, starszy sierżant Propper, weteran wojny w Hiszpanii, umiejący się porozumiewać w narzeczu kastylskim, po francusku, po niemiecku, po rosyjsku i po polsku, a równocześnie nie znający żadnego języka, stwierdził:

- Carramba, takie wojsko! Cała nadzieja, że może fryce mają jeszcze większego boja niż my.

Pośliznąłem się, być może ze wzruszenia, i na pysk zjechałem po skarpie nasypu do rowu pełnego wody. Szczęśliwie sięgała tylko po kolana, ale zgubiłem okulary. Poczciwy Propper wlaź do rowu, wymacał na dnie moje szkła.

- Wojsko słabe, ale żeby zaraz skakać do wody - zrzędził. - Mokry dowódca - żaden dowódca. Chodźmy się suszyć.

Do świtu nic się nie stało ważnego, poza tym, że wyschłem. Potem nad lasem latały kukuruźniki, strzelały z kaemów i ciskały granaty na niewidoczne dla nas cele. Niemcy też strzelali z karabinów i zaraz po śniadaniu rąbnęli z działa, zwalając czwartym pociskiem wieżę kościelną w Jastrowiu. Przybladłem, czekając ataku, ale nikt nie szedł do szturm. Bardzo nam to było na rękę, bo jedyny odwód obrony stanowił pluton czerwonooarmistów i dwa uszkodzone czołgi radzieckie: jeden nieruchomy, bez gąsienicy, a drugi, z rozbitą skrzynią biegów, mógł jeździć tylko tyłem.

Po południu szosą nadjechał zakrwawiony szofer. Auto miał postrzelane, pasażerów martwych.

Znowu przyszła noc, a po niej ranek. Odsiecz nie było - sztab armii miał większe kłopoty niż ratowanie otoczonego Jastrowia. Dotychczasowa bezkarność ośmieliła nas i posłaliśmy do lasu zwiad - elektryka sierżanta Nikołajewskiego i jeszcze kogoś z zecerów, którego nazwiska nie pamiętam. Wrócili z jeńcem, z paroma automatami i pokazywali zdobyczne zegarki. Teraz przeszliśmy do zdecydowanej ofensywy. Jeden za drugim ruszały zwiadowcze patrole, tak że zostaliśmy do obrony odcinka tylko we dwu - ja i Propper. Wieczorem nadjechały szosą auta, drogi były wolne, a radzieckie kompanie drugiego rzutu przeczesywały lasy.

Na tym kończy się moja opowieść o epizodzie jastrowskim. Dodać tylko należy, że to była literacka bitwa. Stanisław Ryszard Dobrowolski napisał o niej opowiadanie pod tytułem „Pióro i karabin”, Leonowi Kruczkowskiemu posłużyła jako kanwa do sztuki „Pierwszy dzień wolności”.

64. Kwalifikacje zemsty



Przy szosie z Więcborka na Złotów, w tym miejscu, gdzie stoi mostek na rzece Łobżonka, obok rozbitego ciężkim pociskiem budynku dawnej komory celnej, wisiało w styczniu i lutym 1945 roku czerwone płótno. Białe litery obwieszczały wszystkim przejeżdżającym: „Wot ono, łogowo faszystzkiego zwiera!” - „Oto legowisko faszystowskiej bestii!”

Kiedy mijalem to hasło, ocknęły się nagle wszystkie zawzięte postanowienia podejmowane wobec krematoriów Majdanka, nad grobem pomordowanych na Zamku Lubelskim, wśród ciszy ruin Warszawy. Zacisnąłem pięści. Tak, nie sposób im odpłacić tym samym, ale choć w drobnej części musimy wymierzyć sprawiedliwość. Krzywda piekła w piersi, wiśniowymi płatkami mroczyła oczy. Powinni, muszą poczuć twardą garść na gardle, pięść na opasyłach mordach. Kaci, oprawcy, podpalacze i zbiry... Brakowało określić i tchu. Nienawiść drgała w mięśniach jak prąd elektryczny.

Początkowo wioski i miasteczka były puste. Potem coraz częściej w domach ozdobionych białymi szmatami napotykaliliśmy Niemców: zgrzybiałych, trzęsących się starców, głodne i wystraszone dzieciaki, kobiety patrzące na wargi żołnierzy skamlącym wzrokiem obitych suk, gotowe na każde skinienie. Staraliśmy się nie patrzeć, nie widzieć, nie dotykać. Pozostawialiśmy nie dojeżdżoną kaszę w menażkach, udając, że nie słyszemy pośpiesznego skrobania łyżek i zachwyconych pisków dzieci. Czasem dawaliśmy im cukier - były naprawdę głodne i chude.

Rosła we mnie złość: „Więc tak wygląda zemsta na wrogu? Oni roztrzaskiwali głowy niemowląt o mur. Jak postąpiliby ci, których zamęczono w Majdanku, gdyby żyli?”

Po przerwaniu pozycji ryglowej Wału Pomorskiego, na początku marca, napatoczyła mi się kolumna wozów - nie zdążyli Niemcy uciec, wracali. Obok koni szli chłopcy; baby i dzieci siedziały na be tach. Chłopcy uśmiechali się do nas i to mnie dziwnie rozwścieczyło. Zatrzymałem samochód, kazałem ostatniemu stanąć.

Patrzył na mnie głupkowato, a ja nie wiedziałem, co robić. Dać w czapę czy tylko po zębach? Milczenie dłużyło się. Nogi mi mokły w rzadkiej śniegowej bryi i marzły, bo buty miałem zdarte, sfatygowane, kierzowe. A on miał skórzane, na grubej podeszwie.

- Zdejmuj!

Zrozumiał gest i oburzył się. Baby zajazgotały.

- Zdejmuj, taka twoja mać, bo łeb rozwałę - chwyciłem za tetenkę.

Spokorniał natychmiast. Zzuł lewy, potem prawy, chowając w garści jakiś zwitek - pewno pieniądze. Udałem, że nie widzę.

Przysiadłem w otwartym jeepie. Zmieniłem buty i cisnąłem mu swoje w błoto. Ukłonił się.

- Danke schön, Herr Leutnant.

- Na co czekasz? Jedziemy - pogałem szofera.

Buty były mocne, wygodne. Nosilem je do wiosny, póki znajomy szewc nie zrobił mi oficerek ze zdobyczej skóry. Zrzuciłem je z ulgą - jakoś, psiakrew, ciążyły na duszy. Widocznie Słowianie nie mają zacięcia na Herrenvolk.

Może to źle, może dobrze. W każdym razie dziś, po latach, ze znacznie większą sympatią niż mój „rozbój na równej drodze” wspominam pomysł, na który nieco wcześniej wpadli szoferzy „Zwyciężymy”.

Była to grupka zwarta, koleżeńska, związana ze sobą więzami zawodowymi i niejedną tajemnicą, która raczej nie powinna zostać rozszyfrowana przez historyków. Nie pamiętam już wszystkich nazwisk, ale też i nigdy nie zapomnę oczajdustry kaprała Jura Niestierowa, zwanego Żeńką, który potrafił podjeżdżać swym willysem pod okopy na pierwszej linii, ani kaprała Niedzielskiego z Bydgoszczy, który „lubił szybkość”. Nie zapomnę dobrodusznego Jurka Dąbrowskiego, mrukliwego sierżanta Naumowa czy też najmłodszego w całym towarzystwie, lecz już z bogatą przeszłością bojową Piotrka Mielnika. Wszyscy oni zyskali sobie prawo do serdecznych uczuć, bo nieraz przecież potrafili ująć śmierci i nas od niej ocalić.

Gdy po przełamaniu Wału Pomorskiego miejscem postoju redakcji stał się Wałcz, zwany jeszcze przed paru dniami Deutsch Krone, szoferzy zakwaterowali się oddzielnie, w innym domu niż korespondenci, i jakoś w pierwszych dniach nikt z nas ich nie odwiedzał. Natomiast wkrótce spostrzegłem, że wieczorami odbywają zbiorowe wycieczki po bezludnym mieście i wracają z jakimiś dziwnymi zawiniątkami. Nie wyglądało ani na to, że znaleźli źródło spirytusu, ani na rozbicie kasy w piwnicach sklepu jubilerskiego. Zainteresowany, wybrałem się w ślad za nimi i ukryty w mroku zaułka ze zdumieniem obserwowałem, jak z czwartego piętra dźwigali przedmiot ciężki, długi, podobny do trumny.

W pół godziny później pukałem do drzwi szoferskiej kwatery, chcąc pod pretekstem omówienia trasy jutrzejszego wyjazdu na front wyjaśnić tajemnicę dziwnego szabru.

Gdy wszedłem do środka, przysiadłem zapominając języka w gębie. Wisiały na ścianach, stały na parapetach, stołach i podłodze - zegary. Było ich może czterdzieści, może sześćdziesiąt - z kukułką,

z kurantami, z dzwoneczkami, z wahadłami i bez, najprzeróżniejsze typy, z których każdy wskazywał inny czas.

Gdy jeden kończył wybijać godzinę, zaczynał dzwonić drugi, potem kukał trzeci, bimbał czwarty, wygrywał dziesiąty... Pośród tej muzyki upływającego czasu szoferzy obojętnie łupili w oczko.

- Słuchajcie, po co tu tyle tego? Co to wszystko znaczy? - odzyskałem wreszcie głos.

Drobny, pyzaty Piotrek Mielnik uśmiechnął się i łagodnie mi wytłumaczył:

- My je wzięli w niewolę, panie poruczniku. Tyle lat nas Niemcy okradali, to teraz, znaczy się, ich niemieckie zegary niech nam trochę posłużą. Przyjemnie słuchać...

65. Traktat o braniu języka

Jeniec jeńcowi nie równy. Gdy ktoś stwierdza, że na froncie stu chłopca z bronią wziętą do niewoli, to jeszcze nie powód, by mu zaraz wręczać order, nawet gdy każde słowo jest najszczerzą prawdą. Rzecz nie w tym nawet, co to za jeńcy, ale jak zostali wzięci.

Gdy nacierają nasze dywizje, wróg odcięty w kotłach szybko kruszeje. I tak na przykład pana generała von Krappe, dowódcę 10 korpusu SS, wziętą do niewoli nie nazbyt wojowniczy lekarz 10 pułku piechoty.

Było to 6 marca, pod Olchowem, na północ od Drawska. Korpus esesmanów, solidnie poturbowany przez polskie dywizje, nawiał, a pan generał znalazłszy się w potrzasku, głodny i niewyspany, nie stawiał szczególnego oporu. Miał z sobą tylko podręczną walizeczkę i niewielki pistolet, ordery przypięte do piersi i suchą, kościstą Niemkę w mundurze, pełniącą obowiązki polowej żony.

Kiedy go przyprowadzono do sztabu, grzecznie powiedział, co wiedział, i zaraz poszedł spać.

A przecież jeszcze parę dni temu jego podwładni, 10 korpus SS, świeży i wypoczęty, ściągnięty na odcinek 1 Armii bezpośrednio z Finlandii, byli twardym orzechem do zgryzienia. Teraz wiedzieliśmy o nich wiele bez zeznań generała von Krappe, ale przedtem, kiedy tkwili w okopach i bunkrach, za polami minowymi i zasiekami z drutów kolczastych, wzięcie choćby jednego jeńca stanowiło nie lada problem dla najwytrawniejszych zwiadowców.

Gdzieś w początkach lutego dowódcę plutonu konnego zwiadu, porucznika Wojciecha Jaruzelskiego, mianowano szefem rozpoznania 5 pułku piechoty. Szczupły dwudziestodwuletni oficer, szybki w czynie i w mowie (o takich dowódcy mówią z uznaniem: „pistolet”), dokładał starań, by sprostać nowemu stanowisku. A tu akurat naprzeciw, po drugiej stronie frontu, trafili się esesmani. „Na złość mi ich sprowadzili z tej Finlandii czy jak?” - zżymał się w duszy i marzył: „Żeby tak capnąć jakiego sturmmanna albo choćby zwykłego szeregowca... Najgorszą łajzę, ale żeby wzięć...”

Niestety, teraz nie mógł już jak dawniej kłusować ze swym oddziałem czy też chodzić na zwiad z pepeszą w garści, z nożem i granatami na pasie. Trzeba było przede wszystkim dowodzić, kierować pracą innych. I wówczas właśnie przydarzyła się dziwna przygoda grupie podporucznika Kuleszy.

Nim jednak przejdziemy do sedna sprawy, należy zgodnie z tytułem wyjaśnić pewne zagadnienia teoretyczne.

Istnieją dwa systemy brania języka. A więc najprzód - bojem. Grupa skrycie wypełza na przedpole; na sygnał lub o określonej godzinie uderza krótko i mocno artyleria, bije nieco głębiej, obramowując wybuchami pocisków mały odcinek okopów. Wówczas zwiadowcy biorą je szturmem, wpadają do rowów, do ziemianek, chwytają rannych czy ogłuszonych i wieją z łupem do swoich. Jest to metoda hałaśliwa, wymagająca wielu środków, przynosząca duże straty własne i nie zawsze skuteczna.

Drugi system to klasyczny zwiad - cicha, niespodziana napaść, zaskoczenie wroga. Jeśli nie huknie ani jeden strzał, a wyprawa wraca z językiem, jej uczestnicy mają zasłużony powód do dumy.

Na taką właśnie cichą ekspedycję porucznik Jaruzelski wysłał pewnej lutowej nocy Ryśka Kuleszę z trzema czy czterema zwiadowcami. Uścisnęli sobie ręce na wysuniętym do przodu punkcie obserwacyjnym i tamci wtopili się w mrok na przedpolu, a porucznik został przy telefonie, żeby w razie czego choć ogniem dopomóc.

Czekanie nie jest najmilszym zajęciem. Wiedzą o tym żony lotników, marynarzy, rybaków, wiedzą wszyscy rodzice wyczekujący powrotu dzieci ze szkoły czy majówki.

Podporucznik Kulesza naturalnie nie był dzieckiem. Obaj z Jaruzelskim urodzili się w jednym roku - 1923. Ten wiek na froncie traktowano jako dojrzały. Ryszard nie po raz pierwszy poszedł na wyprawę - jego ostra, śniada twarz nosiła ślady wielu podobnych przeżyć. Ale też i zwiad - pełzanie po polach minowych, pod drutami, u wylotów luf nabijanych ostrymi pociskami - różni się nieco pod względem bezpieczeństwa od majówki i przechodzenia przez ulicę. Przypomina raczej, jeśli wolno byłoby użyć abstrakcyjnego porównania, wycinanie migdałów w paszczy śpiącego tygrysa.

Noc wypadła wyjątkowo ciemna i cicha. Wyraźnie słychać było cykanie zegarka na rękę i pulsowanie krwi w skroniach. Czas płynął najpierw zbyt wolno, potem, gdy mieli już wrócić, zbyt szybko i wreszcie prawie stanął. W gruncie rzeczy już można było nie czekać...

Wtenczas właśnie błysnęło u Niemców, huknął pojedynczy granat i znowu zapadła cisza. Jaruzelski przygryzł wargi, wywołał z pamięci wysoką, chudą sylwetkę przyjaciela, twarze żołnierzy, którzy z nim poszli. Żal przytłumił na chwilę świadomość, że znowu się nie udało, że następnej nocy znowu będzie trzeba posyłać zwiad po języka.

Czas i cisza płynęły dalej przez noc. Dyżur przy telefonie stał się już tylko formalnością - i czekanie na powrót samolotu, którego silnik dawno zużył ostatnie krople benzyny z baków.

Nikt dziś nie pamięta, o której wrócił zwiad podporucznika Kuleszy.

Wrócili po cichu, z jeńcem prawie nie uszkodzonym, draśniętym ledwo.

Na uścisk i radość Jaruzelskiego Ryszard odpowiedział niechętnym skrzywieniem ust i wyjaśnił, jak było:

- Przypadek... Straciliśmy trochę orientację, bo czarno dziś jak, nie przymierzając, u Murzyna. Niespodzianie zwaliliśmy się do rowu. Spał w nim esesman - wartownik. On się wystraszył i my. Wtenczas jeden z chłopaków cisnął niepotrzebnie granat, ale uszło na sucho. Ot i wszystko. Masz jeńca nie ode mnie, lecz od dobrego losu.

Kulesza rezygnował ze sławy przeprowadzenia klasycznej operacji zwiadowczej. Zbyt dobrym był żołnierzem, by miał być nieszczerzy. Zbyt wiele miał na swym koncie zdobytych „języków”, by nie przyznać się, że tego darował mu los.

Ale los nie darował mu długiego życia. W kwietniu nad Starą Odrą sięgnęła podporucznika Ryszarda Kuleszę salwa moździerzy. Śmiertelnie ranny, zwrócił się do jednego ze swych zwiadowców:

- Mietek, wyciągnij mi z kieszeni zegarek... Zobacz, która godzina. Powiedz wszystkim, o której umarłem.

Opowiedział mi o Kuleszy jeden z jego przyjaciół, zwiadowca. O sobie mówić nie chciał. I chociaż podobnie jak on zawodowo trudnił się dobywaniem języka - musiałem skapitulować. Nie pomogły żadne sposoby - ani ten bojem, ani przez zaskoczenie.

66. Poprawka do komunikatu



Historyk ufający nadmiernie dokumentom pisany twierdzić będzie, że Drawsko zostało zdobyte w sobotę 3 marca. Agencja TASS wymieniła je w porannym komunikacie niedzielnym wśród miast zajętych przez wojska 1 Frontu Białoruskiego.

W tym samym czasie 12 pułk piechoty maszerował szosą z południa przez Linowo i Gudowo, spychając drobne oddziały osłonowe Niemców. Do Drawska pozostawało jeszcze parę kilometrów, gdy dowódca dywizji, generał. Kieniewicz, nawiązał z nimi łączność radiową.

- Gdzie jesteście?

Pułkownik Wariończyk podał zaszyfrowane współrzędne.

- No to skandal! Wleczecie się jak muchy w smole. Ja tu z Moskwy przez radio słyszę, że miasto wolne. Zaraz do ciebie przyjadę, królu polski, i pokażę, jak trzeba maszerować.

Słowa „królu polski” nie były kryptonimem. Po prostu tak nazywano dowódcę „dwunastki” ze względu na nazwisko, przypominające Warneńczyka. Warneńczyk, Wariończyk - prawie na jedno wychodzi.

Pułk był zmordowany kilkudniowymi walkami, ludzie zasypiali w marszu. Na wieść o przyjeździe Kieniewicza przyspieszyli jednak kroku. Ostrzej ruszył do przodu oddział rozpoznawczy - kompania dywizyjnego zwiadu, dwa działa pancerne i saperzy. Teren mieli przed sobą gęsto minowany, ale gniew dowódcy dywizji mógł być równie niebezpieczny. Wiedzieli: jeśli „stary” zapowiedział przybycie, to wnet tu będzie i mimo swej potężnej tuszy narzuci takie tempo marszu, że i młodzi się zasapia.

Generał Bolesław Kieniewicz, zastępca liniowy Berlinga pod Lenino, a potem dowódca 4 dywizji, był jedną z najbarwniejszych postaci 1 Armii. Sypkie, sterczące włosy, wesoła twarz i przede wszystkim ogromny brzuch pozwalały go poznać z daleka. Gdy podczas wyładunku jednostki w Ołyce dwu żołnierzy mu nie zasalutowało, wezwał ich do siebie skinieniem dłoni.

- Chodźcie no tu, synkowie. Czemu nie oddajecie honorów wojskowych?

Tamci, speszeni, zaczęli się tłumaczyć, że nie zauważyli.

- Nie zauważyliście generała? Dziwne, ale może się zdarzyć. Nie poznaliście waszego dowódcy dywizji? Trudniej uwierzyć! - kpił z nich wesoło. - Ale żebyście mojego brzucha nie spostrzegli, wykluczone. Łiesz jeden z drugim jak najęty. To nieprawda. A ja was za kłamstwo... - urwał w pół zdania i uważnie przypatrywał się jednemu z wyprężonych na baczność szeregowców. - Zdejmij pas! - rozkazał.

Żołnierz przybladł, nerwowo rozpinął sprzączkę.

Kieniewicz zabrał mu pas i przymierzył na sobie. Końce nie schodziły się dobre dziesięć centymetrów.

- A wydawało się, że taki długi - westchnął. - Masz, zabieraj i uciekajcie obaj - darował im karę.

To szukanie pasa, który byłby dostatecznie długi, stanowiło jedną z jego pasji. Dokonywał setek daremnych prób, nie tracąc wiary, mimo że sprawa była raczej beznadziejna...

Gdy dywizja zajmowała obronę na Pradze, od Saskiej Kępy aż po Karczew, generał wybrał się swoim zwyczajem na inspekcję pierwszej linii. Teren był otwarty, Niemcy wstrzelani i iść trzeba było cały czas rowami. W pewnym miejscu Kieniewicz utknął w okopie. Próbował przeciskać się na wydechu i ugrzązł całkowicie. Ani w przód, ani w tył.

- No i co teraz będzie? - zapytał groźnie.

Przeżony dowódca odcinka meldował:

- Profil zgodny z instrukcją, obywatelu generale.

- Instrukcja to nie wszystko - rozłościł się Kieniewicz. - A co to, nie wiecie, kto wami dowodzi? Poszerzyć okopy żeby każdy żołnierz dywizji mógł nimi przejść. Każdy, rozumiecie?

Tym razem jednak, 4 marca, oddział rozpoznawczy posuwał się dostatecznie szeroką szosą i w momencie, gdy od pierwszych domów Drawska dzieliło go nie więcej niż pół kilometra, nadleciał generał na swoim willysie. Zeskoczył, nim wóz stanął, i od razu zaczął popędzać:

- Naprzód, szybciej! Żadnych patroli, bo to strata czasu. Mówiłem wam przecież, że miasto wolne.

Zastępca do spraw politycznych, podpułkownik Urbanowicz, jedyny, któremu Kieniewicz pozwalał czasem oponować, usiłował go powstrzymać:

- Niech chociaż saperzy sprawdzą. Mogą być miny.

Generał wzruszył ramionami i pociągnął go za rękaw.

- Chodź, Józek. Sam słyszałem komunikat: Wojska fronta wzięli goroda... Wymieniali różne i Drawsko też.

Szlabany na przejeździe były pogięte. Przeszli tory, zostawili po prawej dworzec i ruszyli pustą ulicą. Kolumny zwiadowców z pepesami gotowymi do strzału sunęły pod murami. Generał ze swym zastępcą maszerował trotuarem. Nieco z tyłu jazgotały po bruku działa pancerne.

- Ani żywego ducha - niepokoił się Urbanowicz. - Nawet prześcieradeł nie powywieszali...

Większość zdobywanych miasteczek i wsi była w owym czasie dekorowana przez Niemców bielizną pościelową na kijach od szczotek - białymi flagami kapitulacji.

Na przedzie zobaczyli już most na Drawie, gdy nagle lunęła od czoła silna fala ognia. Automaty, karabiny maszynowe, jakieś działo kropiące na wprost.

Zwiadowcy wsiąknęli w bramy, w załamania murów i odpowiedzieli natychmiast z erkaemów i pepesz. Pocisk artyleryjski trafił czołowe działo pancerne, trysnął ogień, obsługa skakała w pośpiechu na bruk, jeden drugiemu gasił tłące już mundury.

Kieniewicz wybiegł na środek ulicy, przywołał ręką drugie działo i łomocąc kolbą pistoletu po pancerzu palcem pokazywał jego dowódcy:

- Armata z prawej przy moście! Widzisz? Wal w nią!

Huknął wystrzał. Z okien po obu stronach ulicy poleciały z brzękiem szyby. Samochodka rąbnęła drugi raz, trzeci. Resztki szkła sypały się na chodniki.

- Lewo dziesięć, w piwnicy karabin maszynowy! - krzyczał generał rozkraczony szeroko.

Urbanowicz wziął do pomocy kaprała od saperów i wciągnął Kieniewicza do bramy.

- Puść!

- Nie puszczę. Dowodzicie dywizją, nie działem.

Obaj sapali chwilę, czerwoni ze złości. Ulicą biegła do szturm czołowa kompania 12 pułku. Górą szły pociski 6 PAL-u. Kieniewicz roześmiał się pierwszy.

- No, dobrze. Puść rękaw, bo urwiesz.

- To jak to było w komunikacie z tym Drawskiem? - złośliwie przypomniał Urbanowicz.

- Było, że już zdobyte. Sam słyszałem - stwierdził generał. - A ty się nie czepiaj drobiazgów. Przez paru fryców nie będę przecież dawał sprostowania do komunikatu TASS. Im trzeba wierzyć. Jak nie zajęte - to zajmujemy.

Szybki i zdecydowany atak kilińszczaków zaskoczył Niemców. Padło ich stu trzydziestu. Jednego z dwu mostów na Drawie nie zdążyli wysadzić. Walki jednak trwały do końca dnia i jeszcze nocą do trzeciej nad ranem w poniedziałek 5 marca. Dywizja straciła szesnastu ludzi i to spalone działo pancerne. Wzięta dwudziestu jeńców, czternaście karabinów maszynowych, no i Drawsko. Rozkaz Wodza Naczelnego Armii Radzieckiej nie wymienił co prawda Bolesława Kieniewicza wśród wyróżnionych generałów, ale przecież nie warto było wprowadzać poprawki do komunikatu. Niejedno miasto wzięli kilińszczacy przedtem i niejedno potem.

67. Działon czerwonoskórych

Zajmowanie się historią 1 Armii to nie to samo co na przykład studiowanie okresu wojen ze Szwedami. Nie w każdym wypadku ma człowiek odwagę, by podać autentyczne nazwiska, nawet wtedy, gdy sprawa dotyczy szeregowców. Skąd mogę wiedzieć, czy ówczesny starszy strzelec nie jest dziś ministrem, lub - co bardziej niebezpieczne - skromnym urzędnikiem, od którego dobrego humoru zależy załatwienie jakiejś ważnej, być może, dotyczącej mnie osobiście sprawy. Wybaczcie więc, że nie wymienię nazwisk ludzi z działonu czerwonoskórych.

Indianie w polskiej armii? Niezupełnie, ale w każdym razie...

Po przełamaniu Wału Pomorskiego, a właściwie jego pozycji ryglowej, 1 Armia wyszła na szeroki „przestwór operacyjny”.

W rezultacie ogromnie wzrosły możliwości we wszystkich dziedzinach, gdyż hitlerowcy nie zdążyli przeprowadzić starannej ewakuacji. W batalionach pojawiły się kompanie „cyklistów”, w sztabach - stada osobowych samochodów, a pewien znajomy kucharz jeździł lakierowaną na czarno karetą z zaprzęgiem czterokonnym. Często trafiało się również coś do picia - sznaps, polska wódka, francuskie koniaki, hiszpańskie wina.

W tym to okresie, w początkach marca 1945 roku, pewien działon z n-tego pułku artylerii lekkiej poczerwieniał z dnia na dzień. Wczoraj jeszcze niczym nie różnili się od innych, a dziś - twarze i ręce ogniście krasne, bieleją tylko powieki i białka oczu.

Badał ich lekarz, brał na spytki dowódca i zastępca - bez rezultatu. A ponieważ to nadprzyrodzone zabarwienie nie przeszkadzało niczym w strzelaniu - dano im w końcu spokój. Tyle tylko, że do działonu przyłgnęło przezwisko - „Siuksy” (niby że takie plemię indiańskie). Po dwu tygodniach kanonierzy wrócili do normy, ale przezwisko pozostało - tajemnicze, dziwne, frapujące.

Postanowiłem tę tajemnicę rozszyfrować. Składałem im parokrotnie wizyty, i to nie z pustymi rękami. Byłem delikatny, lecz wytrwały, i w końcu pod sekretem dowiedziałem się prawdy:

- Bo my, panie poruczniku, na wschód od Drawska wytoczyliśmy działo do strzelania na wprost. Noc była. Okopujemy się, a tu pod ziemią cegły. My łomem, a tam skrytka, czyli piwnica taka, a w niej różne różności i wino. Chyba ze sto butelek. Próbujemy - pycha! Wypiliśmy dwie butelki i trzecią rozlewamy do kubków. Ja podaję komendę: „Salwą, ognia!” Wychyliliśmy z rozpędu i dalej pluć na

ziemię, bo strasznie niesmaczne. Myśleliśmy, że może skisło czy jak. Jeden zapalił latarkę i przeczytał na etykiecie: „Tusz do stempli”. Próbowaliśmy się domyć, ale nie dało rady, bo to dobry był tusz, trwały. Działonowy kazał, żeby już całe gęby posmarować, przecież wojsko nie może być łaciate. Tylko dotąd nie mogę pojąć: Niemcy niby taki porządkowy naród, a ha jaką cholerę tusz razem z winem na jednej półce stawiają?

68. Machliny



Niejedno miasteczko czy nawet wioska weszły na stronie encyklopedii i do podręczników wyłącznie dzięki działaniom wojennym. Któż wiedziałby o Termopilach, gdyby nie bronił ich Leonidas ze swym batalionem spartańskich komandosów? Kto słyszałby o zagubionym w Pirenejach wąwozie Roncevaux, gdyby nie bój osłonowy oddziału wydzielonego Rolanda? Czym prócz grzmotu armat i błysków białych rabatów wyróżnia się Stoczek?

Naturalnie sława nie zawsze przychodzi od razu i wśród 40 000 haseł „Małej encyklopedii powszechnej” próżno szukalibyście miejscowości o nazwie Machliny. Na stronie 525 nic na razie nie dzieli „machinacji” od „Machnickiego Kazimierza”. Nawiasem mówiąc, hasła „żołnierz” także w niej nie ma, w czym jako optymistą, upatruję raczej silne wpływy ruchu obrońców pokoju niż niedbalstwo czy przeoczenie.

Wracajmy jednak do naszych Machlin, wioski Pomorza Zachodniego, leżącej na dwudziestym szóstym kilometrze szosy z Wałcza do Czaplinka. Był czas, w lutym ostatniego roku wojny, gdy wyżej wymienioną nazwę owiewała legenda.

Linia frontu biegła o siedem kilometrów na południe od Machlin. Koło wioski, osłoniętej przez jeziora Machliny, Chocin i Machlinko, stało co najmniej dziesięć baterii niemieckich, więc i nasza artyleria kropiła tam często i gęsto.

13 lutego (zwracam uwagę na datę!) 6 dywizja piechoty miała przełamać front i wieczorem podejść pod Machliny. Ledwo ruszyła z miejsca, Niemcy silnie kontratakowali i powstrzymali naszych, niszcząc około dwu kompanii.

Tego samego dnia 3 dywizja, która otrzymała zadanie zdobycia rejonu na północ od Machlin, dwa razy forsowała rzeczkę Piławę i dwa razy zmuszona była oddać przyczółki ponosząc duże straty.

19 lutego wznowiono natarcie. Znowu 6 dywizja miała zająć Machliny, a 3 - wesprzeć. W nocy poprzedzającej atak, podczas luzowania 18 pułku przez 9, wynikły - delikatnie mówiąc - nieporozumienia. Na rano nie wszystko było gotowe, pułki nie ruszyły jednocześnie i pod wieczór front znowu był odległy od Machlin o te same siedem kilometrów. Jakby kto zauroczył.

Uspokoilo się na całe dwanaście dni. 1 marca przeszły do ofensywy cztery armie: trzy radzieckie i nasza. Uderzyły dywizje imienia Kościuszki i Dąbrowskiego.

Następnego dnia rano weszła do akcji dywizja 6 i 4, a po południu wreszcie 3, imienia Traugutta. O godzinie piątej wieczorem 9 pułk piechoty przekroczył Łławiec i po obu stronach szosy, przez las, pokonując zapory i pola minowe, spychając grupy osłonowe ruszył na tajemnicze, dziesiątki razy wymieniane Machliny.

Wczesny marcowy zmierzch nie przerwał walki. Nad lasem chichotały miny, serie broni maszynowej tłukły się wśród pni. Bój przycichał czasem, ciemniało na kwadrans, potem rozpałał się znowu.

Wolno mijały godziny i kilometry. Opornie przewalała się północ. Kontrataki poczęły słabnąć, ale szybkość marszu nie rosła.

Oficerowie podginali tyralierę, formowali drobne kolumnienki, chrypli usiłując podtrzymać kontakt z sąsiadami. Działko przeciwpancerne czołowego batalionu wyleciało w powietrze na minie. Żołnierze pomrukiwali w ciemnościach:

- Wolniej jedziesz, dalej zajedziesz...

Radiostacje batalionowe piliły głosem dowódcy dywizji:

- Tempo! Tempo!

Jasne było, że im szybciej pułk przebrnie las, tym bardziej zaskoczy garnizon Machlin i łatwiej je weźmie. Każda minuta opóźnienia mogła być ceną życia paru ludzi.

Jeszcze przed świtem pułk sformował kolumnę na szosie i ubezpieczając ją silnie od czoła i boków maszerował tak szparko, jak tylko się dało.

Porucznik Zbigniew Załuski, zastępca dowódcy baonu, wyszedł do czołowego ubezpieczenia, potem do szpicy. O pierwszym brzasku dotarli wreszcie na skraj lasu i przystanęli. W szarym, mglistym świetle nadchodzącego dnia zobaczyli wieżę ceglanej kirchy i kryte dachówką domy Machlin. Po lewej i po prawej od szosy - zielonkawe tafle jezior. Od krawędzi wody, poprzez jezdnię, aż do drugiego jeziora ciągnęła się barykada z belek, piachu, kamieni, zawałona w ciasnej gardzieli przygotowanymi zawczasu wózkami, wysoka na cztery metry.

- Skurczybyki, psiakrew! – klął (ktoś za plecami Załuskiego. - Zakitowali przejście na amen.

Nie było jednak czasu na filozoficzne medytacje, a nagłych i nieprzewidzianych cudów nikt nie oczekiwał. Wiedzieli przecież z doświadczenia, jaka to drańska miejscowość te Machliny. -Im szybciej uderzą, tym lepiej.

Podbiegały od czołowego batalionu plutony, rozsnuwały się tyralierą po krawędzi lasu. Gorączkowo ustawiano kaemy. Kłusem nadjeżdżały działowe zaprzęgi.

- Gotowa osłona? No to, szperacze, naprzód...

Wyszło ich kilku - drobnych, przygiętych ku ziemi, zielonkawych na tle mokrej szosy i czerni podoranych pól. Zdawali się samotni i nadzy wobec milczącej barykady, wystawieni na pierwsze serie.

W głuchej ciszy słyhać było mokre stąpania szperaczy i spadające z gałęzi krople. Sekundy wlokły się i pęczniały, w miarę jak żołnierze byli coraz bliżej - o sto metrów, pięćdziesiąt, dwadzieścia od

brudnych belek nasypu. Załuskiemu zdawało się, że już słyszy podobny do dartego płótna odgłos bronii i krzyk trafionego człowieka.

Szperacze zwolnili, zawahali się jakby i wtenczas jeden z nich, chyba Zadrożny, podbiegł, począł się wspinać. Trafił nogą na obluzowany kamień, zwałił go z piekielnym łoskotem na pogięte blachy.

Nad grzbietem barykady coś się poruszyło i nagle wszyscy usłyszeli wyraźnie głos zastępcy dowódcy 9 pułku piechoty do spraw politycznych, kapitana Michała Krajewskiego, słynnego później wśród murarzy warszawskiej Starówki:

- No co, do cholery! Właźcie prędzej. Długo będę na was czekał w tych pustych Machlinach?

69. Chorąży miłujący pokój

Lekarzem 3 batalionu 9 pułku piechoty był chorąży Jasiukiewicz, człowiek niemłody i miłujący nade wszystko spokój i pokój, co w owych wojennych czasach nie było mu bynajmniej poczytywane za zaletę. Bardziej nachalni markieranci, daremnie usiłujący wykręcić się od służby pod pozorem nagłego bólu żołądka, mawiali z przekąsem:

- Taki on doktor jak chorąży, i taki chorąży jak doktor.

Mieli rację o tyle, że stopień oficerski dała Jasiukiewiczowi wojna, a dyplomu doktora medycyny rzeczywiście nie miał. Był felczerem i przed powołaniem pod broń pracował w Instytucie Skorodź Pomości imienia Sklifasowskiego, czyli po prostu w moskiewskim pogotowiu.

- Jakbyś, bracie, był w ciąży - powiadali złośliwi - wał do Jasiukiewicza jak w dym.

I to prawda - jego specjalność stanowiło akuszerstwo. Gdy tylko trochę wypił, robił się smutny, wzdychał i chwyciwszy najbliższego sąsiada za guzik tłumaczył płaczącym głosem:

- Moim wysokim powołaniem jest pomaganie matkom w tworzeniu nowego życia. Nie tam trafiłem, gdzie trzeba. Co wam w batalionie po Jasiukiewiczu? Po co wam akuszer? - machał zrezygnowany ręką.

Od momentu wejścia dywizji do walki felczer stał się jeszcze bardziej płaczący i kwękający. Robił, co do niego należało - opatrywał, szył rany, gdy trzeba, ciął żywe mięso - ale pochylał nisko głowę pod świstem artyleryjskich pocisków i wcale nie ukrywał, że się boi.

Jednocześnie zaś, jak wielu ludzi mniej bogato obdarzonych odwagą, żywił uczucie przesadnego podziwu dla bohaterstwa. Po każdej większej wyprawie rozpoznawczej zapraszał do swej ziemianki zwiadowców, częstował ich medycznym spirytusem i nabożnie wysłuchiwał bezczelnych łągarstw tych drapichrustów.

- Pod samym nosem hitlerowców! Można powiedzieć: u lwa w paszczy! - dziwował się. I szczerze dodawał: - Ja bym nie potrafił.

Podczas walk o Kołobrzeg 7 pułk piechoty wdarł się na ulice od strony Lęborskiego Przedmieścia, zdobył kilka domów i kościół Św. Jerzego. Za nim - 3 batalion 9 pułku. Szła tam haratanina na bagnety, kolby i granaty, pruto seriami zza węgła prosto w twarz. Niemcy kontratakowali, usiłując wyrzucić naszych z tej wysuniętej pozycji.

Chorąży Jasiukiewicz ze swym punktem sanitarnym był naturalnie dość daleko na tyłach, gdy nagle przysłała wiadomość, że dowódca batalionu, kapitan Olechnowicz, jest ranny.

Felczer zgarbił się, pochylił głowę, ale natychmiast przewiesił podręczną torbę przez plecy, wziął sobie do pomocy sanitariusza i poszedł.

Rejon opanowany przez batalion zwano nie bez powodu przyczółkiem. Poprzez bagniste łąki zalane wiosennymi roztopami wiodła nań po nasypie jedyna szosa, dostownie golona przez Niemców krzyżowym ogniem karabinów maszynowych. W dzień przerywały się nią tylko działa pancerne dowożące amunicję, a piechota szła nocą rowami, po pas prawie w lodowatej wodzie.

Jak Jasiukiewicz przebrnął ten paskudny odcinek, nikt nie wie, gdyż jedyny świadek, sanitariusz, zaraz na początku legł w rowie i bezczelnie oświadczył, że jest zabity. W każdym razie felczer przybył na „przyczółek” w dzień. Czy nie dostrzegł piechurów ukrytych po piwnicach, czy się nie umiał dopytać, dość, że minąwszy stanowisko dowodzenia, gdzie Olechnowicza zastępował jego oficer polityczny, porucznik Zbigniew Załuski, dotarł do samego Św. Jerzego. Nie w niebie, lecz na ziemi podobnej do piekła.

W kościele zdrowi trwali u strzelnic, ledwo widoczni przez kurz odbitego tynku. Kanni leżeli pod ścianami i za filarami. Wnętrze wypełniały krzyki i ustokrotniony echem łoskot serii.

Jasiukiewicz opatrzył kolejno rannych, dopytując o Olechnowicza, ale nikt nie umiał powiedzieć, gdzie jest kapitan. Zdecydował się więc iść dalej i szukać.

Za kościołem, o jakieś pięćdziesiąt metrów, stał tynkowany, dwupiętrowy budynek. Przed nim, w lejach po pociskach, pod bezlistnymi drzewami, w załomach muru leżeli ranni żołnierze. Felczer począł pełzać i ściągać ich, jednego po drugim, do kościoła, pod osłoną grubych ceglanych ścian.

Po każdego następnego musiał wyprawiać się dalej - między drzewami, pod murem budynku, na bruk ulicy. Wreszcie i sam dostał. Kula zaczepiła o brzuch, głęboko rozcięła skórę, nie przebiła jednak otrzewnej. Kiedy przywlekli go piechurzy, krwawił silnie, ale był przytomny. Po założeniu opatrunku dźwignął się, chciał wstawać.

- Leżcie, obywatelu chorąży. Wy dokąd? - przytrzymali go.

- Muszę iść, bo kapitan ranny tam czeka.

- Tam? Gdzie?

- No, tam - pokazał ręką.

- Tam są Niemcy.

- Gdzie? - teraz z kolei zdziwił się Jasiukiewicz.

- W tym tynkowanym dwupiętrowym budynku, coście pod ścianą pełzali - wyjaśniono mu usłudnie.

- Ja... - felczer zbladł i zemdłał.

Zemdłał, bo jako się rzekło na początku, był to człowiek niemłody, miłujący nade wszystko spokój i pokój, co w owych wojennych czasach nie było mu poczytywane za zaletę.

70. Kraciasty szalik

Z orderami bywa różnie. Nie wystarczy dokonać bohaterskiego czynu, by dostać Virtuti czy Krzyż Walecznych. Trzeba jeszcze kogoś, kto by widział ów akt odwagi, i to najlepiej - wyższy dowódca. Uzyskaniu orderu sprzyja poza tym ogólny sukces jednostki. Więcej jest szans odznaczenia żołnierzy, gdy pułk czy dywizja zdobywa, mniej, gdy broni, i wreszcie prawie żadnych nie ma, jeśli musi się cofnąć.

A bohaterskie czyny, jak na złość, zdarzają się i w natarciu, i w obronie, i podczas odwrotu. W związku z powyższym bywa, że za rzecz stosunkowo łatwiejszą żołnierz dostaje order, a za czyn trudny, wymagający koncentracji wszystkich sił duchowych, tzw. guzik, czyli ucho od śledzia. Nawet „dziękuję” nie zawsze jest komu powiedzieć.

Zoczywszy baretki na mundurze frontowca, dzieci się cieszą: „Jakie ładne”. Mężczyźni, kryjąc zazdrość, robią takie miny, jakby się na tym znali. Kobiety radzą: „Powinien pan sobie przyszyć takie w paseczki. Byłoby ładniej”. Ze zdumieniem przyjmują do wiadomości, że każda wstążeczka co innego oznacza. Bardziej dociekliwi każą sobie tłumaczyć, jak się które odznaczenie nazywa, i wymagają szczegółowych wyjaśnień: „Za co pan to dostał?”

Najlepiej wówczas wymyślić coś na poczekaniu, bo w prawdę nie uwierzą. Nie uwierzą, że człek czasem dostaje krzyż za cierpliwość, czyli długoletnie noszenie munduru, że innym razem ominie go słuszna nagroda i że - jak twierdzi pewien znajomy buchalter - per saldo wszystko się mniej więcej zgadza. A przecież bywają i takie sytuacje, w których wysokim odznaczeniem staje się nie order, lecz na przykład... szalik.

Nie wierzycie? To posłuchajcie.

Maszerując w kierunku na Szczecin, 4 dywizja piechoty była już pod Gryficami, kiedy dogonił ją i zatrzymał rozkaz dowódcy armii, generała Popławskiego. Tuż potem nadjechały kolumny ciężarówek i pułki jeden za drugim zostały przerzucone do Kołobrzegu. Miasto okazało się znacznie twardszym orzechem do zgryzienia, niż przypuszczano początkowo, do szturmowania trzeba było nowych sił.

Kilińszczacy uderzyli od wschodu, wdarli się między domy, zdobyli koszary i zaraz do piwnic wprowadził się sztab dywizji, choć linia frontu biegła nie dalej niż o trzysta metrów - generał Kieniewicz lubił być blisko swych walczących kompanii.

Niemcy bronili się twardo, lecz mimo to najgroźniejszym wrogiem okazał się spirytus i sen.

Spirytus, tzw. „Danziger”, najtańszy alkohol świata, znany dobrze marynarzom pływającym przed wojną po Bałtyku, znajdowali prawie w każdym zdobytym domu. Przeciwnik zostawiał celowo całe beczki, licząc, że nasi się spiją. Oficerowie, choć nie bez żalu, dziurawili blachę, wylewali cenny płyn na ziemię.

Senność każdy żołnierz dźwigał na karku. Przywieźli ze sobą parę nie przespanych nocy, a walka w mieście nie ustawała, lecz rozpaliała się z zapadnięciem mroku. Chwyтали każdą okazję, by się zdrzemnąć choć godzinę, i klęli, gdy ich budzono z nie dość ważnej przyczyny.

Saperzy wykryli minę zegarową pod pryczą zastępcy dowódcy dywizji do spraw liniowych, wąsatego pułkownika Mereżki, który akurat przyłożył głowę do poduszki i chrapał. Kiedy go o tym zawiadomiono, oburzył się:

- Znaleźliście, to zabierzcie po cichu; Po co zaraz budzić człowieka.

A saperzy budzili myśląc, że może jakiś medal za uratowanie życia...

Na drugi czy trzeci dzień zajęto po uporczywych walkach parowozownię. O sto pięćdziesiąt metrów w przodzie czerwieniały mury fabryki farmaceutycznej. Generał Kieniewicz, widząc w tych budynkach dogodną pozycję wyjściową dla kontrataku wroga, rozkazał ją zdobyć i posłał Urbanowicza, żeby zmontował natarcie.

Teren trudny - ogródki działkowe, drewniane budy, dziesiątki ogrodzeń z drutu kolczastego i siatki. Żeby tę płataninę rozerwać, potrzebne były czołgi, a tu akurat dowódca armii wydał rozkaz, że bez jego zezwolenia nie wolno.

Urbanowicz polazł do pancerniaków, odszukał dowódcę 4 pułku ciężkich czołgów. Pułkownik Janczelenko siedział za jakimś murem, czarny od potu, smarów i kurzu, z przekrwawionym bandażem na głowie, z granatami na pasie.

- Czego? - spytał mało uprzejmie.

- Daj dwa wozy, bo inaczej piechota nie ruszy.

- Rozkaz znasz? Nie wolno.

- Kawalek tylko, ze sto metrów. Rąbniecie po parę pocisków, przerwiecie te przekłete ogrodzenia. Ludzi szkoda.

- Ludzi i czołgów. Zresztą w czołgach też ludzie.

Trudno dziś ustalić, jak przebiegała rozmowa i jakie argumenty zaważyły, ale Janczelenko dał wreszcie dwa wozy bojowe, upewniwszy się przedtem, że saperzy rozminują im drogę.

Mimo pancernego wsparcia atak nie był łatwy. Urbanowicz na jednym skrzydle, a szef sztabu 11 pułku, major Woliwachin, na drugim ledwo poderwali piechurów.

Jeden czołg siadł w błocie i znieruchomiał. Ruszyła na niego niszczycielska grupa esesowska z panzerfaustami. Ginęli od kul, lecz pełzali naprzód. Urbanowicz walił do nich ze zdobycznego mauzera, myśląc z lękiem, że jeśli maszyna spłonie, to nie ma po co wracać do dywizji.

Wreszcie pierwsze grupy szturmowe wdarły się do fabryki i na przedpolu przycichł ogień kaemów. Ganiłi się teraz po halach, po piętrach, kropiąc seriami zza węglów, zza maszyn, ciskając granaty przez rozwalone okna. Długo trwała ta haratanina, nim oczyścili zabudowania od Niemców.

Urbanowicz kazał umocnić się tu batalionowi z 11 pułku, oddał „pożyczone” wozy Janczelence.

Odnalazł go łącznik i przekazał rozkaz Kieniewicza, by zaraz wracał do sztabu. „Widać «stary» coś zwęszył - pomyślał zastępcę. - Będzie awantura o te czołgi. Warto byłoby załogi do odznaczenia przedstawić, ale nie da rady - przecież bili się nieoficjalnie...”

Poczuł zmęczenie, przysiadł, rozpiął płaszcz i nagle stwierdził, że zgubił szalik. „Psiakrew - zaklął na głos. - Szkoda. Ładny był taki, kraciasty i gładki, miły w dotyku”.

Zapadał już zmierzch. Niebo było ciemne od dymu, a światło czerwone od pożarów buszujących po Kołobrzegu.

Wstał i chciał ruszać, gdy dostrzegł dwu fizylierów. Biegli w jego stronę ciężkim truchtem śmiertelnie zmęczonych ludzi, rozglądali się na boki, jakby kogoś szukając.

- Chłopaki! Wy dokąd?

Podeszli bliżej. Niższy roześmiał się i zasalutował.

- Obywatelu pułkownika, melduję, że właśnie do was - zaciął się na moment, wyciągnął coś zza pazuchy. - Bo jakeście podnosili tyralierkę, to wam wypadło... A myśmy znaleźli. Szalik taki.

Oddali kraciastą wełnianą szmatkę, pachnącą potem i kurzem. Zasalutowali, odeszli z powrotem bronić fabryki.

Urbanowicz trzymał w ręku zgubę, w gardle czuł łzy, a w piersi ciepło. Bo pamiętali, że to szalik zastępcy. Bo zamiast rzucić w kąt odnieśli. Czuł, że ta szmatka z żołnierskich rąk to więcej niż order. Myślę, że gdyby nie surowe przepisy regulaminów, nosiłby do dziś na piersi, wśród najwyższych odznaczeń, czarno-białą baretkę Orderu Kraciastego Szalika.

71. Zaślubiny bez panny młodej

Bywa czasem, że solenizant na własnych imieninach nie tańczy, bo nabiega się, napracuje, żeby wszystko dobrze przygotować, i potem ręką ruszyć nie może. Goście bawią się bez niego. Bywa też, że gospodyni postanawia wydać wspaniałe przyjęcie - wystaje w kolejkach, kupuje, potem gotuje, smaży i piecze, a tak się przy tym nawęcha, że nie ma ochoty wziąć nawet kęsa do ust. Domownicy siadają do stołu bez niej. Czy może jednak dojść do ślubu bez panny młodej?

By odpowiedzieć na to pytanie, cofnijmy się myślą do marca roku 1945.

Jeśli dziś nie bez racji narzekamy, że wiele czasu trzeba stracić, by z Warszawy dotrzeć na kołobrzeską plażę, to wówczas było jeszcze gorzej. Armia znad Wisły szła całe pięćdziesiąt dni do pierwszych domów na przedmieściach i potem jeszcze straciła dziesięć, by wejść do portu.

Wśród trzydziestu batalionów, które szturmowały miasto, rolę co prawda nie główną, ale i nie poślednią odegrał 3 batalion 9 pułku piechoty dowodzony przez kapitana Stanisława Olechnowicza. Od pierwszego do ostatniego dnia walki pracował ciężko w krwawym żołnierskim pocie.

Bitwy mają to do siebie, że ładu i składu nabierają dopiero w opracowaniach uczonych historyków. Podczas ich trwania i we wspomnieniach uczestników są raczej podobne do filmu sklejanego ze strzępów przez montażystę, który oszalał.

Gdy pułk nadciągał w kolumnie marszowej, spotkał go przy drodze zastępca dowódcy, kapitan Michał Jekiel, i zachęcał do pośpiechu, bo „ci z 7 pułku już tam są i pewno do portu dochodzą”. Sto metrów dalej ogień ciężkich dział okrętowych zmusił kolumnę do przerwania marszu.

3 batalion pułku wdarł się na Lęborskie Przedmieście, walczył o kościół Św. Jerzego, o mały cmentarz na prawo od drogi, o barykadę, o dwupiętrowy dom, przecięty ciężkim pociskiem na pół. Było to chyba w rejonie skrzyżowania dzisiejszej ulicy Jerzego i Koszalińskiej.

Potem, przez cmentarz, uderzyli z tyłu na gazownię, gdzie zrobiło się jeszcze ciężiej. Tam właśnie dowódca 7 kompanii, Safonow, uczył metodą praktycznego pokazów, jak należy rąbać wyostrzoną saperską łopatką podczas walki wręcz.

Dalej były domki urzędnicze poprzegradzane stalową pajęczyną siatek. Każde oczko w tej sieci trzeba było brać szturmem, rozrywać granatami. Ciągnęli za sobą stoły, krzesła i stołki, przysposabiając te zwykle sprzęty do roli narzędzi walki... Ciężkie pociski z opancerzonego przez Niemców pociągu rozwalaly ściany zdobytych domów, przesypywały cegły i ludzi na gruzowiskach.

Wreszcie miasto zgęstniało w murowane wąwozy ulic. Brali kamienice piętro po piętrze, tracąc rachunek, ile tam ich było. Zapamiętali grubościenny Dom Starców i hotel, w którego wnętrzu zdobyli cygara, egipskie papierosy dłuższe niż zamek karabinu, francuski szampan ze stemplem: „Nur für SS” na etykietach i koniak. Koniak był dwu gatunków: „polski kapitan” z trzema gwiazdkami i „ruski kapitan” - z czterema.

Nie wiadomo, czy o ten koniak poszło, ale kontratakowali ich batalion - ściągnięty morzem aż ze Świnoujścia - zawzięte, wielkie chłopcy, dobrze wyposażone w ciężką broń. Nasi odgryźli się, płacząc wysoko krwią, i utrzymali dwa duże bloki niedaleko portu, na granicy nadmorskiego parku.

17 marca hitlerowcy znowu poszli do ataku, zajęli parter i podpalili. Nasi skakali z okien przez płomienie, pod ulewą maszynowych serii. To był chyba najcięższy dzień i wtenczas zginął chorąży Wiśniewski, dowódca plutonu czterdziestekpiątek. A przedtem ginęło wielu.

Zastępca dowódcy baonu, porucznik Załuski, idąc w nocy z pokoju do pokoju, z piętra na piętro, dorachował się już tylko dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi, wyczerpanych do cna tymi dziesięcioma dniami. Sen walił ich z nóg.

Nie wiedząc, że wykrwawili do szczytu szczeciński desantowy batalion, montowali na jutro nowe, diabli już wiedzą które, natarcie.

Rankiem goniec przyniósł wiadomość, że kapitan Kościcki, dowódca batalionu z 7 pułku, wsparty działami szturmowymi, wdarł się do portu, że miasto zdobyte i żeby ruszali zajmować obronę przeciwdesantową wzdłuż morza.

Nie bardzo chcieli wierzyć, ale kiedy poszli, to okazało się, że prawda: na latarni morskiej trzepotała biało-czerwona flaga, a to, co niemieckie, zostało na piasku, było martwe. Bałtyk poradlony falą jak płaskie pole sięgał do horyzontu, szumiał jak łan zielonego prosa. Zrozumieli nagle, że ta woda pod samo niebo to też już Polska, i zaczęli ciskać do niej obrączki, naboje, co marniejsze zegarki.

Zbyszek Załuski ułożył się pod drzewem. Nie chciał wstać nawet do fotografii, choć chorąży Lubczyk, dowódca plutonu, wymachując świeżo rewidykowanym kodakiem, bardzo go do tego zachęcał. Zastępca tylko przełożył zdobyczną hiszpańską „llanę” na brzuch - żeby było widać - i tak już został na tym zdjęciu: na leżąco.

Żołnierze w ogrodniczym wózku przywieźli z hotelu parę skrzynek z koniakiem, ogórki i kompot w wekach.

Goniec ze sztabu pułku przyniósł kartkę, żeby wyznaczyć zaraz sześciu takich, co pierwsi powinni dostać Krzyże Walecznych, i żeby Załuski był z nimi o godzinie 18.00 na plaży, bo będzie uroczystość zaślubin z morzem, będą przemówienia i będą dawać ordery.

Porucznik zebrał tę szóstkę, powiedział, co i jak, ale że czasu było jeszcze sporo, to poszli do parku nad morzem. Samochodów, którymi fryce wiali z całego Pomorza, więcej tam było niż drzew. Podporucznik Anatol Safonow zaczął je ujeżdżać. A że w cywilu był maszynistą kolejowym, to zaraz jeden rozwalił i nie uczyniwszy sobie nic złego, zostawił płonące szczątki.

Potem weszli wszyscy do jakiegoś niewielkiego autobusu, przysiedli, wypili i zakąsili co nieco, bo chorąży Skonieczny, moździerzysta, umiejący strzelać z podwórka na podwórko, zabrał na wszelki wypadek prowiant.

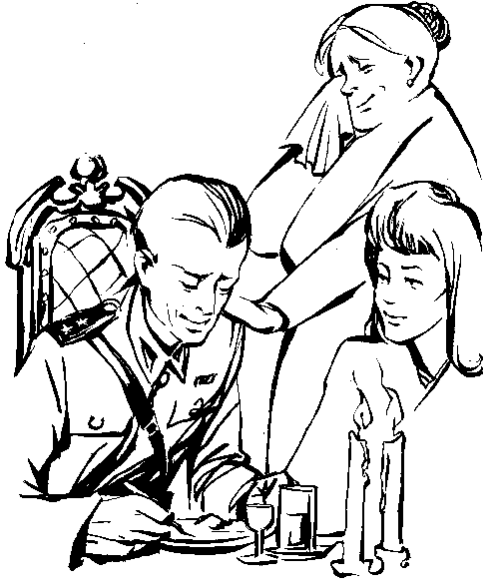
Punktualnie o godzinie 18.00 przemówił zastępca dowódcy armii, podpułkownik Piotr Jaroszewicz, o tym, że w 1000 roku-Chrobry tu zakładał biskupstwo, że dziś polski żołnierz wrócił do Kołobrzegu nad Bałtyk i że to właśnie jest historia. O zmierzchu wąsaty strzelec Franciszek Niewidziajto rzucił w morze złoty pierścień: „Poślubiam cię, morze, jako żeś było i będziesz nasze”. Uderzyły echem o niebo uroczyste salwy, zabłyśły rakiety.

Ale zastępca dowódcy 3 baonu i sześciu przedstawionych do Krzyża Walecznych ocknęło się w autobusie znacznie później. Zmogły ich nie przespiane, rozdarte wybuchami kołobrzskie noce. Musieli po robocie odsapnąć.

A więc zaślubiny odbyły się, jeśli nie całkiem bez panny młodej, to w każdym razie bez siedmiu co ważniejszych oblubieńców.

72. Reprezentacja

Kiedy z Gryfic ruszaliśmy przez całe Pomorze na Gdynię i Gdańsk, by dziennikarskim piórem towarzyszyć czołgom 1 brygady pancерnej, naczelny redaktor na pożegnanie palnął wychowawczą mówkę:



- Wy czterej (to znaczy operator filmowy Antoni Wawrzyniak, por. Edward Obertyński, szofer i ja - przyp. autora) wy czterej będziecie reprezentować polską prasę i całą armię. I wobec dywizji Armii Czerwonej, które walczą daleko od nas, więc naszych żołnierzy pewno nie widziały, i wobec wyzwolonej polskiej ludności. Musicie działać samodzielnie, zachowywać się wzorowo. Jednym słowem, reprezentacja na sto dwa.

Skinęliśmy głowami robiąc poważne miny i nie biorąc wszystkiego zbyt poważnie. Aniśmy przypuszczali, ile w tych słowach było świętej racji i daru przewidywania...

Kiedy nasz zielony, zdobyczny opepek dotarł do Gdyni, miasto już było wolne, ale z Oksywia Niemcy prowadzili ogień i z morza rąbał ogromnymi pociskami krążownik czy pancernik Kriegsmarine. Część sztabu 1 brygady

odnaleźliśmy w narożnym domu przy placu Kościuszki. Opowiedzieli nam o zawziętych walkach pod Wejherowem, Janowcem i rozpoznaniu na Łężycy, o zdobyciu wzgórza 168,0 pod Wielkim Kackiem i wreszcie o szturmie Gdyni. Od nich też dowiedzieliśmy się, że dziś, to znaczy 28 marca, pluton polskich czołgów i batalion piechoty zmotoryzowanej weszły do walki w Gdańsku.

W sztabie brygady pachniało już obiadem, ale wspomniawszy instrukcję naczelnego, zdecydowałem bohatersko:

- Do wozu! Jedziemy!

Szosa równoległą do brzegu morza sunęły radzieckie ciężarówki i katusze, maszerowały kompanie i bataliony, ale największą sensację budził nasz samochodzik z biało-czerwoną chorągiewką. W Sopocie nawet paru cywilów skoczyło przed maskę i zatrzymało wóz. Siłą nas chcieli wyciągnąć, żeby rodaków powitać, i ustąpili dopiero wówczas, gdy obiecaliśmy, że wieczorem, wracając z Gdańska, wstąpimy do nich.

Z lotniska we Wrzeszczu, gdzie Wawrzyniak fotografował podziurawione messery, przegnały nas ciężkie moździerze,.

To przyspieszyło wjazd do zasnutego dymami, dudniącego od wybuchów miasta. Z naszej ekipy tylko Obertyński był w Gdańsku przed wojną. Pytać o drogę nie wypadało, Edek nie bardzo pamiętał, ale wiedzeni jakimś instynktem czy ręką historii zajechaliśmy prościutko przed duży wypalony budynek, u którego szczytu powiewały dwa sztandary: radziecki i polski. Na podłużnym placu stała fontanna z Neptunem. Obertyński, jako człowiek w morskich sprawach oblatany, wyjaśnił, że to Dwór Artusa, i dodał sporo historycznych pouczeń.

- Tu właśnie moglibyśmy zadziałać jakoś tak w charakterze reprezentacji - stwierdził.

- No tak - zgodziłem się - ale wobec kogo?

Rzeczywiście, nie było ani tłumów, ani orkiestry. Pod nogami chrzęściło szkło z wybitych okien, dzwoniły okopcone łuski, gruzy tarasowały przejścia.

Wsiedliśmy z powrotem do opla, postanawiając dotrzeć tam, gdzie zgodnie z tradycją powinni być polscy żołnierze, to znaczy na Westerplatte.

Starając się zachować kierunek ku morzu, minęliśmy parę ulic, parę zakrętów, potem perspektywa się poszerzyła, wyskoczył na przedzie jakiś mostek, i nagle, a niespodziewanie, zewsząd buchnęła piekielna strzelanina - pruffy pepesze i cekaemy, pośpiesznie stękały moździerz. Co gorsza - ktoś z tyłu ryczał dzikim głosem:

- Nazad, nazad! - i dodawał tak brzydkie wyrazy, że powtórzyć nie sposób.

Kierowca wrzucił tylny bieg, docisnął gaz do deski i, jak na filmie puszczonej w odwrotną stronę, wjechaliśmy z powrotem za ostatni zakręt.

W tym miejscu muszę porzucić szczegółową relację ze względu na tajemnicę wojskową. Trzech radzieckich oficerów - lejtнанt, kapitan i major - nie bacząc na różnicę w umundurowaniu, mówiło do nas po ojcowsku, jak do synów, poruszając sporo spraw rodzinnych. Ten mostek bowiem, jak się okazało, prowadził wprost do pozycji niemieckich i to, że cało wyszliśmy z opresji, należało zawdzięczać - zdaniem doświadczonego majora - temu, że durakom wieziot.

Potem zresztą nastąpiła zgoda; przy szklanicy dokonaliśmy wywiadu prasowego, zyskując cenne materiały. Polskiego batalionu i czołgów nie potrafiliśmy odnaleźć - miasto w czasie szturmowania to niełatwy teren dla poszukiwań. Bliski wieczór zmusił nas do powrotu.

- Widzicie, jak nam się udała reprezentacja - zrzędził Wawrzyniak. - Dobrze będą mieli pojęcie o polskiej armii.

Okazało się jednak, że to nie był koniec porządku dnia. W Sopocie czujki cywilów obserwowały szosę.

- Jakże się cieszymy, że panowie nie zapomnieli! Czekamy z przyjęciem.

Zaparkowaliśmy samochód na obszernym dziedzińcu budynku stojącego u zbiegu ulic, które miały potem nosić nazwy 20 Października i Monte Cassino. Zebrali się w nim razem wszyscy Polacy zaraz po wyzwoleniu miasta. W triumfie zaprowadzono nas do dużej sali. Na środku stał niewielki stół z czterema krzesłami, nakryty obrusem, zastawiony jadłem, a pod ścianami, w paru rządach, chyba setka ludzi - przeważnie kobiet i dziewcząt, kilku starszych mężczyzn. Zatrzymaliśmy się, zdziwieni i niezdecydowani. - Jakże to tak? My mamy jeść, a wy?

Poczęli tłumaczyć, że dla wszystkich nie starczy, że oni tak bardzo czekali, że zebrali, co mieli najlepszego, że chcą tylko patrzeć na polskich żołnierzy. Płomyki świec w lichtarzach chwiały się od tych próśb i przekonywań. Chcieliśmy ze wszystkimi dzielić się po odrobinie, ale nie ustąpili. Na argument, że kęsa sami nie przełkniemy, siadł z nami do stołu profesor Michniewicz, który tu przybył z ramienia Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej, dobierając do towarzystwa cztery najładniejsze dziewczęta. Speszeni i wzruszeni, zasiedliśmy do tej dziwnej, niecodziennej kolacji.

Wawrzyniak mruczał przez zęby: „reprezentacja”. Dziewczęta patrzyły na nas jak na husarzy z „Bitwy pod Kircholmem”. Co drugi toast kończył się śpiewem „Jeszcze Polska”. Stojący pod ścianami płakali szczerze i bez skrępowania. Wódka paliła w gardle, w oczach drżały mi łzy i poblask świec. Nie wiedziałem, czy zagryzać kielbasą, czy śpiewem.

Trwało to długo. Potem przy dźwiękach patefonu rozpoczęto tańce, a w końcu nie mogliśmy się pozbierać razem i ruszyliśmy w drogę dopiero o pierwszym brzasku. Dziewczęta powiewały chusteczkami. Po prawej stronie szosy widać było wklęsłą tarczę szarego morza.

Jeden z nas próbował zażartować: „No i jak tam, chłopaki, z tą reprezentacją?” Reszta nie podtrzymała żartu. Było nam jakoś dziwnie na duszy - trochę smutno i radośnie, trochę niespokojnie i dobrze.

Tego samego dnia złamano opór wroga w Gdańsku. Ujście Wisły i dwa największe polskie porty były wolne.

73. Dowód męstwa

Natychmiast po przyjeździe, do Gdyni, nim jeszcze odnaleźliśmy sztab 1 brygady pancerniej, poniosło nas na brzeg morza.

Jako się rzekło, z Oksywia rąbali z dział esesmani, a od strony Helu prowadził ogień niemiecki krążownik czy pancernik, wielkie i kąśliwe pudło. Z brzegu strzelali do niego radzieccy artylerzyści.

Kłusem skoczyliśmy do portu, na molo, żeby dotrzeć do samej wody. Nakryły nas tam kaemy i moździerze, pełzaliśmy między gruzami poszarpanego trotylem betonu i jakimiś skrzyniami. Miałem solidnego pietra i kłamię głupi pomysł wycieczki na molo, a Wawrzyniak spokojnie fotografował przez teleobiektyw najpierw gniazdo kaemów na elewatorze zbożowym, a potem szturmowce radzieckie w kręgu nad Oksywiem. Podczas bliskich wybuchów zakrywał aparat rękawem, bo „optyka - jak twierdził - kurzu nie lubi”.

Wywieliśmy stamtąd dopiero po godzinie, kiedy się trochę uspokoiło. Wpadliśmy w jakieś puste podwórze. Wawrzyniak rozejrzał się i szepnął konspiracyjnie:

- Ja położę aparat na murku, a ty odstrzel brzeg osłony przeciwsłonecznej. Kapujesz? Wszyscy będą wiedzieli, że my pod kulami, na pierwszej linii... Nie odchodź daleko, bo trafisz w obiektyw... Ja mam takiego pecha, rozumiesz? Inni mają poły płaszcz jak durszlak albo dziurę w czapce, a mnie do tej pory nic nie przestrelili.

Złożyłem się, ale w tej chwili gdzieś blisko legły granaty krążownika, zakotłosała się ziemia, podskoczył murek i lejka wyrznięta o bruk.

Wawrzyniak obejrzał ją starannie.

- Trzeba reperować, migawka wysiadła - stwierdził i zaklął brzydko. - I żeby choć ślad od kuli czy odłamka... Mówiłem ci, że mam pecha.

Antoni Wawrzyniak, człowiek, który kręcił film dokumentalny w piekle powstania warszawskiego, odważny operator „Czołówki” Wojska Polskiego, umarł już po wojnie. Nie miał co prawda przestrelonego aparatu, ale tylko z winy przedwczesnej salwy niemieckiego krążownika. Miał za to mężne żołnierskie serce, co pragnąłbym oficerskim słowem zaświadczyć.

74. Hasła i kryptonimy

Najwyższy Siły Zbrojnej Narodowej Naczelnik, generał Tadeusz Kościuszko, na miesiąc czerwiec 1794 roku dał wojsku parole, które i dziś odczytujemy nie bez wzruszenia: „Republikant - Żołnierz” „Wolny - Prawodawca”, „Poddaństwo - Hańba”, „Cnota - Szlachectwo”, „Urodzenie - Przypadek”, „Rzeczpospolita - Równość”, „Lud - Władza”.

Gdy półtora wieku później formowała się dywizja jego imienia, hasło i odzew stały się mniej uroczyste - jeden człon był zazwyczaj nazwą części karabinu, a drugi - miastem zaczynającym się od tej samej litery: „Kolba - Kraków”, „Lufa - Lublin”, „Zamek - Zamość”. Niemniej jednak, gdy daleko od kraju w mroku nocy padały te słowa, drgało coś w głębi serca.

Doskonale pamiętam, jak w Wakino, towarzysząc radiostacji podczas ćwiczeń, zdrzemnąłem się na chwilę w zacisznym, głębokim jarze nad Oką. Obudził mnie śnieg padający puszystymi, wielkimi płatami, które łaskotały powieki i tajały na policzkach.

Tuż obok usłyszałem głos młodziutkiego radzika, który stracił łączność i nawoływał błagalnie w mikrofon:

- Warszawa, Warszawa, ja Wołga. Warszawa, to ja, Wołga. Czy słyszysz mnie? Odpowiedz. Odbiór...

W rok później byliśmy w Warszawie. Kryptonimy parokrotnie w tym czasie zmieniano, ale w zasadzie słowa pozostały te same, tylko inne już oznaczały baterie i kompanie. I brzmiały inaczej na ulicach odzyskanej stolicy.

Nie wszystkie zresztą przeżycia związane z kryptonimami należą do sentymentalnych. Gdy w końcu stycznia ostatniego roku wojny ruszyliśmy z armią na Pomorze, kwatermistrz pewnej jednostki wrzeszczał w słuchawce, wściekły na swych przełożonych:

- Nie mogę karmić żołnierzy samymi rakami. Brak również kija do słodzenia herbaty. Doicie zdobyczne kury i o nas zapominacie...

To nie żarty, lecz fakt autentyczny. Rozkazem z dnia 16 stycznia została zatwierdzona tabela szyfrowania rozmów, zestawiona przez starszego pomocnika szefa oddziału organizacyjnego sztabu kwatermistrzostwa 1 Armii WP, majora Wiśniewskiego. Według niej „rak” oznaczał chleb, „kij” - cukier, „kura” - wódkę.

Warto może dodać, że szef służby zdrowia armii otrzymał w przydziale imię greckiego boga piękności „Apollina”, a szef oddziału weterynaryjnego dostał tytuł „Lorda”.

Mimo ludowego charakteru armii dowódcy niższych szczebli nie mieli tak pięknych, powiedziałbym nawet, arystokratyczno-antycznych kryptonimów i meldowali się przez telefon jako „zerotrzeci” czy zgoła „czterdziestydrugi”. Nikt naturalnie nie nosił przy sobie tej swoistej książki telefonicznej, często gęsto zapominało się, jaką cyfrą tytułować tego czy innego oficera, a nawet w gorączce boju własny numer. Wówczas w słuchawkę padało po prostu nazwisko.

Pewnego razu, kiedy akurat byłem najstarszym oficerem na stanowisku ogniowym dyonu (najstarszym naturalnie stopniem), podbiegł dyżurny telefonista i błdy ze wzruszenia zameldował:

- Idzie do obywatela porucznika!

- Kto idzie?

- Dokładnie nie wiadomo, ale pewno ze sztabu armii.

I ja przybladłem, obciągnąłem mundur, zapiąłem pas o dwie dziurki ciaśniej. Okazało się jednak, że to nie żaden wyższy oficer, tylko dowódca drużyny traktorzystów, który podał przez telefon nie kryptonim, lecz własne nazwisko. A nazywał się Książę, kapral Książę.

75. Niecudowne ocalenie



Ten, kto przypuszcza, że na tyłach frontu jest zawsze bezpieczniej niż na pierwszej linii, myli się bardzo. Że na ogół - zgoda, że zawsze - nieprawda. Lotnictwo bombowe bardzo lubi obierać sobie za cel odwody i sztaby; ciężka artyleria - również; a poza tym od czasu do czasu, szczególnie podczas szybkiej ofensywy, pozostają daleko za linią frontu silne oddziały przeciwnika, rzucają się jak ryba, usiłując przerwać ogniwa sieci, i robią masę nieprzyjemnych rzeczy, nie przewidzianych w planach wyższego dowództwa.

Podczas działań 1 Armii na Pomorzu Zachodnim zdarzyło się tak pod Jastrowiem, pod Świdwinem, zwanym przez Niemców Schivelbein, oraz - na skalę co prawda znacznie mniejszą - w Gryficach.

Przybyliśmy do tego miasteczka przed wieczorem. Cicho było, spokojnie, kwater pustych cała masa, choć prócz redakcji „Zwycięzmy” rozlokowało się tutaj co najmniej z dziesięć innych oddziałów przysztabowych, naszych i radzieckich. Nic nie zapowiadało bliskich już nocnych wydarzeń, poza porucznikiem Władysławem Kukiełką, który stwierdził:

- Niedobrze tu pachnie. Coś wisi w powietrzu. Możecie mi wierzyć, ja mam partyzancki nos.

Nie wierzyliśmy. A że porucznik był raczej nikczemnego wzrostu, powiedzieliśmy mu dość dobitnie, co może zwęszyć mając nos tak nisko ponad ziemią. Obrząił się i uznał to za powód wystarczający, by opróżnić samotnie jakąś zdobyczną półlitrówkę.

Gdy - jak mówi poeta - „mroki nocy okryły ziemię”, buchnął nagle ogień w piwnicach dwu dużych domów przy rynku. Próbowaliśmy zdusić pożar paroma gaśnicami, bo wody w kranach nie było. Daremnie. Płomienie przepęły na wyższe piętra, szyby pękały z trzaskiem.

Władek niepewnym krokiem wyszedł przed dom redakcji.

- Mówiłem? Mówiłem. Ale wy nie chcieliście wierzyć.

W tym momencie w stronie Regi zaterkotały erkaemy i parę razy huknęły granaty. Przycichło na chwilę i znowu zaczęła się strzelanina. Ktoś przyniósł wiadomość, że Niemcy rzeczką wpłynęli do miasta, że tu też są jakieś ukryte oddziały. Świst rykoszetów i pohukiwania moździerzy, które weszły do akcji, zdawały się potwierdzać treść meldunku.

Kukiełko starał się chwytać za guzik każdego przechodzącego obok.

- Mówiłem? Mówiłem. Mam partyzancki nos. Nie chcieliście wierzyć. Ale ja się nie gniewam. Zrobić z tym porządek? Zrobię z tym porządek. Pójdę i zrobię porządek.

Nie zwracaliśmy uwagi na jego deklaracje - komendant miasta rozkazał wyprowadzić maszyny z bezpośredniego sąsiedztwa pożaru, zająć trzy wille na przedmieściu, wystawić posterunki, przygotować się do obrony przed ewentualną napaścią.

Wykonanie rozkazu szło dość opornie. Poszukiwania nowego m.p. trwały długo, a w czasie przejazdu ulicami parokrotnie ostrzeliwano redakcyjne ciężarówki.

Kiedy wreszcie zajęliśmy owe wille i dziennikarze wraz z zecerami stanęli pod bronią u wrót, okazało się, że brak porucznika Kukiełki. A że miasto gorzało w paru punktach, że trzask maszynowego ognia był nieustanny i ciągle stękały moździerze, zrozumieliśmy, co się stało. Nie było żadnych wątpliwości - straciliśmy kolegę, dobrego kumpla. Ktoś sobie przypomniał, że Władek twierdził z uporem: „Pójdę i zrobię porządek”.

- Na tym spirytusie poniosło go do śmierci - mruknął z żalem jeden z kolegów.

Strzelanina ustała dopiero o świcie, gdy odwodowa radziecka kompania wyparła Niemców z miasta. Byliśmy senni i źli. Każdy miał sam do siebie i do innych pretensję, że nikt nie zaopiekował się Władkiem. W milczeniu siorbaliśmy kawę na śniadanie, gdy nagle z ulicy zawołał jakiś czerwonoarmista:

- Ej, towarzyszu, wy s polskoj gaziety?

- Tak.

- Godzinę już szukam po mieście. A to u nas leży jeden z waszych, porucznik.

Chwilę trwało milczenie. Wreszcie ktoś huknął:

- Czego stoicie? Trzeba pójść po ciało.

Czerwonoarmista zrozumiał i buchnął śmiechem.

- Ciało? Jakie ciało? On żywy, tylko trochę nie tego... Choć niewiele brakowało, bo od strony Niemców wyszedł na nas. Z pistoletem. Myśleliśmy, że fryc. Ja sam nawet strzeliłem, ale trafić było trudno, bo on tak bardziej zygzakiem szedł. No i całe szczęście, zobaczyliśmy, że swój. Zabrali my go do siebie, dali pojeść i popić...

Redakcja przyjęła na swe łono ocalonego Władka. Do dziś dnia nie wiadomo, w jaki sposób nocą, w płonącym mieście, porucznik przeszedł na drugą stronę rzeki i dwa razy przekroczył linie niemieckie. Może właśnie dlatego mu się to udało, że w tym stanie nie mógł iść prosto - wymijał kule i placówki wroga. Gdyby jednak przyjąć tę tezę, morał byłby zupełnie amoralny. Wypada zatem wierzyć, że uratował go nos, ów partyzancki nos, którym tak lubił się chwalić.

76. Artykuł pirotechniczny

Z bronią zdobyczną mieliśmy do czynienia przez cały czas frontowych działań - już w lipcu, na poddębnińskich piachach, pruliśmy z porzuconej niemieckiej „zenitki” na drugą stronę Wisły, radzi, że nikt nam pocisków nie wylicza i nie planuje ogni.

Większą ilość porzuconego przez hitlerowców sprzętu przyniosła ofensywa styczniowa i przełamanie Wału Pomorskiego. A po zdobyciu Kołobrzegu i zajęciu reszty Zachodniego Pomorza, w końcu marca, ilość przerosła w jakość zgodnie z prawami dialektyki. Problemem zainteresowało się dowództwo armii. Poczęto uzbrajać niewielkie oddziały w cekaemy, moździerze, a nawet armaty produkcji III Rzeszy, do których było pod dostatkiem amunicji.

Zarząd Polityczno-Wychowawczy armii kołportował hasło:

- Bijemy wroga jego własną bronią.

Żołnierze powiadali:

- My jesteśmy dobrze wychowane chłopaki. Czego fryce zapomnieli zabrać, to my im odrzucimy na tamtą stronę frontu.

Największym powodzeniem cieszyła się indywidualna broń przeciwpancerna zwana „maczugami”, „gruszkami” i „bambuśkami”, czyli po prostu panzerfaust. Podczas szturm Kołobrzegu okazała się przydatna nie tylko do walki z czołgami, lecz jako „artyleria kieszonkowego wsparcia” - do wywalania dziur w murach i przygotowywania szturm. Doświadczenia te szeroko propagowała armijna gazeta „Zwyciężymy”.

Na początku kwietnia, w szczytowym okresie mody na używanie broni zdobyczej, czy to Edek Obertyński, czy to ja sam, a w każdym razie jeden z nas dwu wywietrzył sensację dużego kalibru.

Armia stała w obronie od Kołobrzegu wzdłuż Bałtyku i rzeki Dziwnej aż do Zatoki Szczecińskiej. Wymiana pocisków na froncie trwała tylko w rejonie Kamienia Pomorskiego i w gruncie rzeczy nie

bardzo było o czym pisać. Dywizje brały się do wiosennych podorywek i siewów, przygotowując pola dla przyszłych osadników. A tu nagle wiadomość o nowej broni!

Siedliśmy do willysa i - nie zawiadamiając nawet naczelnego redaktora o celu wyprawy - ruszyliśmy wprost do składu zaopatrzenia artyleryjskiego armii. Z odnalezieniem właściwej wioski kłopotu nie było - z daleka dobiegało echo gromkiego wybuchu.

Na miejscu powitało nas trzech oficerów: major Marian Brzezicki, z twarzą poznaczoną drobnymi, czarnymi cętkami, kapitan Paweł Woropaj, z poparzonym, owiniętym bandażami brzuchem, i najmniej uszkodzony na ciele - porucznik Stefan Lelaus.

- Żeby nauczyć innych - stwierdził kapitan - trzeba samemu umieć. Przepytawałem ze dwudziestu jeńców, ale żaden nie miał pojęcia. Więc wzięliśmy się do roboty i teraz znamy już to draństwo - pokazał ręką. - Nazywa się Ofenrohr albo Panzerschreck.

Na trawie leżała długa, szeroka rura jak od piecyka, zrobiona z ciemnej stosunkowo blachy i pomalowana na beżowo. Na niej prymitywne przyrządy celownicze, mechanizm spustowy oraz blaszana tarcza z okienkiem. Pociski w skrzynce - stożkowate u szczytu, przewężone środkiem i szersze u podstawy - przypominały kształtem laufry z kompletu szachów dla wielkoludów.

- Pocisk kumulatywny, napęd jak u rakiety. Zapłon elektryczny od baterijki. Wystrzał bez odrzutu - objaśniał fachowo major. - Wadą broni jest powolny lot pocisku, mała celność i demaskowanie stanowiska ogniowego. I głębę trzeba chować starannie za tarczą, bo pozaczy, tak jak mnie. Bardzo proszą, może który z kolegów wypróbuje...

Początkowo nie mieliśmy wielkiej ochoty i odbyła się scena wzajemnego ustępowania pierwszeństwa, jak przed wejściem do opery. Wreszcie porucznik Lelaus chwycił rurę, załadował i wypalił. Huk targnął powietrzem. Pień o średnicy przeszło 40 centymetrów złamał się jak suchy badył.

- Dobrze, co? A teraz wy...

Czy to Edek, czy to ja sam, nie pamiętam, ale w każdym razie jeden z nas dwu oddał pierwszy wystrzał ze strony gości i naturalnie nie trafił. Pocisk minął pień obok złamanego dębu, padł na stóg siana i nie wybuchł.

Ale potem szkicowaliśmy broń, notowaliśmy sposób użycia i na przemian, ku uciesze gospodarzy, prowadziliśmy ogień obok pnia, za każdym razem jednak trafiając w stóg. Wystrzelaliśmy w ten sposób dobry tuzin pocisków. Od ostatniego siano się zajęło i zaczęło dymić.

- Mokre. Samo zgaśnię - stwierdzili niedbale artylerzyści i pożegnali nas serdecznie, upewniając się, czy ich nazwiska podamy w artykule.

Kierowca wyprowadził willysa na szosę, minął wioskę. Gdy wyjechał na pagórek, powietrzem targnął wybuch.

- Strzelają?

- Nie. To chyba te, co w sianie, od ognia.

Usłyszeliśmy drugi wybuch, potem silną eksplozję i nad horyzontem wyrósł słup ciemnego dymu, podbarwiony spodem czerwienią. Szofer dodał gazu.

Nie minęły trzy minuty, jak zza zakrętu wyskoczył pędzący naprzeciw nam samochód pancerny, a za nim cztery ciężarówki z kompanią alarmową w hełmach i z bagnetami na karabinach.

Szczerze przyznaję, że nie zawróciliśmy wraz z nimi, lecz wręcz przeciwnie. Zналиśmy rozkaz dowódcy armii grożący za strzelaninę na tyłach srogimi karami. Za strzelaninę, a co dopiero za kanonadę!

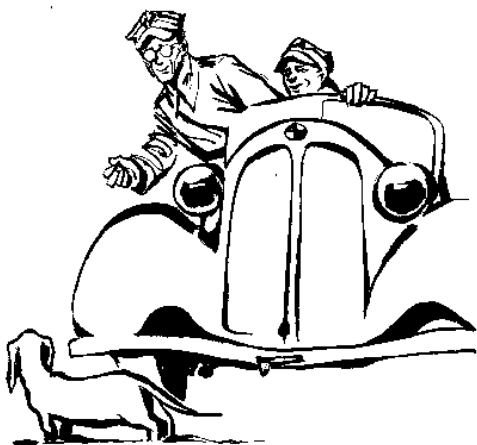
Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że wszyscy trzej artylerzyści-badacze zostali ukarani. Nie sypnęli nas jednak ani słowem. Choć przecież czy to Edek, czy to ja sam, nie pamiętam, w każdym razie jeden z nas dwu był autorem tej imprezy pirotechnicznej.

Z wdzięczności dla majora Brzezickiego, kapitana Woropaja i porucznika Lelausa napisaliśmy duży artykuł, który został wydrukowany w „Zwycięzcy” z dnia 10 kwietnia 1945 roku pod tytułem: „Bijemy wroga jego bronią. - Reaktywny mózdzierz elektryczny”.

77. Potęga prasy

Parę dni po opublikowaniu pirotechnicznej sensacji przydarzyło mi się spotkanie równie niebezpieczne, co napawające dumą. Na upartego można by je traktować jako rozpoczęcie obchodów 300-lecia prasy polskiej. Owego dnia pojechaliśmy do Kamienia Pomorskiego na wywiad do artylerzystów, którzy zatopili jakąś hitlerowską barkę.

Wracaliśmy wcześniej w otwartym, sportowym BMW, wystawiając twarze na wiatr i wiosenne słońce. Szosa gładka, pusta, zachęcała do dużej szybkości. Nagle zobaczyłem z daleka jakiś dziwny, długi kształt pośrodku jezdni. Szofer zatrąbił i zdjął nogę z gazu.



- Pies nie pies. Ki diabeł?

Byliśmy coraz bliżej, ale „to coś” nie ruszyło się z miejsca. Pisnęły hamulce, stanęliśmy.

- Jamnik! Jaki fajny - długachny niczym rura od piecyka. A łapy ma jak kaczką!

- Zabierzemy go ze sobą.

Pies nie uciekał. Stał przed maską i patrzył na nas wilgotnymi, mądrymi ślepiami. Dał się wziąć na ręce i wsadzić do samochodu. Ruszyliśmy, ale w tym

momencie z kępy krzaków wybiegł oficer i dwu fizylierów.

- Stać! Stać, skurczybyki! - ryczał wywijając automatycznym mauzerem.

Zatrzymaliśmy się, bo to bardzo dobry i celny pistolet z długą lufą, strzelający pojedynczo i seriami.

Dopadli we trzech do wozu z bronią gotową do strzału. Po nożach na pasie i granatach, po maskujących kombinezonach poznaliśmy zwiadowców. Niedobrze!

Po maślanych oczach i gwałtownych ruchach odgadliśmy, że nie są na czczo. A więc zwiadowcy pod gazem - bardzo niedobrze.

- Złodzieje! Bandyci! - wołał oficer. - Mojego ukochanego pieska porwali. Ja wam, ja wam...

- Żyrafa, oddaj mu tego jamnika i ruszamy.

- Kto powiedział Żyrafa? Co to znaczy? - oficer powiódł po nas ciemną lufą mauzera.

- To mój pseudonim. „Zwycięzimy” czytacie? - odrzekłem niepewnie, wręczając psa jednemu z fizylierów. - Bardzo was przepraszam, kapitanie - awansowałem go na wszelki wypadek o jeden stopień - ale na nas już czas. My nie wiedzieliśmy...

- Wy nie wiedzieli, ale ja już wiem. Kolego, przyjacielu! - zaszlochał nagle porucznik. - Kuraś, oddaj im pieska! - rozkazał. - Przyjacielu, wybacz! Masz, bierz wszystko - pakował mi w rękę mauzer, dwa granaty i jakieś hitlerowskie ordery, które wyjął z kieszeni. - To ty jesteś „rekрут Żyrafa”, piszesz takie głodne kawałki na ostatniej stronie? Bierz wszystko, przyjacielu! Buźka!

Kumpel siedzący na tylnym siedzeniu trzymał jamnika niczym niemowlę przy piersi i nogą kopał szofera. Pies cicho skomlał ze strachu. Ja całowałem się ze zwiadowcą, czując, że wóz rusza.

Wreszcie oderwaliśmy się od siebie.

- Dziękuję! - zawołałem.

- Bacność! - podał komendę porucznik i zasalutował.

Kierowca docisnął gaz do deski. Rwaliśmy w narastającym świście opon aż do najbliższego zakrętu.

- Udało się - odetchnął mój współtowarzysz. - Mogli postać nam serię.

- Bzdura - obciąłem go. - Sam widzisz, jak daleko sięga moja sława. Prasa to potęga.

- Prasa? Wszystko od początku do końca wynikło z zamroczenia alkoholowego.

Nie uzgodniliśmy do końca swych opinii na ten temat. Ale jamnik pozostał w „Zwycięzimy” - forsował Odrę, był w Berlinie, nad Łabą, wrócił ze zwycięską 1 Armią do Katowic. Dopiero tam go rodacy ukradli.

Szkoda, bo ile razy spojrzałem na straszliwie długi tułów na śmiesznych nóżkach, ile razy patrzyliśmy sobie w oczy - zawsze czułem się jakoś dumniej na duszy i wierzyłem w potęgę prasy. Do dziś nie spotkałem nikogo równie miłego wśród krytyków.

78. Z miłości i na rozkaz

Mitologiczna sympatia pięknej Wenus dla Marsa świadczy dobrze o zmyśle obserwacyjnym starożytnych Greków. Kontynuacja tej pięknej tradycji na naszej ojczyście niwie dźwięczy w słowach piosenki:

Ułani, ułani malowane dzieci,
niejedna panienka za wami poleci.

Ułani przeszli do historii, ale czar munduru trwa nawet w epoce, w której zasady maskowania pozbawiły go owego elementu malowniczości. Skoro czar, to miłość, skoro miłość, to, od czasu do czasu, ślub.

Nie były one (tzn. śluby) zjawiskiem masowym na froncie, ale były i miały nawet pewne cechy charakterystyczne, niepowtarzalne.

Weźmy choćby pod uwagę trudności mieszkaniowe. Dzisiejsze, najbardziej skomplikowane sytuacje nie mogą się z nimi równać. Oto, na przykład, pod koniec czterdziestego czwartego roku odbywa się w pewnej zakrystii na Grochowiu (urzędów stanu cywilnego jeszcze nie było) ślub pod dowództwem kapelana 2 dywizji piechoty, księdza pułkownika Łopacińskiego. W roli panny młodej - kawaler Krzyża Walecznych, porucznik Helena Mocarska, znana nam już z historii antyalkoholowej imprezy kapitana Szubicza. W roli pana młodego jeden z najprzystojniejszych oficerów ludowego wojska, tłumacz sztabu, posiadacz przedwojennej rogatywki garnizonowej z czarnym otokiem - porucznik Żerański. Świadkiem - dywizja.

Po uroczystości - weselisko. A po weselu - służba, o której powiadają słusznie w tym przypadku, że nie drużba. Żerańskiego wzywają do sztabu; Helena musi zaczynać pracę nad dywizyjnym biuletynem, by mógł się rankiem ukazać i dotrzeć do żołnierzy. Zresztą dachu nad głową nie mają - i on, i ona kwaterują oddzielnie w pokojach, które liczą sobie po paru mieszkańców płci przeważnie męskiej.

Więc tylko Żerański wyciąga z kabury stary, wysłużony nagan produkcji jeszcze „Tulskiego Impieratorskiego Zawoda”, tak zwany samowzwod, i daje do obejrzenia kolegom, prosząc przy okazji, żeby mu żony pilnowali. Demonstracja zresztą zbyteczna, bo armia ma swe żelazne, niepisane prawa szacunku dla przyjaźni i miłości.

Te same prawa pod koniec wojny zdecydowały o innym ślubie, tak charakterystycznym dla wojska, że w cywilu nie mógłby się wydarzyć.

Kiedy 19 samodzielna kompania łączności z 10 dywizji piechoty stała w Eisendankow czy Eisenstein, trudno już dziś sobie dokładnie przypomnieć, przydarzyła się przykra historia szeregowcowi Irce Z., ekspedytorce z plutonu ruchomych środków. To znaczy, przydarzyła się dziewczynie o pół roku wcześniej, ale dopiero teraz, kiedy wypląnęła sprawa małżeństwa, łącznik, który miał zostać ojcem, oświadczył, że ślubu nie weźmie. Namawiali go koledzy i oficerowie, a on jak papuga, co zna jedno słowo: „Nie” i „Nie”.

Czas był frontowy i ostry, o sprawach praworządności jeszcze nie dyskutowano, więc liniowy zastępca dowódcy kompanii, podporucznik Lesław Klisowski, rozżościł się i dał rozkaz:

- Dwóch niech go trzyma, a jezdny zaraz zaprzęgać bryczkę i jedziemy.

Łącznik, chłopak spory i krzepki, opierał się, kopał po nogach, dwa razy usiłował zeskoczyć z bryczki w pełnym biegu, ale go kumple przydusili i ucichł. Irena pochlipywała smutno, woźnica strzelał z bata i tak zajechali do sztabu kwatermistrzostwa w Trachenberg, przed kwaterę kapelana. Ksiądz kapelan Wiśniewski, człowiek młody i energiczny, zrozumiał w lot, o co chodzi, i narzuciwszy ornat na mundur, krzepko związał stułą ręce nowożeńcom. Było trochę kłopotu, bo pan młody nie chciał powiedzieć „tak” i milczał jak zakłęty. Wówczas podporucznik Klisowski, równocześnie z pytaniem księdza, krzyknął:

- Słyszycie, szeregowiec, czy nie, do cholery!

Łącznik z przyzwyczajenia stuknął obcasami i odpowiedział:

- Tak jest, panie poruczniku!

W ten sposób został mężem Ireny Z., a ona jego żoną.

Byli tacy, co powiadali potem, że ślub nieważny, a nawet jeśli ważny, to szczęścia nie przyniesie. „Z dobrej woli się żenią - mówili - i bywa, że żyją jak pies z kotem, a co dopiero, jak się chłop nogami w ziemię zapiera i iść do ołtarza nie chce”.

A jednak, czy to rozkaz wojskowy ma taką siłę, czy frontowe przeżycia mocniej niż inne ludzi łączą, bo w tym wypadku wyszło wszystko na dobre. Irka ma ze swym mężem już troje dzieci, żyją zgodnie i raz na rok, w rocznicę ślubu, pisują listy do podporucznika Klisowskiego, który tymczasem podpułkownikiem został. Dziękują za bryczkę, co ich w ostatnim miesiącu wojny do księdza kapelana zawiozła.

79. Dziewczyna z literą „R”



Noc była chłodna i chmurna, jak często w kwietniu. Od drzew niosło zapachem młodej zieleni. Dalekie rakiety nad Odrą świeciły jak błyskawice burzy, która nie umiała doczekać lata. O wojnie przypominał tylko smród zgorzeli - od ognia pocisków tliła się gdzieś torfiasta leśna ziemia.

Siedziałem przy drodze na gąsienicy rozwalonego czołgu i kłamię szofera, który mnie wysadził w takim paskudnym miejscu. O świcie chciałem być na stanowiskach ogniowych, żeby posłuchać ostatniego wielkiego koncertu wojny - artyleryjskiego natarcia.

Nikt nie jechał. Pusto i ponuro. Nawet nieustraszone serce frontowego korespondenta drży z lekka w takiej głuszy. Na pociechę deklamowałem półgłosem:

Dyszel przy samej pęktł szrubie.
Zostać na polu samemu i w nocy,
„To lubię - rzekłem - to lubię!”

Zawarczało z daleka. Gazik! Wskoczyłem na drogę machając czapką, rękami. Szofer zahamował, nieufnie oglądał mundur i wreszcie zdecydował:

- Włóż!

Skoczyłem do okrytego brezentem pudła i spadłem na czyjeś nogi, głowy, plecy. Rugnięto mnie i usadzono na skrzynce. Było zupełnie ciemno i cholernie tłoczno. Sąsiad z prawa przyciskał mnie do oparcia i łaskotał włosami po nosie. „Niski a kudłaty” - pomyślałem niezycliwie, ale w gruncie rzeczy szczęśliwy byłem, że jadę.

Radość trwała krótko. Silnik zaczął kaszleć, ciężarówka zwolniła i wreszcie stanęła na dobre. Ktoś słabo zorientowany w technice zapytał:

- Kicha nawaliła? Może pomóc?

- Jaka kicha? Siedźcie. Sam dam radę - ponuro oświadczył szofer i zadzwonił kluczami po blasze.

Siedzieliśmy z początku w milczeniu. Potem w kącie zakurzył papieros i odpalając kolejno (z zapalnikami było krucho) zadymiliśmy wszyscy z wyjątkiem mega sąsiada z prawej. Jak zwykle, rozmowa zaczęła się od głupstwa, a potem objęła wszystkich i zesłała na tematy frontowe. Filozoficznie nastrojony bas gadał o bohaterstwie i chwalił czołgistów;

- Nie ma to jak T-34. Rozumiecie, stoimy zamaskowani na skraju lasu, a tu rakietka...

- Zradiofonizowana trumna - obciął go zadziorny, ochrypnięty tenor. - Z lotnikami się nie równaj, a zwłaszcza myśliwcami...

Pół żartem, pół serio przekomarzali się we czterech - bo jeszcze dołączył saper i piechur.

Kiedy indziej słuchałbym cierpliwie, jak na korespondenta przystało. Nie wytrzymałem jednak - wiosna, krew nie woda...

- Nie krzyczcie, bo uszy bolą. Dajcie powiedzieć dwa słowa sojusznikowi.

- A ty kto?

- Polak.

- Gadaj.

- Przed Odrą będziemy przejeżdżać skrzyżowanie - przystąpiłem od razu do sedna. - Tam ruch reguluje dziewczyna. Buzia - malina, piersi - sprężyny, a ślepie jak reflektor. Jednym słowem, sam miód, żeby Berlin nie doczekał. Ale nie w tym tylko rzecz, że ładna, ale bohater... Rozumiecie nalot, bomby, w powietrzu piach, odłamki i dym, artyleria orze po lesie, a ona nic. Reguluje ruch, zatory rozpędza.. Machnie chorągiewką, zaszalutuje z uśmiechem i zaraz następnemu to samo. Biec do ataku, strzelać byłoby łatwiej. Stać - trudno. A przecież dziewczyna. Jeździłem tam parę razy. Luba jej na imię. Żeby wiedział, że nie wyśmieję, zameldowałbym się do niej: „Kierujcie, szeregowy Luba, sercem żołnierza...”

Zaczęli się śmiać z aprobatą i tylko sąsiad z prawej falsetem zaprotestował:

- Wielkie rzeczy. Stoi i-reguluje. Taki ma obowiązek.

„Gówniarz jakiś” - pomyślałem i byłbym go zdrowo objechał, ale nagle zawarczał silnik i ruszyliśmy. Zrezygnowałem i tylko odsunąłem go od siebie. Taki wredniak, a cały czas się o mnie opiera.

Jechaliśmy jeszcze z pół godziny. Przez warkot coraz wyraźniej przebijały pojedyncze huki dyżurnych niemieckich dział. Szofer zahamował i krzyknął:

- Skrzyżowanie!

Mój sąsiad zerwał się, przelazł ku wyjściu i odrzucił brezent. Do wnętrza ciężarówki wdarł się świt. Na tle czerwieniejącego za lasem nieba zobaczyłem wymykające się spod beretu włosy i różany, dziewczęcy policzek czerwonoarmisty zeskakującego na ziemię.

- Luba!

Odwróciła się, zasalutowała z uśmiechem.

- Szczęśliwej drogi, poruczniku. Do zobaczenia w Berlinie.

Ciężarówka ruszyła. Patrzyłem na Lubę. Nad lewym ramieniem miała lufę karabinu, na rękawie białą literę „R” w czerwonym trójkącie, jak wszystkie dziewczęta regulujące ruch na drogach.

W Berlinie nie spotkaliśmy się i w ogóle już nigdzie. Może i lepiej.

Cóż bym zrobił, gdyby na moją propozycję, tę co do kierowania sercem żołnierza, odpowiedziała: „Nie zatrzymywać się. Zator!”

80. Cenniki

Po sforsowaniu Odry znaleźliśmy w zdobytych okopach niemieckie ulotki skierowane do ich własnych żołnierzy. Jedna, zatytułowana „Beutewaffen”, zachęcała do zbierania broni zdobycznej stwierdzając, że: „Jede Waffe fcommt dir zugute!”, czyli mniej więcej: „Każda broń ci się przyda” albo może: „Wyjdzie ci na dobre”. Poniżej autor ulotki, dowódca niemieckiej dywizji, wydrukował oryginalny „cennik”:

1 karabin	5 papierosów
1 k.m.	10 papierosów
1 średni moździerz	10 papierosów
1 ciężki moździerz	20 papierosów
1 średnie działo ppanc.	20 papierosów
1 ciężkie działo ppan.	20 papierosów
1 lekkie działo	30 papierosów
1 średnie działo	30 papierosów
1 ciężkie działo	40 papierosów
1 katiusza	100 papierosów
1 działo pancerne	100 papierosów

1 T-34 lub JS

40 butelek spirytualiów

W myśl informacji zawartej poniżej każdy mógł wymienić 14 papierosów na 3 cygara, 30 papierosów na butelkę brandweinu.

Bardzo to było wszystko przyzwoicie wycenione, jak w sklepie. Tylko zbierać w myśl wezwania, że: „Jeder hitft mit!”, czyli każdy orze, jak może, znosić na kupę te katusze lub czołgi i inkasować zapłatę.

Na marginesie ulotki jakiś wehrmachtowiec-realista nagryzmołił ołówkiem ostrymi gotyckimi literami:

1 Division-Kommandeur	- leere Flasche
1 „ruski plen”	- 100 Flaschen Spirituosen.

Pośmiać się można zarówno z ulotki, jak i z nie pozbawionej wdzięku dodatkowej notatki. W owym czasie hitlerowcy dawno już zapomnieli, jak zbiera się broń porzuconą przez przeciwnika, a nawet jak się ją zdobywa. To raczej my moglibyśmy palić papierosy czy cygara i urzynać się w drobny mak całymi pułkami, gdyby dowództwo wpadło na pomysł płacenia za mauzery, schmeissery, panzerfausty czy inny sprzęt poniewierający się na drogach odwrotu Wehrmachtu.

W samym pomysle jest jednak coś racjonalnego. Wszelką broń, z raketami i pociskami balistycznymi, z bombami nuklearnymi włącznie, warto wymienić. Nie na papierosy i wódkę. Po prostu na pokój. Jeder Friede kommt uns zugute!

W owym czasie jednak hitlerowcy nie mieli jeszcze ochoty na każdy pokój. Łudzili się nadzieją na pewien określony. Gotowi byli dać zań nie tylko papierosy i wino, lecz każdą cenę, jeden Preis.

Nie tylko szeregowiec, ale i oficer nie styka się na co dzień z planami wielkiej polityki. Idąc do natarcia czy trwając w obronie, nie orientuje się, czy operacja ma skalę korpusu, armii czy frontu. O udziale pułku i dywizji dowiaduje się od szoferów i telefonistów. Dopiero po paru czy kilku dniach, gdy o wydarzeniu można już mówić w czasie przeszłym i bez obawy zdradzenia tajemnicy wojskowej, czyta w gazecie lub słyszy przez radio, jakiej akcji był uczestnikiem.

Tyle o sprawach bitew, a co dopiero, jeśli chodzi o konferencje polityków na wysokich szczeblach, o zakulisowe machinacje dyplomatów, które już w samym swym założeniu nie są przeznaczone dla wielu...

Czasem jednak bywa inaczej. W rezultacie wyjątkowego zbiegu okoliczności właśnie zwykły szeregowiec pierwszy rozszyfrowuje sekret, ociera się o sprawy ściśle tajne, o dokumenty, które w myśl znanego żartu powinny mieć napis: „Przed przeczytaniem połknąć!”

W dniach poprzedzających ostatnią ofensywę, bodaj 13 kwietnia, podporucznik Witold Wirpsza, tkwiący wówczas u aparatu redakcyjnego na nasłuchu radiowym, zanotował na skrawku papieru:

„W Warm Springs, w stanie Georgia, zmarł Franklin Delano Roosevelt. Funkcję prezydenta USA objął jego dotychczasowy zastępca, Harry Truman”.

Nie bardzo wiedzieliśmy wówczas, kto to jest ten Harry. Roosevelta było żal, bo stary, wypróbowany sojusznik wojenny.

16 kwietnia, w poniedziałek, ruszyły jednocześnie dwa radzieckie fronty, 2 Armia sforsowała Nysę, a 1 Armia Odre. Dla korespondentów „Zwycięzimy” zaczęły się gorące dni wielokrotnych przepraw tam i z powrotem przez rzekę, pełzania po paskudnie płaskim terenie przyczółka do walczących kompanii i batalionów.

Podczas jednej z tych wypraw, nie pamiętam już, we wtorek czy w środę, spotkałem znajomego telefonistę, którego nazwisko wymieniłem kiedyś w reportażu. Rozpromienił się i podarował w prezencie niemiecką ulotkę.

- To nie dla nas. To oni sami dla siebie wydrukowali - siedząc na dnie głębokiego leja wyjaśniał mi nie wiadomo czemu szeptem. - Nie bardzo kumekam po niemiecku, ale tu śmierdzi jakimś grubym świństwem.

Przebiegłem szybko tekst oczami i schowałem paperek do kieszeni.

- To bzdura - stwierdziłem autorytatywnie. - Oni specjalnie taką lipę odstawiają, żeby nas skłócić z Anglikami i Amerykanami.

Wieczorem dowiedziałem się w sztabie, że jeńcy z 606 dywizji piechoty, wzięci w pierwszym dniu walk przez dąbrowszczaków, zeznali dziwne rzeczy, mieli rozkaz bronienia linii Odry do ostatniego żołnierza, nawet wówczas, gdyby Berlin został zajęty przez naszych zachodnich sojuszników.

Wracając do redakcji zatrzymałem jeepa, siadłem w przydrożnym rowie i wyciągnąwszy ulotkę z kieszeni czytałem w zapadającym zmierzchu:

„Um jeden Preis an der Oder halten! Unbekümmert um die Geschehnisse im Westen... Zeit verlieren - heißt alles verlieren!... in jeden Fußbreit Boden verkrallen, um unserer Führung die Zeit zu geben, die für den Westen notwendigen Gegenmaßnahmen einzuleiten...”³ Podpisano: „Armeeoberkommando”.

Zawahałem się - może to nie ja miałem rację tam w okopie. Coś tu chyba nie jest w porządku.

Nazajutrz zapomniałem o ulotce; a po niecałych trzech tygodniach piliśmy rosyjski spirytus i szkocką whisky z Amerykanami nad łabą.

W gruncie rzeczy jednak miał rację mój znajomy szeregowiec - telefonista, który otarł się niespodzianie o sprawy wielkiej polityki. Dzieje Bundeswehry dowodzą, że śmierdziało rzeczywiście grubym świństwem. Tylko tyle, że Niemcom nie udało się „unserer Führung die Zeit zu geben, die für den Westen notwendigen Gegenmaßnahmen einzuleiten”.

81. Pożyczki

³ „ Za wszelką cenę utrzymać się na linii Odry! Nie troszczyć się o wydarzenia na Zachodzie... Tracić czas – to znaczy wszystko stracić... Wczepić się w każdy skrawek ziemi, aby naszemu dowództwu dać czas na wszczęcie odpowiednich kroków na Zachodzie...”

O forsowaniu Odry napisano kilkanaście książek i paręset artykułów. Wierzę głęboko, że i w przyszłości powstanie wiele dzieł nowych, kto wie, może nawet jeszcze ciekawszych niż „Finał” Zbigniewa Żafuskiego. Ponieważ jednak każdy nowy punkt widzenia wzbogaca obraz całości, chciałbym i ja się przyczynić do sławy tej operacji 1 Armii Ludowego Wojska Polskiego, spojrzawszy na nią, że tak powiem, niejako pod kątem bankowym, bo to się wszystko od pożyczek zaczęło. Proszę o cierpliwość. Jak zwykle w bankowości zacząć trzeba z daleka, od kapitału zakładowego.

A więc jeszcze we wrześniu, kiedy armia zdobyła Pragę i walczyła o warszawski brzeg, Front pożyczył nam (w języku wojskowym „przydzielił”) radziecki ciężki pułk pontonowy, dowodzony przez pułkownika Masika. Jednostka ta wojowała pod rozkazami szefa wojsk inżynieryjnych 1 Armii, generała Jerzego Bordziłowskiego, przez dwa miesiące, umacniając przyjaźń polsko-radziecką, a potem wróciła do swej macierzystej armii.



Pod koniec stycznia 1945 r., kiedy w pościgu za Niemcami dotarliśmy do Bydgoszczy, Front z kolei pożyczył sobie z 1 Armii 6 zmotoryzowany baon pontonowo-mostowy i skierował go wprost nad Odrę, razem z 2 armią pancerną. Polscy saperzy pierwsi stanęli na naszej granicy, dopomagali wojskom radzieckim w uchwyceniu przyczółków. Spisali się widać dobrze, bo długo ich nie oddawano, a wreszcie już w kwietniu szef saperów Frontu, Bohater Związku Radzieckiego, generał Aleksy Proszlakow (później marszałek i dowódca wojsk inżynieryjnych Armii Radzieckiej), zaproponował generałowi Bordziłowskiemu:

- Zostaw ten swój baon w 2 armii pancernej, a ja ci dam inny. Twoi chłopcy przyzwyczaili się już, pancerniacy ich bardzo polubili, niech będzie, jak jest.

Nie wiem dokładnie, jakich argumentów użył nasz ówczesny „główny saper”, czy się targował, czy prosił, dość jednak, że 6 baon przed forsowaniem Odry wrócił w domowe pielesze. Przy okazji Bordziłowskiemu udało się pożyczyć z Frontu radziecki batalion amfibii, żeby dopomógł 1 dywizji piechoty.

W ogóle ta cała nasza armia miała się przeprawiać przez rzekę, zdobywać szturmem przeciwległy brzeg. Lewemu sąsiadowi, 47 armii radzieckiej, przypadło lżejsze zadanie - siedziała na przyczółku, na południu od Gozdowie. Niewielki to był przyczółek, ale zawsze. Generał Popławski takomie patrzył w tamtą stronę i nawet prosił:

- Pozwólcie mi na waszym odcinku choć jeden pułk przerzucić. Zaatakuje Niemców ze skrzydła, ułatwi innym forsowanie.

Tamci krzywili się, że miejsca brak, że i tak nie ma gdzie, splunąć, bo wszędzie jak nie czołg, to działko, jak nie kompania, to sztab, jak nie szeregowiec, to pułkownik.

Popławski nie zrezygnował jednak, przyczaił się i j powtórzył tę prośbę na odprawie dowódców prawoskrzydłowych armii w sztabie Frontu.

- Zgoda - zdecydował dowódca Pierwszego Ukraińskiego. - Ale pułk to mało. Rzućcie przez ich przyczółek całą dywizję.

Powiecie może, że ta pożyczka była nieco wymuszona? No cóż, a czy wam nie zdarzyło się w życiu pożyczać paru złotych w podobny sposób?

Generał Bordziłowski dał rozkaz swym saperom, by budowali przeprawy promowe, a sam zajął stanowisko obserwacyjne w niewielkim piętrowym domku, który stoi samotnie pod Gozdowicami, tuż nad zboczem opadającym stromo ku drodze prowadzącej do Odry. Niemcy od czasu do czasu okładali domek pociskami, ale była tam niezła piwniczka na wszelki wypadek i poza tym nie ma róży bez kolców.

Zauważywszy, że Niemcy z lewa i z prawa ostrzeliwiają rzekę, a nie kładą ognia na środkowy, mniej więcej trzystumetrowy odcinek, generał domyślił się, że ten fragment Odry leży w martwym polu ich obserwatorów. Kazał skupić promy jeden przy drugim i 3 dywizja piechoty rozpoczęła przeprawę.

Wszystko szło sprawnie, świeciło słońko, dzień był ciepły, a ogień artyleryjski nie taki znowu gorący. W każdym razie żadnego porównania ze Stalingradem, gdzie Bordziłowski kierował przeprawami 64 armii, broniącej południowej części miasta. Generał rozpiął mundur i siedząc przed swym domkiem patrzył na robotę saperów. Niespodziewanie spostrzegł w pobliżu dowódcę 2 dywizji, generała Surżyca, mężczyznę słusznego wzrostu, o surowej twarzy, którego jednak zwano Dyziem, jako że imię nosił Dionizy.

- Co tu robisz?

- Rozglądam się - odpowiedział Surżyc. - Jak myślisz, bardzo by mnie zrużał Popławski, gdybym tak tędy jeden pułk przerzucił i zaraz go ponad brzegiem na mój odcinek, na niemieckie skrzydło...

Bordziłowski uśmiechnął się i postanowił na własną rękę rozszerzyć fundusz pożyczkowy.

- 3 dywizja już kończy. Dawaj tu swoją. Nie jeden pułk, ale całą. Tylko rozumiesz, tak raz-dwa.

Niemcy podpalili granatami poszycie lasu na naszym brzegu. Dym snuł się z tamtej strony coraz gęstszy, wiatr znosił go skośnie nad rzekę. Niebieskoszary welon pokrył wodę i oba brzegi, stawał się coraz gęściejszy. Zachęcony powodzeniem poprzednich pożyczek, generał postanowił skorzystać również z niemieckiego dymu – nie czekając zmierzchu, dał rozkaz budowy pontonowego mostu, po którym przeszła na przyczółek 4 dywizja piechoty generała Kieniewiczza, już trzecia z kolei wielka jednostka polskiej armii.

W tej chwili nie wiecie jeszcze tylko o jednym - którędy przeprowiono sprzęt najcięższy, czyli czołgi i działa pancerne, ale i to zaraz wytłumaczę. Otóż generał Bordziłowski dowiedział się, że nieco dalej na południe stoi na Odrze solidny most, zbudowany przez ciężki pułk pontonowy znanego nam skądinąd pułkownika Masika. Napisał do niego kartkę: „Zdrowstwuj, stary. Tak i tak, wojowaliśmy razem pod Warszawą. Ty masz dobry most, a my ciężkie czołgi. Sam rozumiesz, i co o tym myślisz?”

Pułkownik Masik odpisał: „Tak i tak, stara drużba nie rdzewieje. Myślę o tym to, co ty. Przysyłajcie wasze żelazka, tylko po cichutku i raz-dwa”.

Nie wiem, czy historycy zechcą skorzystać z powyższych danych, al esami przyznacie, że pożyczki odegrały niemałą rolę w forsowaniu rzeki Odry przez 1 Armię Wojska Polskiego.

82. Dobra wróżba

Ostatnia wielka ofensywa wojny, operacja berlińska, jest popularna i dość dobrze znana nawet słabszym uczniom szkoły podstawowej. Trudno nie spostrzec tej imprezy, choćby tylko ze względu na skalę. Brało w niej udział około miliona żołnierzy po stronie niemieckiej - 64 dywizje, 200 batalionów Volkssturmu, 11 tysięcy dział i moździerzy, 1500 czołgów i 3200 samolotów. Cios zadawały trzy fronty radzieckie dysponujące 8 tysiącami samolotów, przeszło 6 tysiącami czołgów i 41 tysiącami luf⁴. Imponuje również szybkość. W ciągu trzech tygodni padł Berlin i nad Łabą skończyła się wojna.

Marszałek Montgomery, jeden z najoryginalniej odzianych marszałków w dziejach świata - nosił zamszowe półbuty, welwetowe spodnie, różowy sweter z baretką Orderu Łaźni i beret z dwiema odznakami - nie zdążył nawet wprowadzić w życie swego planu zajęcia stolicy Rzeszy przez angielski desant powietrzny.

Z dystansu przestrzeni i lat operacja berlińska wygląda jak marsz od Odry po Łabę. Przeciętna szybkość dzienna wypada w granicach około 8-10 kilometrów. Jak wszystkie statystyczne przeciętne, pożyteczna jest jako wielkość porównawcza, a jednocześnie kryje w sobie poważne niespodzianki. Jak to jezioro ze znanego dowcipu, w którym utonął pewien statystyk, mimo iż przeciętna jego głębokość nie przekraczała 45 centymetrów.

Początek działań 1 Armii po sforsowaniu Odry w niczym nie był podobny do triumfalnego marszu. Trzeba się było wgrzać w silnie rozbudowaną obronę przeciwnika, pokonywać zapory przeciwczołgowe i przeciwpiechotne, szturmem brać wyryte jedna za drugą linie okopów. 606 dywizja i 5 dywizja lekka Wehrmachtu broniły się uparcie, w myśl wytycznych zawartych w przytoczonej uprzednio ulotce, a 25 dywizja zmechanizowana z drugiego rzutu raz po raz przechodziła do kontrataków.

Szczególnie chyba trudny odcinek przypadł w udziale kościuszkowcom. 16 kwietnia o godzinie 5.45 dywizja rozpoczęła forsowanie Odry pod Christiansaue i jej czołowe kompanie musiały od razu podjąć walkę wręcz o każdy metr przyczółka. Do wieczora dziesięciokrotnie atakowali je Niemcy siłami do batalionu.

Noc nie przyniosła przerwy w walce. Następnego dnia to daremne czołowe ataki na wioskę Neu Rudnitz i wreszcie zdobycie jej dwustronnym manewrem skrzydłowym.

Podczas trzeciej doby walk, tym trudniejszej, że sąsiad z prawej - 61 armia - natrafiwszy na wyjątkowo zacięty opór, nie był w stanie osłonić skrzydła, dywizja zdobyła Neu Cüstrinchen, Cronstillier i wyszła na przedpole Starej Odry. 3 pułk z rozmachu dotarł nad samą rzekę, ale niestety nie na swoim odcinku. Podczas przekazywania Niemcy odrzucili naszych.

Rezultatem trzech dni trudnych i krwawych walk było przedarcie się na siedem kilometrów od Odry w głąb obrony wroga. Teraz jednak dywizja utknęła w płaskim, otwartym terenie, pod silnym ogniem dział i kaemów wkopanych w wał przeciwpowodziowy nad Starą Odrą. Żołnierze byli wyczerpani bojem i brakiem snu.

⁴ W tym 330 polskich samolotów, 500 czołgów i 3000 dział, o czym wspominam w przypisie, bo wstyd trochę powtarzać rzeczy... ogólnie znane. (Przyp. autora.)

Jeśli jednak szeregowcowi zajęczym systemem uda się z otwartymi oczami przysnąć na godzinę w okopie, to oficerom niełatwo chwycić choćby kwadrans między dwoma telefonami od przełożonego. Dowódcy batalionów i kompanii wieją w tym celu od aparatów na pierwszą linię. Tam ich szukają wysłannicy sztabu, by montować natarcie.

W przeddzień wymarszu nad Odrę, gdzieś w końcu marca czy na początku kwietnia, na stanowisko liniowego zastępcy dowódcy przyszedł do 3 pułku piechoty podpułkownik Zygmunt Duszyński, były komendant oddziałów Armii Ludowej w okręgu Prawa Podmiejska.

Po partyzancku ruchliwy i zadziorny, po warszawsku odważny i pyskаты, dopasował się od razu raczej do linii niż do sztabu, choć bynajmniej nie wszyscy zastępcy liniowi w ten sposób pojmowali swoje zadania.

Pracowitych robota lubi, więc od pierwszej godziny forsowania został Duszyński „panną do wszystkiego”. Nie zzuwając swych eleganckich oficerów, odrobionych na wysoki połysk, maszerował od batalionu do batalionu z rozkazami dowódcy albo i bez nich, organizował współdziałanie, montował ataki na kolejne ośrodki oporu.

W owym dniu, w którym pułk wyszedł na przedpola Starej Odry, miał już za sobą trzy doby bez zmrużenia oka, co - jak wiadomo - jest bez znaczenia dla partyzantów Armii Ludowej i oficerów wyższych stopni, ale tylko w powieściach.

Na lewym skrzydle radziecka 47 armia zdobyła już ufortyfikowane miasteczko Wriezen po drugiej stronie rzeki i stamtąd nazajutrz wyszło skrzydłowe uderzenie naszej 4 i 3 dywizji rolujące niemiecką obronę na wale przeciwpowodziowym.

Dziś łatwo to wyczytać w jakiegokolwiek książce lub artykule w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym”. Wówczas jednak, 18 kwietnia, podpułkownik Duszyński tego nie wiedział. Z trudem otwierając oczy, przezwyciężając ból jak od chropawego piasku pod powiekami, widział tylko płaską niczym stół łąkę rozpostartą przed naszymi liniami, za nią, w odległości czterystu metrów, groźny i błyskający ogniem wał ziemny, resztki uszkodzonego wybuchem mostku, a jeszcze dalej poszczerbiony komin cukrowni.

Łąkę trzeba było przejść pod osłoną najbliższej szosy, sforsować rzekę po przęsłach mostu i chwycić przyczółek. Zadanie postawione jednemu batalionowi trzeba było przenieść do sąsiadów.

Duszyński ruszył wzdłuż tyraliery zygzakiem od ukrycia do ukrycia. Odszedł kawałek spokojnie, ale w jakimś prześwicie wypatrzył go niemiecki obserwator i wiązka kul z kaemu zagwizdała tuż obok. Podpułkownik wiedział, że to do niego adresowana, że celowniczy za sekundę dołoży starannie poprawkę, więc bez namysłu skoczył do najbliższego leja po pocisku.

„Przeczekał minutkę” - pomyślał. Zacisnie tu było, ciepło od wiosennego słońca. Grudy ziemi pod policzkiem wydały się dziwnie miękkie. Zupełnie jak puchowa poduszka...

Leżał chwilę i zaraz zrobiło mu się niewygodnie, coś zaczęło łaskotać pod pachą. Poruszył ręką.

- O rany! - wrzasnął ktoś nieswoim głosem.

Duszyński ocknął się, usiadł. Słońce wisało nisko nad zadymionym horyzontem.

Zabrano mu już automat, a naprzeciw, na dnie leja, siedziało dwu przerażonych żołnierzy, z których jeden trzymał broń, a drugi dokumenty wyciągnięte przed sekundą z wewnętrznej kieszeni podpułkownika.

- Myśmy... myśleliśmy... - tłumaczyli nie ochłonąwszy jeszcze z wrażenia wobec nagłego zmartwychwstania domniemanego nieboszczyka.

- Trup jest zimny i nie oddycha - wyjaśnił im Duszyński, dodając parę mniej cenzuralnych słów.

- No, właśnie. Tak jest, obywatelu pułkownika - zgodzili się obaj. Ale liniowy zastępca dowódcy 3 pułku piechoty nie bardzo szczerze się gniewał - jak kogo biorą za nieboszczyka, to ma potem gwarantowane długie życie.

83. Krowy i żyrandol

Teren między Odrą i Starą Odrą był przygotowanym zawczasu poligonem bitwy. Budynki miały bardziej charakter punktów ogniowych niż domów, piwnice stanowiły raczej schrony bojowe niż miejsca przeznaczone do przechowywania żywności. Dopiero dalej, wyrwawszy się z tej płataniny okopów i drutów, gdzie każdy krzak czy kępa trawy były przede wszystkim maskowaniem dla miny, weszliśmy do Niemiec.



W Bad Freienwalde ocalały nawet szyby w oknach, książki na półkach bibliotek, lekarstwa w aptece i weki w piwnicach. Poszewki na poduszkach nosiły jeszcze ślady odcisnięte przez głowy ludzi, którzy wczoraj czy przedwczoraj uciekli. Berlin był gdzieś tuż za horyzontem i teraz mogliśmy już z całym przekonaniem powiedzieć: „Wot ono - łogowo faszystskiego zwieria”.

Bo przecież przedtem - w lutym, marcu i pierwszej połowie kwietnia - szliśmy po ziemiach koszalińskiego i szczecińskiego województwa. Żołnierz, spaliwszy z rozmachu jedną czy drugą chałupę, zaczynał się rozglądać, a często nawet, skrobiąc głowę twardymi paluchami, przymierzał, jak można by gospodarzyć w takim czy innym obejściu. Niemało mieliśmy Wołyniaków, Podolan czy Wilniuków, którzy już wkrótce tu mieli zamieszkać. Jeszcze na parę dni przed ofensywą konie z taborów i artyleryjskie ciągniki orały pola pod jare zboża, a szefowie kompanii wydawali ziarno na siew.

Teraz jednak byliśmy w Niemczech. Mogliśmy spełnić to, o czym nieraz gadało się na biwakach, w okopach, w spalonych polskich miastach, nad grobami poległych towarzyszy. Mieliśmy prawo odwetu. Nie waham się stwierdzić - moralne prawo do zostawiania za sobą spopielonej ziemi, do wytyczania linii frontu łańcuchem pożarów, jak to czynili Niemcy we Wrześniu, idąc na wschód, i w pięć lat później, cofając się na zachód.

Ale w Bad Freienwalde, jako że się nie broniło, stłuczono tylko szybę w aptece, i to chyba raczej ktoś pijany niż trzeźwy, bo drzwi były otwarte.

A kiedy nasz korespondencki willys ruszył dalej, to pod wsią - i to bodaj pod Torgelow, gdzie 3 pułk narwawczy się na esesmańską zasadzkę miał poważne straty: osiemnastu zabitych i dwudziestu trzech rannych, gdzie tłumacza sztabu, porucznika Wesołowskiego, dobito na kopcu kartofli strzałem w tył głowy, gdzie podpułkownik Duszyński prowadził batalion do walki wręcz - właśnie pod Torgelow natknęliśmy się na stado krów dojonnych przez naszych piechurów. Bydło stało spokojnie, porykiwało coraz ciszej, a białe strużki mleka tryskały na ziemię, spływały pianą po trawie. Napiliśmy się trochę, bardziej z ciekawości niż z pragnienia.

- Doicie?

- Doimy.

- Szwabskie krowy.

- No właśnie. Dranie zwieli, a bydłu mleko aż cycki rozpiera. Ryczały tak z bólu, że słuchać ciężko.

W tym samym mniej więcej czasie półtorej setki kilometrów na południe w składzie 2 Armii nacierał 1 korpus pancerny. Jednostka była potężna, liczna, więc mieli swoją gazetę frontową na kółkach i pod tytułem, jak łatwo się domyślić, „Pancerni”. A skoro już gazeta, to i naczelny redaktor. Był nim kapitan Edward Bartol, z wykształcenia inżynier elektryk, a znacznie później, po wojnie, ambasador Rzeczypospolitej w Argentynie. W owych czasach Bartol, nie wiedząc nic jeszcze o swych dalszych losach, nosił zamiast fraka drelichowy mundur, a na nim kombinezon dość potężnie wymazany czołgowymi smarami.

Redakcja stanęła na krótki postój albo w Gross Wolka, albo w Kamnitz, dokładnie już trudno ustalić. Sztab korpusu rozlokował się w małych domkach, krytych czerwoną dachówką. Gabinet naczelnego znalazł się w pokoju na pięterku z niskim, mansardowym sufitem. W centrum wsi i na drodze łomotały wybuchy pocisków - jakaś ciężka bateria prowadziła nękający ogień. Bartol smarował czerwonym ołówkiem po korektach, gdy drzwi się otworzyły i wszedł szef wydziału politycznego korpusu, major Burgin.

Kapitan, znany służbista, zerwał się, by zameldować, i jednocześnie ze stuknięciem obcasami wyrzwał głową w nisko wiszący żyrandol. Zamroczyło go tego, ale natychmiast chwycił za niklowaną rurę, jednym szarpnięciem urwał cały świecznik i cisnąwszy go przez otwarte okno, złożył raport.

Major wysłuchał, uniósł brwi nad okularami i ze zdziwieniem rzekł, wskazując na druty smętnie sterczące z sufitu:

- Kapitanie?! I to wy, inżynier elektryk... w ten sposób z instalacjami?

- Przecież to hitlerowskie - oburzył się Bartol. I pociemniawszy na twarzy dodał: - No właśnie, człowiek zapomina się czasem. To przez to, że te ciągle hałas. - Na wioskę legła akurat salwa i przez okno cisnęło kłębami kurzu.

Te dwie sprawy - krowy i żyrandol - łączą mi się jakoś ze sobą. Może nie na zasadzie obrazu, ale raczej nastroju. I świadczą o czymś, co niełatwo „własnymi słowami” wyrazić wprost.

84. Trzynastka

Nikt z poważnych ludzi w przesady nie wierzy. Znam natomiast wielu takich, co pukają w nie malowane drzewo, żeby nie zapeszyć, dyskretnie spluwają („tfu, tfu, na psa urok!”), łapią za guzik „na szczęście” widząc kominiarza, nie podejmują poważnej decyzji w poniedziałki ani w piątki (zwłaszcza deszczowe...) i starannie unikają trzynastki. Robią to wszystko naturalnie nie ze względu na jakieś głupie zabobony, ale ot, tak sobie, po prostu na wszelki wypadek. Ostatecznie przed wojną nawet właściciele domów oznaczali następny po dwunastym lokal cyfrą „14”, a zarząd miasta stołecznego Warszawy, numerując tramwaje, opuścił feralną „trzynastkę”...

W 1 Armii nie było 13 pułku piechoty przez czysty przypadek, bo 5 dywizję, w skład której wchodził wyżej wymieniony, przydzielono 2 Armii, a do nas - po pierwszych czterech - przyszła od razu 6 dywizja. Posiadała natomiast 1 Armia 13 SPAS, czyli 13 samodzielny pułk artylerii samobieżnej.

W końcu kwietnia, w jeden z gorących dni berlińskiej ofensywy, redakcyjny willys przytoczył się do wyżej wymienionej jednostki, którą dowodził pułkownik Curoczkin, radziecki oficer, Zawadiaka i kobieciarz, wyga frontowy i człowiek o dzielnym sercu.

Trafiliśmy akurat w obiadową porę. Pułkownik w dużym skórzanym fotelu siedział pod ścianą rozprutego pociskiem domku i jadł pieczeń wieprzową ze smażonymi kartoflami, zapijając spirytusem. Nie dał nam dojść do słowa, kazał siadać, przegryźć i wypić co nieco.

Przycupnęliśmy na skrzynce po amunicji jak wróble na gałęzi, gotowi w każdej chwili zerwać się i paść na ziemię - nie dalej jak dwieście metrów na przedzie dość nerwowo stukały kaemy, a z boku w niskim lasku przy drodze raz po raz rwały się niemieckie miny, blokując dojazd nękającym ogniem. Pojedyncze odłamki przelatowały czasem nad głowami z niemiłym furkotem i podjeżdżało dusznym zapachem zgorzeli.

- Mówię ci, że ta wizyta w „trzynastce” pechowo się skończy - szepnął mój współtowarzysz, korespondent porucznik Edward Obertyński, i dyskretnie splunął za siebie.

Gdy wypróżniliśmy szeroką patelnię i szklanki, pułkownik Curoczkin zapytał, po kakomu diełu, czyli - w jakiej sprawie przybyliśmy.

Odpowiedziałem, że chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć o męstwie jego czołgistów-artyleryzistów.

- Bardzo proszę, proszę bardzo - uprzejmie rzekł pułkownik i uśmiechnął się w sposób podejrzenie serdeczny. - Prasa powinna znać, jak to na wojence ładnie. Poczekajcie tu dziesięć minut, a ja to wszystko urządzę.

Gdy odszedł, Edek mruknął:

-Wszystko jak wszystko, ale nas na pewno urządzi tak, że się nie pozbieramy. Wiejmy z tej „trzynastki”, póki czas.

Może nawet zwilibyśmy, bo i ja czułem dziwne serca drzenie, ale po wypitym spirytusie nie bardzo miałem ochotę wstawać, a za chwilę już było za późno...

Za drzewami ryknęły basem silniki, majestatycznie wytoczyły się cztery samobieżne działa, mieląc piach gąsienicami. Jedno stanęło na moment i kanonierzy energicznie pomogli nam wsiąść do środka. Zgrzytnął rygiel pancernych drzwi odcinając drogę odwrotu.

Maszyna szarpnęła do przodu, nabrała pędu i łamiąc gęsty sośniak niczym rozgniewany słoń, wypadła na otwarte pole. W wizjerze mignęła mi daleko grupka domków o czerwonych dachówkach, barwna niczym krasnoludkowe miasteczko, ale nagle rąbnęła nasza armata, zafurkotał pocisk i domki przestonił krzak eksplozji. Resztki nadziei, że to tylko spacerek, rozwiały się jak dym - z pancerną baterią szliśmy do szarży.

Działo paliło raz za razem, dzwoniły rozpalone łuski, dusił prochowy dym. Tłukło nas po wybojach i rowach. Całą siłą wczepieni w klamry, staraliśmy się nie rozbić głów o pancerz. Niemcy bili z ciężkich moździerzy, odłamki drapały pazurami stalowe boki naszych koni. W strachu oczekiwałem, czy nie usłyszę ostrego huku pepanców, ale ich, widać, hitlerowcy nie mieli.

Wpadliśmy w gęste kłęby wapiennego pyłu, pośpiesznie zajazgotał nasz karabin maszynowy, ostro zatrzęsło na kamiennym bruku i znieruchomieliśmy.

Zerknąłem przez wizjer - działo zajęło pozycję na drugim końcu osady, a przez pola uciekało parę szarych postaci, podcinanych w biegu batami erkaemowych serii. Odważyłem się wyjrzeć ponad burtę pancerza - uliczką biegli nasi zziajani fizylierzy, przeszukiwali domki, postukując ze swych pepesz. Od sąsiedniego działa nadchodził pułkownik Curoczkin w czapce zsuniętej na tył głowy. Śmiejąc się, kiwał ręką.

Gdy wysiedliśmy, spytał:

- Nu i kak, korespondenty? Wiecie już, co pisać?

Przytaknęliśmy zgodnie, a Edward nawet był na tyle bystry, że podziękował.

- Bardzo proszu, proszu bardzo - kiwnął głową dowódca pułku i odszedł wydając rozkazy umocnienia pozycji.

Jeśli chodzi o problem feralności, to przygoda ta jednak niczego nie wyjaśniła. W drodze powrotnej sprzecaliśmy się z Edwardem zawzięcie. Ja twierdziłem, że to liczba wyjątkowo szczęśliwa, bo obaj mamy skóry całe. On dowodził, że ocaleliśmy tylko ze względu na sobotę - dzień wyjątkowo przyjazny.

85. Wbrew schematom

Było to po zachodniej stronie Nysy, na Łużycach. Nocą nasze czołgi zajęły wioskę. Gdy wstał świt i naglił, by ruszać dalej, ku ciemniejszej za polami linii lasu, okazało się, że drogę przegradza świeża

podorywka. Nie ulegało wątpliwości - starannie zaminowana. Nawet głupi tu właśnie postawiłby zaporę przeciwko czołgom.

Dowódca pancерnej brygady rozkazał wezwać saperów, ale ci gdzieś się zapodzielili po nocy wypełnionej walką. Jak na złość zjawił się natomiast szef sztabu korpusu i począł naciskać, żeby brygada zaraz pchnęła dwa czołgi do przodu. Jeśli przejdą, to ich śladem pojadą następne.

- Nie przejdą. Tam są miny - twierdził z ponurym uporem dowódca brygady.

- Przejdą. Niemcy wiali nocą na całego - upierał się szef sztabu.

- Wiali i dlatego zaminowali.

- Trzeba sprawdzić.

- Czołg jest droższy niż furmanka i w każdym żywi ludzie.

- Właśnie o ludzi chodzi. Jak fryce zorganizują obronę w lesie, podrzucą artylerię, stracimy więcej maszyn i ludzi.

Jakby na potwierdzenie tych słów odezwały się działa, wybuchy zadymiły wśród chałup wioski.

- Nie poślę swoich na pewną śmierć. Miny zerwą gąsienice, a nieruchome wozy spali artyleria.

- Dość tego. Posyłajcie natychmiast.

Spór rozpalął się coraz gwałtowniej. Stali obaj za ceglany murem rozwalonej obory, twarze czerwieniały im z wściekłości. Nie widzieli świata poza sobą.

W tym momencie mechanik ukrytego w pobliżu czołgu wychylił się z włazu i wrzasnął:

- Ej ty! Gdzie leziesz?

Odwrócili się obaj i na moment stracili mowę. Przez podorywkę lekko utykając, szła kobieta w mundurze. Po krępej, niewysokiej sylwetce poznali podporucznika Helenę Landau z wydziału politycznego. Przez plecy miała przewieszony pistolet maszynowy, w ręku niosła witkę z zielonymi listkami. Oficerowie podbiegli parę kroków.

- Wracaj! Wracaj, tam miny!

Obróciła ku nim twarz i nie zatrzymując się pomachała ręką.

- Ona nie słyszy, cholera! Miny!!! - wrzasnął szef sztabu, upierający się przed chwilą, że pole jest czyste.

- Że co? - odrzyknęła, nie przestając spokojnie kuśtykać po grudach ciemnej ziemi.

- Wracaj zaraz!

Wybuch artyleryjskiego pocisku na drugim skraju wsi zagłuszył słowa.

Przestali krzyczeć - teraz nie było już sensu. Do końca podorywki zostawało mniej drogi, niż gdyby wracała. Zaciskając pięści oczekiwali wybuchu i chmury kurzu, w której podporucznik Landau lada chwilą zniknie im z oczu. Do brzegu pola zostawało może pięćdziesiąt metrów, potem trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć, ostatnie kroki...

Wyszła wreszcie na zielony ugor i przysiadła koło krzaków obsypanych drobnymi kwiatkami.

Ten przemarsz niczego nie dowodził - przeciwczołgowe miny nie wybuchają pod ciężarem człowieka. Mimo to dowódca brygady otarł pot z czoła, siadł do swego wozu i wraz z dwiema innymi maszynami przeszedł podorywkę. Po śladach, plutonami, przeskoczyła na drugą stronę kompania T-34, rozwinęła się na ugorze.

Niemcy w lesie nie wytrzymali nerwowo - zaczęli postukiwać z kaemów zdradzając swe stanowiska. Rozpoczęło się nowe natarcie...

Regulaminy przewidują bardzo rozmaite sposoby zwiadu saperskiego na niebezpiecznych odcinkach i rozminowania terenu. W żadnym jednak nie znajdziecie metody „za pomocą spaceru samotnej kobiety, uzbrojonej w pistolet maszynowy i witkę z zielonymi liśćmi”. Świadczy to chyba o tym, że w życiu zdarzają się sytuacje, których nie sposób zmieścić w ramach ogólnie przyjętych schematów.

Każdy szeregowiec wie doskonale, że w celu przeprowadzenia natarcia należy w danym miejscu i czasie skoncentrować przeważające siły piechoty, artylerii i czołgów oraz zapewnić sobie panowanie w powietrzu. Tym lepiej wiedzą o tym oficerowie - natarcie przy zbyt małej przewadze sił wyczerpuje wojska własne, przynosi korzyść raczej nieprzyjacielowi. Wyżsi dowódcy i pracownicy sztabów potrafią na poparcie tej tezy cytować dziesiątki historycznych przykładów, przytaczać długie kolumny cyfr...

Po sforsowaniu Nysy, zdobyciu Rothenburga i ostatecznym przełamaniu obrony przeciwnika 9 dywizja sforsowała rzeczkę Schwarzer Schöps i Sprewę, posunęła się szybko na zachód, odrzucając kontrataki Niemców, zdobywając coraz nowe wsie i miasta. 21 kwietnia, licząc w prostej linii, była już prawie siedemdziesiąt kilometrów od zachodniej granicy Polski. Tego dnia maszerujący w drugim rzucie 26 pułk piechoty spotkał jakąś jednostkę z innej dywizji, która śpiesznie posuwała się w przeciwnym kierunku, to znaczy na wschód. Żołnierze wymieniali między sobą uwagi, poszły wzdłuż szeregu plotki o okrążeniu, ale w gruncie rzeczy nikt w to nie wierzył.

Nazajutrz przed świtem w gęstej porannej mgle pułk natarł na Grossröhrsdorf i wziął miasto razem z zaspanymi, nie pojmującymi, co się stało, mieszkańcami. Strzelaniny było więcej, niż trzeba, w stosunku do dość słabego oporu wroga. W terkotaniu wystrzałów rozwiały się słuchy o okrążeniu, nikt naturalnie nie oszczędzał amunicji. Po południu przyszły radosne wieści z działającego na przedzie 1 korpusu pancernego, który zdobył Radeberg, odległy zaledwie o osiem kilometrów od Drezna, a jednym z oddziałów rozpoznawczych dotarł nad Łabę.

Od tego momentu, jak w zwariowanej partii pokera, poszła inna karta: czołgi zawróciły gwałtownie i pognały z powrotem w stronę Budziszyna, a 9 dywizja została sama i wkrótce rzeczywiście znalazła się w okrążeniu. Pułki toczyły ciężkie walki w miejscu, a potem pod bombami, atakowane gwałtownie przez czołgi i piechotę wroga, zaczęły się przedzierać na wschód. Denerwujące, gwałtowne starcia, z których każde mogło przerodzić się w klęskę, trwały bezustannie dniem i nocą. Żołnierz był głodny,

brak snu walił go z nóg, do dział zostało zaledwie po parę pocisków, a piechurzy wygrzebywali z dna kieszeni resztki naboju.

27 kwietnia, po czterech dniach takich walk, sytuacja wydawała się beznadziejna. Przedarli się kilkanaście kilometrów na wschód, ale nigdzie nie napotkali swoich. Pod Kuckau rzucone do natarcia resztki 1 batalionu 26 pułku piechoty zostały dosłownie zmiecione huraganowym ogniem niemieckich moździerzy i broni maszynowej.

Wówczas zebrano tych wszystkich, którzy pozostali. W szeregach 30 pułku stanął dowódca dywizji, pułkownik Łaski. W szeregach 26 pułku - jego zastępca, major Marian Graniewski. Ruszyli do natarcia wspierani resztkami min przez własne moździerze, przez armaty z brygady artylerii przeciwpancernej i kilku dział szturmowych SU-76. Wiedząc, że nie ma się dokąd cofać, wyparli Niemców z pierwszych okopów, w nieustannym boju przeszli około dwóch kilometrów i natknęli się znowu na zdecydowany opór. Ogień szybkostrzelnych dział przeciwlotniczych zapalił wozy pancerne, broń maszynowa dziesiątkowała tyralierę. Wyglądało na to, że zbliża się koniec.

Graniewski z trudem skrzyknął paru cofających się bezładnie żołnierzy. Niemcy nie dali długo na siebie czekać, ruszyli w pościg. Pewno by ich ogarnęli, gdyby nie to, że dostrzegłszy biegnących piechurów poczekał na nich półciężarowy dodge z działem 76 mm. Dopadli go kłusem, żołnierze skoczyli na skrzynki po pociskach, Graniewski położył się na błotniku. Kierowca ruszył pełnym gazem i popędził przez bezdroża i pagórki, gonieni niskim świstem serii. Major z kpina pomyślał, że przy najlepszej woli nie można by tego manewru nazwać odwrotem na z góry upatrzone pozycje.

Szczęście nie trwało zbyt długo, bo rozpedzony wóz wjechał w błoto i zarznął się powyżej osi. Usiłowali go wypchnąć, grzęznąc po kolana w lepkiej mazi, nie dało jednak rady. Zgodnie rozbili silnik, utopili zamek działa, ale nie mogli się porozumieć co do dalszej marszruty - artylerzyści ze swym dowódcą ruszyli do lasu na lewo, a Graniewski z piechurami pomaszerował na północ w stronę Kuckau.

Mimo bólu w mięśniach szli szybko, mimo piasku pod powiekami od niewyspania rozglądali się czujnie po bokach. Nie zatrzymując się w marszu, przeliczali resztki naboju i granatów. Major kłął w duchu - kiedy jeszcze chodził do szkoły, nigdy nie myślał, że będzie w wojsku, i raczej z niechęcią odnosił się do armii. Potem tak się złożyło, że wykonywał różne roboty: był niezłym ślusarzem na szlifierniach i wiertarkach, remontował czołgi, aż wreszcie wojna zmusiła go, jak innych, do walki. Lubił rzetelnie wykonywać robotę, więc tak jakoś bez specjalnego zamiaru został oficerem, a potem awansował coraz wyżej aż do stanowiska zastępcy dowódcy dywizji, oficera kierującego walką dziesięciu tysięcy ludzi. Mniej więcej tyle liczyła jego jednostka wówczas, gdy przekraczała Nysę. W głębi duszy przyznawał się samemu sobie, że pociągnęła go surowa, epicka proza tego marszu tysięcy, umiejętność koncentrowania ludzkiej woli w jednym kierunku. I oto teraz, kiedy już dni dzielą ich od końca wojny... Obejrzał się na swe wojsko: mógł policzyć podwładnych na palcach.

Dochodząc do Kuckau, spostrzegli nagle żołnierzy w okopach i natychmiast przypadli jak zajęte pod miedzą. Powiedział swym piechurom, że bezruch oznacza pewną śmierć. Zaczęli pełznąć, skradać się, wypatrywali głów sterczących nad przedpiersiem. Nasi czy Niemcy?

Nasi! Poczęli krzyżeć, żeby nie strzelali. Graniewski z ulgą pomyślał, że dalej ruszy z większą grupą, może z kompanią albo choćby z plutonem. Żołnierz już był ostrzelany, zahartowany, każdy na wagę

złota. Kiedy zeskoczyli do okopów, okazało się, że to... dywizyjna orkiestra. Bez trąb, co prawda, bo je zostawili w taborze, a tabor diabli wzięli, ale za to uzbrojeni w karabiny, a nawet jeden erkaem mieli.

Ruszyli dalej. W Kuckau nie było nikogo. Przyspieszywszy kroku, pognali śladem dywizji, która odeszła na północ.

Jak na złość wywinęły się z tyłu dwa działa szturmowe, szły ostro, zaczęły ich ścigać. Poderwali się biegiem, ale wiadomo, że przed gąsienicami daleko nie uciekniesz. Dopadli paru domków, szykowali się do obrony z tymi kilkoma granatami, które mieli na pasach. Przeciwpancerne ani jednego. Działa były coraz bliżej, tylko patrzeć, jak wygarną z obu luf. Nim zdążyli cisnąć granaty, okazało się jednak, że to nasze, te, które ocalały od ognia hitlerowskich przeciwlotników. Siedli na nie desantem i w takich to luksusowych warunkach dogнали wreszcie swoich wychodzących z okrążenia. Przeszli przez linie obronne 2 Armii w ostatnim momencie, kiedy na horyzoncie ukazały się już niemieckie czołgi i okopane działa przywitały je ogniem.

Ocaloną od zagłady dywizję wycofano na tyły. Tam się policzyli. W 26 pułku piechoty z dwóch tysięcy pięciuset ludzi pozostało siedmiuset osiemdziesięciu żołnierzy, dwa erkaemy, dwa ciężkie karabiny maszynowe, trzy moździerze i jedno działo 45 mm. Prócz tego jeszcze jeden wóz kwatermistrzostwa, a na nim dwieście pięćdziesiąt kilogramów chleba i pięćdziesiąt kilogramów makaronu.

Podstaw do radości nie było. Czekali na surową ocenę dowódcy armii. Wiedzieli wszyscy, że nie należy do ludzi, którzy słodzą gorzkie pigułki. 30 kwietnia przyjechał do nich Karol Świerczewski i złożył dywizji... gratulacje.

Okazało się, że zaszczytnie pełnili rolę kolca wbitego w nogę słonia, że walcząc na tyłach blokowali drogi marszu zgrupowania feldmarszałka Schörnera idącego na odsiecz Berlinowi. Tam gdzie ruszył do natarcia 1 batalion 26 pułku piechoty, a potem resztki dywizji w sile nie więcej niż dziesięciu kompanii pozbawionych prawie zupełnie amunicji i ciężkiej broni, tam właśnie działały trzy dywizje niemieckie: jedna piechoty, druga zmotoryzowana „Brandenburg” i trzecia pancerna „Hermann Göring”.

86. Niemcy

Po sforsowaniu Odry 1 Armia nacierała na prawym skrzydle 1 Frontu Ukraińskiego. Dnia 23 kwietnia 3 dywizja piechoty wzięła Oranienburg - wielki, osławiony obóz koncentracyjny.

Wiadomość o zdobyciu obozu i miasta podał nam tego samego dnia wieczorem wydział operacyjny sztabu armii i nazajutrz z rana, razem z naczelnym, pojechaliśmy tam willysem.

Od północy, w stronie Hohenzollern-Kanal, trzeszczała gęsta strzelanina karabinowa, pohukiwały moździerze i ostro biły polówki. Od czasu do czasu gwizdał górą jakiś cięższy kaliber ze strony Niemców i rwał się wśród domów miasta.

Dobry kilometr gnaliśmy szosą pod wysokim murem z betonu, ościernionym wieńcem z drutu kolczastego na izolatorach. Przy łaciatym budynku strażniczym zostawiliśmy łazika z szoferem. Brama

była rozwalona, pogięta i szeroko otwarta. Nad nią w pustym oknie sterczał trójnog cekaemu. Żwirowany plac apelowy otaczały szerokim półkręgiem drewniane baraki zwrócone bokami do wejścia. Na szczytowych ścianach wielkie litery wymieniały od lewej szereg cnót więźniarskich: Gehorsam, Fleiß, Ehrlichkeit, Ordnung, Sauberkeit, Opfersinn⁵ i inne, kończąc oszukańczą obietnicą, że to wszystko macht frei. Po jednym słowie na każdym baraku.



Było pusto i cicho, jeśli nie brać pod uwagę łoskotu niedalekiej bitwy. Dopiero po chwili dostrzegliśmy z lewej pod murem grupkę żołnierzy. Czterech grało w karty, reszta zdjąwszy bluzy grzała się w słońcu. Gdy nas spostrzegli, podszedł kapral, sprawdził dokumenty i przyprowadził po chwili wysokiego, siwego mężczyznę w pasiaku z czerwonym trójkątem więźnia politycznego na piersi.

- On oprowadzi, obywatelu kapitanie. Zna tu każdy kąt.

Ruszyliśmy za przewodnikiem. Funkcję swą spełniał starannie, metodycznie. Patrzał spod nastroszonych brwi bladymi oczyma. Starannie dobierając wyrazy mówił po niemiecku krótkimi zdaniem i niewiele. „Duńczyk, Flamand, Holender?” - nie mogłem się połapać.

...Betonowe klatki z głęboką ścieżką wzdłuż ścian wydeptaną stopami więźniów. Całe dni biegiem, bez wytchnienia, z końca w koniec boksu przenosili piasek lub kamienie.

...Przed jednym z baraków nagi trup na ławce. Trup podobny do człowieka, ale bez mięśni, z wpadliną miast brzucha. Trup więźnia, który umarł z głodu na parę godzin przed nadejściem naszych.

...Krematorium. Piece, metalowe nosze na rolkach do wsuwania zwłok w płomień. Obok na stole patefon i płyty. Dalej w lekkim wykopie kołowrót ze stalową -liną przerzuconą na bloku. Pętlę zakładano na szyję, nogi przywiązywano do wbitego w ziemię pała. Kołowrotem obracał więzień następny w kolejce do powieszenia.

W baraku z tablicą: Szpital - stare, posiwiałe kobiety pokryte straszliwymi ranami. Polki z powstania warszawskiego. Próbowaly się uśmiechać. Jedna skinęła, oczyma wskazała na czapkę i potem gładziła palcami brązowy metal orzełka. Miały wszystkie zaledwie po dwadzieścia lat, ale przez pół roku lekarze obozowi robili na nich doświadczenia.

Idąc po kręgach hitlerowskiego piekła mówiliśmy niewiele, lecz wielokrotnie padało słowo „Niemcy”.

Gdy żegnaliśmy przewodnika na skraju placu apelowego, zapytany powiedział, że był więźniem Oranienburga przez osiem lat. Uśmiechnął się gorzko i dodał:

- Man muss verstehen... Ich bin auch..⁶. Niemcy - ostatnie słowo wymówił po polsku.

Chcieliśmy już opuścić teren obozu w Oranienburgu, gdy podszedł kapral z oddziału wartowniczego.

- Wejdźcie do tego budynku - powiedział. - Tu była esesmańska wacha i komenda. Tam można sobie coś wziąć na pamiątkę.

⁵ Posłuszeństwo, pilność, uczciwość, porządek, schludność, ofiarność.

⁶ Trzeba to zrozumieć.. Ja także jestem...

Nie bardzo byliśmy w nastroju do szukania pamiątek, nie bardzo orientowaliśmy się, o co chodzi, ale nie warto było odmawiać.

Za otwartymi drzwiami - korytarz, schody na piętro, przejście przez balkon z pustym stojakiem kaemu i dopiero dalej pokój z tabliczką na drzwiach: Lagerkommandantskanzlei. W pokoju na ścianie Führer - kolorowy i rozgniewany za rozbitym szkłem. W kącie, jak w brukowej powieści - pejcz ze stalowej linki z rozplecionym końcem. Pośrodku wysypane z szuflad strzaskanego biurka setki drobiazgów odbieranych więźniom: pierścionki, krzyżyki, numerki... Najwięcej numerków obozowych rytych w glinianych skorupach, kamykach, na skrawkach blachy.

Przysiadłem w kucki i nie mając odwagi dotykać, patrzyłem długą chwilę. Ileż cierpliwości, zręczności i odwagi trzeba było, by bez żadnych narzędzi wykonać tę biżuterię obozu.

Wreszcie uwagę moją zwróciła spora, prostokątna tabliczka z duralu. Wziąłem ją do ręki. W górnym lewym rogu czerwona liczba 1944 i dalej rzędem pierwsze litery francuskich nazw miesięcy. Reszta poliniowana starannie z czarnymi cyframi dat i białymi literami dni tygodnia. Kalendarz na rok, który minął... Czy człowiek, który go wykonał, przeminął wraz z rokiem? Czy ta tabliczka miała wskazywać mu dni dzielące od śmierci?

Odwróciłem dural. Po drugiej stronie dwie flagi - francuska i norweska. Dwa nazwiska André Coutant i Ole Nilsen. I skośny, wesoly napis świecący w słońcu żółtą farbą: Rendez-vous à Paris.

Zabrałem tę pamiątkę z obozu śmierci. Do dziś nie wiem, co się stało z Andrzejem i z Ole. Ale gdy czasem mi ciężko, gdy zaczynam wątpić, patrzę na ten skrawek metalu.

Pomaga jak talizman.

*



W owym czasie redakcja była rozlokowana w wypoczynkowej miejscowości na północ od Berlina, w Wandlitz-See, nasz naczelny zamieszkał w pięknej, wielopokojowej willi, a hall przeznaczaliśmy na lokal biurowy. Nogi tonęły w puszystych dywanach, eleganckie meble nęciły oczy, a na ścianach wyłożonych boazerią można było oglądać stare obrazy.

Właścicielka, młoda i elegancka kobieta, czyniła uprzejme honory domu, otwierała pokoje i wreszcie przyniosła pęk kluczy do schronu zbudowanego w ogrodzie.

- Tam są walizki i skrzynie z cenniejszymi rzeczami. Nie chciałabym, żeby panowie łamali zamki. Proszę wziąć sobie, co panowie uważają za wskazane, i zamknąć z powrotem.

Naczelny odprawił ją grzecznie, ale stanowczo. Odeszła zdumiona.

Wieczorem, gdy gawędziliśmy po kolacji w hallu rozparci w skórzanych fotelach, pojawiła się znowu. Miała na sobie wieczorową, mocno wydekoltowaną suknię koloru morskiej wody. Szła za nią smuga

dyskretnego zapachu perfum i pokojówka z tacą, na której drobno cięte kryształowe kieliszki dzwoniły lekko o butelkę koniaku.

Pani naląła sobie, skłoniła głowę w naszą stronę.

- Meine Herren!

Wypiła do dna i napełniwszy kolejno resztę szkła uczyniła zachęcający ruch ręką.

Nikt z nas nie ruszył się, a Władek mruknął:

- Wazeliniara...

Niemka usiadła spokojnie na kanapce, zapaliła i rozpoczęła rozmowę z szefem naszej techniki, kapitanem, o którym wiedziała, że zna dobrze język. Dała najpierw wyraz swemu zdziwieniu, że nie pijemy dobrego koniaku, choć ona sama pokazała, że nie jest zatruty. Potem „domyśliła się”, że my pijemy tylko wódka, i żałowała, że nie ma jej w swej piwniczce.

Słuchaliśmy w milczeniu, a kapitan zapytał, czy zawsze żywiła taką sympatię dla Polaków.

- O nein! - zaprzeczyła szczerze.

Jej mąż, właściciel przedsiębiorstwa prowadzącego handel winami, był członkiem Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei. I ona sama wierzyła Hitlerowi.

Ale teraz widać przecież jak na dłoni, że Führer się pomylił. Naród niemiecki przeżył swą młodość wtedy, gdy Frankowie podbijali kraj Galów, i potem, gdy Henryk Lew i Albrecht Niedźwiedź kolonizowali dzikich pogan nad Odrą. Teraz bardziej prężne i żywotne okazały się narody Słowian, tak piękne i pociągające w swym męskim prymitywizmie. Czyż może być lepszy dowód niż ten, że właśnie my, polnische Offiziere, dotarliśmy pod Berlin?

Niemka napełniła swój kieliszek po raz drugi, uniosła w wąskiej dłoni.

- Zawsze, od najdawniejszych okresów historii, losem kobiet było służenie zwycięzcom - tym, którzy w walce okazali się silniejsi. I dlatego, panowie, piję wasze zdrowie. Prosit!...

87. Zdobycz wojenna

Poczytajmy w starym pamiętniku, jak to dziadowie nasi wojowali: „Gdybym był miał wtenczas aby jednego czeladnika przy sobie, mógłbym być jako najpiękniejszych rumaków nawybierać, bo to tam samą starszyzną cięto... Wziąłem też jednego wałacha pięknego, z czarną pręgą... Żał mi, co nikogo żywcem nie mam, ale się końmi cieszę, osobliwie owym gniadym, co był bardzo piękny...”

Mowa w tych fragmentach o bitwie stoczonej pod Płonką w roku 1660. Na pewno i w innych było bardzo podobnie.

Od czasów imć pana Paska do drugiej wojny światowej minęło jednak prawie trzysta lat i nieliczni żołnierze 1 Armii rozglądali się po bitwie za karym lub bułanym rumakiem. Chyba tylko ci z brygady kawalerii. A jednak mimo wszystko pozostaliśmy wierni narodowym tradycjom - od momentu wkroczenia na dawne tereny niemieckie rozpoczęło się masowe polowanie na konie. Twórczo rozwijając zamiłowania pradziadów, poszukiwaliśmy koni mechanicznych, zaklętych w motocyklowych lub samochodowych silnikach.

Wkrótce wytworzyła się nawet pewna hierarchia - szeregowcy i kaprale formowali plutony cyklistów, młodszy oficerowie dokonywali przemarszów na motocyklach i volkswagenach, starsi wybierali sobie BMW, a generałom szukano mercedesów. Odstępstwa od tej „służbowo-samochodowej hierarchii” były minimalne i likwidowało je samo życie. Jeśli na przykład jakiś porucznik czy kapitan zdobywszy elegancki, wielocylindrowy wóz nie robił zeń natychmiast podarunku przełożonemu o odpowiedniej randze, to owa „odpowiednia ranga” przejmowała rzeczony samochód na mocy związanej dyspozycji;

- Wsiadajcie, dalej ja pojedę.

W tym miejscu boję się, że zostanę źle zrozumiany przez obywateli drugiej połowy XX wieku. To nie był rozbój na równej drodze. Nie przykładajcie miary dzisiejszego czasu do frontowych dni. Walor takiej zmiany tytułu własności nie był większy niż odebranie garści kolorowych kamyczków młodszemu chłopcu przez starszego chłopca. Samochody były czymś w rodzaju grzybów. Nie kupowało się ich przecież - trzeba było tylko znaleźć. Jeśli chodzi na przykład o redakcję „Zwycięzcy”, to począwszy od okresu Wału Pomorskiego nasz stan taboru samochodów osobowych stale się zmieniał, powiedziałbym nawet: falował. Szczyty tych fal przypadły na dni wygranych bitew i natarć, a minima znaczyły każdorazowe wizyty dobrych przyjaciół z Warszawy i Łodzi - przyjazdy operatorów filmowych „Czołówki” lub korespondentów „Polski Zbrojnej”.

Jednym słowem, samochody zmieniały właścicieli na drodze pokojowej.

Na ogół, ale nie zawsze. Wóz wyjątkowy, szczególnie duży i elegancki, wóz, że tak powiem, na szczeblu generalskim, mógł rozbudzić namiętności i stać się przyczyną...

Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Gwoli sprawiedliwości należy stwierdzić, że horcha znaleźli moździerzowcy. Był czarny jak namiętność Murzyna, przeraźliwie długi, dwunastocylindrowy, wybity skórą o barwie koralu. I, co bardzo ważne - miał klamki i okucia niczym ze szczyrego złota. Przeznaczono go z miejsca dla dowódcy jednostki, ale na wszelki wypadek, żeby w oczy nie kłuł, pozostawiono w ukryciu.

I nic by się szczególnego nie stało, gdyby jeden z moździerzowców, pełen dumy ze zdobyczy, nie wygadał się w obecności sierżanta zwiadu pewnej brygady artylerii. Sierżant zameldował swemu przełożonemu, a ten, pragnąc zrobić przyjemność dowodzącemu brygadą generałowi, zorganizował nocną wyprawę i wykradł horcha.

- Generał - człowiek dużej odwagi i małego wzrostu - rozpromienił się niczym słońce. Jak Napoleon, miał namiętność do wielkich rzeczy, a samochód mierzył od maski do stopsygnałów ponad pięć metrów. Nałano benzynę i oliwę, zapuszczono nowiutki silnik i dowódca tego samego dnia pomknął na koralowych obiciach do sztabu armii na odprawę.

Wszyscy byli zdziwieni, a pułkownik od moździerzy wściekły. Podczas przerwy cały sztab bacznie obejrzał wóz i generał, by nie prowokować losu, umknął do swej brygady przed zakończeniem odprawy.

Nocą zwiad moździerzowców przepęłznął mimo wartowników i zaczepił stalową linkę do zderzaków. W chwilę potem horch bez kierowcy wytoczył się z garażu i począł umykać. Wartownik rąbnął serię w powietrze na alarm, strzeliły w górę rakiety oświetlające. Z ziemianek wybiegli uzbrojeni zwiadowcy brygady i z dzikimi okrzykami gnali za samochodem.

W tym momencie zaniepokojeni nagłym hałasem Niemcy po drugiej stronie frontu otworzyli ogień z dział. Jeden z pierwszych pocisków rozniósł bezpośrednim trafieniem horcha. Zgasyły rakiety, wszystko ucichło.

Nazajutrz oba zainteresowane zwiady w przyjaźni i zgodzie oglądały resztki blach i koła rozrzucone po polu. Znalaziono nawet dwie klamki, piękne bardzo klamki, niczym ze szczerzego złota. Podzielili się sprawiedliwie - jedną wzięli moździerzowcy, a drugą artylerzyści. Czy podarowali je swoim dowódcom, czy zatrzymali w plutonach zwiadu na pamiątkę - o tym historia milczy.

88. Utalentowany naród

Toczyły się już walki o Berlin, gdy jedna z naszych dywizji, bodaj czwarta imienia Kilińskiego, natknęła się w swym pasie natarcia na pałac Goebbelsa i zajęła go. Dowiedzieliśmy się o tym ze sztabu i postanowiliśmy zwiedzić niecodzienny obiekt, ale nim wydział operacyjny dał współrzędne, minęły dwa dni.

Tym razem redakcyjnym willysem wyruszyła bardzo reprezentacyjna ekipa: sam naczelny, kpt. Dorian Płoński, jako drugi nasz gość, korespondent „Polski Zbrojnej” i poeta w jednej osobie, major dwojga imion Stanisław Ryszard Dobrowolski, oraz piszący te słowa, w randze porucznika i na stanowisku zastępcy redaktora.

Długo błądziliśmy po leśnych ścieżkach, hamując przed tablicami: „Miny”, nim kierowca wytropił wąski pas betonu i dotarł na polanę, nad jezioro zarośnięte trzciną. Zatrzymali nas radzieccy wartownicy, którym w tym czasie obiekt został przekazany.

Wylegitymowani przez siwego majora wojsk NKWD, ruszyliśmy do parterowego domu przypominającego z zewnątrz przyzwoite folwarczne zabudowania. Wewnątrz natomiast...

Podłogi wysłane puszystymi dywanami, w których noga tonie po kostkę. Na ścianach obrazy z muzeów całej Europy. Piękna biblioteka wyposażona w specjalne, kryte oświetlenie. Salka kinowa i teatralna dla domowych seansów i przedstawień. Albumy fotograficzne, a w nich Hitlerka z mamą i wujkami. Goebbsik idący do szkoły i udający Indianina na wakacjach. Na dalszych stronach ci sami panowie w blasku chwały i zbrodni.

Po obu stronach długiego korytarza niewielkie pokoiki mieszkalne licznej rodziny: sypialnia pana Goebbelsa, pani Goebbsowej, rozbieralnia, pokój z szafami na toalety... W tym pokoju

przeprowadziliśmy pewną operację wojskową: ja zagadywałem majora-przewodnika, przymykając go z lekka w szafie, a poeta, pisarz i korespondent centralnego organu gwizdnął z drugiej szafy pasek do podwiązek, żeby zawieźć jako trofeum do Warszawy. Dumni i szczęśliwi z udanej operacji kończyliśmy zwiedzanie pałacu.

Przed odjazdem, gdy tonąc w klubowych fotelach z koralowej skóry ćmiliśmy strzemienne skręty machorki, radziecki major rzekł:

- Przekazali mi wasi żołnierze cały pałac w jak najlepszym porządku: czyściutko, nic nie pobrudzone, nic nie zniszczone, tylko jeden mam wielki kłopot. Było to auto Goebbelsa. Nieseryjna, dwuosobowa maszyna, z silnikiem o 24 cylindrach. Śliczny, ogromny wóz - chyba ze sześć metrów długości. Przyjąłem go zgodnie z protokołem zdawczo-odbiorczym i ledwo wasi odeszli, wóz zniknął. Zdematerializował się. Specjalne patrole przeszukały cały odcinek frontu - bez rezultatu. Polaki eto tałantliwyj narod...

- Tak, tak, bardzo utalentowany - przytwierdził kapitan Płoński i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Kiedy wyjeżdżaliśmy na szosę, Stanisław Ryszard wyjął z kieszeni pasek do podwiązek pani Goebbelsowej, obejrzał i ze smutnym wyrazem twarzy schował z powrotem. Nie potrafiłem się domyślić, czy żał mu majora, któremu znowu coś zostało rąbnięte przez przedstawiciela tałantliwego narodu, czy też czuje się przygnębiony porównaniem fragmentu damskiej bielizny z czynem żołnierzy dywizji noszącej imię bohaterskiego szewca z miasta stołecznego Warszawy.

89. Machniom

Zwycięska wojna prowadzona na terytorium przeciwnika stwarza warunki sprzyjające rozwojowi kolekcjonerskich zamiłowań. Żołnierz, którego jedynym bogactwem, jedyną własnością prywatną jest igła z nitką, pasta do butów, fotografia matki lub dziewczyny, a czasem nawet brzytwa, wkracza raz po raz do wiosek i miast opuszczonych przez mieszkańców. Domy, szafy, szuflady, piwnice, sklepy, magazyny - wszystko stoi otworem, porzucone i bezpańskie.

O rabunku nie ma mowy, bo wszystko to poniewiera się po ulicy, jest narażone na ogień i deszcz, a proste rozumowanie dowodzi, że nie weźmiesz ty, to weźmie inny. Mimo to wewnętrzne opory są silniejsze, niż można byłoby się spodziewać. Początkowo nie bierze się nic. Potem na pierwszy ogień nowej namiętności idą prześcieradła i ręczniki, które - odpowiednio przycięte - zastępują stare onuce. I koszule bierze się czyste, pozostawiając na miejscu brudne. Czasem nowy grzebyk zamiast połamanego własnego, scyzoryk, a nawet korale dla dalekiej dziewczyny, jako pamiątkę z wojny...

Nie wyklucza to oczywiście pojedynczych egzemplarzy większego kalibru. Ja osobiście noszę do dziś niewielką teczuszkę skórzaną, bardzo ładną i zgrabną, z metalowym monogramem C. N., który ciekawym znaczenia liter tłumaczę jako „Cnota i Nauka”... Jeden z sympatycznych intelektualistów naszej armii ma w swym domu elegancki obrus pochodzący z Grabow-See, na którym dopiero

niedawno jeden z wnikliwszych i bystrookich gości odczytał podczas przyjęcia napis: Lungenheilanstalt⁷. Biały haft na białym, litery rozstrzelone, nikt więc przedtem nie zwrócił uwagi.

Są to jednak, jako się rzekło, egzemplarze unikalne, wyjątkowe i jako takie potwierdzają sformułowaną wyżej regułę.

Drugi, znacznie późniejszy etap - to planowe kolekcjonerstwo. Jedni zbierają ordery armii przeciwnika, inni zegarki, a wszyscy polują na zgrabne, dobre pistolety. Ale to nie jest szaber. Autorytatywnie, szczerze i z najgłębszym przekonaniem stwierdzam, że żołnierze 1 Armii do pięć nie dorosli owym przedsiębiorczym kadrom inicjatywy prywatnej, które w latach powojennych rozwinęły ożywioną działalność na Ziemiach Zachodnich. Powrócili do domów równie niebogaci, jak w chwili, gdy z nich wyruszali na front.

Żołnierskie kolekcjonerstwo różni się od szabru ilościowo i jakościowo. Ilościowo możliwości żołnierza ograniczone są do minimum objętością jego własnego plecaka, a nawet często kieszeni, bo plecak bywa kontrolowany przez przełożonych. Jakościowa różnica polega na tym, że szabrownik za wszelką cenę chce się wzbogacić łatwym łupem, a żołnierz nie przywiązuje doń większej wagi. Z owej pogardy dla materialnych wartości trofejów (tak to wówczas nazywano) narodziła się oryginalna i pełna hazardu gra, niepowtarzalna w swej egzotyce, która dziś może stanowić tylko ciekawy obiekt dla psychologów. Ta gra - to „machniom”.



Spotykało się dwu znajomych lub nieznanym żołnierzom. Jeden wkładał rękę do kieszeni i zaciskał ją w pięść, pytając:

- Machniom?

Drugi robił to samo lub chwycił się za zegarek na przegubie lewej ręki i z desperackim błyskiem w oku odpowiadał:

- Dawaj, machniom.

Po tej krótkiej wymianie haseł następowała wymiana zawartości dłoni. Można było wygrać szczyryk za guzik, przegrać złoty zegarek za szpulkę nici, a za garść bezwartościowych naboju nieużywanego kalibru zdobyć samochód (grający trzymał w dłoni nie mercedesa, lecz kluczyk od zapłonu).

Dziś wydaje się to tak dziwne, że prawie niemożliwe.

Pamiętać jednak należy, że - po pierwsze, czasem szczyryk był bardziej przydatny niż samochód, który trzeba było i tak porzucić w rowie na pierwszy sygnał do bitwy, a po drugie, oba zostały nabyte za darmo, wzięte z ulicy. Urokiem tej gry był hazard, ryzyko, serdeczny śmiech widzów i ta zawrotna huśtawka, która w sekundzie przekształcała posiadacza nowiutkiego sportowego BMW we właściciela dziurawej damskiej pończochy.

„Machniom” miało sporo dodatkowych reguł i odmian. Można było grać w określonych kategoriach przedmiotów (np. „machniom na metal”, „na żarcie”, „na butelki” - naturalnie pełne itp.). Szczegółów

⁷ Sanatorium dla gruźlików.

nie podaję, bo i tak nikt grać w to nie będzie. Chciałbym jednak opowiedzieć o pewnym konkretnym przypadku gry nieuczciwej, w której jeden z partnerów podejrzwał wartość przedmiotu należącego do drugiego i został przez los ukarany.

Przy zmianie dyslokacji sztab armii wyznaczał swym jednostkom miejsca postoju, podając nazwę wsi lub dzielnicę miasteczka. Po przenosinach każdy stawał się gospodarzem swego terenu i jego bogactw mineralnych, tzn. konserw, cukru, alkoholu pozostawionego przez wroga w miejscowych składach.

Gdy front minął Berlin od północy i przesunął się na zachód pod Kremmen i Nauen, redakcja „Zwycięzmy” dostała rozkaz przemarszu do wioski B. Nim dotarliśmy na miejsce, zjechał nam drogę dowódca innego oddziału podległego sztabowi armii (nie wymienię, jakiego, by mu oszczędzić wstydu) i podszedłszy do redaktora zaproponował:

- Machniom na miejsca postoju?

Naczelnny chciał się wykręcić od niepoważnej transakcji, ale tamten póty nastawał, póki nasz szef nie machnął ręką.

- Zgoda, ale o co chodzi?

Wtenczas tamten zawrócił swoje auto i krzyknął:

- Bo w waszej wsi jest rafineria spirytusu, a w mojej wielkie składy zielonego grochu!

Zarechotał radośnie i odjechał.

Przybyliśmy na miejsce nieco strapieni. Składy były rzeczywiście ogromne: drewniane baraki długości około pół kilometra, wypełnione po dach workami. Ale „groch” okazał się najprawdziwszą kawą, tyle że nie paloną. Gdybyśmy byli w stanie zabrać ją całą ze sobą, wszyscy literaci polscy pisaliby po dziś dzień o sławie 1 Armii, zapijając każdy wiersz „szatanami”.

Niestety, miejsca na ciężarówkach starczyło tylko na kilka worków. Piliśmy kawę w dowolnych ilościach do końca wojny i jeszcze przez pierwszy miesiąc pokoju, a potem trzeba było przejść na cienką i lipną herbatkę. Złośliwi twierdzą, że część ziaren z tych worków pozostała w Berlinie według kursu: dwie garście za aparat fotograficzny. Nie wiem, czy to prawda, ale możliwości nie wykluczam.

Najważniejsze, że choć dawno rozwiął się zapach owej zdobyczej kawy, pozostało wspomnienie o wielkiej grze.

90. Upór

Jeśli nie zawsze szarzy ludzie mają wpływ na wielkie wydarzenia, to odwrotna relacja na pewno istnieje: wielkie wydarzenia mają wpływ na losy szarych ludzi.

22 kwietnia 12 armia generała Wencka, działająca dotychczas na froncie zachodnim przeciwko wojskom Anglosasów, otrzymała rozkaz zmiany kierunku działania o 180 stopni, uderzyła z zachodu na wojska blokujące Berlin. Hitlerowcy podnieśli w powietrze resztki lotnictwa. Pod chmurami zrobiło się gęściej i w ciągu dwóch dni przeciwnicy 1 Armii mieli okazję zestrzelić piętnaście maszyn. Pod osłoną kwietniowego mroku, godzinę po północy, parę samolotów przedarło się nad Birkenwerder, rozsypało bomby. Piszę „rozsypało”, bo to były drobne, parokilogramowe bomby przeznaczone raczej do rażenia piechoty w otwartym polu. Jedna z nich zaczęła o narożnik piętrowej willi, wybuchła w powietrzu. Stojący przy oknie dwudziestotrzyletni podporucznik artylerii Tadeusz Tuczapski poczuł uderzenie w prawą pierś. Zszedł na parter, ściągnął zakrwawiony drelich i dopiero wówczas stracił przytomność. Lekarz stwierdził zdruzgotanie żebra, uszkodzenie dolnego płata płuca, kazał go natychmiast wieźć do szpitala.

- Nawojował się - mruknął.

- Nie zdążył - odpowiedział jeden z jego kolegów, również artylerzysta.

- Jak to? - zdziwił się lekarz. - Przecież pod sam Berlin doszedł.

- Ano, doszedł - zgodził się tamten. - Tylko szczęścia to on do wojska nie ma.

W trzydziestym dziewiątym roku Tadek skończył we Lwowie pierwszą klasę licealną, za radzieckich czasów zrobił maturę i rok medycyny. Po przyjsciu Niemców dość gruntownie zmienił zajęcie: rozbierał spalony dom przy ulicy Sykstyńskiej, „a potem praktykował u murarza. Kiedy majstrowi nie starczyło roboty, został pomocnikiem kelnera u „Georga”. Zajęcie niewysoko notowane pod względem prestiżu społecznego, ale czasy były niełatwe i dodać warto, że bezpośrednim przełożonym Tadka, starszym kelnerem, był adiunkt historii wychowania Uniwersytetu Lwowskiego, Jan Kuchta.

Ważne jedno, że chłopak dotrwał z życiem do wyzwolenia Lwowa przez Armię Radziecką i natychmiast zgłosił się do polskiego wojska. Przybyli z kolegami do Lublina i skierowano ich do centrum formowania w Majdanku. Pierwszym bojem, jaki musieli stoczyć, była Walka z potężną armią pcheł. Zdawało się, że cały piasek podskakuje ku górze. Skombinowali gdzieś preparat chlorowy i pół nocy z zapałem szorowali podłogi w barakach, przygotowując sobie spanie. Niewiele to pomogło i z rana obudzili się pokąsani od stóp do głów.

Przez dwa, trzy dni w swoich cywilnych podniszczonych ubraniach ćwiczyli z patykami na dziedzińcu, aż wreszcie „kupiec” zabral ich do Oficerskiej Szkoły Artylerii do Chełma.

Tadeusz przyjął ten awans bez wielkiego zadowolenia. Wolałby od razu pomaszerować nad Wisłę, na front. Nic też dziwnego, że zasłyszawszy gdzieś, iż na ostre strzelanie wyjadą pod Warszawę, zaczął tę wiadomość usilnie propagować. Nie podobało się to jednak przełożonym i podchorążemu Tuczapskiemu zdjęto pas przed frontem kompanii za rozpowszechnianie „szkodliwych plotek”.

Na wniosek dowódcy dyonu, krzykliwego „konusa”, który paradował w garnizonowej rogatywce i prawie meksykańskich ostrogach, miano Tuczapskiego skierować do kompanii karnej. Ledwo go uratował z opresji zastępca dowódcy szkoły, z zawodu nauczyciel, później, po wojnie, wojskowy dentysta i w ogóle rozsądny człowiek.

W dalszym więc ciągu Tadeusz szkolił się na artylerzystę, głównie zresztą taszcząc na działoczynach stukilogramową lufę pułkowego moździerza 120 mm i reprezentując szkołę w ogólnopolskich mistrzostwach siatkówki i koszykówki w Lublinie. Miał predyspozycje do obu funkcji, gdyż był wysportowany, wysoki i tylko coraz bardziej szcupleł na ówczesnym wikcie wojskowym. Zaostrzyły mu się rysy twarzy, coraz wydatniej sterczał prosty nos i grube ciemne brwi, coraz szersza była czarna strzecha włosów nad wąską twarzą.

Następny moment krytyczny zdarzył się podczas egzaminów. Kierując moździerz na cel, podchorąży Tuczapski po mistrzowsku dokonał częstej u artylerzystów pomyłki, to znaczy o 180 stopni. Połapał się w ostatniej chwili, zmienił kierunek, jak później armia generała Wencka, i jakoś to uszło - dostał oficerską gwiazdkę.

Teraz był pewien, że od frontu i walki dzieli go kilka dni. Rzeczywistość jednak była inna: skierowano ich pięciu do dyspozycji sztabu artylerii 1 Armii, pozostawiając dobór środków lokomocji własnej wynalazczości zainteresowanych. Nie nadeszły jeszcze czasy kursujących pociągów lub autobusów i kilometry trzeba było pokonywać bądź na okazyjnych samochodach, bądź też pieszo. Dodatkową trudność sprawiały żołądki. Nie chciały się mianowicie zadowolić przeżuwaniem bloczków z kwitkami, które wydano im w szkole, a wymienić takowych na posiłek nie było gdzie.

Przeszkadzała w marszu także dziura, którą podstępny palec Tuczapskiego wydlubał w bucie na prawej nodze. Załatać jej nie udało się od razu, trzeba było bowiem znaleźć szewca patriotę, który by tego zabiegu dokonał całkowicie bezpłatnie, jako wkładu w dzieło zwycięstwa nad hitleryzmem, ponieważ młodzi oficerowie pieniędzmi nie dysponowali.

Nie dysponowali zresztą również plecakami, bo i po co, skoro poza tym, co mieli na sobie, Tadek posiadał jedną chustkę do nosa. Żeby jednak nie pozostawiać czytelnika pod wpływem przygnębiającego wrażenia oficerskiej biedy, trzeba dodać, że wszyscy przed odejściem ze szkoły ukradli po parze eleganckich ostróg, którymi podzwaniiali w marszu.

Wędrowali na zachód tak szybko, jak tylko umieli. W piekarni w Pile zarekwirowali bochenek chleba, a dalej, za starą granicą polską, nie było już tak źle, bo z pól bitewnych podnieśli porzucone karabiny, zaopatrzyli się w obszyte cielęcą skórą niemieckie tornistry, a ogniem bezpośrednim kładli od czasu do czasu zdziczałe kury i kaczki, które wspaniale przyrządzał chorąży Zbigniew Harasim.

Sztab 1 Armii dopadli w Gryficach, ale tam im powiedziano, żeby nie zawracali głowy, bo wojsko rusza nad Odrę, i żeby się posuwali śladem zwycięskich dywizji. Posuwali się więc, a że w związku z forsowaniem przeszkody wodnej nikt do nich głowy nie miał, przemaszerowali w ślad za sztabem po odrzańskim moście, a potem dalej przez Bad Freienwalde, przez podberlińskie miejscowości wypoczynkowe aż do Birkenwerder.

Tu wreszcie zatrudniono ich w sztabie artylerii przy sporządzaniu zestawień i meldunków. Prosilili, żeby może do linii, na front, ale wojna już się skończyła i sprawa zestawień była bardziej istotna. Pogodzili się więc ze swoim losem, a nawet z radości, że są wreszcie w szeregu, postanowili urządzić sute przyjęcie.

Do dyspozycji mieli całą pustą willę, kilka Niemek piekło gęsi, a z alkoholem nie było kłopotu. Niestety, właśnie wówczas, kiedy spirytus mieszały z wodą, kiedy z parteru dochodził królewski zapach rumienionych ptaków, diabli nadali samoloty i Tuczapskiego raniło. Koledzy nie byli pewni, czy

się z tego wyliże, bo odłamek był sporego kalibru, ale twierdzili z przekonaniem, że jeśli dojdzie do zdrowia, będzie miał dosyć wojska na całe życie.

Podporucznik trafił do radzieckiego szpitala frontowego, który mieszkańcy Tbilisi podarowali swej armii. Spośród innych wyróżniał się ten szpital ognistymi oczyma Gruzinek, które pracowały jako siostry. Pod ich spojrzeniami Tuczapski wrócił szybko do zdrowia i latem czterdziestego piątego roku w przycerowanym na piersi drelichu, poznaczonym śladami krwi, zameldował swój powrót do wojska. Nie zrezygnował ze służby, był w dalszym ciągu taki sam uparty jak w podchorążówce, w marszu od Lublina pod Berlin i w samym Birkenwerder. Może dlatego właśnie został generałem.

91. Berlin



Do 30 kwietnia 1945 roku żołnierz polski nigdy z bronią w rękę nie był w Berlinie. A jeśli nawet udałoby się wyszperać w starych dokumentach, że jakiś biało-amarantowy oddział armii Napoleona szedł w marszu przez stolicę królestwa pruskiego, to w każdym razie po raz pierwszy Polacy zdobywali Berlin. I mówiąc szczerze, dziwny wydaje się fakt, że nigdzie do tej pory nie wmurowano tablicy z kilkoma tysiącami nazwisk tych z 1, 2 i 3 pułku piechoty, z 1 pułku artylerii lekkiej, z 2 brygady haubicznej, z 1 brygady moździerzy i z 6 batalionu pontonowo-mostowego, którzy zanieśli rewanż za Wrzesień nad Sprewą, do Tiergartenu, pod Brandenburger Tor i pierwsi zawiesili na

Siegessäule biało-czerwoną flagę. Dziwne wydaje mi się, że do tej pory nie wydano książki zawierającej te nazwiska. Może jeszcze nie nadszedł czas, może zbyt wielu żyje, może zbyt mało historycznej patyny pokryło dzieje tych walk, by warto było uczonym zadać sobie trud odczyszczenia ich do pełnego blasku.

Nie mam zamiaru odbierać chleba historykom, ale w charakterze drobnego przyczynku oraz ku pamięci Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich chciałbym autorytatywnie i ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że podczas walk o Berlin do 2 maja 1945 roku w stolicy hitlerowskiej Rzeszy byli następujący polscy korespondenci wojenni

Edmund Osmańczyk - z „Dziennika Polskiego”;

por. Marian Brandys - z „Polski Zbrojnej”;

Stanisław Sokołowski - z PAP-u;

por. Edward Obertyński, „Piękny Edzio”, wyzwolony z oflagu II D - ze „Zwyciężymy”, gazety 1 Armii WP;

ppor. Józef Balcerak, „Bał”, były redaktor gazety 4 dp i pierwszych numerów „Biuletynu Warszawskiego”;

ppor. Stanisław Biskupski, absolwent Wyższej Szkoły Dziennikarskiej i jedyny w owym czasie posiadacz garnizonowej rogatywki;

ppor. Władysław Kukiełko, były partyzant z Wołynia;

ppor. Zbigniew Rawicz, „Bob”, były żołnierz batalionu „Parasol” z powstania warszawskiego;

chor. Jerzy Tymieniecki, były żołnierz powstania warszawskiego;

oraz piszący te słowa, zwany „Żyrafą”.

Po przeliczeniu - dziesięć osób jak uciął i ani jednej więcej. Inne „bezpośrednie korespondencje” z berlińskiego frontu powstały albo na podstawie relacji osób trzecich, albo po kapitulacji miasta.

Pierwsi na ulice Berlina dotarli Osmańczyk i Brandys. Wyjechali z Warszawy zaopatrzeni w list z podpisem generała Spychałskiego. Z Poznania pod Słubice przelecieli radzieckim samolotem wojskowym, dalej tłukli się ciężarówką na skrzyniach z amunicją, przeżywając parę razy ostrzeliwanie z powietrza, i wreszcie, w szeregach gwardyjskiego pułku piechoty, wmaszerowali od strony Poczdamu do miasta.

Pierwsze swe korespondencje pisali w Reichskanzlei przy biurku Hitlera i na jego służbowym papierze. Korespondencje te, przesłane pocztą polową, były nawet potem eksponatami specjalnej wystawy w Krakowie na Wielopolu, ale później zginęły bez śladu.

Natomiast ani Osmańczyk, ani Marian Brandys, ani Sokołowski, jak wiadomo, nie zaginęli, znajdując po zdobyciu Kancelarii Rzeszy gościnę najpierw u majora Zwierzańskiego w 1 dywizji piechoty, a potem w „Zwycięzmy”.

Naturalnie na długo przed ich przybyciem do naszej redakcji ze „Zwycięzmy” ruszyły wyprawy do Berlina.

Było to 30 kwietnia. Na wieść, że w rejonie Tiergartenu weszły do boju pułki kościuszkowskiej dywizji, wyjechaliśmy z Wandlitz-See przez Basford i Schönwalde. Już widok z daleka godny był znacznie sprawniejszych piór niż te, które mieliśmy w kieszeniach. Nad stolicą Niemiec stał w powietrzu, szeroki na ćwierć horyzontu i na kilometr wysoki, mur dymu i wapienno-ceglanego kurzu, podciekający od dołu rudym blaskiem pożaru. Nad nim, uszykowane w kilka pięter, chodziły pracowite „peszki” i „trupolewy”, zwałając połyskujący w słońcu ładunek bomb. Im bliżej miasta, tym więcej mijaliśmy ciężkich baterii. Żeby nie głuchnąć, trzeba było trzymać cały czas usta otwarte.

Granicę Berlina przekroczyliśmy od strony Pankow. Najpierw trochę domków i ponurych bloków z czerwonej cegły, potem pustynny obszar zniwelowany i przemielony na grubą kaszę jakimś dywanowym nalotem aliantów i znowu domy postrzępione przez artylerię.

Jechać było coraz trudniej ze względu na leje wybite w jezdni, zerwane druty przewodów elektrycznych, szkielety tramwajów, autobusów i samochodów. Tu i ówdzie, rozsypani niedbale przez śmierć, leżeli grupkami zgniłozieloni. Na placyku ostoniętym kamienicami białął radziecki szpital. Przebiegali spoceni telefoniści, rozwieszając na sztyldach czarny przewód swej linii. Kolumienkami szły

w stronę centrum grupy szturmowe piechoty w hełmach, dźwigając skrzynki z amunicją i miotacze ognia. Na szarym murze białe hasła: Berlin bleibt ewig deutsch⁸ i Lieber Tod als Sklaverei⁹. Pod murem kucharz wydawał z kotła obiad czarnym od smaru czołgistom w rogatykh haubach i jakiś sierżant próbował grać „Katuszę” na niemieckiej harmonii.

Minęliśmy niewielki placyk i przed następnym zakrętem ulicy zatrzymał nas posterunek:

- Dalsze nielzia, riebiata. Iz pulemiotow bjut.

Znaleźliśmy najbliższy sztab batalionu i tam się okazało, że do linii frontu wszystkiego dwa kwartały, niecałe sto pięćdziesiąt metrów. O przedostaniu się na teren walk kościuszkowców mowy nie było... Popelniliśmy zasadniczy błąd w wyborze drogi, nie przypuszczając, że tym razem 1 dywizja naciera z zachodu na wschód. Do tej pory zawsze mieliśmy za sobą wschodzące, a przed sobą wieczorne słońce.

Korzystając z uprzejmości dowódcy baonu, płowego i ogromnego kapitana Sybiraka, zebraliśmy trochę danych o bojach czerwonoarmistów i nie pozostało nic innego jak wracać.

Szofer majstrował jednak przy kole rozdartym przed chwilą odłamkiem.

- Będę gotów za kwadrans - oświadczył. - A tymczasem radzę, obywatelu poruczniku, zjeść jakąś wędlinkę zamiast obiadu - wskazał ręką na sklep z wyrwanymi drzwiami, zmiętym szyldem, lecz - o dziwo - całym oknem wystawowym.

Weszliśmy do środka. Na hakach wzdłuż ścian wisały kiełbasy, w kącie spory kawał boczku. Zbyszek Rawicz znalazł w lodówce pieczony schab. Siedliśmy do jedzenia na ladzie, krojąc nożami wąskie paski chłodnego mięsa, gdy nagle pod kaflami podłogi zapłakało dziecko.

- Ki diabeł? - zerwaliśmy się nasłuchując.

Po chwili ciszy znowu płacz dziecka, szept kobiety i zdławiony głos męski.

- Maul halten!

Rawicz skoczył, wyrwał pistolet i jednym szarpnięciem otworzywszy klapę do piwnicy, krzyknął:

- Händle hoch! Raus! Aber schnell!

Chwilę nikt się nie ruszał, potem skrzyknął stopień drabiny i niezgrabnie unosząc ręce wyszły kolejno dwie stare kobiety, jedna młoda z niemowlęciem, dwu chłopców po dwanaście-czternaście lat, staruszek siwy i dawno nie golony, a na końcu grubas w średnim wieku. Wszyscy mieli oczy szeroko otwarte ze strachu i trzęśli się jak na mrozie.

Rawicz sprawdził, czy piwnica jest pusta, po czym pochowaliśmy pistolety w kabury i kazaliśmy Niemcom opuścić ręce.

⁸ Berlin pozostanie zawsze niemiecki.

⁹ Milsza śmierć niż niewola.

- Sie können zurück auf ihren Platz gehen. Verstanden?¹⁰

Gruby kiwnął głową i zaraz wlaź z powrotem pod podłogę, ale reszta stała nieruchomo patrząc, jak zabieramy się do jedzenia. Kobieta z dzieckiem miała łzy w oczach. Stary głośno przetykał ślinę.

- Hunger? - spytałem.

- Ja, ja, ja - zakwakali jedno przez drugie.

- No to czego nie żrecie tego wurstu? - rozzłościł się Zbyszek.

Zerwał parę kiełbas z haków i rzucił na ladę. Jedna z kobiet wzięła nóż, podzieliła je na równe części i rozdała. Zaczęli łapczywie gryźć nie spuszczając z nas oczu. Stary nawet nie wypluwał papierowego jelita.

Okazało się, że głodują od trzech dni, a z zapasów sklepu bali się skorzystać: to było mięso dla rodzin SS. Jeśli hitlerowcy wrócą, zabiją za kradzież. Jeśli nie wrócą, to cały sklep z zawartością należy do zwycięskich Bolszewistów i mieszkańcy piwnicy mogliby zostać postawieni pod mur za zjedzenie kiełbas. Przy każdej władzy Ordnung muss sein.

Ustaliliśmy im na miejscu nowy ordnung, pozwalając zjadać esesmańskie wędliny, i zwieliliśmy szybko, bo kobiety płakały ze szczęścia, a stary brał się do całowania rąk.

Kiedy wracaliśmy obok muru z hasłami, Rawicz mruknął:

- Lieber Tod als Sklaverei. To nawet mogłoby być nasze, dla nich przeznaczone hasło.

Zgodziłem się z nim w duchu i pomyślałem, że to drugie - Berlin bleibt ewig deutsch - też jest od początku do końca słuszne - nikt z nas ani z Rosjan nie miał przecież zamiaru mieszkać tu stale.

92. Obie strony medalu

Sztab 2 dywizji wyjechał na nowe m.p. zaraz po zapadnięciu zmroku, a wydział polityczny jak zwykle pozostał na miejscu. Trzeba było dokonać w nocy nasłuchu radiowego, zredagować i powielić biuletyn, przygotować ulotki. Skończyli tuż przed świtem i przylegli na godzinkę. Dopiero po siódmej, gdy słońce już dobrze poczęło przygrzewać, załadowali graty na półciężarowego dodge'a i ruszyli w pościg za sztabem.

W przewidywaniu niedługiej, ale długotrwałej i męczącej jazdy po drogach zapchanych wojskiem i sprzętem gotowali się do drzemki na rozmaitych bambetlach, którymi pudło wypełnione było po brzegi.

¹⁰ Możecie wrócić z powrotem na swoje miejsce. Rozumiecie?

Samochód, wznosząc tumany kurzu, wygramolił się z bocznego traktu na szosę i tu nagle ze zdumieniem spostrzegli niesamowity wprost porządek - ciężarówki, armaty, kolumny piechoty, wozy, jednym słowem, wszystko ciągnęło prawą stronę w kierunku frontu. Lewa była wolna.

Szofer gwizdnął z podziwu i spojrział pytająco na szefa wydziału. Kapitan wzruszył ramionami i skinął głową.

Zjechali na lewą i dodali gazu. Drzewa poczęły migać, słupy kilometrowe podpływały jeden za drugim, wiatr nasycony słońcem targał włosy i od razu się spać odechciało.

Podporucznik Bednarz, fałszując haniebnie, zaintonował: „Wyganiała Kasia wołki”, zawtórowały mu Hela Siergiejówna i Janka Saciłowska, pracowniczki wydziału w randze plutonowych. Wesoło było tak śpiewać i pruć z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, wiedząc, że te dymy za nimi to Berlin, a przed nimi, już niedaleko, łaba i koniec wojny. Tak wesoło, że aż nawet trochę niepokoju wkradło się do myśli: „Cóż może znaczyć ten niezwykły ład i porządek?”

Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewali. Na przedzie ktoś wielki, wysoki, potyskujący srebrnym wężykiem na czapce, wybiegł na asfalt, i głosem, który usłyszeli poprzez warkot silnika, zawołał:

- Stać!

Zahamowali w pisku opon, poznając jednocześnie generała Stanisława Popławskiego.

Kapitan wyskoczył z kabiny i stuknąwszy z mocą obcasami meldował:

- Obywatelu generale, szef wydziału politycznego 2 Warszawskiej Dywizji Piechoty imienia Henryka Dąbrowskiego...

Zapatrzony w srogą, czerwoną z gniewu twarz dowódcy armii, dopiero teraz dostrzegł za rowem przydrożnym Rolę-Żymierskiego i Mariana Spychalskiego, którzy właśnie odchodzili nieco dalej, by móc nie słyszeć tego, co miał usłyszeć kapitan.

Sprawa była jasna - inspekcja ministra i wiceministra, wzorowy porządek, a tu nagle jadący lewą stroną dodge, wypełniony po czubek papierem, bańkami farb do powielacza, z dwiema dziewczynami i podporucznikiem, którzy w tej chwili z niemądrymi minami „siedzieli w postawie na baczność”.

W parę chwil później włączyli do ogólnego nurtu i prysnęli w bok, gdy tylko napotkali pierwszą sposobną po temu drogę.

Wydarzenie stało się sensacją dnia. Przekazywano je z ust do ust, relacjonując szczególnie obszernie to, co ja pominąłem - treść wypowiedzi dowódcy armii. Zresztą i bohaterowie dramatu bynajmniej nie usiłowali nic taić. Jeszcze dziś, po wielu latach, wspominają chętnie.

Gdybyście jednak spytali jednego z dwu wymienionych tu oficerów, jak to było 16 kwietnia podczas forsowania Odry, musielibyście każde słowo wrywać przemocą.

- Jak to było? Zwyczajnie... Owszem, strzelali z tamtego brzegu... Artyleria też... Łódka? Saperzy zrobili dziesięcioosobową. Ośmiu żołnierzy z 6 pułku i my dwaj... No tak, po prostu szef wydziału

politycznego wstał na środku rzeki i zaczął im czytać ulotkę dowódcy Frontu... Nie, tylko troszkę ochlapało wodą, ale szybko wyschliśmy, bo dzień był słoneczny.

Trzeba dopiero wyobraźni, by poprzez te słowa zobaczyć szefa wydziału politycznego dywizji, jak stojąc niczym prorok na łodzi, pośrodku Odry porośniętej fontannami artyleryjskich wybuchów, wśród wycia min i furkotu odłamków, czyta ośmiu piechurów:

- Do generałów, oficerów, podoficerów i żołnierzy Wojska Polskiego! Towarzysze broni!... Chwałą odniesionych zwycięstw, swoim potem i krwią zdobyliście prawo gromienia berlińskiego ugrupowania nieprzyjaciela... Od was zależy, aby gwałtownym uderzeniem...

O jednych wspomnieniach - tych kpiących, zabawnych, przekornych - starzy frontowcy opowiadają obszernie i chętnie, o innych - skąpo i rzadko. Wydaje mi się nawet, że wiem, dlaczego. Ale żeby być blisko prawdy, potrzebne są jedno i drugie. Bo człowiek jak medal - ważne są obie strony.

93. Gospodarze

Dawno minęły czasy, w których wódz naczelny na karym koniu galopował do bitwy na czele swych pułków. Dziś trudno ustalić, kiedy zaniechano tego zwyczaju, gdyż kronikarze od zamierzcztych wieków zdradzali tendencję do powiększania czynów bohaterskich tych ludzi, którzy zajmowali królewskie etaty. W każdym razie dzięki naszym filmowcom wiemy, że już pod Grunwaldem Jagiełło zachowywał się rozsądnie, to znaczy organizował zwycięstwo i dowodził bitwą, nie rąbiąc osobiście nikogo.

Podczas ostatniej wojny podobnie pracowało nasze Naczelne Dowództwo i dzięki temu w ostatnim, decydującym etapie walk, w kwietniu i maju 1945 roku, Ludowe Wojsko Polskie liczyło prawie pół miliona ludzi. W operacji berlińskiej -brało udział dziesięć naszych dywizji piechoty, korpus i dwie brygady pancerne. Jeżeli dorzucić do tego dwie dywizje piechoty, jedną pancerną dywizję i jedną brygadę, walczące na zachodnim froncie, okaże się, że w porównaniu z wrześniem 1939 roku było hitlerowców pod koniec wojny tyle samo polskich dział, sześć razy więcej czołgów, prawie dwa razy więcej samolotów, co na początku. Okaże się, że nasz wysiłek zbrojny równy był orężnym siłom Wielkiej Brytanii, większy o 40% od Francji, trzyipółkrotnie większy od Kanady. Nie za darmo dostaliśmy wolność i ważkie rzuciliśmy do boju argumenty, by odzyskać piastowskie granice na Odrze i Nysie.

Wbrew temu, co rzekło się na początku o rozsądnym postępowaniu króla Jagiełły, a może właśnie w zgodzie z obrazem grunwaldzkiej batalii, „gospodarze”¹¹ nie wytrzymali: dawszy nogę z Warszawy, zjawili się osobiście na froncie w przededniu historycznych wydarzeń.

Nad Nysę zdążyli w porę. Razem z Walterem obserwowali artyleryjskie natarcie, przez szkła lornetek polowych widzieli sylwetki piechurów, dział i czołgów forsujących rzekę, rwących pociskami i granatami sieć hitlerowskich okopów.

¹¹ Niechaj ta wiejska nazwa ie peszy cywilnych czytelników – na drogowskazach pisaliśmy wówczas: „Gospodarstwo Popławskiego”, „Gospodarstwo Świerczewskiego”. (Przyp. autora.)

Nad Odrą zastali już tylko ślady bitwy i pognali za 1 Armią na zachód. Opancerzony transporter z osłoną nie mógł nadążyć za szybkimi wozami Żymierskiego i Spychalskiego. Tłukli się w nim zrozpaczeni przedstawiciele filmu i prasy - Władysław Forbert i major Nadzin, ówczesny szef wydziału prasowego przy Naczelnym Dowództwie, a jednocześnie dyrektor programowy Polskiego Radia.

Gdy dopadli na kolejnym postoju swych zwierzchników, niewiele mieli czasu na wypoczynek - Forbert kręcił historyczne kilometry taśmy, a Nadzin redagował historyczne teksty. Szczególnie ta ostatnia praca „małego rycerza”, jak zwano wąsatego majora ze względu na wołodyjowski wzrost, nie należała do łatwych. Generał Spychalski, po partyzancku szybki w decyzjach wojskowych, wymagał architektonicznie czystej kompozycji i matematycznej precyzji, jeśli chodziło o polityczne dokumenty. Każdy tekst, każde wystąpienie trzeba było wielokrotnie szlifować, dopasowywać słowo do myśli, ważyć zawartą w nim treść. Może lepiej niż inni pojmował wagę ostatnich dni frontowej wiosny, a może już taki charakter.

Fakt faktem, że Nadzin zapisując coraz to nowe arkusze papieru, kreśląc i zmieniając po wielekroć te same zdania, sapał i pomrukiwał, szarpał wąs i czarną, kędzierzawą czuprynę. Działo się to nie w ziemiankach i okopach, jak chciałaby zapewne legenda, lecz w bogatych pokojach podberlińskich willi, wśród białych obrusów z haftowanymi monogramami. Zasypiali nad ranem pod adamaszkiem, odgarniając z poduszek pretensjonalną pianę koronek.

W dniu kapitulacji miasta „gospodarze” wyjechali do Berlina. Dzień był upalny, wietrzny, kurz kłębamami wirował po szczybatych ulicach.

Spychalski uważnie patrzył na miasto - pamiętał je z przedednia wojny, z sierpnia 1939 roku. Mimo woli pomyślał, czy nie napotka przypadkiem kogoś ze znajomych mu ludzi, i od razu zobaczył twarz dobrze znaną...

Na skrzyżowaniu ulic stał wąsaty żołnierz, regulirowszczyk. Był to ten sam zawadiacki starszyna, którego dziesiątki razy spotykał na szosie Lublin-Warszawa. Żołnierz pokrzykiwał wówczas na każdego przejeżdżającego szofera głosem zdolnym obudzić umrzyka. „Bo wy z frontu jedziecie - wyjaśnił kiedyś zapytany. - Z wami nie da rady inaczej niż krzykiem”. Tak, wąsacz był ten sam i jednocześnie inny - wyprostowany, w świeżo wyprasowanym mundurze, a nawet w białych rękawiczkach - przecież zdobył już Berlin.

Auta zwolniły w ciasnym wąwozie gruzu. Naprzeciw przeciskała się furka zaprzęzona w dwa koniki, malutkie takie chmyzy. Woźnica, zoczywszy naszych generałów, cisnął w górę furażkę i ryknął z całej mocy:

- Priwiet, bratia Polaki!

Chwycił w locie czapkę i śmignąwszy batem po zadach zjechał na gruzu dając drogę.

Na Unter den Linden wozy stanęły i „gospodarze” poszli dalej pieszo. Pod samym murem Reichskanzlei dymiła polska kuchnia polowa, kucharz palił w niej ciemnymi brykietami. Obok siedział prawie pluton żołnierzy. Czekając żarcia podśpiewywali:

Dobrze ci jest, moja luba,
białe orły wyszywać...

Spychalski roześmiał się:

- Gotują obiad u ścian Kancelarii Trzeciej Rzeszy. Dobrze wybrali miejsce. To ma sens.

Potem chodzili po okopconym budynku. Na schodach jak groch wymłócony ze strąków leżały tysiące hitlerowskich krzyży. Nadzin i Forbert upychali je garściami po kieszeniach niczym chłopcy pocztowe znaczki lub klisze. Generałowie stali w rozpiętych płaszczach, w kurzu i wietrze pachnącym spalenizną, roztrącali czubkami butów te nie nadane ordery. Brzęczały, zgrzytały po kamieniach dalekim echem nie wystrzelonych pocisków, połyskiwały jak szyby nie spalonych, nie zbombardowanych miast.

Kiedy „gospodarze” siadali z powrotem do wozu, samochód nagle stał się jakiś zbyt ciasny i niski. Nie dlatego jednak, że historia powiększyła postacie bohaterów. Wstępna analiza wykazała, iż zapobiegliwy kierowca upchał różne pamiątki pod siedzenie. Kazano mu je natychmiast wyrzucić.

Ruszyli na podberlińską kwaterę przy sztabie armii. Stamtąd, po krótkim postoju, musieli gnać wprost do Warszawy, by zdążyć na sesję Krajowej Rady Narodowej. Wydarzenia, które miały wkrótce wejść do szkolnych podręczników, ciasno przylegały do kolejnych dni tygodnia.

Tuż przed odjazdem do stolicy Spychalski powiedział do swych współtowarzyszy:

- Nie zapominajmy o kobietach, które na nas czekają. Pojedziemy szybko, kwiaty nie zwiędną.

Pomrukiwały już silniki, gdy spieszenie łamali gałęzie migdałowych krzewów; pokryte blad różowymi, pachnącymi jasno płatkami.

94. O oszukiwaniu dowódców

Po dwóch tygodniach ciężkich walk 1 Armia przesunęła się znad Odry na zachód od Berlina. Co dzień wieczorem, po wysłuchaniu wiadomości radiowych, mierzyliśmy na mapie odległość dzielącą pancerne palce sojusznicznych armii zwierające się na coraz cieńszym gardle hitlerowskiej Rzeszy. Do końca wojny pozostały dni.

Wówczas, bodaj 30 kwietnia, dowódca 3 dywizji piechoty, w obecności podpułkownika Russiana, dowódcy 7 pułku, postawił drugiemu batalionowi zadanie:

- Na torze kolejowym siedzą Niemcy. Wygońcie ich stamtąd i będzie dla was koniec wojny. Jasne?

- Tak jest - odpowiedział zgodnie z regulaminem dowódca baonu.

Sprawa była rzeczywiście jasna, choć bynajmniej nie łatwa. Tor z Paulinenaue do Fehrbellin biegł z południa na północ po wysokim nasypie. Przed nim, od wschodu, na tysiąc czterysta metrów równe pole pozbawione ostoi i skrytych podejść. Batalion miał już niewiele ponad stu ludzi i nie mógł liczyć na żadne wsparcie - artyleria pozostała w tyle. Jedynym „oddziałem wspierającym” była owa obietnica, że zdobywając tor, tym samym w skali batalionu zakończą wojnę.

Na szczęście noc wypadła chmurna i bezgwiazdka. Godzinami pełzali na brzuchach całe tysiąc czterysta metrów, zamierając przy pierwszym błysku każdej oświetlającej rakiety. Jeden nieostrożny ruch czy hałas mógł stać się przyczyną zdziśiatkowania batalionu. Tylko ten, kto pełzał choćby sto metrów, jest w stanie pojąć wysiłek fizyczny i nerwowy żołnierza.

O pierwszym brzasku poderwali się, cisnęli granaty i skoczyli do szturm. Zdobyli tor, jeńców, położyli parę dziesiątków uciekających. Słońce zastało ich już urządzonych w nowych okopach, umacniających pozycję. Żołnierz był doświadczony, bez rozkazu wiedział, co robić. A zresztą przecież to był już ostatni atak. Rozumiecie? Ostatni po pięciu latach wojny. Tu mieli czekać zakończenia działań na innych odcinkach frontu. Stąd mieli rozpocząć powrót do domów...

Kapitan S. stał z paroma swymi oficerami w okopie, obserwował przedpole. Płaskie było, pocięte wiosenną orką, otwarte. Leniwie dymił kurz po serii min z niemieckich moździerzy.

- Z Betsin strzelają - odezwał się dowódca jednej z kompanii, chorąży Lubek. - Bardziej na postrach niż do celu.

- Pewno nie mają broni maszynowej - mruknął kapitan.

Wioska widoczna była jak na dłoni - murowane budynki pod czerwoną dachówką oprawione w zieleni sadów. Z odległości półtora kilometra można było przez lornetkę dostrzec nawet szyby w oknach. Wabiła spokojem, dachem nad głową, perspektywą wygodnego odpoczynku.

Dowódca baonu, wysoki, o podłużnej, ostro zarysowanej twarzy, zmarszczył brwi. „Dobrze byłoby wziąć tę wioskę i pewno nietrudno - kombinował - ale jeśli silnie będą kontratakować, to nie utrzymamy. Za zdobycie - nie pochwalą, za stratę - zmyją głowę. Chyba żeby wziąć, ale nic nie powiedzieć dowództwu, nie przyznać się”.

Kapitan przestąpił z nogi na nogę, powiódł spojrzeniem po oficerach.

- Zadanie mamy wykonane, ludzi i amunicji niewiele, ale oni są bez broni maszynowej... Będziemy tu siedzieć w podlutkach, wilgotnych okopach, a tam wygodne domy...

- Rozumiem - przerwał chorąży Lubek i poszedł wzdłuż okopów gadać z żołnierzami.

Kapitan kazał wezwać podoficera amunicyjnego baonu. Po paru minutach nadbiegł rowem łączącym plutonowy Tomasiewicz, wąsaty, czterdziestoletni wiarus.

- Na rozkaz.

W tym samym momencie na prawym skrzydle wyskoczył z okopu chorąży Lubek i podnosząc pistolet w górę wrzasnął:

- Naprzód!

Batalion podniósł się, ruszył rzadką, nierówną tyralierą. Żołnierze szli szybko, przygięci ku ziemi, bez strzału. Niemieckie moździerze zaczęły pohukiwać nerwowo, prędko, ale miny kładły się niecelnie.

Kapitan pokazał plutonowemu ręką.

- Poszli na wioskę, ale amunicji ledwo-ledwo. Skąd by skombinować?

- Mam cztery furmanki w zapasie - zameldował Tomasiewicz z szelmowskim uśmiechem.

Wymienili z dowódcą serdeczne spojrzenia, ale twarz kapitana zaraz stwardniała.

- Cóż to za porządki? Przed dowódcą ukrywacie? Ja się z wami porachuję. A teraz dowieźć trzeba.

- Przez pole? Konie pobijają, duży cel.

- Przez pole. Innej drogi nie ma.

- Tak jest.

Tomasiewicz poszedł za nasyp i po chwili niczym taczanki wypadły zza toru cztery parokonne wozy. Plutonowy powoził pierwszym. Cięli konie batami, galopem szli po podorywkach. Gubili skrzynki na miedzach, wyskakiwali spod salw moździerzy.

Tymczasem batalion skrzyknął się, poderwał do biegu i prując z pepesz dopadał już pierwszych domów.

Jednym słowem, wzięli Betsin szturmem. Kapitan przeniósł do wioski stanowisko dowodzenia, łącznościowcy pociągnęli za nim kabel.

Kapitan ostatecznie zdecydował nie chwalić się sukcesem. „Sił mam mało, ludzie walą się z nóg ze zmęczenia. Jak stracę wioskę, nikt nie będzie mówił, że to było nad program. Powiedzą, że nie umiałem utrzymać. Lepiej niech myślą, że ja na torze kolejowym”.

Połączył się tylko z szefem artylerii dywizji, majorem Berezowskim, i uprzedził go, że siedzi z baonem w Betsin, żeby nie dostać ognia z własnych dział. Zastrzegł, że to tajemnica. Nie minęło dwadzieścia minut, jak odezwał się telefon. Dzwonił Russian, dowódca pułku.

- Co u ciebie? Gdzie ty jesteś?

- Zadanie wykonane - zameldował kapitan. - Wyparliśmy Niemców i jestem na torze.

- Cóż to za porządki? Dowódcę chcesz oszukać? - przerwał podpułkownik. - Na torze to ja jestem. A ty gdzie?

Trzeba się było przyznać. Zresztą Niemcy nie poszli do kontrataku, i drugi batalion 7 pułku nie zakończył swego szlaku bojowego w wiosce Betsin. Rozkazano mu bowiem zdobyć jakąś nową wioskę, a potem jeszcze jedną. A w wojsku wiadomo - jak trzeba, to trzeba.

95. Ogolony nie w porę

2 maja, w środę, otrzymałem rozkaz od kapitana Płońskiego, abym natychmiast zameldował się w sztabie armii. Na moje zdziwione spojrzenie odpowiedział szeptem:

- Delegacja... Jutro będziesz w Warszawie. Tylko cicho, sza, ani słówka.

Rzeczywiście, po dwu godzinach pędziliśmy już szosą od Berlina na wschód. Przodem czarna, zdobyczna limuzyna pułkownika Piotra Jaroszewicza, zastępcy dowódcy 1 Armii, a za nim studebacker - ciężarówka wyładowana pstrokatym i pyskatym frontowym bractwem. Wszystkich nazwisk naturalnie nie pamiętam, ale był tam podporucznik Romek Borejza od moździerzy, kapral Bolek Bielawski z erpepanców, kapral Michał Dybek, strzelec płatowcowy z pułku szturmowców, kapitan Michał Jakubik, pilot z pułku myśliwskiego „Warszawa”, chorąży Janek Poluch z 5 brygady artylerii ciężkiej, chorąży pilot Grabowski.



W kabinie, przy szoferze, siedział podpułkownik Zygmunt Duszyński, zastępca liniowy dowódcy 3 pułku piechoty, którego ściągnięto do naszej delegacji wprost z berlińskiej Englisch Strasse, ostatniej ulicy przed Tiergartenem.

Nocowaliśmy parę godzin we Wrześni, gdzie szofer robił nawalone koła, a o świcie dalej w drogę. „Sztuder” był zwykły, frontowy, kierowca nie spał już czwartą noc, bo przedtem woził amunicję w Berlinie, więc teraz co chwila tracił przytomność i usiłował wjechać na drzewo lub do rowu. Podpułkownik Duszyński polewał go zimną wodą z menażki, sztorcował lub prosił na przemian i jechaliśmy dalej.

Na parę minut przed rozpoczęciem sesji Krajowej Rady Narodowej „sztuder” wtoczył się na brukowaną kocimi łbami Nowogrodzką i stanął przed obwieszonym czerwienią i bielą budynkiem „Romy”. Wprost z maszyn wprowadzono nas zakurzonych, spoconych i obrośniętych do łoży. Jeden tylko Jakubik urwał się do fryzjera, żeby zgolić szczecinę z policzków, otrzepać mundur, buty wyczyścić.

Słuchaliśmy w ciszy przemówienia Bieruta, a potem przydługiego expose premiera, modląc się w duchu, by zbyt szybko nie skończył. Rzecz w tym, że samochód pułkownika Jaroszewicza został gdzieś na trasie, a wraz z nim nasz pięknie napisany raport. Z ulgą wypatrzyliśmy wysoką, szczupłą postać zastępcy dowódcy armii, wchodzącego na salę.

Kiedy premier skończył, przyszła kolej na nas - frontową delegację przybyłą z pola bitwy, by zameldować o zdobyciu Berlina i marszu na Łabę.

Pułkownik Jaroszewicz meldował błąd ze wzruszenia, zmęczenia i gniewu na zepsuty samochód, przez który omal się nie spóźnił. Przerwano mu oklaskami i krzykiem serdecznym.

- Na ruinach Berlina, obok zwycięskich chorągwi czerwonych, powiewają nasze sztandary. Na szlaku walk od Wisły do Berlina zadaliśmy wrogowi ciężkie straty: zabitych 55 000 niemieckich żołnierzy i oficerów, wziętych do niewoli 28 000, zniszczono czołgów i dział pancernych 108, zdobyto 98, zniszczono dział 763, zdobyto 652...

Padły te liczby jak rachunek za krzywdy, za śmierć, za lata wojny i okupacji. Sala nagrzewała się do czerwoności. Pułkownik zakończył:

- Jesteśmy i pozostaniemy mieczem polskiej demokracji. 1 Armia nigdy was nie zawiedzie!

Posłowie zerwali się z miejsc, buchnęły okrzyki, frunęły jakieś kwiaty. Staliśmy na baczność w swych wypłowianych, splamionych oliwą mundurach, w niezgrabnych butach, w wyszmelcowanych polówkach, a serca łomotały i łzy szczęścia ścisnęły gardło.

Dopadli nas ci z pierwszych ław, siwi i dostojni, ściskali ręce, obejmowali za ramiona.

Kiedy po długiej chwili przejściem między rzędami wracaliśmy do swej łoży, usłyszałem jak jeden z postów mówił do drugiego:

- Popatrz! Ten jeden, kapitan, to nie z frontu. Jakiś tutejszy - wymyty, wygolony...

Mowa była o generale Michale Jakubiku. Jednym słowem, są w życiu wyjątkowe sytuacje, w których elegancja nie popłaca.

96. Jasne z pianką

2 Armia szła na południe, ku granicy czeskiej i Łabie. Na czele 1 korpus pancerny. 7 maja nocą, pod osłoną lasu Butter Berg, podszedł do Bischofswerdy. Broniło się tam około dwu batalionów z 269 dywizji i piętnaście czołgów. Rąbali po ciemku z kaemów na wstrzelane kierunki, łupili z moździerz i armat, łowiąc metaliczny chrzęst naszych nadciągających kolumn.

O świcie brygada zmotoryzowana uderzyła z północy, a zbieżnie ze skrzydeł 2 i 3 brygada pancerna. Wojska rozerwały obronę, zmięły resztki pod gąsienicami i omijając miasto poszły ostro w pościgu na Gross Drebnitz, na Ottendorf. Walter żądał, by dziś jeszcze dotarli nad Łabę w tym miejscu, gdzie Czesi eksportują rzeką do Saksonii.



Dowódca korpusu, generał Józef Kimbar, i major z wydziału politycznego przysiedli na brzegu szosy, czekali na saperów zasypujących ogromną wyrwę w jezdni. Patrzyli na południe, gdzie zamykały horyzont lesiste grzbiety Saskiej Szwajcarii i Gór Łużyckich. Gdzieś zapewne niedaleko za nimi był koniec wojny. Bliżej, w skośnych promieniach słońca, drzemało cicho miasto o szarych murach i czerwonych dachach - Bischofswerda.

Generał zdjął czołgowy hełm i otarł czoło.

- Piwa bym się napił - powiedział.

Saperzy kończyli robotę sypiąc z ciężarówki do leja ogromne paki hitlerowskich banknotów, które akurat nawinęły się pod rękę. Marki przyrzucali ziemią. Major wziął parę papierków, strzepnął o biodro i wsunął w kieszeń kombinezonu na pamiątkę.

- Możemy ruszać - zameldował.

Wsiedli do wozu, minęli lasek i wykop. Dostrzegli na skarpie dwu żołnierzy - Polaka i czerwonoarmistę, łupiących zawzięcie w karty. Spoza horyzontu biła niemiecka artyleria, pociski kładły się nie tak znowu daleko, ale tamtym widocznie nie przeszkadzały.

Generał kazał zatrzymać samochód.

Zerwali się, stanęli na baczność. Nasz był w stopniu starszego sierżanta i Rosjanin tak samo - starszyna. Sierżant poznał generała i szepnął tamtemu: „Naczalstwo”.

- Co wy tu robicie? Zwariowaliście?

- Melduję, że nie - zdecydowanie odrzekł sierżant. - Czekamy na swoich. My obaj w sprawie kwater.

- O co wy tu gracie? - dalej nie pojmował oficer.

- O ten dom - sierżant pokazał ręką na ukryty w lasku budynek z pretensjonalnymi wieżyczkami, ni to pałac, ni to myśliwski zameczek. - Melduję, że my obaj w sprawie kwater... - podkreślił z naciskiem.

Pojechali dalej. Generał podjął temat rozpoczęty na szosie.

- Piwa bym się napił. Może w Bischofswerdzie mają?

- Pewno mają - zgodził się major - ja też bym się napił. Skręcili ku miastu. Łazik w tempie osiemdziesiątki wpadł w puste ulice. Chwycili pod koła linię tramwajową i pruli po niej coraz większymi zaułkami, pewni, że wywiedzie na rynek. Nie omylili się, wywiodła.

Szyld malowany na blasze głosił: Bierstube. Kimbar kazał kierowcy zaczekać przy wozie.

Drzwi wejściowe były ciężkie, z mosiężnym, wytartym rękami uchwytem. Pchnięte, zadzwoniły wesoło, wpuszczając ich do środka.

Piwiarnia miała ciemne ściany, sklepienie robione pod gotyk, brązowe stoły z grubych desek, ciężkie taborety. Mroczno tu było. W głębi, nad szynkwasem, żarzyła się lampka. Królowała tam gruba, nalana baba, w marynarce przerobionej z angielskiej kurtki wojskowej. Tam też nad kuflami tkwiło paru Niemców.

Nasi siedli niedaleko wejścia. Rozpięli pod szyjami granatowe kombinezony, zsunęli z czół czarne, grzebieniaste hełmy z nausznikami.

Podeszła dziewczyna w fartuszku i kusej, nie sięgającej kolan spódnicy.

- Zwei Halbe.

- Sofort - odpowiedziała grzecznie, poszła do kranu, naląła, przyniosła.

Pili w milczeniu, delektując się chłodną goryczką. Od szynkwasu dobiegało podzwanianie szkła o metal, od stolików gwar ściszonych rozmów tych paru cywili, których zastali.

- Napiłbym się jeszcze - powiedział generał.

- Zwei Halbe, noch einmal.

Kelnerka przyniosła, postawiła, zbierając próżne kufle ścierała blat. Kimbar obrócił swój pełny, popatrzył pod światło i mruknął:

- Powiedz jej, żeby uczciwiej nalewała. Połowa piany.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, puściła kufle z ręki. Na kamiennej podłodze trzasnęło tłuczone szkło.

- Die Polen sind da! - wrzasnęła i skoczyła do ucieczki.

W drzwiach zderzyła się ze swą szefową, z wiejącymi przez tylne wyjście mieszczanami z Bischofswerdy.

Oficerowie zostali sami. Dopili, nalali sobie jeszcze po jednym. Major wyjął z kieszeni plik marek, położył na szynkwasiu. Z pełnymi brzuchami wyszli na ulicę.

Szofer siedział w drzwiach sklepu z gramofonami. Obok, na progu, ułożył wysoką stopkę płyt. Brał je po jednej, starannie wyjmował z kopert i ruchem wytrawnego kręglarza puszczał po asfalcie. Toczyły się daleko, potem traciły szybkość i padały pękając z lekkim trzaskiem.

- Czego psujesz?

- Melduję, że to już niepotrzebne - wzruszył ramionami - same marsze.

- Przestań. Głupia zabawa.

Dali mu dwie butelki piwa, zarekwirowane w Bierstube.

- Jedziemy?

- Jeszcze chwilę - powiedział Kimbar. - Zobaczymy, jak tu mieszkają.

Weszli do najbliższego domu. Na pierwszym piętrze zadzwonili. Nikt nie otwierał, ale drzwi okazały się zamknięte tylko na klamkę. Mieszkanie było puste. W pokoju na stole nakrytym haftowaną w kwiatki serwetą stygła nie dopita kawa, leżała kromka chleba posmarowana miodem.

- Kunsthönig, sztuczny. Nikogo nie ma.

- Przed chwilą wywieli. Widocznie ci z piwiarni roznieśli wieść, że my tu jesteśmy. Wszyscy już o tym wiedzą.

Okazało się jednak, że nie wszyscy.

Pod oknem, na brzuchatej, szafce z czerwonego drzewa, zadzwonił telefon. Major podniósł słuchawkę.

- Halo, halo - zaskrzeczało w mikrofonie - Herr Kruppe?

- Ja - mruknął zgodnie z prawdą i ciszej dodał: - Znasz Krupę?...

- Bitte?... Hier Lempke, von Dresden. Wie ist's dort drüben bei Ihnen?¹²

¹² Proszę?... Tu Lempke, z Drezna. Jak tam u was?

- Alles in Ordnung - odpowiedział. - Die Polen sind schon da.¹³

W słuchawce ktoś głucho jęknął i zamilkł.

- Chodźmy - zdecydował generał Kimbar - trzeba dognać wojsko, bo bez nas wojnę skończą.

Na rynku niestrudzony kierowca rozdawał buty ze sklepu paru babinom, które z wiadrami przysły do kranu po wodę. Niemki oburącz trzymały fartuchy i z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia patrzyły na żołnierza. Widząc oficerów przerwał pracę.

- Teraz bierzta se same - oświadczył - Hitler kaput. Zrozumiały te ostatnie słowa i poczęły kiwać głowami jak kaczki. Łazik warknął, obiegł rynek poszczekując klaksonem, i ulicą, którą przyjechali, pomknął do szosy.

Tego samego dnia ze sztabu 2 Armii dostali wiadomość o bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, której postanowienia wchodzi w życie o północy z ósmego na dziewiąty maja.

- No, widzisz - powiedział generał. - To jasne z pianką w Bischofswerdzie należało nam się. Robota już prawie skończona.

97. Na czele

Zawsze miło kroczyć przy boku ukochanej. Nie zawsze miło kroczyć przy boku ukochanej kompanii, nawet jeśli jest to 5 kompania 5 samodzielnego pułku zapasowego 2 Armii polskiego ludowego wojska.

Zwłaszcza jeśli rzecz dzieje się tuż przed zakończeniem wojny, na początku maja 1945 roku. Na dodatek popołudnie jest jasne, słoneczne, a nieprzyjaciół, których nie tak dawno było stanowczo za dużo, nawet jak na najbardziej bohaterские wymagania, dziś nie widać w ogóle na horyzoncie. Jeśli dodamy, że zastępca dowódcy kompanii, chorąży Zbigniew Safjan, stał się nagle posiadaczem nowiutkiego motocykla, zrozumiemy doskonale, dlaczego pozostawiwszy w tyle ukochaną, udał się samotnie na zwiad.

Motocykl, świadomy, kto na nim siedzi, trochę parskał, trochę wymykał się na boki, ale droga była szeroka i gładka. Safjan bez wypadku przejechał trzy kilometry, odpoczął, przerzucił automat z piersi na plecy i znowu ruszył naprzód, dumny, że wiatr mu świszczę w uszach, że jest na czele, a nawet kawał przed czołem kolumny.

Jak zielona chmurka nadbiegł liściasty lasek, szosa skręciła raz w lewo, raz w prawo i w przodzie, całkiem niedaleko, ukazało się miasteczko, Dresdener Neustadt.

Chorąży przyhamował, zjechał do rowu i brawurowo zeskoczył. Przesunął automat na piersi i ukryty za szerokim krzakiem olszyny patrzył na miasto.

¹³ Wszystko w porządku. Polacy już są tutaj.

Najbliżej, oddzielnie od reszty domów, stał szary, piętrowy budynek. Chyba szkoła. Dalej widać było parkany, ceglane mury, wieżyczkę kościoła i pusty wylot głównej ulicy. W niskim słońcu świeciła czerwono szyba rozwartego okna.

Po kwadransie, nie dojrawszy żywej duszy, Safjan poczuł ochotę obejrzenia miasteczka z bliska. Po półgodzinie pewien już był, że winien zająć Dresdener Neustadt w imieniu swej kompanii i poczekać jej podejścia w rynku. Wahał się jeszcze chwilę, pokonał zwycięsko resztki zdrowego rozsądku i siadł na motor.

Ruszywszy z miejsca wyobraził sobie nagle, jak pięknym celem mógłby być dla ewentualnej zasadzki. Nie zawrócił jednak, lecz dojechawszy do szkoły skręcił nagle i wciągnął motor po schodkach do pustego budynku. Zamknął drzwi, zatarasował je szafą i paroma ławkami. „Zawsze zdążę odsunąć - pomyślał - nim nasi nadejdą”. Cekał teraz ze stale rosnącą niecierpliwością, wyglądając na przemian to ku miastu, to na szosę, którą winna przymaszerować kompania.

Zamiast kompanii nadszedł wieczór, szybko zapadł mrok i chorąży pojął, że czeka go bezsenna noc: na sromotną ucieczkę po ciemku nie miał ochoty, a w mieście zaczęły się dziać rzeczy niepokojące - mignęły jakieś światła, zadudniły po bruku koła. Chorąży nasłuchiwał czujnie. Wreszcie, kiedy raz po raz huknęły cztery strzały karabinowe, nie miał już żadnych wątpliwości i postanowił drogo sprzedać życie.

Umocnił barykadę u drzwi, wlaź na piętro, materacami z sali gimnastycznej opancerzył swoją strzelnicę i siadł z automatem w garści przy otwartym oknie.

Tamci w mieście poczynali sobie coraz śmiej - tupotali buciorami po chodnikach, zapalili parę świateł w oknach, ustawili patefon. Głos pięknie szedł po nocnej rosie i Safjan z odległości stu czy dwustu metrów wyraźnie słyszał:

Rosamunde, gib' mir dein Herz und dein Ja,
Rosamunde, sag' nicht doch erst der Mama...

Po kilku płytach patefon zamilkł i zupełnie blisko, przy pierwszych domach, ktoś podał komendę:

- Marsch, marsch! Schneller!

Zbyszek wychylił się zza parapetu, dojrzał cienie postaci sunące na tle jasnego muru.

Podrzucił automat do ramienia, przytulił policzek do kolby i wiodąc za nimi lufą, starał się opanować gwałtowne bicie serca.

„Motocykla ci się zachciało - myślał z rozpaczą. - Zdobywca miast, psiakrew - kpił z samego siebie. - Ten, co idzie na czele...”

Ale postacie zniknęły, spodziewany atak na szkołę nie nastąpił.

Minuta za minutą pełżyły godziny nocy, parokrotnie jeszcze przerywane fałszywymi alarmami.

Wreszcie niebo na wschodzie pojaśniało, zbłękitniało, zarumieniło się. W tym samym czasie chorąży zarumienił się również - w jasnym świetle zobaczył plutonowego własnej kompanii, który rozpaczliwie

ziewając dokonywał zmiany warty przy szosie. Na żółtym, dwupiętrowym budynku, w którym zapewne ulokowano sztab, powiewała biało-czerwona flaga.

Safjan odetchnął z ulgą i zaraz potem rozżłościł się nagle:

- Którą oni drogą przyszli? Na mapie się nie znają czy jak... - I dodał sam sobie na pociechę: - A jednak ja jechałem na czele, ja byłem tu pierwszy.

98. Odpowiednia kwatera

Wiele dowcipów kursuje na temat oficerskich ordynansów. Nazywają ich „lokajami”, „ciamajdami”, „fajfusami”, ale to w gruncie rzeczy niesprawiedliwe gadanie i krzywdzące. Że w czasie pokoju zniesiono w ludowym wojsku tę funkcję, nie tylko oficjalnie, ale i rzeczywiście, to bardzo słusznie. Na froncie jednak odważny, sprytny i troskliwy ordynans wiele dobrego może zdziałać. Dowódca winien być wolny od troski o kwaterę i jedzenie, o wodę do mycia i czystą bieliznę, o przyszywanie guzików i czyszczenie broni. Ma przecież znacznie więcej kłopotów i zajęć niż jego podwładni. Potrzebuje opiekuna, osobistego szefa do spraw gospodarczych. Nie mówię już o tym, że często ordynans pod silnym ogniem bywał łącznikiem, a w najcięższych opałach osłaniał swego dowódcę seriami automatu czy granatami. Nie widzę wcale powodu, by tacy właśnie ludzie mieli być określani obraźliwymi przezwiskami przez żółtodziobów, co w ogóle prochu nie wǳali.

Do ordynansów wzorowych należał niewǳpliwie szeregowiec Sokołowski, opiekun i przyjaciel podporucznika Klisowskiego z 10 dywizji piechoty. Nieraz czołgali się razem ciągnąc linię telefoniczną pod niskim świstem kaemów, nieraz granaty ratowały im życie. I zawsze czarny od kurzu i niewyspania oficer znajdował pod ręką miskę ciepłej wody, menażkę z gorącą kawą, postanie osłonięte od deszczu i odłamków. A w miarę jak zbliżało się zwycięstwo i kraj zdobyty stwarzał nowe możliwości, Sokołowski podwyższał swe wymagania co do jadła i napoju oraz komfortu noclegów.



W pewnym niemieckim miasteczku, gdzie jednostka zatrzymała się nieco dłużej, podporucznik dowiadywał się co wieczór o dokonanej w ciągu dnia przeprowadzce na nowe locum.

- Ta kwatera jest odpowiedniejsza - tłumaczył Sokołowski.

Wreszcie, po czwartej czy piątej zmianie adresu, podporucznik nie wytrzymał i rozkazał:

- Dość tych przenosin. Czy to ja Cygan? Tu będziemy mieszkać i basta.

- Tak jest - potwierdził żołnierz.

Rankiem, gdy oficer obudził się ze snu, Sokołowski wytoczył z sąsiedniego pokoju elegancki stolik na kółkach. Stał na nim talerz z kręgiem smażonej kiełbasy, drugi z chlebem i szklanka samogonu.

- Śniadanko gotowe, panie poruczniku - zameldował. - I kwater nie będziemy zmieniać. Ta odpowiednia, bo w piwnicy pralnia z bardzo zgrabnym kociołkiem. Bimber się warzy czysty jak iza dziewicza.

Czyż może być bardziej wymowny fakt niż ten dowód synowskiej troski, który na sławę i chwałę wszystkich frontowych ordynansów podaje?

99. Generalski tort

Natychmiast po zakończeniu wojny całą armię opanował szal bankietów i świąt, rocznicowych przyjęć i przyjęciowych rocznic. Złożyło się na to parę przyczyn. Po pierwsze - dobiwszy brunatną bestię faszyzmu w jej własnym legowisku nie bardzo wiedzieliśmy, co robić dalej. Po drugie - wszystkich żołnierzy, od szeregowców do generałów, wypełniała po czubki głów radość, że dni tych dożyli, i pragnienie wesołej zabawy. Po trzecie - sprzyjała baza ekonomiczna, która, jak wiemy, stanowi materialny fundament wszelkich poczynań. No i uchwał oszczędnościowych jeszcze nie napisano, zapewne z braku papieru.

Przyjęcia narastały jak tempo natarcia po przełamaniu głównego pasa obrony, rocznice wybłyskiwały niczym rakiety w niespokojną noc frontową. Na wieść, że kościuszkowcy z okazji trzeciej rocznicy „Rozkazu organizacyjnego nr 1” wydali bankiet dla trzystu osób, kilińszczacy o dzień później święcili wyzerką na tysiąc pięćset chłopów trzy kwartały od ogłoszenia dekretu PKWN „O mobilizacji czterech roczników i rejestracji dalszych”. Było kogo i czym przyjmować, a więc o okazję nietrudno.

Dzień w dzień do Seelow, miejsca postojów redakcji „Zwycięzcy”, przybywały na volkswagenach, mercedesach, horchach i innych zdobycznych pojazdach delegacje z zaproszeniami.

- Prosimy o przyjazd korespondentów na uroczyste przyjęcie z okazji... Byliście wczoraj w 4 brygadzie ppanc., w 7 pułku piechoty, w 2 dywizji, więc i nam nie odmawiajcie...

- Święto bez obsługi prasowej jak spirytus bez szklanki. Sami rozumiecie.

Rozumieliśmy. Frontowa gazeta armii, której szpalty jeszcze parę dni temu mocniej pachniały prochowym dymem niż drukarską farbą, stała się teraz podobna do arystokratycznej kromki życia towarzyskiego: „Licznie przybyłych gości powitał...”, „Wzniesiono toast...”, „Podano na wety...”

Redaktor głowił się, jakimi czcionkami dać tytuły i w jakiej kolejności umieścić sprawozdania, by nikogo z dowódców nie urazić, a my, korespondenci, wymienialiśmy w charakterze doświadczeń bojowych metody likwidowania skutków alkoholu i pisanie pod dobrą datą.

Szczerze trzeba przyznać, że nie narzekaliśmy zbytnio na tę nagłą odmianę losu. Momentalnie wypracowaliśmy taktykę przydatną w nowych okolicznościach.

Można byłoby ująć jej sens w trzech punktach:

1. Siadaj przy głównym stole, gdyż jakość jedła i napoju jest odwrotnie proporcjonalna do odległości od dowódcy jednostki.
2. Nie jedz i nie pij byle czego - żołądek ma określoną pojemność.
3. Gdy w polu widzenia pojawia się obiekt godny pożądania - przejmuj inicjatywę i nie wypuszczaj jej z rąk.

Dwa pierwsze punkty nie wymagają wyjaśnień, lecz trzeci należy poprzeć przykładem. W praktyce wyglądało to tak, że gdy na przykład podawano na stół omszałą butelkę hiszpańskiej malagi ze zbiorów roku 1922, jeden z nas chwycił ją prawie w locie i napełniał po brzegi kielichy innym kolegą redakcyjnym. Tamci w sposób uprzejmy, ale stanowczy wyrwali mu butelkę z rąk, by i jego puchar nie był pusty. Zmiana nalewających i pijących odbywała się tak szybko, że nim sąsiedzi pojęli, o co chodzi, mogli już tylko podziwiać szkło i barwną etykietę z Don Kichotem w stalowej zbroi.

Taktyka ta zapewniała nam poważne sukcesy, lecz pewnego dnia mało brakowało, by - mimo zakończenia działań wojennych - poląła się krew czerwona...

Wraz ze Zbigniewem Rawiczem, czyli „Bobem” (obecnie pracownik Polskiego Radia) i Edwardem Obertyńskim (obecnie oficer Marynarki Handlowej) zasiedliśmy pewnego dnia na uroczystym przyjęciu w zasłużonej jednostce bojowej, naturalnie w bezpośrednim sąsiedztwie jej dowódcy, już wówczas generała.

Ze wstępnego rozeznania sytuacji wynikało, że należy cierpliwie czekać deseru, ze względu na wspaniałe dzieło przygotowywane przez kucharza, który jakoby słynął ongiś wśród cukierników miasta Stanisławowa.

Przepuściliśmy więc zimne mięsiva, chłodnym spojrzeniem obrzuciliśmy gulasz wołowy, obojętnie potraktowaliśmy pieczone prosię. „Bobowi” wprawdzie drgnęła ręka, bo świntuch miał skórkę przyrumienioną jak dziewczę w słońcu i chrupką niczym faworek, ale Edward powstrzymał go po przyjacielsku pojedynczym nelsonem.

Nastąpiła spora pauza. Drgnęło mi serce, czy nie przeciągnęliśmy struny, ale w tym momencie wkroczyli kuchcikowie z ciastami i tortami, a do naszego stołu sunął dumnie wyprostowany główny kucharz, potężna detyna w białym stroju i z czepkiem na głowie. To co taszczył na kryształowym talerzu, rozmiarami przewyższało dwukrotnie największą minę przeciwczołgową, lśniło lukrem, pieniło się kremem i pachniało bardzo uroczyście.

Cukiernik kropił prosto w kierunku generała i dotarłby tam zapewne, gdyby „Bob”, naturalnie niechcący, nie podstawił mu nogi.

Przechwyciłem kryształ (żeby nie upadł przypadkiem), a Edward stanowczo podtrzymał kucharza i przegrodził mu drogę krzesłem. Orientując się, że czasu mamy niewiele, Rawicz rąbnął tort w samo serce i wykroił błyskawicznie trzy kęsy o wielkości kątowej po 45°, bacząc przytomnie, by na każdym znalazły się włoskie orzechy i wysokie fale z czekolady.

Ledwo zdążyliśmy włożyć do ust pierwsze kęsy, gdy kucharz się opamiętał i wyszarpnąwszy z kabury potężną, szesnastoosobową „efenkę”, ryknął:

- Taż co oni, batiały, zrobiły?! Taż ja ich...

Chwycono go za ręce w samą porę, bym mógł dziś pisać te słowa.

Po skończonym przyjęciu poszliśmy z generałem do aresztu. Cukiernik bez pasa siedział na skrzynce i płakał.

- Taż ja całą nocą pracowałem - tłumaczył szlochając w postawie na baczność - całą noc ja się starałem... Usta ja zrobiłem z pomarańczy, nos i oczy z orzeszków, włosy pięknie z czekolady pofalowałem... A te batiary - tu wskazał na nas - nożami w samo oblicze i w oczy od razu zębami... Taż ja portret kochanego generała na torcie zrobiłem, a oni zeżarli, nim kto zobaczył.

Poczuliśmy się wszyscy bardzo niewyraźnie. Rzeczywiście -tu podobizna generała, a my z nożami... Kucharza naturalnie zaraz zwolniono.

A że generał wyglądał teraz także na zmartwionego, uprosiliśmy redakcyjnego rysownika, porucznika Leszka Bagińskiego, i na drugi dzień - obok sprawozdania z uroczystości - był portret dowódcy owej jednostki.

Nie miał ust z pomarańczy, oczu z orzechów i włosów z czekolady, ale za to był równie niepodobny.

100. Mogiły i sweter

Różne groby żołnierskie zostawialiśmy na szlaku marszu i walk. Piaszczyste wzgórki, darniowe prostokąty, czasem kamienny głaz; z czapką na krzyżu i z hełmem pod gwiazdą lub orłem; z nazwiskiem malowanym na blasze, pisanym kopiowym ołówkiem na deszczułce, a najczęściej bezimienne.

Nieliczne pozostały tam, gdzie padł człowiek napotkawszy śmierć pogwizdującą w kuli czy odłamku. Na wysokim brzegu jeziora, pod ciemnymi świerkami, tam gdzie 4 dywizja przegryzła kręgosłup Pommernstellung, są tylko dwa: ten z krzyżem ułożonym z kasztanów i ten, na którym prócz hełmu stoi pordezwiata menażka (może chłopak kaszy nie dojadł i koledzy mu zostawili, jak podczas obrzędu dziadów...).

A resztę poniesiono raz jeszcze na zbiórkę, zebrano na skrawkach podmiejskich pól obramionych betonowym płotkiem, ozdobionych zniczem, na którym kilka razy do roku ogień płonie. Leżą razem po dwa, po pięć, po dziesięć tysięcy, i aż dziwne, że tym batalionom, pułkom, dywizjom tak mało miejsca trzeba na sformowanie ostatniego ordynku.

Nie starczyło nam czasu, złota czy serca, by wyryć w kamieniu nazwy pułków, pod których sztandarami walczyli, by wyryć imiona i nazwiska żołnierskie na cmentarnym murze. A może mur okazałby się zbyt niski, zbyt krótki...

Czasem zdarzy się stronica książkowa, która za pomnik stanie. Tak choćby jak wiersz Szenwaldowy na grobie zastępcy dowódcy 1 dyonu artylerii przeciwpancernej, porucznika Mieczysława Kalinowskiego, co poległ pod Lenino.

Mała, cienka książeczka - taka, żeby zmieścić do kieszeni munduru. Poszarzał marny papier wojennego czasu, ostatnie strony naderwane dołem - zaczepiłem o guzik i teraz trudno odczytać cenę. Chyba półtora rubla. Wyżej nieco, nonparelem: „Podpisano do druku 20/IV 1944 r. Zamówienie nr 453. Drukarnia «Iskra Rewolucji». Moskwa”.

Ta książeczka to wiersz „Z ziemi gościnnej do Polski”, a nich elegia na śmierć żołnierską przyjaciela:

...Syn szewca, komunista - on miał w rodowodzie
Kilińskich!...
...On jednoczył skłóconych, rozmaitych godził,
Stabym dał wiarę w rozmach wspólnego ramienia.
On był duszą oddziału, którym współdowodził,
I dla żołnierzy stał się czymś na kształt sumienia,
On był z tych, którzy wojsku naszemu skrzydlaty
Nadają polot w przyszłość - oficer oświaty!
...dzisiaj od tła wspomnień moich się oddziela
I trwa osobno, oku pamięci widoma –
Twarz krępa, niby ziemniak z oczkami wesela,
I cała Twoja postać życzliwego gnoma.

Tysiące razy powtarzano te wiersze. Najpierw w ziemiankach, w chałupach marszowych biwaków, w okopach. Potem na akademiach, w gazetach i książkach, przez radio. Zrosły się z dywizją, z armią, jak szeroki orzełek piastowski, noszony przez nas na polówkach.

To, co dorzucano, potem - że aresztowany przez „defę” na Szwedzkiej 28, że nosił pseudonimy „Skrucha”, „Żelazny” i „Grzegorz”, że bronił Modlina we Wrześniu - to już tylko żwir faktów. Wiersz swym światłem przyćmiewa wszystko.



A jednak chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym drobiazgu, o swetrze.

Kiedy na froncie ginie żołnierz, koledzy dzielą jego rzeczy. Część odsyłają rodzinie, jeśli zabity ją ma. Część rozdają najbliższym - na pamiątkę. Stary to zwyczaj, powszechny, choć niepisany.

Nie wiem, co się stało z innymi przedmiotami, które należały do Kalinowskiego. Nie wiem, czy pistolet i czapka trafiły do Muzeum Wojska. Ale czarny, pocerowany na łokciach sweter wziął porucznik Jakubowski.

Jakubowski zginął przy forsowaniu Wisły i sweter przypadł kolegom.

Służył do końca wojny. Chronił przed zimnem żołnierską skórę, ogrzewał, innych po śmierci swego właściciela. Tak jak przedtem jego słowa.

Na żołnierskiej mogile kładzie ktoś czasem zwykłe wierzbowe baze, koćki. Tak bywa.

I dlatego przypominam o swetrze. O czarnym, pocerowanym na łokciach swetrze Mieczysława Kalinowskiego, wojsk polskich porucznika i komunisty.

Innym, których nie nazywa wiersz, którzy nie przekazali kolegom nawet swetra w plecaku, niech służy za pomnik, za nazwisko ryte w kamieniu, za kwiat na grobie to, o co walczyli - Rzeczpospolita.

101. Takich nie było

Utarło się mniemanie, że bohaterowie książek o wojnie powinni być brutalni i co najmniej z lekka przybrudzeni. Że taka właśnie jest surowa prawda. Być może, podczas potopu szwedzkiego istniał Skrzetuski, rycerz bez skazy, ale dziś takich nie ma. A kto twierdzi, że byli tacy i podczas ostatniej wojny, to powinien zapisać się do cechu lakierników.

Prawda o wojnie na pewno jest ciemniejsza od wizji Sienkiewicza stworzonej „ku pokrzepieniu serc”, ale bohaterowie bywają różni. Rzeczywistość znowu płata figła pisarzom i wymyka się między rozwartymi do chwytania palcami.

Kiedy przyszedłem do 5 pułku artylerii ciężkiej, porucznik Kazimierz Wolski już pełnił w nim służbę. Zapamiętałem go od pierwszego spotkania - szczupły, wysoki oficer, w nienagannie dopasowanym mundurze, mocno ściągnięty pasem, w butach błyszczących podczas największej niepogody.

„Nie od dziś służy” - pomyślałem.

Rzeczywiście, Wolski zdobywał rycerskie ostrogi we Wrześniu. Był oficerem w baterii nowiutkich dział przeciwpancernych, wyprodukowanych w Starachowicach na parę tygodni przed wojną. Rzucano go z nimi przeciwko kolumnom czołgów, tam gdzie było najciężej. Wstrzymał kilka zagonów ogniem na wprost. W swym ostatnim boju, gdy obsługę wybito, sam przywarł do celownika, spalił dwie maszyny. Trzecia, wyskoczywszy z dymów, stratowała działo gąsienicami. Wolski, ciężko ranny, został na polu bitwy. Ale wynieśli go chłopci, powieźli do szpitala i wyżył.

W 5 PAC-u dano mu dowództwo 6 baterii. Szkolił ją nieco inaczej niż pozostali dowódcy - surowiej i sprawliwiej. Nie potrafię nawet powiedzieć, na czym to dokładnie polegało. Za plecami mówiliśmy o nim: „Święty Kazimierz; rycerzyk; nietutejszy”. Była w tych określeniach nutka przekąsu i jednocześnie podziwu.

Jako młody, narwany „polityk” ścierałem się z nim nieraz. Pyskowałem na przykład ostro na temat „zgniłej sanacyjnej Polski”, a on się obrażał. Nie dlatego, żeby miał bronić sanacji, ale nie znosił przymiotnika „zgniła” w pobliżu słowa „Polska”.

Jeszcze nim trafiliśmy na front, dowódca 6 baterii się zakochał. Nauczycielką języka polskiego była w brygadzie Irena, piękna blondyna o cerze białej jak mleko, wilnianka. Zalecali się do niej wszyscy. Ja też trochę. Ale Wolski inaczej niż wszyscy - on kochał naprawdę, to była miłość. Może właśnie taka jak Jana Skrzetuskiego do Heleny. A my, smarkacze, nie umieliśmy zrozumieć, nie dorastaliśmy do kalibru uczucia.

Gdy wreszcie doszło do walki, pchano 6 baterię na co trudniejsze zadania. Wiadomo było, że Wolski, otrzymując rozkaz, okiem nie mrugnie. Właśnie jego pierwszego przerzucono z punktem obserwacyjnym na przyczółek czerniakowski do domu na rogu Wilanowskiej i Solca.

Stamtąd kierował pociskami, skracając coraz bardziej ogień zaporowe, tak że biliśmy salwami prawie w ten dom. Kiedy esesmani pod osłoną tygrysów podchodzili do samych murów, Wolski brał do ręki pistolet, w drugą granat i prowadził do kontrataku swych zwiadowców, topografów, telefonistów. Był tam u jego boku kapral Karol Śliwocki, kapral Rudolf Przewdzing, kapral Kawecki, kanonier Emil Drozdowski. Wyrzucali Niemców z parteru, gnali za ulicę i znowu wracali na strych, żeby kierować ogniem.

Podczas ewakuacji przyczółka odłamki pocisku ciężko poharały porucznika. Ledwo opatrzony, w przekrwionych bandażach, został na pokładzie zatopionej u brzegu „Bajki”. Parokrotne wyprawy, żeby go odszukać i przewieźć na Pragę nie dały rezultatu. Ktoś opowiadał o krwi na pokładzie, tam gdzie zostawiono porucznika, ktoś twierdził, że widział go sztywnego.

Ostatnią wersję uznano za prawdziwą. Poszedł wniosek na „Virtuti”. Wydaliśmy ulotkę o bohaterskiej śmierci i podzieliliśmy rzeczy poległego.

W siedem miesięcy później szedłem ulicą Gryfic, gdzie kwaterowała redakcja „Zwycięzimy”, i nagle ugięły się podę mną nogi - w pełnym słońcu kwietnia stał na trotuarze porucznik Wolski. Twarz miał bladą, pociemniałe ślady po ospie na policzkach, nos ostrzejszy, ale uśmiechał się jak dawniej.

Ucałowaliśmy się serdecznie i od razu w samochód, żeby szybciej do brygady.

Po drodze opowiedział - nieprzytomnego wzięli go Niemcy i zamknęli w szpitalu, w oflagu. Leczyli pilnie, chcąc wydobyć potem jakieś zeznania. Rany goiły się długo, a kości zrastały powoli. Podczas ewakuacji obozu znajomy lekarz zagipsował go tak, że nie nadawał się do transportu. Parę dni później przyszli Rosjanie. Wyzdrowiał więc szybko, żeby jeszcze zdążyć na front, do swojej baterii. Nieśmiało spytał, czy wiem, gdzie jest Irena.

Zostawiłem go w brygadzie otoczonego roześmianymi żołnierzami.

Kiedy na przyczółku za Odrą chciałem odwiedzić porucznika, 6 bateria miała gęby ponure.

- Na przeprawie przez most - wyjaśnili. - Odłamkiem ciężkiego pocisku. W głowę. Tyle że się nie męczył.

Jeszcze raz zmartwychwstał Wolski rok czy dwa po wojnie. Przyjechał do mnie z wizytą.

Odłamek rzeczywiście trafił go w głowę i wyrwał kawałek kości z czaszki. Podnieśli go radzieccy sanitariusze, żeby nie leżał przy drodze, i ze zdumieniem stwierdzili, że ciepły jeszcze. Bez cienia nadziei, tylko po to, by mieć czyste sumienie, odwieźli do szpitala armijnego, stamtąd do frontowego. Dokonano operacji. Wyżył, ale stracił mowę i umiejętność chodzenia. Dali mu dwie pielęgniarki - jedną żeby uczyła stawiać kroki, drugą - specjalnie przyjętą do pracy Polkę - by nauczyła go mówić.

Opowiedział o tym zacinając się z lekka - brakowało mu czasem wyrazów - i pokazał miejsce rany: pod skórą, pod przeredzonymi włosami, pulsował leciutko mózg pozbawiony pancerza czaszki.

Wkrótce potem ożenił się. Naturalnie z Ireną, która skończyła medycynę, została lekarzem.

Na bohatera współczesnej powieści nie nadaje się: ani nikt nie uwierzy w tylokrotne zwycięstwo nad śmiercią, ani w to, że taki rycerski, prostolinijny, czysty. Obok Skrzetuskiego może by pasował, ale w książce o drugiej wojnie? Przecież takich jak on nie było...

NAZAJUTRZ PO 101 NOCY

podczas której Szeherazada zakończyła swą ostatnią opowieść, król obdarował szatami wezyrów, emirów i możnych, polecił, „by miasto ustrojone było przez dni trzydzieści” oraz by „nikt spośród mieszkańców miasta nie miał prawa wydawać swych pieniędzy, lecz wszystkie zakupy i wydatki czynione były z zasobów królewskiego skarbcza”.

Uroczystości tego rodzaju wyszły z mody.

Tych wszystkich zaś, którzy pragną:

- przesłać autorowi konia z rządem lub podziękowanie za przepustkę do nieśmiertelności;
- doręczyć pozew o zniesławienie lub wyzwanie na pojedynek;
- zaprotestować przeciw zamieszczeniu bądź też przeciw pominięciu ich nazwisk;
- sprostować nieścistości lub opowiedzieć treść nocy sto drugiej;

tych wszystkich proszę o kierowanie listów na adres: Warszawa, Smolna 13, „Książka i Wiedza”, dla Janusza Przymanowskiego.

Książka i Wiedza 1984

Wydanie dziewiąte

Okładkę projektował Jerzy Kępkiewicz

Ilustracje Szymona Kobylińskiego

Redaktor: Janina Polańczyk

Korektorzy: Zbigniew Gójko i Maria Włodarczyk

© Copyright by Janusz Przymanowski Warszawa 1961

Wydawnictwo „Książka i Wiedza” Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Warszawa, wrzesień 1984 r. Wydanie IX.

Nakład 59 650+350 egz. Obj. ark. wyd. 16,1. Obj. ark. druk. 16 Papier offset, kl. V, 70 g, rola 61 cm Oddano do składu w listopadzie 1983 r.

Podpisano do druku w czerwcu 1984 r. Druk ukończono we wrześniu 1984 r. Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45

Zam. nr 1003/1100/83. T-

Jedenaście tysięcy sześćset siedemdziesiąta czwarta publikacja „KiW”

ISBN 83-05-11347-7

